



Darien Gee
Herbaciarnia Madeline

Solidna dawka optymizmu
w uroczej oprawie!

„Publishers Weekly”

Prószyński i S-ka

Darien Gee

Herbaciarnia Madeline

Dedykuje wszystkim matkom

Przyjaźń jest skarbem nie tylko w smutku, ale i w radości życia.

Thomas Jefferson

Prolog

Leon Ydara, 81 lat, astronom amator

Leon wyregulował dwudziestopięciomilimetrowy okular Plossla i zwrócił teleskop na niebo. To była pogodna noc, idealna do oglądania gwiazd. Jasny Księżyc niemal oślepił; Leon założył filtr księżycowy dziewięć milimetrów i spojrzął jeszcze raz. Mare Crisium wyglądało naprawdę pięknie.

Potem przesunął teleskop ku horyzontowi, w stronę półksiężycowego oblicza Wenus; a potem na Marsa na południowej części nieba. Widział przerwę Cassi-niego w pierścieniach Saturna. Plejady, Wielką Mgławicę w Orionie... Satelita mignął w jego polu widzenia, typowe o tej porze roku.

Leon odsunął się, żeby zmienić okular, bez pośpiechu wkładał wszystko do odpowiednich pudełek. To problem początkujących astronomów: są tak podekscytowani tym, co mogą zobaczyć na niebie, że dodatkowe filtry po prostu wsuwają do kieszeni, w obawie, że przegapią ciekawy widok. Jednak takie traktowanie może zniszczyć soczewkę i co wtedy?

Było chłodno. Leon zapiął powoli guziki płaszcza sztywnymi palcami. Starość dawała się we znaki stawom. Od stania przy własnoręcznie złożonym teleskopie Dobsona bolały go plecy; gdy czuł się zmęczony, po prostu siadał na krześle ogrodowym i wyjmował lornetkę.

Większość ludzi nie zdaje sobie sprawy, że do oglądania nocnego nieba nie trzeba drogiego teleskopu. Wiele „ogródkowych” astronomów polega wyłącznie na dwóch rzeczach: ciemnej nocy i własnych oczach. Nie potrzeba nic więcej, by obejrzeć najwspanialszy spektakl świata.

To Marta nauczyła go patrzeć w gwiazdy. Byli wtedy na jakiejś imprezie, oboje przyszli z kimś, oboje byli śmiertelnie znudzeni. Zobaczył ją na dworze — na trawniku z dala od zgiełku przyjęcia. Jej rdzaworude włosy opadały kaskadą na plecy, gdy odchyłała głowę; rozchylone usta wdychały zimne powietrze nocy. Już wtedy, mimo ciemności, Leon spostrzegł, że jej skóra jest czysta i jasna jak światło Księżyca.

— Droga Mleczna — powiedziała półgłosem, wskazując niebo. Nie znał jej imienia, ale i tak spojrzął w górę.

— Wielka Niedźwiedzica, czyli Wielki Wóz. Mała Niedźwiedzica — Mały Wóz. — Jej palec sunął po niebie. — Pas Oriona. Trzy gwiazdy w rzędzie.

To była zima tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego drugiego roku. Sześć miesięcy później byli małżeństwem — pierścionek zaręczynowy był konstelacją trzech diamentów. Ich jedyne dziecko, Rosa, przyszło na świat rok później. Miała ciemne włosy ojca i piękne rysy matki, była ich dumą i radością.

Leon przysunął lornetkę do oczu. Właściwie powinien zainwestować w taką dziesięć na pięćdziesiąt, z szerszym kątem widzenia i lepszą optyką, ale nie potrafił rozstać się z tą — Marta podarowała mu ją w pierwszą rocznicę ślubu i to, że trzymała ją w rękach, że patrzyła przez te same soczewki, było dla niego bardzo ważne.

Przez wszystkie wspólnie spędzone lata widzieli mnóstwo rzeczy. Planety, gwiazdy, komety, deszcz meteorów, gromady gwiazd, galaktyki, mgławice. Urodziny ich córki, trzy poronienia, cztery przeprowadzki, liczne awanse w pracy, stratę rodziców.

Ich córka Rosa i jej mąż Jack przyjeżdżali, gdy tylko mogli — mieszkali w Grand Rapids. Rosa gotowała przez kilka dni, potem ładowali do samochodu lodówki podróżne i jechali pięć godzin z Michigan do Illinois, przywożąc tyle jedzenia, że wystarczyłoby Leonowi na miesiąc. Tłumaczył córce, że nie potrzebuje aż tyle, ale nie słuchała. W ich domu jedzenie zawsze było źródłem pociechy i Rosa świetnie gotowała; tak samo jak jej matka.

Odwiedziła go miesiąc temu. Ona i Jack starali się o dziecko, ale nic z tego nie wychodziło; i jej smutek sprawiał Leonowi ból. Chciał jej powiedzieć, że czasem tak się zdarza, ale wiedział, że to żadna pociecha.

Był inżynierem z wykształcenia i naukowcem z wyboru, i dla niego wszystko miało swoją przyczynę. Marta nie mogła uwierzyć, że on nie wierzy w Boga.

— Jak możesz? — pytała zaskoczona.

Wzruszał ramionami.

— Po prostu nie wierzę.

Problem polegał na tym, że właściwie nie potrzebował Boga. Miał wszystkie odpowiedzi, których potrzebował i zwyczajnie o tym nie myślał. Marta nie była religijna, ale miała duchowe podejście do życia, co jak się okazało, jest zaraźliwe. Nawet gdy chorowała, trzymała się swojej wiary. Podczas gdy on szukał jakiegoś lekarza, jakiegoś specjalisty, który postawiłby inną diagnozę, Marta uśmiechała się, jakby rozbawiona, zbyt słaba, żeby się z nim spierać, ale jej oczy pozostawały jasne, pełne światła i życia.

Pod koniec miała już dość lekarzy, szpitala i kuracji, która ją wyczerpywała. Pogodziła się ze śmiercią, to Leon błagał ją, by żyła.

— Leonie — powiedziała pewnego dnia. — Jestem taka zmęczona, moje ciało jest wyczerpane... Pozwól mi odejść... — Płakał, a ona położyła rękę na jego policzku. Przerwali chemioterapię i przenieśli ją do domu, żeby mogła leżeć

w swoim łóżku i patrzeć w gwiazdy. Odeszła dwa tygodnie później.

Na jej nagrobku napisał: *Marta Ydara, ukochana żona. 1935— 1995.* A poniżej jej ulubiony cytat, który odczytywał głośno za każdym razem, gdy odwiedzał jej grób: **Prawdziwe żniwo mego życia jest nieuchwytnie — odrobina pojmanego gwiazdnego pyłu, fragment schwytej tęczy.**

Henry David Thoreau ?

Leon opuścił lornetkę, szkła zaparowały. To się zdarza, czasem sprzęt odmawia współpracy albo pogoda płata psikusa. Nocne niebo uczy człowieka cierpliwości.

Odwrócił się, żeby spojrzeć na domy sąsiadów. O tej porze rodzice kładli dzieci spać, przygotowując się do cichego odpoczynku, zwieńczenia długiego dnia — nawet jeśli zostały jakieś naczynia do umycia, zabawki do posprzątania czy kolacja do zrobienia. Właśnie to trzymało Leona w Avalonie, w tym domu, o wiele za dużym dla starego, samotnego człowieka. Był zakochany w otaczających go ludziach, znajomych twarzach, w historii ich życia, która stanowiła część jego własnego. Tutejsi mieszkańcy pamiętali Martę, jej śmiech, który sprawiał, że wszystko stawało się prostsze, że człowiek musiał się uśmiechnąć. Każdy miał jakieś wspomnienie związane z Martą — i ta świadomość wypełniała jego serce nieoczekiwaną radością. Czuł się jak dziecko, które nazajutrz po zgubieniu zęba odkrywa pod poduszką srebrnego dolara.

Wyobraził sobie Martę przyglądającą się im, czuwającą nad tym smutkiem, który zawisł nad jednym z domów niegdyś wypełnionym śmiechem, i zapragnął, żeby mogła powiedzieć mu, jak im pomóc, jeśli to w ogóle było możliwe. Jest tyle niewypowiedzianych tragedii... W jednej chwili coś się kończy, pozostawiając po sobie rozpacz, rozdarcie, życie w zawieszeniu...

Jak myślisz, Marto? Co można zrobić?

Poczuł łaskotanie jej ciepłego oddechu na szyi, cień uśmiechu.

Och, Leonie.

Wydawało mu się, że Marta go beszta, a może to tylko jego umysł zaczął płatać figle? Leon miał bardzo praktyczne podejście do spraw życia i śmierci. Widział, jak śmierć zabiera ludzi, których kochał, wiedział, że pewnego dnia zabierze jego. Nie było sensu z tym walczyć... A może?...

Wyciągnął rękę po kubek z gorącą wodą, pozbierał okruszki ciasta, które zostało po ostatniej wizycie córki. Teraz, u kresu życia, miał czas na rozmyślenia. Czy po tym wszystkim, co się stało, wierzył w Boga? Oto jest pytanie, chyba jedyne naprawdę ważne. Jak ktokolwiek może mieć pewność, że Bóg istnieje? Gdzieś tam jest? Tak czy nie?

Odchylił głowę do tyłu, gdy spłynęło na niego nagłe zrozumienie. Miał ochotę parsknąć śmiechem.

Odpowiedź była właśnie tu — w gwiazdach, we wszechświecie, między

galaktykami.

Wystarczyło tylko spojrzeć w górę.

CHLEB PRZYJAŹNI AMISZÓW

Nie wkładaj startera do lodówki; to normalne, że zakwas rośnie i fermentuje. Jeśli do torebki dostanie się powietrze, wypuść je. NIE UŻYWAJ do mieszania metalowej łyżki ani miski, metal zakłóci proces fermentacji.

DZIEŃ 1

Nie rób nic

DZIEŃ 2

Zgnieć torebkę

DZIEŃ 3

Zgnieć torebkę

DZIEŃ 4

Zgnieć torebkę

DZIEŃ 5

Zgnieć torebkę

DZIEŃ 6

Dodaj do torebki 1 szklankę mąki,
1 szklankę cukru, 1 szklankę mleka. Zgnieć torebkę

DZIEŃ 7

Zgnieć torebkę

DZIEŃ 8

Zgnieć torebkę

DZIEŃ 9

Zgnieć torebkę

DZIEŃ 10

: Stosuj się do poniższych instrukcji:

Przełóż zawartość torebki do niemetalowego pojemnika.

Dodaj: 1¹/₂ szklanki mąki, 1¹/₂ szklanki cukru, 1¹/₂ szklanki mleka.

Podziel ciasto na cztery części (po jednej szklance każda) i włóż do czterech woreczków litrowych.

Zachowaj jeden woreczek dla siebie, pozostałe daj trzem przyjaciołom wraz z przepisem.

PAMIĘTAJ: Zachowując zakwas dla siebie, możesz upiec chleb za dziesięć

dni. Jest pyszny i może być wspaniałym prezentem.
Mam nadzieję, że będzie smakowało.

Rozdział 1

Julia Evarts oderwała wzrok od trzymanej w ręku kartki i popatrzyła na zamykany woreczek. W środku był jakby mokry cement, tyle że bardziej papkowaty i wypełniony małymi pęcherzykami powietrza. Gdyby nie Gracie, która stała tuż za Julią z oczami rozszerzonymi ciekawością, torebka od razu powędrowałaby do kosza.

— Mamo, mogę spróbować? — spytała. Trzymała w ręku porcelanowy talerzyk w róże i bratki, na którym spoczywały, przykryte folią spożywczą, kawałki czegoś, co wyglądało na chleb bananowy. Gracie pierwsza to zauważyła na ich ganku, gdy wchodzili do domu — talerz, torebkę i dołączony przepis na chleb przyjaźni amiszów. Nie było żadnego listu, jedynie żółta karteczka samoprzylepną z tymi pięcioma słowami napisanymi kursywą.

Przez chwilę była stropiona — czyżby znów zaczęły się tygodniowe posiłki? Zresztą, nie miałyby nic przeciwko czemuś na ciepło na kolację, ale chleb? Nie dość, że podejrzanie przypominał „łańcuszek”, to jeszcze zmuszał ją do jakiegoś pieczenia. Julia nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatnio coś piekła.

Gracie odkleiła folię od talerza, nim Julia zdążyła ją powstrzymać.

— Fajnie wygląda!

Julia musiała przyznać jej rację. Poza tym zbliżała się trzecia, był czas na popołudniową przekąskę, a ona nic nie zaplanowała. Nie miała pojęcia, jak robią to inne matki, nie wiedziała, jak dawała sobie z tym radę przedtem.

— Gracie, zaczekaj, najpierw wejdźmy. — Otworzyła drzwi wejściowe i wpuściła swoją pięcioletnią córkę do środka.

Położyła rzeczy na blacie w kuchni i otworzyła lodówkę — niemal pustą, zapomniała wstąpić do spożywczego. Nie było nawet mleka. Nie miała ochoty wychodzić znowu, więc po prostu nalała Gracie wody z kranu i wstawiła do mikrofali resztkę swojej porannej kawy.

— A teraz? — Gracie dosłownie podskakiwała w miejscu.

Jadły prosto z talerza, rękami. To nie był chleb bananowy, w ogóle nie przypominał niczego, *co* Julia kiedykolwiek jadła. Wilgotny, słodki, z nutą cynamonu, pyszny, koił serce tak, jak niespodziewana uprzejmość. Po chwili na talerzu został już tylko jeden kawałek.

— Tacie na pewno by smakował. — Gracie oblizwała pokryte okruszkami palce.

Julia również tak sądziła. Mark był łasuchem, choć ostatnio lansował zdrowy tryb życia. Odsunęła z twarzy Gracie kosmyk mocnych, brązowych włosów, tak różnych od jej rudoblond.

— Możemy mu zostawić — powiedziała, choć liczyła na ten kawałek.

Sięgnęła po folię spożywczą, ale Gracie była szybsza.

Julia patrzyła, jak córka usiłuje rozkleić folię, i spodziewała się napadu złości, który czasem zdarzał się o tej porze dnia, ale Gracie udało się rozdzielić folię — przykryła nią ostatni kawałek chleba, starannie przyklejając folię pod ząbkowanym brzegiem talerza.

— Udało mi się! — Patrzyła z dumą na swoje dzieło. — I co dalej?

Julia spostrzegła niebieski ślad po wyschniętej farbie na spodzie ręki Gracie i go tarła.

— A co ma być?

Gracie wzięła kartkę do ręki.

— Czy to jest przepis? Bo wygląda jak przepis? Mamy coś zrobić? Mogłabym mieszać, jestem świetna w mieszaniu! — Chyba cukier uderzył prosto w krwio-bieg Gracie.

Julia popatrzyła na leżącą na blacie torebkę foliową. Wiedziała już, że to po prostu fermentujący zaczyn, jednak wyczerpywała ją sama myśl o pieczeniu i związanym z nim bałaganem.

— To prawda, jesteś świetna — przyznała. — Tylko widzisz, ktoś nam to dał, bo chciał być miły, nie musimy tego robić. Chyba nie mamy nawet składników.

— Możemy kupić!

Julia uśmiechnęła się słabo.

— Nie w tej chwili, kochanie — odparła przepraszająco, ale stanowczo. — Może pooglądasz sobie telewizję, a ja przygotowuję obiad?

Gracie ześliznęła się ze stołka.

— Chyba leci Clifford — zawołała, wybiegając z kuchni.

Mikrofalówka brzęknęła. To był przypominacz, sprytna funkcja, wymyślona przez producenta. A może teraz każda mikrofalówka ma taki przypominacz? Ich poprzednia spowodowała pożar, gdy Julia włożyła do niej pudełko suchego makaronu rurki i sera i ustawiła czas na godzinę. Zaczęły walić kłęby dymu, włączył się alarm przeciwpożarowy. Gracie miała wtedy niecały miesiąc; była zdziwiona, ale nie płakała, nawet wtedy, gdy Julia wybuchnęła płaczem, a Mark biegał jak szalony z gaśnicą w rękę, a potem usiłował przewietrzyć dom.

Mikrofalówka brzęknęła znowu; Julia otworzyła drzwiczki i wyjęła kubek z kawą. Upiła łyk, stwierdziła, że jest ledwo ciepła, wstawiła do mikrofali na kolejną minutę i zapatrzyła się na ostatnią kromkę chleba przyjaźni, zastanawiając się, czy Mark miałby coś przeciwko, gdyby ją zjadła.

Pewnie nie. Ustępował jej od pięciu lat, zbyt zmęczony, żeby się kłócić, zbyt zmęczony, by próbować. Nie winiła go, ona też nie wiedziała, co zrobić, żeby coś się zmieniło na lepsze.

Teraz kawa była gorąca. Julia odkleiła folię od talerza i zjadła ostatni kawałek. Gdy Gracie weszła do kuchni z różowym kartonikiem w ręku, Julia miała w ręku kawałek chleba — dowód zbrodni.

Gracie była tak wstrząśnięta, jakby jej matka popełniła grzech ciężki.

— Mamo! To było dla taty!

Julia poczuła się winna, chciała się bronić, ale wiedziała, że nie ma sensu. Po pierwsze, Gracie miała pięć lat i wyraźną przewagę w tej sytuacji, bo Julia nie potrafiłaby znieść nieszczęścia córki. Po drugie, Gracie urodziła się już po wszystkim, nie znała innego życia niż teraz i dla niej najgorszą rzeczą, jaka mogła się wydarzyć, było zjedzenie przez mamę ostatniego kawałka chleba przyjaźni amiszów.

Julia próbowała się usprawiedliwić.

— Przepraszam, Gracie. Byłam taka głodna...

— Ale ja chciałam, żeby tata spróbował... — Miała w oczach łzy.

— Możemy mu zrobić smoothie albo sałatkę owocową — zaproponowała Julia, choć wiedziała, że nie ma w domu odpowiednich składników.

— Nie, to by mu smakowało najbardziej! Nawet zrobiłam dla niego kartkę... -Gracie trzymała w ręku kawałek kartonu, na który mozolnie przekopiowała pięć słów z żółtej karteczki.

MAM NADZIEJĘ, ŻE BĘDZIE SMAKOWAŁO.

Julia poczuła w gardle gulę. Pismo jej córki, staranne, ładne, wygląda jak pismo ośmiolatka. Właśnie tyle czasu zajęło leworęcznemu Joshowi nauczenie się czytelnego pisania. Nauczyciel podejrzewał nawet dysleksję rozwojową i Julia musiała walczyć, żeby chłopiec nie wylądował w szkole specjalnej, nie chciała, by został napiętnowany na resztę życia. Jak się okazało, miała rację. Wprawdzie charakter pisma Josha był daleki od kaligrafii, litery wiecznie się przechylały, muskając linię, ale chłopiec należał do najlepszych uczniów w klasie.

Julia patrzy na zapłakaną buzię Gracie i już wie, że jest tylko jedno wyjście. Wzięła przepis na chleb przyjaźni i przyczepiła go magnesem do lodówki. Potem odwróciła się, zrezygnowana, delikatnie odsunęła na bok torebkę z zaczynem, wzięła córkę w ramiona i przytuliła mocno.

— Zachowaj swoją kartkę, Gracie. Upieczemy chleb za dziesięć dni.

Mark nie miał ochoty wracać do domu.

Chociaż nie, to nie do końca tak. Chciał wrócić do domu, ale nie chciał wdawać się w kolejną kłótnię z Julią, nie chce słuchać, jaki miała okropny dzień. Czasem ona tylko patrzyła na niego z kamienną obojętnością, głucha na jego pytania.

Ale najbardziej dobijają go westchnienia, już wolałby ciszę i milczenie. Może świecić słońce, dom może być wypucowany do połysku (Mark codziennie sprząta do późnej nocy), Gracie może być zdrowa i pełna radości — a jednak

to wciąż za mało.

Siedział w samochodzie na parkingu, niepewny, przytłoczony ponurymi myślami. Pewnie Julia nie ma żadnych pomysłów, co zrobić na obiad; jak zwykle poprosi go, żeby wziął coś na wynos albo odgrzał jakieś resztki, a sama pójdzie odpocząć do sypialni.

Odpocząć — po czym? Gracie chodziła do przedszkola przy szkole Montessori, co znaczyło, że nie było jej przez siedem godzin w domu. Teraz Julia nie pracowała, w ogóle nie robiła nic, jedynie odbierała Gracie po zajęciach. Mark załatwiał całą resztę, wypełniał wszystkie luki, łątał wszelkie dziury.

Gdy ktoś zastukał w okno samochodu, aż podskoczył — zza szyby spoglądała na niego uśmiechnięta Vivian McNeilly. Była w Gunther & Evarts Architects projektantką wnętrz, odpowiedzialną za kluczowe projekty handlowe i mieszkaniowe. Dała mu znak, żeby opuścił szybę.

Nacisnął przycisk, ale ani drgnęła, no tak, przecież silnik był wyłączony. Poszukał po omacku kluczyków, włożył do stacyjki i przekręcił, czując się jak idiota. Szyba opuściła się z cichym szmerem.

— Przeszkodziłam? — Vivian promieniała uśmiechem. Miała melodyjny głos, co Mark zawsze podziwiał; na klientach też robiła wrażenie. — Wyglądasz na zatopionego w myślach.

— Co? Nie, zastanawiałem się tylko, czy iść do siłowni.

— Co za kretynizm. Przecież był tam rano, przed przyjściem do biura. Chciałby móc cofnąć te słowa.

Ale Vivian w skupieniu kiwała głową, jakby to była najbardziej intrygująca rzecz, jaką dzisiaj słyszała. Pracowała dla nich od roku i nigdy przedtem Mark nie czuł się skrępowany w jej obecności, a teraz nagle poczuł podekscytowanie, chyba po raz pierwszy od miesięcy.

Od lat.

— A gdzie chodzisz? Pytam, bo ja zwykle biegam w parku Avalonu po pracy, ale właśnie myślałam, żeby zapisać się do siłowni. — Pochyliła się delikatnie i Mark poczuł aromat jej perfum.

Wiedział, dokąd to zmierza i wiedział, że powinien po prostu odjechać, ale zamiast tego przyglądał się Vivian. Miała w sobie naturalny wdzięk — falujące kasztanowe loki spadały jej luźno na ramiona, dopasowany kostium i wysokie obcasy, sposób, w jaki opierała się o drzwi samochodu... Mogła mieć najwyżej trzydzieści lat, ale wyglądała na kobietę, która niejedno widziała. Inteligentna, samotna i stanowczo za młoda, żeby mieszkać w takim miasteczku jak Avalon. Nim zdążył się powstrzymać, powiedział:

— Chodzę do siłowni w Freeport; „Fitness lifestyle”. Mają niezłe wyposażenie, kryty basen i tak dalej.

Po co jej to mówił?

— Brzmi wspaniale — Vivian uśmiechnęła się szeroko, a on nie był pewien, co się właśnie stało. — To co, mogę się do ciebie przyłączyć? Mam przy sobie strój do biegania; może udałoby mi się chwilę poćwiczyć, kiedy już się zapiszę?

Wkroczył na niebezpieczny grunt. Wóz albo przewóz.

— Może innym razem. — Uśmiechnął się przepraszająco, poczuł, że ściska kierownicę spoconymi dłońmi.

— Do jutra! — Machnął jej ręką, a potem ruszył i szybko wyjechał z parkingu.

Julia stała przy zlewie w kuchni. Zmywała naczynia i odstawiała je na drewnianą suszarkę. Mark szykował Gracie do spania.

Te wieczorne chwile to jedyny czas, kiedy Julia czuła się normalnie, bezpiecznie. Mogła odetchnąć, nie obawiając się, że za chwilę spadnie topór i zniszczy to, co zostało z jej życia. Bez względu na to, co wydarzyło się tego dnia, już minęło. Jej mąż i córka są tutaj, w tym samym domu, pod tym samym dachem. Nawet jeśli tylko mijają się bez słowa na korytarzu, przynajmniej są razem.

Musi tylko dokończyć zmywanie, wytrzeć stół, wziąć prysznic i powlec się do łóżka. Nie miała ochoty na czytanie czy oglądanie telewizji, co tak lubił Mark, chciała po prostu zasnąć, głęboko i bez snów, pozwolić odpocząć umysłowi i sercu.

Sięgnęła po talerz. Wydał się zaskakująco ciężki, zobaczyła, że ma w ręku ten porcelanowy talerzyk, który stał na ganku. Pozostały na nim okruszki. Przez chwilę podziwiała czerwień róż, błękit i fiolet bratków, ozdabiających talerz. Gdy ona i Mark brali ślub, byli młodzi i biedni, prezent ślubny w postaci porcelanowego serwisu wydawał się stratą pieniędzy, ekstrawagancją. Poza tym, wtedy żartowali, że dzieci i tak by go wytlukły. Przewracali oczami, wyobrażając sobie bałagan, jaki będą robić ich przyszli potomkowie. Mieli już plany co do dzieci, podejmowali decyzje, uwzględniając małe istoty, których jeszcze nie było na świecie.

— Może powinniśmy zażyczyć sobie plastikowe naczynia? — zasugerował Mark, a Julia chichotała.

Przesunęła dłońmi po gładkiej powierzchni talerza, ze smutkiem i zadumą myśląc o tym, co mogło się wydarzyć. Odwróciła talerz i zobaczyła pieczętkę.

**FINE BONE
CHINA
SHELLEY ANGLIA**

A potem spostrzega coś, co sprawiło, że gwałtownie wciągnęła powietrze, omal nie upuszczając talerza do wody — numer deseni i jego nazwę.

Róża... Bratek...

I ostatnia nazwa, w oddzielnej linijce:

Niezapominajka.

Rozdział 2

- Orzeł to dziewczynka, reszka — chłopiec. — Lśniąca ćwierćdolarówka pofrunęła w górę, Liwy złapała ją ze śmiechem i szturchnęła koleżankę. — No, zgaduj!

Edie gryzła kęs kanapki.

- Doceniam tę wysoce naukową metodę przewidywania płci mojego nienarodzonego dziecka, ale chyba spaszuję. Nie mówiąc już, że nawet nie wiem, czy jestem w ciąży. Na razie tylko spóźnia mi się okres.

- Edie, daj spokój! Nie rozumiem, na co jeszcze czekasz?

Niebieskie oczy Edie błysnęły za prostokątnymi szklami okularów.

- Na okres?

Liwy położyła monetę na stole.

- Orzeł. Będziesz miała dziewczynkę. — Sięgnęła po swój lunch, sałatkę z makaronem na zimno z nisko— kalorycznym sosem włoskim. Nie rozumiała podejścia Edie. Gdyby jej spóźniał się okres, już byłaby w aptece, kupując wszystkie dostępne testy ciążowe.

Nie mówiła nikomu, że ona i Tom starają się o dziecko. Trzydziestosiedmio-latka Liwy nie miała jeszcze z górki, ale Tom uważał, że im dłużej czekają, tym większe jest prawdopodobieństwo, że coś pójdzie nie tak. Wiedział o przypadkach rodzenia się dzieci z zespołem Downa. Liwy czuła narastające wzburzenie. Są rzeczy, których nie da się kontrolować, i chociaż nie była religijna, czuła, że nic nie dzieje się bez powodu. Nawet to nieprawdopodobne, czego doświadczyła osobiście. Dlatego tylko skinęła głową, gdy Tom zaproponował, żeby zrezygnować z zabezpieczania się.

Teraz, sześć miesięcy później, była bardziej nakręcona na ciążę i zostanie matką, niż chciała się przyznać. I chociaż bała się, że to może przynieść pecha, za każdym razem, gdy test ciążowy pokazywał pojedynczą, samotną kreseczkę, myślała o Joshu, swoim siostrzeńcu. Szukała pocieszenia w tym, co zwykle mówił, że jest fajną ciocią i super się z nią rozmawia. Czy to znaczyło, że będzie również fajną mamą? Miała taką nadzieję.

— Czemu nie kupisz testu i nie sprawdzisz? — naciskała. Próbowwała się postawić w sytuacji Edie i czuła podekscytowanie. A może Edie martwi się, że jej chłopak, nowy miejscowy lekarz rodzinny, będzie zły albo z nią zerwie? — Mogę pójść z tobą kupić test.

Edie pokręciła głową.

— Dzięki, ale wolę, żeby moje dziesięć dolarów zostało tam, gdzie jest.

— W portfelu?

— Na koncie, zarabiając odsetki. — Edie skończyła kanapkę, zgmiotła woskowany papier, rzuciła do kosza kilka kroków dalej, ale spudłowała. — Muszę

wracać do pracy, mam do skończenia artykuł o wysychającej studni. — Wstała, żeby podnieść papier.

— Będzie o tym w głównym wydaniu wiadomości?

— zażartowała Liwy.

— Nie, w jutrzejszej „Gazette”, na pierwszej stronie. Dotyczy to sześciu domów, Liwy, nie każdy ma wodę z wodociągów.

Liwy nie cierpiała tego: Edie zachowywała się tak, jakby Liwy z tego kpiła. Czemu niektórzy ludzie tak robią — patrzą na ciebie i wyciągają z gruntu fałszywe wnioski? Do licha, to był tylko żart!

— Edie, urodziłam się i wychowałam w Avalonie; znam tutejsze problemy— Wielkie dzięki.

Edie zmarszczyła brwi.

— W takim razie musisz wiedzieć, że tych rodzin nie stać na podłączenie się do wodociągów. Nie mówiąc już o tym, że właśnie teraz niektórzy nie mają bieżącej wody.

Wykład to ostatnia rzecz, na jaką Liwy miałyby ochotę. Edie zachowywała się teraz jak Julia, a Liwy nie czuła potrzeby, żeby mieć jeszcze jedną starszą siostrę. Nie odezwała się, wbiła wzrok w swoją sałatkę, na którą straciła apetyt.

Liwy nagle skupiła się na swoim lunchu, to dlatego że Edie znów była niesympatyczna. Ale Liwy nie jest dziennikarką, pracuje w dziale reklamy, poza tym, jeśli Edie chce nawiązać jakieś przyjaźnie w liczącym cztery tysiące dwieście czterdzieści trzy osoby miasteczku, powinna wrzucić na luz. Richardowi, bardziej znanemu jako „doktor Richard”, zależało, żeby Edie dała Avalonowi szansę i sama też tego chce, ale to nie jest łatwe. Tego właśnie Richard nie rozumie — on szybko nawiązuje kontakty z ludźmi, a ludzie dobrze się z nim czują. Ale Edie jest inna, czasem potrafi być uszczypliwa. No dobrze, często. Po prostu te rzeczy, o których ludzie tak lubią rozmawiać, zwykle wydają się Edie nieistotne lub bezsensowne. Jakie znaczenie ma farbowanie włosów czy cena wieprzowiny, skoro na świecie wciąż jest tyle nędzy i chorób?

Edie nie czuje się liberałem o miękkim sercu, chociaż wie, że są ludzie, którzy mogliby się z tym nie zgodzić. Po prostu mieszkała za granicą i wie, że czasem niewiele trzeba, by dużo zmienić i chce być częścią tych zmian. Błaha rozmowa o codziennych sprawach doprowadza Edie do szału i chociaż się stara, uprzejme kiwanie głową szybko ją męczy, aż zaczyna mówić szczerze, co myśli. Kilka sekund później w pokoju robi się pusto — ludzie przypominają sobie, że mają coś do załatwienia albo tak jak Liwy, milkną i przestają się odzywać.

— Posłuchaj — powiedział Richard pewnego wieczoru, gdy zaproponowała, żeby wykręcili się od kolejnej kolacji w domu jego wdzięcznych pacjentów. Pacjenci nieustannie ich zapraszali, po części dlatego, że wciąż byli tu nowi, a po części, że „wszyscy kochają Richarda”. — Wiem, że to

nieprzyjemne, ale wcale nie musi takie być. To mili ludzie i w ten sposób okazują swoją wdzięczność. Poza tym — ciągnął, gdy Edie już otworzyła usta, by odpowiedzieć — i tak nie spakują tego jedzenia i nie wyślą go do Afryki, więc nie zaczynaj.

— Nic takiego nie sugerowałam. — Poczula się urażona.

— Oczywiście, że nie. — Richard uśmiechnął się. Oboje wiedzieli, że chodziło o coś innego, na przykład o zredukowanie wydatków na utrzymanie i przekazanie różnicy na cele charytatywne, czy poświęcenie dwóch wolnych godzin na wolontariat w jadłodajni dla ubogich. — Ale ci ludzie są teraz naszymi sąsiadami i jeśli dasz im szansę, być może zostaną naszymi przyjaciółmi.

Przyjaciółmi! Edie nie wierzyła w to, chociaż musiała przyznać, że przeprowadzka do Avalonu była mądrym posunięciem, w każdym razie pod względem kosztów utrzymania. Restauracje sieciowe i fast foody nie wykazywały zainteresowania podbojem tego miasteczka, nie rozpanoszyły się też wielkie centra handlowe. W miasteczku znajdowały się teatr, kręgielnia, park, kilka restauracyjek i barów. Nawet gdyby człowiek chciał gdzieś wydać pieniądze, nie miałby gdzie. Do tego ceny mieszkań były niewiarygodnie niskie i w przeciwieństwie do innych części Ameryki Avalon to miejsce, gdzie można sobie pozwolić na założenie rodziny.

Ludzie, którzy mieszkali tu od zawsze czy od dawna, zamiast nazw ulic używali opisów. „Za bankiem”, „obok biblioteki”, „za supermarketem Pick & Save”. Edie lubiła ten rodzaj nawigacji, lubiła, jak jedno miejsce wskazuje inne, niczym kolejne kroki w poszukiwaniu skarbów. Jej artykuły dla „Gazette” powstawały w taki właśnie sposób — kobieta z miejscowego kółka szycia obsypywała pochwałami lokalnego rzeźnika, będącego zarazem gwiazdą dwóch spektakli ava-lonskiego towarzystwa teatralnego („Lakier do włosów” i „Jesteś dobrym chłopcem, Charlie Brown”). Z kolei niewielki teatr był zarazem siedzibą klubu robotyki, prowadzonego przez dwóch piątoklasi— stów. Jeden komentował głośno niewiarygodne szczęście Harolda Sibleya, który zasłynął jako niekwestionowany mistrz bingo — wygrywał wszystkie gry w czwartkowe wieczory w St. Mary, ponieważ, jak wykryła Edie, jego dziewczyna wyczytywała zwycięskie numery. Edie napisała już prawie siedemdziesiąt artykułów. Niestety, nie były to właściwie artykuły demaskatorskie. Myślała, że jeszcze nie udało jej się natrafić na prawdziwe sensacje tego miasteczka, ale wreszcie zaczęło do niej docierać, że Avalon jest dokładnie tym, na co wygląda — małym miasteczkiem nad rzeką na północy stanu Illinois.

Ale Richard stawał się nieodłączną częścią tego miasta, a Edie z kolei czuła się przypisana do Richarda. I chociaż pracowała w redakcji lokalnej gazety od niemal trzech miesięcy i dobrze się czuła, jedynie kiwając lu— , dziom głową na powitanie, zmusiła się do rozszerzenia swoich granic i gdy nadarzała się okazja,

zamieniała kilka słów z Liwy.

Lubiła Liwy, ale była przekonana, że gdyby chodziły razem do liceum, nie zamieniłyby nawet trzech zdań. Oliwia „Liwy” Scott była urodzoną cheerleaderką. Szczupła, energiczna i podejrzanie radosna; proste blond włosy sięgające do ramion, nieskazitelna skóra.

W swoich skompletowanych strojach zawsze prezentowała się idealnie. Edie zdawała sobie sprawę, że nigdy jej nie dorówna wyglądem. Nawet w modnych okularach i nowej fryzurze Edie Gallagher nadal czuła się tak, jakby miała wypalony na czole napis „kujon”.

Mimo wszystko Liwy zawsze cieszyła się na widok Edie i lubiła spędzać z nią czas. A ją to dziwiło. Oczami wyobraźni widziała, jak Liwy siedzi na łóżku i pisze w swoim pamiętniczku o ich wspólnych wypadach, zupełnie jakby były nastolatkami. *Najlepsze przyjaciółki na zawsze*. Dla Edie to coś zupełnie nieznanego — nigdy nie miała koleżanki, nie mówiąc już o najlepszej przyjaciółce.

Dlatego znowu się przełamała.

— Jeśli nie dostanę okresu do następnego piątku, pójdziemy razem do apteki, chcesz? — Nie wspomniała, że okres zawsze się spóźniał, nie pojawiał się regularnie, czyli prawdopodobieństwo ciąży było bardzo niskie. Nie wspomniała też, że mogłaby zrobić darmowy test w gabinecie Richarda. Sikanie na kawałek plastiku w łazience „Avalon Gazette”, z koleżanką pod drzwiami kabinki to żadna frajda — ale przecież właśnie dziewczyny różnie okazują sobie przyjaźń, no nie? Spędzają razem czas. Może to właśnie coś takiego ominęło Edie, gdy przesiadywała w bibliotece nad Encyklopedią Britannica.

Liwy skinęła ostrożnie głową, ale wyglądała na udobruchaną.

— Dobrze. Chcesz się potem spotkać na kawie?

Niekoniecznie, pomyślała Edie, ale mimo to uniosła kciuk.

— Wiesz, gdzie mnie szukać

Liwy przeglądała swoją książeczkę czekową — szukała brakującego wpisu. Od miesiący nie sprawdzała książeczki i prawdę powiedziawszy, nie była w tym dobra, ale ostatni wyciąg z rachunku wykazał stałe zlecenie w wysokości pięciuset dolarów na CMFTP.

Nie miała pojęcia, co to mogło być. Wynotowała wszystkie duże wydatki — hipoteka, kredyt na samochód, składka członkowska w klubie golfowym, do którego należał Tom, ale to zostało uwzględnione. Postanowiła zadzwonić do banku.

W tym momencie do gabinetu wsunęła głowę Tracy, jej szefowa, dyrektor handlowy „Gazette”. Liwy odsunęła książeczkę czekową, udawała, że wpatruje się w coś na monitorze komputera.

— Co z projektem reklamy w internecie? Chciałabym go pokazać Patrickowi.

Patrick Chapman, wydawca i redaktor naczelny, był rzeczowym gościem, który niewiele wiedział o prowadzeniu gazety, ale miał pieniądze, mógł utrzymać małą gazetkę i nie pozwolić jej odejść w zapomnienie.

Liwy zamierzała pokazać projekt Patrickowi (reklamy internetowe były jej pomysłem) i odparła wymijająco:

— Jeszcze nieskończony, powinien być gotowy po południu.

— Świetnie. W takim razie wpadnę po niego koło trzeciej. Możesz zrobić cztery kopie? Posegregowane i spięte, żadnych zszywek. Wielkie dzięki. — Tracy mrugnęła do niej i zniknęła.

Od kiedy to Liwy zajmuje się kserowaniem? Otworzyła plik i nacisnęła „drukuj”. Stara, sterana drukarka laserowa zaczęła dławić się kolejnymi stronami, a Liwy gotowała się ze złości. Tracy została dyrektorem handlowym wyłącznie dlatego, że zaczęła pracować tydzień wcześniej niż ona. Liwy bez trudu poradziłaby sobie z obowiązkami Tracy, zarządzaniem reklamą wielkoformatową i ogłoszeniami drobnymi. Przecież to właśnie Liwy wpadła na pomysł, żeby zaczęli doganiać świat i zaistnieli online, już choćby po to, by móc sprzedawać reklamy w internecie w ramach dodatku do ubogich reklam drukowanych. Powinna po prostu osobiście wręczyć projekt Patrickowi; zmusić go, by zobaczył, że ona zna się na swojej pracy i jest więcej warta, niż mu się wydaje.

Ale nie robi tego. Chociaż słynęła z ciętego języka i odwagi, nie chciała ryzykować wściekłości Tracy i dezaprobaty Patricka. Potrzebuje tej pracy, tych pieniędzy i jeśli chce mieć nadzieję na podwyżkę i awans, musi pozostać w dobrych stosunkach z przełożonymi.

Myśl o pieniądzach przypomniawszy jej, że miała zadzwonić do banku. Wystukała numer. Powie, że to nieautoryzowana transakcja, cokolwiek to było, i zażąda zwrotu pieniędzy na konto. Jeśli będzie trzeba, oznajmi, że to defraudacja i zażąda wszczęcia dochodzenia, a w tym czasie spożytkuje pieniądze na opłacenie kredytów samochodowych.

— Bank stanowy Avalon, słucham?

To była Charlotte Snyder, kierowniczka działu kas.

— Dzień dobry, pani Snyder. Mówi Liwy Scott.

— Kto? Przepraszam, ale połączenie jest fatalne, może pani mówić głośniej?

Połączenie było dobre, to tylko Charlotte Snyder stawała się przygłucha.

— Olivia Scott, córka Fredericka i Rebeki Townsend.

— Olivia! — wykrzyknęła pani Snyder. — Witaj! Jak się miewają rodzice? Zadowoleni z Florydy? Powiedz mamie, żeby częściej pisała, przez tę różnicę czasu nigdy nie możemy porozmawiać.

— Przekażę — odparła Liwy, chociaż wiedziała, że rodzice mają nowe życie i nie chcą smutnych i bolesnych wspomnień z Avalonu. Przenieśli się dwa

lata temu, twierdząc, że potrzebują zmiany. Najpierw miał być wyjazd tylko na pół roku, ale powoli stawało się jasne, że nie mają zamiaru wrócić. Ich mieszkanie w różowym bloku w Boca Raton było niesamowitą odmianą po przytulnym, lecz ponurym domku w Avalonie. Teraz w weekendy grają w bingo i uczą się tańczyć salsę, mama maluje akwarele, a ojciec zajął się wędkarstwem dalekomorskim. Floryda jest ostatnim miejscem, w którym Liwy wyobrażałyby sobie swoich rodziców, jednak musiała przyznać, że takie starannie rozplanowane życie ma swój urok. Wszystko ma swój czas, żadnych niespodzianek — kolacja o piątej, kanasta o siódmej, kurczak w poniedziałki, środy i piątki. Była spragniona takiej stabilizacji, może też powinna się tam przenieść?

— A co u Julii? Nie widuję was teraz, moje kochane. Każdy załatwia swoje sprawy przez internet albo przejazdem w okienku. Wiesz, że oferujemy darmowe pączki każdemu, kto przyjdzie przed dziesiątą? Chwilka na języku, całe życie w biodrach!

Liwy zignorowała pytanie o Julię i przeszła do rzeczy.

— Pani Snyder, wydaje mi się, że w moim ostatnim wyciągu jest błąd. Z naszego konta ściągnięto pięćset dolarów i ani Tom, ani ja nie autoryzowaliśmy tego.

— Och. — Pani Snyder spoważniała. — Już patrzę. Pięćset, pięćset... Aha, tak jest, już widzę. Dla CMFTP. Mówisz, że tego nie autoryzowaliście?

— Nie — powiedziała stanowczo.

— Cóż, pieniądze już poszły... Mogę zgłosić reklamację i wtedy bank się temu przyjrzy. — Pani Snyder stuknęła w klawiaturę. — Przy tej transakcji jest numer telefonu, kierunkowy 773. To Chicago, tak? Może wolałabyś najpierw tam zadzwonić?

Liwy usiłowała sobie przypomnieć, kiedy ostatnio była w mieście — chyba rok temu. Pewnie Tom znowu kupił coś kompletnie niepotrzebnego, nowy kij golfowy albo coś w tym rodzaju, a potem o tym zapomniał. Na początku ich znajomości Liwy to ujęło najbardziej

— nie był obsesyjnie małostkowy, był spontaniczny i umiał ją zaskoczyć królewskim gestem. Przez długi czas nie zdawała sobie sprawy, że żyli ponad stan, a uświadomiła to sobie za późno — lubiła ładne rzeczy i nauczyła się, jak przeżyć od pierwszego do pierwszego, przesuwając zaległe płatności do czasu, gdy wreszcie dostaną zastrzyk gotówki. Ale potem gospodarka zwolniła, raty karty kredytowej wzrosły, a podwyżki zostały zatrzymane. Najchętniej cofnęłaby czas, ale to niemożliwe.

Wzięła numer od pani Snyder i obiecała do niej zadzwonić, jeśli będzie chciała wszcząć sprawę. Wystukała numer, gotowa zasypać rozmówcę gradem pytań.

Na co wydano tę sumę? Kto ją autoryzował? Co to jest to CMFTP?

W słuchawce odezwał się miły głos:

— Dziecięcy szpital— pomnik, biuro fundacji, słucham?

Liwy wciągnęła powietrze, a potem delikatnie odłożyła słuchawkę na widelki i przymknęła oczy.

Jednak nie zadzwoni do pani Snyder.

Zatrzymując samochód, zobaczyła Toma — uderzał w piłeczki golfowe na trawniku przed domem. Nie pytała, czemu tak wcześnie wrócił. Dojazd do pracy zajmował mu zwykle czterdzieści pięć minut i docierał do Avalonu przed obiadem.

— Hej, śliczna! — zawołał; piłeczka golfowa zgrabnym lukiem wpadła do starej psiej miski.

Czemu nie robił tego za domem, gdzie było mnóstwo miejsca, tylko tu, od frontu, na oczach sąsiadów? Dostrzegła jakiś ruch w oknie naprzeciwko; to pani Lowry, miejscowy „nadzorca”, wyglądała zza koronkowych firanek.

— Tom — wysyczała Liwy, podchodząc bliżej. — Mógłbyś nie krzyczeć?

— Czemu? Ta stara wiedźma i tak nas nie słyszy. — Parsknął śmiechem; Liwy poczuła zapach alkoholu.

— O Boże, piłeś?

— Świątowałem — powiedział z naciskiem; uderzył po raz drugi, nie trafił do środka, miska odskoczyła.

— Cholera.

— A możesz mi powiedzieć, co świętowałeś? W środku? — Kiwnęła głową w stronę domu i weszła na schodki.

Tom rzucił kij na trawę, podążył za Liwy, objął ją i całował w szyję. Protestowała, śmiejąc się.

— Przestań! — No, pani Lowry ma wreszcie na co popatrzeć.

Gdy weszli do środka, Tom spoważniał.

— Co się dzieje? — spytała Liwy. Zobaczyła plik listów i już miała po nie sięgnąć, ale dwie koperty z nadrukiem: ZALEGŁOŚĆ i OSTATECZNE WEZWANIE DO ZAPŁATY, uznała, że mogą poczekać.

Tom usiadł na ławce w przedpokoju

— Zabrali mój samochód.

Patrzyła na niego ze zdumieniem.

— Jak to? Kto zabrał twój samochód?

— Bank. Przesłali komornika do mojego biura. — Wyobrażasz sobie, do biura! Kurt widział samochód holujący i powiedział mi, ale było już za późno, zanim zbiegłem na dół, gość zniknął. — Walnął pięścią w ścianę.

— Mieli prawo to zrobić? Nie powinni najpierw wysłać zawiadomienia czy...

— Wysyłali. Zalegaliśmy z trzema płatnościami i nie zapłaciłem ostatniej.

Liwy zagryza wargę.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Bo nie mamy pieniędzy, dlatego!

Starła się myśleć logicznie.

— No dobrze, ale co to znaczy? Że nie jesteśmy im już nic winni za bmw? To nie takie złe. — Bmw miało charakterek, wiecznie się psuło, teraz mogliby wziąć tańszy samochód i mieć co miesiąc trochę więcej forsy.

— Możemy być jeszcze zadłużeni. To zależy, ile zyskają na sprzedaży. Jeśli sprzedadzą za mniej, niż jesteśmy winni, będziemy wisieć im różnicę.

— Co? — Liwy nie mogła tego pojąć. — Przecież oddaliśmy samochód!

— Zabrali nam samochód. Nie chcę o tym mówić. — Tom wstał i poszedł do kuchni.

Liwy miała mętlik w głowie, poszła za nim.

— Myślałam, że wspominaleś o świętowaniu?

— To był sarkazm, Liwy.

— Jak dotarłeś do domu?

— Gdy gość zabrał samochód, wezwałam taksówkę i pojechałam do banku. Kosztowało mnie to siedemdziesiąt pięć dolców.

Au.

— Dałeś kierowcy napiwek?

— A jak myślisz? — Zerknął na nią, otworzył lodówkę i wyjął piwo. Liwy spostrzega trzy kapsle na blacie.

— Powiedzą nam, jeśli będziemy im coś winni?

Pociągnął solidny łyk z butelki.

— Cholera wie.

Po chwili wahania Liwy oznajmia:

— Właśnie przekazaliśmy coroczną dotację szpitalowi dziecięcemu za Josha. Pięćset dolarów.

Tom zaklął, spojrzawszy na Liwy spode łba.

— Myślisz, że nadal musimy to robić?

— Tom!

Liwy, minęło sześć lat!

— Minęło pięć i już o tym rozmawialiśmy. Chcę to robić. To dla mnie ważne.

— Do końca życia? — Nie krył irytacji.

Mój Boże, nic nie pamiętała... Śmierć Josha wstrząsnęła nimi; gdy zaproponowała, żeby raz w roku przekazywać pewną sumę na oddział alergiczny i immunologiczny dziecięcemu szpitalowi— pomnikowi w Chicago, zgodził się od razu. Nigdy nie rozmawiali o tym, jak długo miałyby to trwać. To był zaledwie drobny gest, ale tylko tyle mogła zrobić i nie miała zamiaru przestać.

— Jak będziesz teraz jeździł do pracy? — Zmieniła temat.

— Wezmę hondę.

Liwy aż zatkało.

— Tom, honda to mój samochód! Miała ją, zanim w ogóle poznała Toma.

— To nasz samochód, Liwy, poza tym, co miałbym zrobić? Tłuc się autobusem do Dixon? Nie stać nas na drugi samochód, a nie będę jeździć żadnym gratem.

Czuła ucisk w krtani. Kłótnia nie ma sensu; Tom jest przedstawicielem firmy farmaceutycznej i musi robić dobre wrażenie, musi być dobrze ubrany i jeździć porządnym samochodem.

— Zresztą do „Gazette” można właściwie dojść na piechotę — rzucił nonszalancko.

— Nie, Tom, nie można. Będiesz musiał zawozić mnie rano do pracy i odbierać w drodze do domu.

— Liv, wiesz, że jestem uzależniony od klientów, nie możesz liczyć, że podrzucę cię do pracy.

Poszedł z piwem do salonu; podążyła za nim. Hamowała się, żeby nie wybuchnąć, gdy wziął pilota i z westchnieniem opadł na kanapę.

Miała ochotę wrzasnąć: „Wstawaj! Obejmij mnie! Powiedz, że wszystko będzie dobrze!”

Tom miał ponure spojrzenie.

— To był ciężki dzień, Liv. Muszę się odprężyć. Możesz ty zrobić dzisiaj kolację? Jesteś kochana. — Odwrócił się do telewizora i przerzucił programy na Golf Channel.

Słyszała, jak zachęca jakiegoś gracza, żeby uderzył; odwróciła się na pięcie i poszła do kuchni. Tak bardzo chciałaby do kogoś zadzwonić, z kimś pogadać... Ale nie chce wtajemniczać Edie w swoje problemy finansowe, a inni przyjaciele po prostu by nie zrozumieli. Mogłaby zadzwonić do rodziców, ale wie, że ojciec byłby niezadowolony, uznałby, że są całkowicie nieodpowiedzialni, co nie byłoby zbyt dalekie od prawdy. Jediną osobą, która by zrozumiała, jest Julia. Najpierw by nakrzyczała, ale potem pomogłaby jej zastanowić się, co można zrobić. Zawsze wyciągała młodszą siostrę z kłopotów.

Ale Liwy wiedziała, że Julia nie odbierze jej telefonu.

Rozdział 3

— Proszę tu podpisać. — Kurier UPS pokazał kreskowaną linię i Hannah bazgrnęła swoje nazwisko elektronicznym długopisem. Kurier podał jej długą, wąską paczkę i zerknął na adres nadawcy. — Wysłana przez Hansa...

— Weishaara. — Wzięła paczkę, z zadowoleniem stwierdzając, że opakowanie wygląda na nienaruszone.

Kurier uśmiechnął się. Był wysoki, miał złociste włosy i wyglądał na klasycznego przystojniaka z rodzaju tych, dla których dziewczyny tracą głowę. Rodzice Hannah zawsze bali się, że ich córka zacznie chodzić z kimś takim, a ona uważała, że to śmieszne. Jej podobali się neurotyczni ponuracy, a ci, którzy wyglądali, jakby największym szczęściem było dla nich siedzenie na plaży z butelką taniego piwa i deską surfingową, nie mieli szans.

— Zazwyczaj nie mam problemów z nazwiskami — powiedział kurier przepraszająco.

— Miała ochotę powiedzieć, że nie musi się tłumaczyć, że też nie umiała tego wymówić, ale stwierdziła tylko:

— To niemieckie nazwisko, z nimi nigdy nic nie wiadomo.

— Mieszkasz w Avalonie od niedawna?

Kiwnęła głową.

— Przeprowadziłam się z Nowego Jorku trzy miesiące temu.

Kurier uśmiechnął się szerzej.

— W takim razie witaj w Avalonie... — Zerknął na swój terminal. — Hannah. To ty? Hannah de Brisay? — spoglądał niepewnie na ekran.

Już się przyzwyczaiła do dwukrotnego sprawdzania, to normalne, gdy jest się Azjatką z nazwiskiem typowym dla białych.

— To nazwisko mojego męża. — Udało jej się powstrzymać od dalszych komentarzy, ale umysł automatycznie wyświetlił nagłówki gazet, krzyczały o jej burzliwym związku z Philippe'em.

Dwoje geniuszy — wybitna wiolonczelistka i genialny skrzypek zaręczeni!

Utalentowana wiolonczelistka Hannah Wang i skrzypek Philippe de Brisay biorą

ślub w Nowym Jorku!

Muzycy klasyczni nie są już w harmonii?

— To francuskie nazwisko. — Czyżby tak strasznie brakowało jej kontaktów z ludźmi, że musi podrywać kuriera? — Mój mąż jest Francuzem — dodała beznadziejnie. Przestań tyle gadać, Hannah!

— Och. — Uśmiech nie zniknął z twarzy kuriera; Hannah zauważyła, jak chłopak prostuje się, język ciała nie kłamał. — Cieszę się, że mogłem panią poznać. Miłego dnia, proszę pani.

Proszę pani. Hannah wzdryga się. Ma dwadzieścia osiem lat, ale skoro jest

mężatką, mówi się do niej „proszę pani”.

Nie patrzyła za nim, gdy odchodził, uśmiechnęła się tylko i zamknęła drzwi. W domu znowu zapadła cisza, Hannah przeszła korytarzem z białą boazerią do pokoju muzycznego.

Ten pokój z założenia miał być pokojem słonecznym, ale z powodu dębu rosnącego na tyłach domu nie był. Zresztą, to nawet lepiej. Ogromne okna wychodziły na niewielki ogródek za domem, ulubiony widok Hannah. Jej wiolonczela spoczywała na podstawce; na ścianach wisiały symetrycznie oprawione zdjęcia z koncertów i wycinki z gazet, recenzje.

W ich domu królowała symetria. Philippe chciał, żeby wszystkie przedmioty znajdowały się na swoich miejscach, nawet przychodząca poczta leżała w odpowiedni sposób na komódce w korytarzu. Sztućce spoczywały w szufladzie, łyżki jedna za drugą, zęby widelców połyskiwały, noże były skierowane ostrzem w dół, oddzielone i ułożone w wachlarz. Przetwory w spiżarni zostały opatrzone etykietkami, stopy paczkowanego risotto w różnych smakach ustawione alfabetycznie. Mieli prawie dziesięć kompletów misek, Philippe nigdy nie miał ich dość. Zachwycił się tym, jak zostały wykonane, jak pasowały do siebie, jedna włożona w drugą.

— Tak jak my — mówił zwykle. Wiedziała, że zawsze pociągało go w niej to, co nazywał „naturalną precyzją”

— jej ciało, talent, nawet sposób chodzenia. „Ty suniesz”

— szeptał namiętnie, szarpiąc jej ubranie, niecierpliwie rozpinając guziki. Nic go tak nie podniecało jak perfekcja czy też jej iluzja.

A teraz... Co teraz? Patrzyła na swoje odbicie w antycznym, srebrnym lustrze, to jedno z jej ulubionych znalezisk w second— handzie w Brooklynie. Philippe nie pozwolił jej powiesić lustra w ich apartamencie w Nowym Jorku czy Chicago, za to z radością zezwolił na to w ich domu w Avalonie. Miała nadzieję, że jej czteroletnie małżeństwo jednak ma szansę, że Philippe zaakceptuje tę część Hannah, niebędącą muzyką czy pięknem. Jednak od razu po świętach Bożego Narodzenia wyjechał.

Pociągnęła swoje proste, sięgające ramion włosy. „Nuda” — zdawało się mówić jej odbicie. Znajomi muzycy mówili jej nieraz, że zazdroszczą jej tej czarnej połyskliwości, tej gładkiej prostoty, że jej włosy wyglądają elegancko upięte w ciasny kok, gdy występuje. Jaka to przyjemność, mieć takie posłuszne włosy! Uważali, że to zasługa jej chińskich genów, ale Hannah wiedziała swoje. Jej włosy miały naturalną tendencję do falowania i pozostawione same sobie nie chciały się układać. Dlatego po kryjomu chodziła do salonu fryzjerskiego w New Jersey, a potem innego w chicagowskiej chińskiej dzielnicy, gdzie płaciła za prostowanie włosów.

Nawet Philippe o tym nie wiedział. Chciała mu o tym powiedzieć, ale

najpierw nie miała odwagi, a potem było za późno, to stałoby się tylko jeszcze jednym powodem, żeby jej nie kochać.

Zadzwoił telefon; Hannah odczekała niecierpliwie trzy dzwonki, nim odebrała — jeszcze jedno zarządzenie Philippe’a.

— Halo?

— Witaj, Hannah.

Poczuła, jak jej serce przyspiesza na dźwięk tego głosu. Ścisnęła mocno słuchawkę obiema rękami.

— Philippe, gdzie jesteś? W apartamencie?

— To bez znaczenia. — Jego francuski akcent sprawiał, że wszystko, co mówił, brzmiało inteligentnie i romantycznie. — Dzwonię, żeby cię uprzedzić, wysyłam ciężarówkę po moje rzeczy. Będą mieć klucz. Nie musisz być w domu, właściwie nawet lepiej, jeśli ciebie nie będzie... — Potem mówił, że robotnicy mają listę, jest wyszczególnione, co spakować i zabrać, ale Hannah była zbyt zszokowana, by słuchać.

— Philippe, po prostu przyjedź i porozmawiajmy.

Po drugiej stronie rozległo się ciężkie westchnienie, jakby Philippe mówił do dziecka, jakby ta rozmowa nużyła go, jakby szkoda było każdego słowa.

— Nie ma o czym mówić, Hannah.

Nie ma o czym mówić? Byli ze sobą siedem lat, od czterech małżeństwem i nie ma o czym mówić? Przecież potrafili całymi godzinami leżeć w łóżku i rozmawiać. No dobrze, kochać się i rozmawiać... chociaż nie robili tego od dawna. Nie wiedziała, kiedy i jak wszystko zaczęło się psuć. Czemu jej nie powiedział, czemu nie dał jej szansy, żeby ratować związek? Znała Philippe’a, nie potrafił być sam. W przeciwieństwie do większości mężczyzn lubił być w związku. Lubiał tę intymność, przytulność, uwielbiał być zakochany, a jak mógł być zakochany, skoro nie był z nią?

Bo jest zakochany w kim innym, głupia!

Ta świadomość uderzyła ją obuchem między oczy. No jasne! Przecież gdy po raz pierwszy spotkali się w Nowym Jorku, był z pianistką, którą rzucił, żeby być z Hannah. Źle się z tym czuła, chociaż nie aż tak źle, skoro przestał ją kochać... Poza tym, Philippe powiedział jej, że ten związek i tak dobiegał końca i rozstanie było tylko kwestią czasu. A ona mu uwierzyła, ignorując bolesne spojrzenia pianistki, gdy spotkali ją na urodzinowym przyjęciu wspólnego przyjaciela w Park Avenue.

— Jest ktoś inny? — spytała Hannah; czuła gulę w gardle.

Zapadła długa cisza.

— Hannah...

W tym jednym słowie, w jej imieniu, usłyszała obronę, irytację i ulgę

niewy-głoszonego wyznania. Było jasne, że nie ma zamiaru powiedzieć jej nic więcej, a już na pewno nie będzie się tłumaczyć.

Ukryła twarz w dłoniach. Jak mogła być taka tępa? Przypomniała sobie koleżanki, które grały z Philippe'em i radziły jej, żeby miała na niego oko. Najpierw się z tego śmiała, potem spanikowała, niepewna, co mogłaby zrobić. Nie zrobiła nic.

— Posłuchaj — zaczął. — Po prostu idź na kawę czy coś. Załatwią to raz— dwa, wejdą i wyjdą. Wiedzą, co mają wziąć, spakują wszystko i zabiorą. Potem będziemy mogli porozmawiać co dalej.

Dalej? Było jakieś dalej? Według niej mogło być tylko jedno „dalej”.

O Boże. Drżała, gdy Philippe mówił zniecierpliwiony:

— Hannah, słyszysz mnie? Mam firmę przeprowadzkową na drugiej linii, muszę potwierdzić... — Mówił jeszcze coś, że pojutrze.

Hannah zeszytniała. Telefon wypadł jej z ręki, plastik pękł, uderzając o podłogę. Wróciła do pokoju muzycznego i wreszcie otworzyła otrzymaną paczkę. Wśród pęcherzykowej folii ochronnej było pudełko ze smyczkiem.

Wyjęła smyczek z nowym włosiem. Pokręciła delikatnie śrubą naciągową, napinając włosie. Wzięła kawałek kalafonii leżącej obok i przesunęła przez całą długość smyczka, krótkimi okrężnymi ruchami. Wykonując tę znajomą czynność, poczuła, że znów może oddychać, uspokaja się.

Pojutrze. O, niedoczekanie.

Usiadła na krześle, rozsunęła nogi i ustawiła wiolonczelę między kolanami. Wzięła głęboki wdech i powoli przesunęła smyczkiem po strunach. Pokój wypełnił się głębokim, mocnym dźwiękiem, po jej plecach przebiegł dreszcz. Zamknęła oczy. Muzyka unosiła ją, wyciągała z ciała, Hannah czuła, jakby wysuwała się z niego niczym dym z komina, rozpraszała; jakby była wszędzie i nigdzie.

Nie rozumiała do końca tego uczucia, ale akceptowała je i przyjmowała z wdzięcznością, nawet na nie czekała. Nie musiała prosić, żeby ból odszedł — już go nie było. Liczyła się tylko muzyka, tylko muzyka i nic więcej.

Dwa dni później obudziła się o świcie, rozbita i obolała. Przypomniała sobie, że ludzie od przeprowadzki będą tu o dziesiątej, a to znaczy, że zostało jej tylko kilka godzin.

Harowała, zalewając się potem; ciemne włosy miała odgarnięte z twarzy bandanką. W mózgu czuła pustkę, nie była w stanie myśleć o niczym, na szczęście jej ciało było wytrenowane do pracy bez udziału mózgu.

O dziewiątej czterdzieści pięć Hannah ściągnęła chustkę i odetchnęła głęboko. Złapała torebkę, przewiesiła ją przez plecy i wyszła, zamykając za sobą drzwi. Wyjęła nowy klucz i przekręciła w nowym zamku, który zamontowała wczoraj. A potem delikatnie przeszła przez rzeczy Philippe'a skrupulatnie zapakowane do pudełek i poszła chodnikiem.

Rozdział 4

Madeline Davis nie potrafiła powiedzieć, co właściwie przyciągnęło ją do Avalonu. Po tych wszystkich latach stało się jasne, że Chicago jest zbyt zimne dla jej starych kości, przy czym chodziło nie tyle o temperaturę, ile o ludzi. Nigdy nie czuła się prawdziwą mieszkanką Chicago, a po śmierci Stevena zrobiło się jeszcze bardziej obco.

Nie planowała przenieść się właśnie do Avalonu, ale gdy zobaczyła tablicę witającą ją w miasteczku, baldachim dereni i aleję kasztanowców, pomyślała, że mogłaby tu mieszkać. Chwilę później podpisywała już dokumenty.

Ułożyła kilka cytrynowych bułeczek na porcelanowej paterze i przykryła je szklaną pokrywą. Steven uwielbiał jej bułeczki, szczególnie te z płatkami czekoladowymi. Minęło dwadzieścia lat, a ona wciąż za nim tęskniła.

Wytarła ręce w fartuszek i rozejrzała się po swoim pustym salonie herbacianym. Żałowała, że nie ma więcej klientów, większego ruchu. „Salon herbaciany Madeline” — to było bardzo ambitne. Nie miała biznesplanu, właściwie nie miała nawet konkretnej wizji. Pomysł pojawił się sam z siebie, narodził z tego, co dostała: wiktoriański, żółto—biały dom z sześcioma sypialniami, zbudowany w tysiąc osiemset osiemdziesiątym szóstym roku przez dobrze prosperującego handlarza jaj. Ostatnie wcielenie domu to pensjonat. Teren był świetnie utrzymany przez poprzednich właścicieli, z zamiłowania ogrodników. W ogródku warzywnym rosły na grządkach bazylia, rozmaryn, tymianek i mięta; nie brakowało kolorowych kwiatów, a drzewa dawały wspaniałą cień.

Madeline uwielbiała te przestronne pokoje, każdy z własnym urokliwym imieniem i osobowością, przestronną kuchnię i przeszkloną werandę, piwnicę oraz dużą część salonową i stołową. Było tu również kilka niespodzianek — kredens na porcelanę, piwniczka na zewnątrz — które czyniły dom zbyt eklektycznym dla przeciętnego nabywcy, za to nadawał się idealnie dla kogoś takiego jak Madeline. Pokoi, terenu i całej reszty miała do dyspozycji więcej, niż mogłaby kiedykolwiek potrzebować, jednak dawało to tyle możliwości, że zużyła wszystko, co zostało z jej oszczędności, i kupiła ten dom.

Od tamtej pory minęło sześć miesięcy. Jej salon odwiedzali jedynie turyści przejeżdżający tędy od czasu do czasu. Miejscowi traktowali ją z rezerwą i nieufnością, a kryzys ekonomiczny powodował, że oszczędzali każdy grosz. Mimo wysiłków pozostawała tu obca. Zresztą, kogo chciała oszukać? Z jakiej racji małe miasteczko jak Avalon miałoby potrzebować salonu herbacianego? Pokręciła głową, po raz tysięczny przecierając filizanki. Dlaczego nie potrafiła być jak inni ludzie w jej wieku, którzy grają w brydża albo oglądają telewizję, a co bardziej aktywni udzielają się charytatywnie, chodzą na lunch czy do teatru, rozprawiają

w nieskończoność o wnukach, których notabene Madeline nie miała. Tak właściwie nie miała nikogo. To nie do końca prawda, ale tak się czuła. I to od bardzo, bardzo dawna.

Usiłowała nie robić zdziwionej miny, gdy zadzwonił mały dzwoneczek nad drzwiami i do środka weszła kobieta z kręconymi rudoblond włosami i dużą torbą na ramieniu.

— Czy można kupić też coś do jedzenia? — zapytała.

Madeline skinęła głową, przypomniawszy sobie, że lada moment będzie gotowy kisz ze szpinakiem i pieczarkami. Powinna zaoferować specjalny lunch. Chociaż, przed jedenastą, może bardziej odpowiednia byłaby południowa przekąska? Planowała wywiesić informację o herbacie i placuszkach — doskonała okazja, niecałe sześć dolarów za dzbanek świeżej herbaty, dwa placuszki, rożek, do tego konfitury malinowe domowej roboty i masło lawendowe. Miała niewiarygodnie duży wybór herbat, zielonych, czarnych, zielonych, białych, owocowych...

Po chwili niezręcznej ciszy Madeline zdała sobie sprawę, że kobieta się w nią wpatruje. Znow to zrobiła, znowu odpłynęła. Chciałaby móc zwalić wszystko na podeszły wiek, ale niestety, taka po prostu była. Uśmiechnęła się do przybyłej.

— Przepraszam, zamyśliłam się. Życzy sobie pani stolik?

Kobieta pokręciła głową.

— Raczej wezmę coś na wynos. — Przesunęła głodnym wzrokiem po bufecie z wypiekami. — Może bułeczkę albo muffinka?

— Albo oba — odpowiedziała Madeline. To śmiałe zagranie, ale zadziało. Kobieta zaśmiała się cicho.

— Albo oba.

Dzwoneczek odezwał się znowu. Dwóch klientów jednego dnia? Spojrzała w stronę drzwi i zobaczyła wchodzącą niepewnie szczupłą młodą Azjatkę. Miała na sobie koszulę i ogrodniczki, ale wyczuwało się w niej, w ruchu ręki, gdy dotykała nerwowo szyi, wyrafinowaną elegancję.

— Otwarte? — spytała. Głos brzmiał miękko, dystygowanie.

— Jak najbardziej. Zapraszam. — Madeline patrzyła na młodą kobietę, która wybierała stolik przy oknie.

Kobieta o rudoblond włosach zastanawiała się, czy wziąć bułeczkę z orzechami, czy ciasteczka toffi. Madeline miała wrażenie, że kobieta ma ochotę wyjść, zerkając niespokojnie na drzwi, jakby się bała, że za chwilę ktoś wejdzie.

— Nie wiem, na co się zdecydować...

Madeline delikatnie dotknęła jej ramienia.

— Proszę się nie spieszyć. — Usłyszawszy brzęczyk piekarnika, powiedziała: — To pewnie mój kisz. — Wychodząc do kuchni, dodała: — Z pieczarkami i szpinakiem. Do tego sałatka z warzyw ekologicznych, z plasterkami

truskawek, orzechami laskowymi i parmezanem, z dodatkiem sosu winegret z domowym octem balsamicznym. Osiem dolarów i dziewięćdziesiąt dziewięć centów. Do tego herbata do wyboru. — Wyszła pośpiesznie, mając nadzieję, że nie wystraszyła klientek spontaniczną reklamą.

Gdy wróciła z kiszem, kobieta z torbą na ramieniu stała przy pustym stoliku.

— Może pani usiąść, jeśli chce pani pozwolić odpocząć nogom — zachęciła Madeline.

— Co? Och nie, ja tylko... — Przyglądała się daniu w rękach Madeline, roztaczającemu aromat ziół. Karmelizowane pieczarki, jasnobrązowe, szpinak ciemnozielony i apetyczny. — Wspaniale pachnie. — W głosie kobiety wyczuła wahanie.

— I tak samo smakuje — zapewniła Madeline. To nie przechwałka, wiedziała, że jest świetną kucharką. Zaczęła kroić, sześć grubych kawałków zamiast ośmiu.

Kobieta zamrugnęła, a potem, ku cichej radości Madeline, położyła torbę na krześle i usiadła.

— Dobrze — powiedziała ostrożnie, głos miała miły.

— Spróbuję specjału dnia.

Młoda kobieta patrzyła w okno na przejeżdżającą ulicą ciężarówkę firmy przeprowadzkowej. Odwróciła się do Madeline. — A może ma pani coś czekoladowego na deser?

Zapach kieszki robi swoje. Wprawdzie jest dopiero dziesiąta trzydzieści, ale Julia poczuła się strasznie głodna.

Kobieta za ladą przedstawiła się jako Madeline, czego można się było domyślić, to miejsce nazywało się Salon herbaciany Madeline. Wyglądała na kobietę koło siedemdziesiątki, serdeczną i energiczną, nosiła fartuszek na luźnych spodniach, i, biorąc pod uwagę ogromny wybór wyśmienitych wyrobów, wystawionych w antycznym bufecie, musiała być świetnym cukiernikiem. Bułeczki, herbatniki, ciastka, ciasteczka; półki zastawione imbrykami, ocieplaczami, talerzykami, filiżankami do herbaty i bajeczny wybór samych herbat, sypek i w torebkach, niekończące się rzędy puszek.

— Kiedyś był tu pensjonat — rzuciła Julia cicho, jakby do siebie, ale Madeline usłyszała i uśmiechnęła się.

— Nazywał się „The Bellweather”, należał do Franka i Jana Morganów. I to chyba wszystko, co wiem. Natrafiłam na to miejsce przypadkiem. Wraciałam do Chicago po dwudziestu latach w Kalifornii, w Berkeley...

— Podała kobietom kieszki, a potem usiadła przy pustym stoliku z imbrykiem herbaty. — Zjechałam z drogi, żeby odpocząć i zobaczyłam tabliczkę „Na sprzedaż”. A gdy weszłam do środka, poczułam, że jestem w domu. — Dołała

sobie odrobinę mleka do herbaty.

— Naprawdę? — Dla Julii Avalon zawsze był domem, nawet gdy wyjechała na studia; to miejsce trzymało ją przy życiu, gdy wszystko się rozpadało. Zmiany — nowe mieszkanie, nowa praca, nowe życie — nigdy nie pociągały Julii tak, jak innych, i teraz zaskoczyło ją niespodziewane ukłucie zazdrości, jakie poczuła, słuchając Madeline. Jak to jest, że wpadasz niemal na swoją przyszłość i masz absolutną pewność, że to właśnie ona? Otwierasz drzwi i widzisz ją przed sobą? A co potem?

Azjatka również słuchała uważnie, jej widelec zawisł w powietrzu.

— Ale skąd pani wiedziała — zwróciła się do Madeline.

Julia nie знаła tej dziewczyny; może mieszkała tu od niedawna, a może była tylko przejazdem? Miała mocne ręce, szczupłą, wyprostowaną sylwetkę. Wydawała się wiotka i giętka, ale nie słaba. Gdyby była wyższa, Julia pomyślałaby, że jest baletnicą.

Madeline wzruszyła ramionami, dolewając sobie jeszcze mleka do herbaty.

— Po prostu wiedziałam. Znacie to uczucie, gdy jesteście czegoś absolutnie pewne? Nawet jeśli to nie ma sensu? — Zamachała łyżeczką.

— Nie — odezwały się Julia i młoda kobieta jednocześnie, a potem spojrzały na siebie.

— Raz, dwa, trzy, moje szczęście, twoja złość — wypowiedziała odruchowo Azjatka, a Julia się uśmiechnęła. Dziewczyna mogła być od niej młodsza co najmniej dziesięć lat, może nawet więcej, ale Julia wyczuła cień szansy i skorzystała z tego.

— Jestem Julia — powiedziała.

— Hannah. — Chwilę przyglądały się sobie. — Jesteś z Avalonu?

Julia pokiwała głową, nadziewając truskawkę na widelec. Chwile podobne do tej pamiętała jak przez mgłę. Od dawna nie miała ochoty spotykać nowych ludzi ani mówić o sobie. Znała niemal wszystkich w tym mieście, ale po raz pierwszy zniknęło dręczące ją uczucie klaustrofobii i wrazenie, jakby znajdowała się pod lupą.

— Tak, urodziłam się i wychowałam tutaj. Potem studiowałam na uniwersytecie w Chicago, a potem wróciłam tam na studia magisterskie. — Nie dodała, że nie udało jej się uzyskać tytułu magistra. Jednak nigdy nie stanowiło to dla niej problemu, wtedy w jej życiu wydarzyło się coś znacznie ważniejszego — spodziewała się dziecka. — A ty?

— Przeniosłam się tu z mężem trzy miesiące temu. Z Nowego Jorku przez Chicago.

— Uwielbiam Nowy Jork. — Madeline westchnęła. Julia chciałaby móc powiedzieć to samo o sobie, ale nigdy tam nie była. — Teatry, sklepy... — Chociaż patrząc na mnie, mogłoby się wydawać, że najwięcej czasu spędzam w kuchni.

Co właściwie jest prawdą... — Madeline strzepnęła mękę z ręki.

Hannah nie odpowiedziała, zaintrygowana tym, co dzieje się na ulicy. Na jej twarzy pojawił się niepokój, a potem uczucie, które Julia rozpoznała bez trudu, jak starego znajomego.

Żal.

To był błąd, pomyślała.

Ze stolika przy oknie Hannah miała dobry widok na swój dom, sympatyczny bungalow z białym gankiem od frontu. Kierowca ciężarówki patrzył ze zdumieniem na rzeczy Philippe'a wystawione na zewnątrz. Próbował otworzyć drzwi, ale nie mógł; sprawdził jeszcze raz zlecenie, wrzucił ramionami i kazał swoim ludziom załadować rzeczy na samochód.

Po telefonie Philippe'a i dwóch godzinach grania Prokofjewa Hannah znalazła w sobie potrzebną siłę. Zmieniła zamki i spakowała rzeczy męża — nie miała zamiaru wpuszczać obcych do ich domu, nie chciała, żeby grzebali w ich rzeczach, w czasie gdy ona będzie na kawie. Co Philippe sobie wyobraża, że gdzie ona jest? Starbucks nie znalazł jeszcze Avalonu, a na samą myśl o zatłoczonej jaskółce czy wzięciu czegoś ze spożywczego robiło jej się słabo. A potem przypominała sobie o salonie herbacianym, w którym zazwyczaj było pusto, o starszej pani za ladą, wiecznie się krzątającej.

To go nauczy nie zadzierać ze mną, myślała triumfalnie jeszcze godzinę temu, gdy szła do Madeline. Ale teraz poważnie zastanawiała się, czy nie pobiec do domu powiedzieć pracownikom, że zaraz otworzy i odłoży wszystko na swoje miejsce. I pewnie tak by zrobiła, gdyby Madeline i Julia nie wciągnęły jej w rozmowę. Kiedy znów spojrzała w okno, ciężarówki z rzeczami Philippe'a już nie było.

Nagle poczuła mdłości.

— Hannah? Dobrze się czujesz? — Madeline stała przy jej stoliku, biorąc pusty talerz.

Nie była w stanie odpowiedzieć. Co ona sobie myślała? Madeline i Julia patrzyły na nią z niepokojem, Hannah usiłowała się uśmiechnąć, ale czuła, że zaraz zwymiotuje. Przycisnęła rękę do ust.

— Chyba zwymiotuję.

Madeline odstawiła szybko talerz i zaprowadziła Hannah do łazienki, gdzie ta od razu zwymiotowała do toalety. Ciepła dłoń Madeline spoczywała na jej karku, głos działał kojąco.

Gdy już było po wszystkim, Madeline wyjęła świeży ręcznik do rąk i powiesiła z boku umywalki.

— Nie spiesz się. — Uśmiechnęła się, a potem wyszła z łazienki, zamykając drzwi.

Hannah patrzyła na siebie w lustrze, przerażona zamknęła oczy. Philippe

już nigdy jej nie wybaczy. Nigdy nie wróci do domu. Co ona narobiła?

Gdy wróciła do salonu, Julia i Madeline rozmawiały szeptem. Na widok Hannah wyprostowały się, Madeline zaprowadziła ją do jej stolika, gdzie czekał biały tost bez skórki i filiżanka herbaty.

— Pod warunkiem, że masz ochotę — powiedziała.

— Pomyślałam, że to uspokoi żołądek.

Hannah wytarła oczy. Gdy byli dziećmi, ona i starszy brat dostawali lanie i karę, jeśli pozwolili sobie na płacz, co oczywiście prowadziło do jeszcze większego płaczu, przynajmniej na początku. W rezultacie Albert wyrósł na mężczyznę z kamienną twarzą, takiego jak ojciec, a Hannah płakała z byle powodu, zwłaszcza ostatnio. „Yong zhe wu wei”, warknąłby ojciec, co było chińskim odpowiednikiem „opanuj się”.

— Przepraszam. To nie z powodu jedzenia, było pyszne... — Sięgnęła po tost i oderwała kawałek. Próbowwała się uśmiechnąć, ale nie mogła. Bała się, że znów wybuchnie płaczem i zrobi z siebie idiotkę przed tymi kobietami. — Po prostu mam nie najlepszy dzień.

— Świetnie to rozumiem. — Julia ścisnęła ramię Hannah. — Rozumiem to doskonale. — W jej spojrzeniu był smutek i strach.

Madeline nie miała pojęcia, co się dzieje z tymi kobietami, które tu przyszły. No tak, to herbaciarnia, ale przede wszystkim, jej mieszkanie, Julia i Hannah, obie zapłakane, siedzą w jej salonie. Nie wiadomo, co spotkało te kobiety, w każdym razie na pewno nic dobrego.

Co za życie, pomyślała, spoglądając nad talerz podwójnych ciastek piegusków, zanim wybrała kilka i włożyła do papierowej torby. Wzięła następną torbę i włożyła kilka muffinek, specjalnych, z malinami, jeżynami, agrestem i klonową kruszonką. Już miała zawinąć brzeg torebki, gdy nagle postanowiła włożyć do niej wszystko, co uda jej się zmieścić. Mało prawdopodobne, żeby dziś przyszedł ktoś jeszcze, po co marnować jedzenie.

Podąła torebkę Hannah.

— Masz tu coś czekoladowego na deser, jeśli znów będziesz miała ochotę coś zjeść. — Hannah zaprotestowała, ale Madeline powstrzymała ją gestem ręki. — Na koszt zakładu. Jesteś dziś moim milionowym klientem. — Drugą torebkę podała Julii, też zaskoczonej, która przyjęła ją z wdzięcznością. — Ty również.

— Obie jesteśmy milionową klientką? — Julia uśmiechnęła się, a Madeline jakby dopiero teraz zauważyła, że to piękna kobieta.

— Sama nie mogę w to uwierzyć! — Udała zdumienie.

— Co za dzień! Nie wyobrażam sobie lepszego. — I naprawdę tak myślała. To jeden z najlepszych dni od czasu przeprowadzki do Avalonu, a towarzystwo tych kobiet bardzo podniosło ją na duchu. Może jeśli jeszcze trochę się tu utrzyma, wreszcie nastąpi jakiś przełom?

Hannah pociągała nosem, zdobywając się na nikły uśmiech.

— To na pewno poprawi mi humor. Teraz może być już tylko lepiej.

Julia grzebała w swojej torbie, a Madeline z trudem udało się pohamować ciekawość. Może i jest wścibska, ale zawsze wie, kiedy szykuje się coś interesującego.

— Wiem, że prawie się nie znamy — odezwała się Julia niepewnie — ale może któraś z was byłaby zainteresowana chlebem przyjaźni amiszów?

Julia poczuła się głupio, zadając to pytanie, ale gdy robiła w torbie miejsce na hojny poczęstunek Madeline, znalazła zamykane woreczki foliowe. Wyjęła je, a oczy Hannah rozszerzyły zdumienie. A może wstręt?

— Właściwie to nie jest chleb — tłumaczyła Julia.

— To dopiero zakwas. Jeśli pozwolicie mu fermentować w kuchni przez dziesięć dni, możecie upiec najwspanialszy chleb na świecie. Moja córka i ja dostałyśmy to w zeszłym tygodniu i upiekłyśmy wczoraj. Zatrzymałam sobie jedną torebkę, więc mogę upiec znowu w przyszłym tygodniu, ale nie wiem, co zrobić z pozostałymi. — Wyjęła dwie kserokopie. — Mam przepis i wszelkie instrukcje... Wiem, że to brzmi głupio, ale zabawa jest świetna. A chleb pyszny — przypomniała sobie, że Mark był wniebowzięty, gdy spróbował kawałek i mocno przytulił Gracie po przeczytaniu jej karteczki. Julia stała z boku, przyglądała się tej chwili szczęścia; chciała się przyłączyć, ale nie wiedziała jak.

Madeline pierwsza wyciągnęła rękę.

— Wezmę z przyjemnością. — Ścisnęła torebkę. — Dużo bąbelków... Wygląda na dobry, zdrowy zakwas.

Julia była zaskoczona.

— Robiłaś to już?

Madeline kiwnęła głową i poklepała torebkę.

— Niech pomyślę... Po raz pierwszy chyba w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym szóstym roku. Dostałam zakwas w ślicznym porcelanowym pojemniku, miałam go przez lata. Wypróbowałam wiele wariantów, aż zabrakło mi ludzi, których mogłabym obdarowywać — na mój widok sąsiedzi i przyjaciele uciekali w przeciwną stronę.

— Uśmiechnęła się do swoich wspomnień.

— To chleb amiszów? — Hannah z wahaniem przyjęła torebkę i zerkała ze zdumieniem na przepis. — Budyń w proszku? Amisze jedzą budyń w proszku?

Madeline i Julia wybuchnęły śmiechem.

— Sprawdzalam to — przyznała Julia. — Też byłam zdziwiona. Zdaje się, że zostało to zapoczątkowane w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym przez zastęp skautek w Buffalo, w stanie Nowy Jork. Nie przypuszczam, żeby amisze mieli z tym coś wspólnego, ale kto wie?

— To mi wygląda na łańcuszek — stwierdziła Hannah. Miała minę, jakby

chciała oddać torebkę.

— Też nie chciałam tego robić — odparła Julia. — Nie piekłam od lat i to mi wyglądało na kupę roboty. Ale miałyśmy z córką świetną zabawę, zgniatając torebkę każdego dnia, szóstego dodałyśmy składniki. Gdy nadszedł dzień dziesiąty, cała moja rodzina — Julia przerwała na moment, ale dzielnie brnęła dalej: — To znaczy mój mąż, córka i ja, nie mogliśmy się już doczekać. Upiekliśmy dwa bochenki, i zjedliśmy w ciągu dziesięciu minut. — A może to nawet było pięć minut? Nie mogła powstrzymać się od śmiechu. — Drugi bochenek i jedną torebkę startera Gracie wzięła dzisiaj do przedszkola.

Hannah chyba się przekonała.

Okropnie gotuję, ale potrzebuję czegoś, co pomoże mi oderwać się od myślenia, a to wygląda na miłą odmianę. — Nad drzwiami zadźwięczał dzwoneczek i weszła starsza para. Klócili się, wrywając sobie mapę z rąk. Usiedli, nie zwracając uwagi na kobiety, mężczyzna zamówił dzbanek herbaty earl grey.

No cóż, pora wracać do pracy. — Madeline odeszła od stolika i wsunęła ściereczkę za fartuszek.

Julia sprawdziła godzinę — czas odebrać Gracie ze szkoły. Zapłaciła rachunek, zostawiając hojny napiwek, który i tak nie wynagrodzi szczodrości Madeline.

Trudno się pożegnać po godzinie tej niespodziewanej bliskości. Zwlekała, szukając odpowiednich słów, gdy Madeline pokonała tę niezręczność i niespodziewanie przytuliła Julię. Była silniejsza, niż wskazywałaby na to jej szczupła figura i pięknie pachniała — czystością i świeżością. Julia chciałaby pozostać w jej ramionach na zawsze.

Madeline przytuliła również Hannah, która mrugała, żeby odpędzić łzy i uśmiechała się dzielnie, a potem pomachała kobietom na pożegnanie i wypchnęła je za drzwi.

Rozdział 5

Od bardzo dawna Mark nie widział żony takiej jak dziś. Julia ostatnich pięciu lat była wycofana, obojętna na utrzymywanie kontaktów ze starymi przyjaciółmi i nawiązywanie nowych znajomości. Agresywna albo zamknięta, często odmawiała rozmowy z kimkolwiek poza Gracie. Julia ostatnich pięciu lat uśmiechała się bardzo rzadko; nie uśmiechnęła się nawet wtedy, gdy Gracie nauczyła się raczkować, chodzić czy jeździć na rowerze. O śmiechu w ogóle nie było mowy.

W tych kilku grupach wsparcia, do których chodził, Mark miał okazję zaobserwować, że czasem małżeństwom nie udało się przetrwać po śmierci dziecka. Zupełnie się tego nie obawiał, przed śmiercią Josha on i Julia byli nie tylko mężem i żoną, ale również najlepszymi przyjaciółmi, rozumieli się doskonale we wszystkim. Nikt nie zdawał sobie sprawy, przez co musieli przejść, nawet inni rodzice, którzy stracili dziecko, bo każdy przypadek wyglądał inaczej, żadna rodzina nie straciła dziecka w tych samych okolicznościach, w tej samej sytuacji. I właśnie dlatego Mark i Julia mieli tylko siebie. Byli jedynymi ludźmi, którzy rozumieli, jak to jest.

A potem, z biegiem czasu, coś się zmieniło. Ich wspólna tragedia, wspólna strata, to wszystko stało się wyłącznym doznaniem Julii. Mark potrafił to zrozumieć, przecież Julia i Josh byli ze sobą mocno związani, niemal identyczni. Te same rozwichrzone, kręcone włosy, ten sam figlarny uśmiech. Mark był ojcem. Nie znaczyło to, że cierpiał mniej, ale pewnie inaczej.

To Julia nosiła Josha przez dziewięć miesięcy, a potem rodziła przez niemal trzydzieści sześć godzin; to ona wstawiała w nocy, gdy Josh miał kolkę, karmiła piersią przez ponad rok. Mark rozumiał wyjątkowość tej więzi między matką i dzieckiem, jej złożoność, pierwotność; to oczywiste, że żałoba Julii wyglądała trochę inaczej niż jego, mimo wszystko nie spodziewał się, że Julia się odsunie, że porzuci to koło ratunkowe, które trzymali razem. A ona wycofała się i zostawiła go. Nie kochał jej ani odrobiny mniej, ale nie miał pewności, czy ona to samo czuła do niego. Można kogoś kochać i nie chcieć z nim być? To pytanie, którego nie chciał sobie zadawać, ale ono wisiało w powietrzu. Mark był cierpliwy, lecz teraz nie wiedział już, na co właściwie czeka, nie wiedział, czy Julia nadal chce z nim być. Czuł się tak, jakby jej zawadzał, jakby był niewygodnym przypomnieniem życia, które niegdyś wiedli. Patrzył na swoją żonę ze smutkiem i melancholią, nie mogąc znieść myśli, że Julii z jego wspomnień już nie ma.

A może była? W tym tygodniu dwa razy przyłapał ją na uśmiechu. Uśmiechu! Nie uśmiechała się do niego, co byłoby bardzo miłe, ale to nieważne. A wczoraj, gdy wrócił do domu i zastał Julię i Gracie w zabałaganionej kuchni,

obsypane mąką, usłyszał śmiech Julii! Chciał się przyłączyć, dowiedzieć, co je rozśmieszyło, ale Julia umilkła na jego widok, nagle zaabsorbowana ustawianiem czasu w piekarniku.

Mark włączył większą prędkość biegni i odpowiednio przyspieszył. Nie wiedział, co o tym myśleć, ale poczuł nadzieję. Wreszcie! Najgorsze były pierwsze lata — szok, nieukojony żal, niedowierzenie i ból serca, który nie pozwalał oddychać. Dwukrotnie myślał, że dostał zawału. Za pierwszym razem zupełnie się tym nie przejął, nawet poczuł ulgę. Wydawało mu się to jak najbardziej odpowiednie, chciał umrzeć. Ale nie umarł. Za drugim razem, to było cztery miesiące po śmierci Josha, siedział w biurze, bez powodzenia usiłując pracować. W pewnym momencie przewrócił kubek na ołówki, który Josh zrobił na obozie letnim. Kubek nie potłukł się, ale odpadł z niego kawałek i Mark poczuł ostry ból w piersi, gdy go podnosił. Próbował przymocować odtłuczoną część, zależało mu, żeby kubek znowu był cały. I wtedy poczuł straszliwy ból w piersiach.

Sekretarka wezwała pogotowie. Dała mu aspirynę i usiadła obok na podłodze, gdy próbował odetchnąć, ściskając w ręku odłamany kawałek; czekali na lekarza.

Zabrali go do szpitala we Freeport, gdzie była Julia, do terminu porodu zostało zaledwie kilka dni. Wyglądała strasznie: miała rozszerzone oczy, białe usta. I w tym momencie Mark zrozumiał, że nie może sobie pozwolić na luksus rozpacz po stracie syna. Julia go potrzebowała. Ich nienarodzone dziecko go potrzebowało. Jego firma miała problemy i to on musiał utrzymać ją na powierzchni, ponieważ zapewniała im utrzymanie.

— Wszystko w porządku — powiedział wtedy lekarzowi, który studiował jego EKG. — To nie był zawał — odparł lekarz. — Ale nie wszystko jest w porządku.

Mark zignorował to, przyjął receptę na proszki nasenne i wrócił do normalnego życia.

Udało mu się nie zwariować wyłącznie dzięki pracy i Gracie, którą nazywał swoją iskierką. Była taka pełna życia, potrafiła w jednej chwili zmienić jego nastrój. Gracie, która urodziła się tydzień po wizycie Marka na oddziale ratunkowym, cztery i pół miesiąca po śmierci Josha. Gracie, która przyszła na świat pełna radości, na przekór całemu smutkowi, jaki ją otaczał. Gracie, której nie przeszkadzały zdjęcia Josha na ścianie, choć go nie znała, która nie była zaskoczona, widząc jak jej mama płacze całymi dniami. Rozmawiał z terapeutą i wiedział, że być może pewnego dnia Gracie zacznie zadawać pytania, że może nastąpić nagły wybuch emocji — gniew, uraza, skłonność do rywalizacji, może nawet paść niełatwe pytanie, czy rodzice kochają ją tak mocno jak Josha. Mark nigdy nie mówi ł tego głośno, ale dziękował niebiosom, że gdy Josh umarł, Gracie już była w drodze. Nie chciałby myśleć o niej jak o dziecku zastępczym; tak bardzo

kochał swoją małą iskierkę.

Rozległ się brzęk i prędkość zaczęła się zmniejszać. Zwolnił, uspokajając oddech i zastanowił się, czy nie pójść na kilka minut na ergometr; miał jeszcze chwilę przed spotkaniem o ósmej trzydzieści.

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje! — odezwał się głos z tyłu. Bieźnia zatrzymała się.

Mark odwrócił się i zobaczył Vivian — najmodniejszy strój sportowy, włosy związane w koński ogon, dyskretny makijaż... Malowanie się do siłowni nie miało, według Marka, sensu, ale musiał przyznać, że Vivian wyglądała bardzo ładnie. Julia nie malowała się od lat, ale nie musiała. Zawsze, gdy jej to mówił, nawet teraz, denerwowała się.

— Czyli ja wychodzę na śpiocha — zażartowała Vivian.

— Ale może uda mi się poćwiczyć kilka minut.

Zasapany Mark sięgnął po butelkę z wodą.

— Zawsze coś. — Usiłował utrzymać z Vivian przyjacielskie stosunki, nie chciał żadnych dwuznaczności, chociaż już samo to, że stali tu w dresach, było nieco dwuznaczne. Nie podobała mu się ta niewygodna prawie intymność. Wytarł trenazer ręcznikiem i poszedł w stronę ergometru. — Chciałam z tobą pogadać o tym projekcie Cherry Hill — rzuciła Vivian, idąc za nim. — Chyba udało mi się znaleźć sposób, żeby zachować przestrzenność domu, nadal będzie wspaniały widok z okien. Myślę też, że możemy unowocześnić trochę te antyczne materiały, które zastosowano w kuchni, poprzez dostosowanie palety kolorów zamiast wymiany wszystkich...

— Vivian — przerwał jej, odwracając się. „Bądź stanowczy”. — Brzmi wspaniale i bardzo chciałbym o tym posłuchać, ale nie w tej chwili.

— A kiedy? — Przechyliła głowę na bok. — Mam dziś przez cały dzień spotkania w Rockford, a obiecałam klientowi, że do jutra dam mu kilka zaleceń.

Zirytowany Mark rzucił swoje rzeczy na ławkę. Musiała czekać do ostatniej chwili, żeby mu o tym powiedzieć?

— Nie czekałam do ostatniej chwili. — Vivian jakby czytała w jego myślach i wyprostowała się, też była poirytowana. — Wysłałam ci trzy e— maile i zostawiłam kilka wiadomości.

Teraz przypomniał sobie o tym, ale nie wiedział, że potrzebowała odpowiedzi już dziś.

— Muszę iść. — Zerknął na zegarek. Jego wolne piętnaście minut właśnie minęło, jeśli chciał zdążyć na spotkanie, musiał już iść pod prysznic. — Porozmawiamy o tym później.

— Już mam zapchany dzień, ty pewnie też. Co ty na to, żeby przedyskutować sprawę na wczesnej kolacji? Chciałam wypróbować tę nową restaurację, Roux.

Mark znał Roux, była to jedna z najmodniejszych nowych restauracji serwujących kuchnię francuską i fusion. Planował wybrać się tam, żeby obejrzeć wystrój

i architekturę, ale Julia nie lubiła wychodzić z domu. No i do Roux było czterdzieści minut jazdy stąd.

— To w połowie drogi między Rockford i Avalonem

— mówiła Vivian. — Dzięki temu będziesz miał wieczór dla Julii i Gracie.

— Uśmiech nie znikł jej z twarzy.

— Spotkamy się o piątej i o siódmej możesz być w domu.

Jeśli postoi tu jeszcze chwilę, spóźni się.

— Dobrze — odparł. — W Roux, o piątej.

Gdy Mark wchodził do Roux, Vivian już czekała przy barze z drinkiem w ręku.

— Tak to jest, kiedy się mieszka w małym miasteczku

— powiedziała. Wyglądała oszałamiająco w obcisłej kopertowej sukience i butach na obcasach. Profesjonalnie, ale elegancko i kobieco. — Zapomniałam, że większość restauracji nie serwuje posiłków przed piątą trzydzieści. Posadzili nas przy barze, dopóki stolik nie będzie gotowy.

Mark już miał zaproponować, żeby wobec tego po prostu porozmawiali przy barze, ale w tym momencie podszedł do nich młody mężczyzna w czarnym ubraniu. Mark poznał Brunona Lemelina, właściciela Roux i dwóch innych nagrodzonych restauracji w stanie Illinois.

— Mark Evarts! — Lemelin uściskał mu dłoń. Widzieli się po raz pierwszy, ale Lemelin zachowywał się tak, jakby byli starymi przyjaciółmi. — To przyjemność móc pana spotkać. Gdy Vivian zadzwoniła i usłyszałem, że macie przyjść, nie wierzyłem we własne szczęście. Widziałem, co zrobiłeś z Bacchanali w Chicago. Piękna robota.

— Dziękuję.

— Chciałbym porozmawiać o kilku projektach, które planuję, może zobaczyć, czy są w porządku. — Lemelin klepnął go po ramieniu i uśmiechnął się do Vivian, przesuając spojrzeniem po jej figurze. — Hostessa zaprowadzi was do stolika już za chwilę, zaraz przyniosą wam przystawkę. Powiem naszemu szefowi kuchni, żeby na kolację przygotował wam kilka swoich ulubionych dań.

Mark nie wiedział, co odpowiedzieć. Słyszał, że Lemelin chce otworzyć nową restaurację, i miałyby to być oszałamiające wnętrza, zharmonizowane z firmowymi daniami. Podobno Lemelin zmieniał architektów jak rękawiczki, a teraz jak widać szukał kolejnego.

Mrugnął do Marka.

— Barman przygotował wam nasze firmowe martini; zostało zaprezentowane w czasopiśmie „Food & Wine” w zeszłym roku. Pokochacie je.

— Odwrócił się i skierował do kuchni, machając im ręką.

Markowi schlebiło królewskie traktowanie. Zdążył już zapomnieć, jak to jest, gdy ciebie rozpoznają, honorują. Po śmierci Josha zarzucił wyjazdy i wieczorne spotkania, i wiedział, że jego biznes na tym ucierpiał. Tę działkę przejął jego wspólnik, Victor Gunther, ale brylowanie nie zaliczało się do jego mocnych stron, to Mark był w tym dobry. Zapomniał już, jakie to przyjemne i jak za tym tęsknił.

Przeprosił Vivian i wyszedł na zewnątrz, żeby zadzwonić do Julii. Robił to tylko pro forma, wiedział, że i tak nie odbierze telefonu. Tak, włączyła się automatyczna sekretarka i jego własny głos poprosił, żeby zostawić wiadomość. Niespodziewanie poczuł się zmęczony mówieniem do samego siebie, rozłączył się przed usłyszeniem sygnału i wsunął telefon do kieszeni.

Gdy wrócił do stolika, Vivian uniosła kieliszek z martini i uśmiechnęła się konspiracyjnie.

— Zdrowie.

Mark sięgnął po drinka.

— Zdrowie.

Stuknęli się i upili po łyku. To było cholernie dobre martini i Mark poprosiłby o następne, gdyby nie przyjechał tu w interesach.

— Powiedz, jak udało ci się to załatwić? Skąd znasz Brunona Lemelina?

Vivian pokręciła głową.

— Nie znam go. To przypadek. Zadzwoniłam, żeby zarezerwować stolik, a on podniósł słuchawkę. Powiedział, że czekał na telefon, a hostessa miała właśnie przerwę. Oczywiście, kiedy zorientowałam się, że to on, nawiązałam rozmowę.

— Sprytnie. — Mark uśmiechnął się. Vivian wzruszyła ramionami; umiała wykorzystać szansę, nie pozwoliłaby, żeby taka okazja przeszła jej koło nosa.

Kelner przyniósł tacę pełną przystawek: suflet z foie gras z cebulką ze śliwkami nasączonymi armagnakiem, ravioli z duszonym selerem i kozim serem, i wspaniała tempura z chrupiącymi skorupkami krabów. Mark zamówił butelkę chardonnay; Vivian zaczęła mówić o swoich sugestiach co do Cherry Hill i Mark był zauroczony jej pomysłami, umiejętnością łączenia prostych rozwiązań i nowych materiałów, całą głębią jej wiedzy. Przyznała, że szukała pracy w Chicago czy Nowym Jorku, gdy natknęła się na ich stronę, zobaczyła Marka i Victora szczerzących się do niej z cyberprzestrzeni i pomyślała: dlaczego nie?

— Dlaczego nie? — powtórzył Mark, patrząc, jak Vivian kroi kawałek pierożka i wkłada do ust. Przyłapał się na tym, że patrzy na jej usta, wciąż lśniące kolorem; zmusił się do myślenia o czymś innym. Bruno. Gracie. Architektura. Łysiejący facet w rogu, który chyba przyszedł tu na randkę w ciemno. — Aż tak dobrze nie płacimy. No i brak nam blichtru, prestiżu.

Pokręciła głową.

— Wierz mi, to mam już za sobą. Nie tego szukam.

Chciałby dowiedzieć się czegoś więcej, zapytać, co takiego ma za sobą i czego konkretnie szukała. Chciał się dowiedzieć, nawet jeśli potem miałyby tego żałować. Ale nim zdążył się odezwać, Vivian zmieniła temat i zorientował się, że słucha jej opowieści o podróżach i nieszczęściach; podziwiał tę twardą i inteligentną kobietę.

Po przystawkach podano pieczoną pierś kaczki z foie gras, risotto z orzechami laskowymi i potrawką z trzustki jagnięcej, przepiórkę z zabajone z żółtymi roźdzynkami i gnocchi z kaszy manny. Pizza na wynos czy jedzenie z puszek nie mogło się z tym równać.

Po kolacji Mark poczuł, że odżył. Właśnie zjadł jeden z najlepszych posiłków w całym swoim życiu, do tego Lemelin siedział przy ich stoliku i rozważali termin spotkania — może przyszły czwartek? Mogliby spotkać się tutaj, w restauracji. Mark nie mógł się doczekać, kiedy znowu tu przyjdzie.

— To się nazywa produktywny wieczór. Spotkanie biznesowe, wyśmienite jedzenie, nowy klient — powiedziała Vivian, gdy szli na parking.

— Jeszcze nie jest klientem. — Mark uśmiechnął się. Jedzenie i alkohol przyprawiły go o zawrót głowy, czuł się po prostu szczęśliwy.

— Będzie — szepnęła Vivian poufnie. Sięgnęła do torebki i wyjęła mały breloczek z charakterystycznym znaczkiem porsche.

— Jeździsz porsche? — Mark zagapił się na stojące przed nim 911 coupe. Wiśniowy lakier, lśniące czarne wykończenia, alufelgi. Ile oni jej płacą? — Wzięłam w leasing. — Otworzyła drzwi pilotem. Mark nie był pewien, czy to, co czuje, to zachwyty, czy zawieść.

— Zmieniam co pięć lat. Mam wrażenie, że w chwili, gdy kończy się gwarancja, wszystko zaczyna się sypać, a nie chcę ryzykować. — Uniosła kluczyki. — Chcesz się przejechać?

Jedna część jego mózgu kazała mu wracać do domu, a druga zastanawiała się, ile zajęłaby przejażdżka. Jedno kółko. Tylko raz. Albo dwa. Przecież to porsche, na litość boską!

Przytrzymał drzwi, czekając, aż Vivian wsiądzie, i zmienił temat.

— Czemu myślisz, że Lemelin będzie naszym nowym klientem?

Gdy siadała za kierownicą, nie omieszkał zwrócić uwagi na jej piękne, długie nogi.

— Ponieważ — odparła, patrząc mu prosto w oczy

— pewne rzeczy po prostu muszą się wydarzyć.

Wyjechała z parkingu — perfekcyjne wyjście w pięknym przykładzie niemieckiej myśli automobilowej. Jarzące się czerwienią tylne światła przyciągały go, wabiły, prowokowały.

W sypialni na górze paliło się światło, drzwi były lekko uchylone. Mark

stojąc z teczką w ręku, w smudze światła zobaczył Julię — siedziała na swoim łóżku ze skrzyżowanymi nogami, już w piżamie; przeglądała czasopismo. Mark otworzył drzwi odrobinę szerzej i chrząknął. Nie chciał jej przeszkadzać, ale chciał też, by Julia wiedziała, że jest już w domu.

— Hej.

Uniosła głowę. Włosy miała związane w prosty węzeł, kilka luźnych kosmyków spadało na twarz, świeża i czysta, jakby przed chwilą umyta.

— Cześć.

— Przepraszam, że jestem tak późno, ale miałem niespodziewane spotkanie, kolacja przeciągnęła się...

— W porządku. — Wróciła do czasopisma; sięgnęła po długopis, pstryknęła nim kilka razy, coś zaznaczyła.

Mark rozluźnił krawat, ale nie wszedł do pokoju. Jego sypialnia była na dole, w pokoju, który kiedyś pełnił funkcję pokoju gościnnego. Dawniej nie mieli oddzielnych sypialni, jakoś tak samo wyszło, gdy Julia miała problemy ze snem po śmierci Josha i urodzeniu Gracie. Zapadała w płytki sen i gdy Mark się kręcił, budziła się. No i to jego chrapanie. Próbował wszystkiego: paska pod brodę, paska na nos, sprayów, nawet hipnozy — nic nie pomogło. Zwykle rano znajdował Julię śpiącą na podłodze w pokoju Gracie albo na kanapie na dole.

Postawił teczkę. Nie chciał wychodzić, ale nie wiedział, co powiedzieć. Zdecydował się zapytać o coś banalnego.

— Jadłyście kolację?

Skinęła głową.

— Resztę klopsików. A ty?

Pytanie zaskoczyło go. Od bardzo dawna Julia nie pytała go ani o to, jak mu minął dzień, ani o interesy, ani w ogóle o nic, z wyjątkiem Gracie.

— Jadłem, byłem w Roux, tej nowej restauracji, z kimś z pracy. Właściciel chce się umówić w przyszłym tygodniu, może zaangażuje nas do swojego nowego projektu.

— To wspaniale. — Julia kiwnęła głową, nie podnosząc wzroku.

— Jedzenie było rewelacyjne — mówił dalej, ośmielony.

— Moglibyśmy się kiedyś wybrać.

Nie odpowiedziała, wzruszyła ramionami.

Mark żałował, że nie pomyślał o tym, by przynieść jej deser. Przecież zawsze to robił, przeglądał kartę deserów i brał coś na wynos. Klienci byli oczarowani tym gestem, koledzy drwili bezlitośnie, ale on się nie przejmował — nie robił tego dla nich, tylko dla Julii. A teraz nie pomyślał. Jak mógł zapomnieć?

— Ten chleb przyjaźni był znakomity. — Rozpaczliwie pragnął podtrzymać rozmowę. Gracie i Julia upiekły go wczoraj, jedli go na podwieczorek

i dziś na śniadanie.

— Dzięki. — Uśmiechnęła się.

To najpiękniejszy widok, jaki zdarzyło mu się oglądać. Już miał wejść do pokoju, gdy Julia powiedziała:

— Zrobiło się późno, idę spać.

— Ach, no tak, słusznie.

Odłożyła czasopismo oraz długopis na szafkę nocną i zagrzebała się w pościeli. Naciągnęła kołdrę na ramiona i przekręciła się na bok, wyciągając rękę, żeby zgaścić światło. — Dobranoc.

— Dobranoc. — Pokój zatonął w ciemności; Mark wyszedł na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

Clinton Becker, lat 36 serwis Kopiarek

— Co to jest? — Spytał Clinton Becker; patrzył na torebkę, marszcząc brwi. Był pewien, że to jakiś kolejny projekt naukowy albo praca z plastyki, ale jego córka Juniper twierdziła, że to chleb.

— Możemy zrobić go w domu, a potem się podzielić — mówiła ze swojego siedzenia z tyłu. — Dostałam w szkole, od Gracie Evarts, mam jeszcze przepis.

Trzymając kierownicę jedną ręką, uniósł torebkę, żeby się lepiej przyjrzeć. Zapaliło się czerwone światło, zwolnił i zatrzymał się. Zawartość torebki wyglądała jak mokry hummus. Próbował kiedyś hummusu, był całkiem niezły. Otworzył torebkę, powąchał i skrzywił się. To z całą pewnością nie hummus.

Z tyłu rozległ się klakson i Clinton spostrzegł, że już jest zielone. Próbował zamknąć brzegi torebki, ale nie udało mu się, delikatnie odłożył ją na miejsce pasażera.

Nie był entuzjastą tych wydumanych szkolnych projektów; Juniper mogłaby zrobić to z matką. Zresztą, Angie pewnie nie będzie miała do tego głowy, zbyt pochłonięta swoim nowym chłopakiem, jakimś idiotą księgowym.

— Co na obiad? — zagadnęła Juniper.

— McDonald. — Uśmiechnął się, słysząc z tyłu okrzyk radości. Zerknął w lusterko wsteczne — córka zadowolona machała nogami i nuciła jakąś nieznaną mu piosenkę. Dzięki ci, Boże, że wywalczył wspólną opiekę nad dzieckiem.

W tamtym okresie popełnił wiele głupich błędów, ale Juniper nie była jednym z nich.

W okienku McDrive'a Clinton zamówił Happy Meala z hamburgerem, jabłkiem i mlekiem czekoladowym dla Juniper oraz zestaw BigMac dla siebie. Gdy podjeżdżał do okienka, zobaczył znajomą twarz.

— Cześć, Clinton. — Debbie Reynolds uśmiechała się do niego nieśmiało. Debbie była klasę niżej w avalońskiej szkole średniej, ale ponieważ przeskoczyła kilka klas, właściwie była parę lat młodsza. Potem wyjechała na jakieś wypasione studia, chodziła do wypasionej szkoły biznesu, a potem wróciła do Avalonu, żeby zająć się mamą. Zawsze myślał, że szkoda, iż taka inteligentna dziewczyna kończy, sprzedając hamburgery w fast foodzie, ale potem przeczytał artykuł w „Avalon Gazette”, że razem z dwoma partnerami biznesowymi jest właścicielką franczyzy McDonalda w Avalonie i kilku sąsiednich miasteczkach, w sumie prowadząc pięć lub sześć restauracji. Nie ma co, takie dziewczyny jak Debbie Reynolds to rzadkość.

— Cześć, Debbie. Jak leci?

Odpowiedziała uśmiechem.

— To będzie dziewięć dolarów i jednaście centów.

Podał jej banknot dziesięciodolarowy i czekał na resztę.

— Czemu właściwie pracujesz, skoro jesteś właścicielką restauracji? — To raczej nietaktowne pytanie, ale wydawało mu się, że Debbie nie będzie mieć nic przeciwko. No i naprawdę go to interesowało.

Podawała mu paragon i garść monet.

— Och, nie wiem. Pracuję po trochu we wszystkich restauracjach, lubię wiedzieć, co się dzieje. Poza tym, nie mam zbyt wiele do roboty.

— Naprawdę? — Zaskoczyła go. Nie dość, że Debbie była mądrzejsza od większości znanych mu kobiet, to jeszcze promieniała, cichą, dyskretną urodą. — Nie wierzę! — Nie podrywał jej, po prostu szczerze mówił to, co myśli.

Debbie zaczerwieniła się i uśmiechnęła nieśmiało. A potem jej wyraz twarzy się zmienił. — Chyba coś ci się wylało na siedzenie... Chcesz więcej serwetek?

Odwrócił się i zobaczył, że torebka przewróciła się i zawartość wycieka.

— Cholera! — Złapał torebkę, zbierając to paskudztwo.

Debbie szybko podawała mu serwetki, usiłował posprzątać, jednocześnie trzymając torebkę, która nie chciała się zamknąć.

— Co to? — Debbie ledwie powstrzymywała śmiech.

— Juniper przyniosła ze szkoły — powiedział z odrazą. Teraz będzie musiał zapłacić za czyszczenie tapicerki parą. Super.

— To chleb przyjaźni amiszów! — rozległ się okrzyk z tylnego siedzenia; Juniper wymachiwała kartką papieru. — Będziemy zgniatać torebkę każdego dnia,

a w przyszłym tygodniu upieczemy ciasto!

— Brzmi ciekawie — odparła poważnie Debbie.

Clinton już miał prosić, żeby wyrzuciła tę przeklętą torebkę, gdy do głowy wpadła mu pewna myśl. Wziął kartkę od Juniper i przebiegł wzrokiem przepis, a potem spojrział na Debbie, która trzymała w ręku ich torby z jedzeniem.

— Gdybyś miała czas w przyszłym tygodniu, mogłabyś przyjść i nam pomóc?

— Ja?

— No pewnie, czemu nie? — Uśmiechnął się, wziął od niej torby i postawił na podłodze przed siedzeniem pasażera; mokre serwetki wrzucił do torby.

— Ten chleb jest pyszny! — zawołała Juniper.

Clinton szybko obliczył, kiedy wypada dziesiąty dzień i z zadowoleniem stwierdził, że tego dnia Juniper będzie z nim. — Masz czas w przyszłą sobotę? Koło dziesiątej? Potem możemy zrobić lunch. — Samochód z tyłu zatrąbił kilka razy. Clinton wychylił głowę przez okno: — Chwila! — No co za kretyn. Co się dzieje z tymi ludźmi?

— Dobrze. — Debbie zerknęła na samochód z tyłu:

— Przepraszam, ale muszę wracać do pracy. Tu jest mój numer. — Rozejrzała się, szukając czegoś, na czym mogłaby go zapisać i chwyciła z rusztu ciastko jabłkowe; zapisawszy numer mazakiem na brzegu opakowania, podała je Clintonowi.

Nie chcąc wykorzystywać sytuacji, zaczął szukać portfela.

— Zapłacę...

— Nie, nie. Na koszt firmy.

Uśmiechnął się.

— Super, dzięki. W takim razie do przyszłej soboty.

— Do soboty. — Pomachała na pożegnanie i Clinton po raz pierwszy zobaczył, że jej oczy mają piękny kolor czystego błękitu. Ruszył powoli, znowu próbując zamknąć torebkę z zakwasem.

Tym razem mu się udało.

Rozdział 6

—A niech to. — Edie westchnęła.

Richard podniósł wzrok znad czasopisma medycznego.

— Co się dzieje? — Uśmiech błędził na jego ustach, gdy przyglądał się Edie, jak ta składa kawałek papieru.

Kochanie, jesteś taka mądra. Jestem z ciebie dumny.

Edie miała literki przyklejone do palców, wokół niej leżały kawałki kolorowego papieru i różne ozdóbki. Zdążyła już wylać klej z brokatem na podłogę (została nawet smuga na policzku) i dwa razy sparzyć się pistoletem do klejenia na gorąco. Edie, zawsze uważająca się za osobę kompetentną, w tej chwili czuła się kompletnie bezradna.

— To dlatego ludzie spędzają tyle czasu nad scrapbookingiem. — Usiłowała przytrzymać stronę albumu i jednocześnie odkleić literki od palców. Część E oderwała się, A się skleilo. — W życiu tego nie skończę! Gdy wreszcie udało jej się nakleić swoje imię, odsunęła się, żeby ocenić dzieło.

Po całych trzydziestu minutach pracy nie było właściwie na co patrzeć, a teraz jeszcze musiała przykleić imię Richarda.

Jak to się stało, że zgodziła się to robić? Bettie Shel— ton, kobieta, z którą ostatnio przeprowadzała wywiad, zapalona miłośniczką scrapbookingu z domowym biznesem jako pracą dodatkową, wręczyła Edie mały pakiet początkowy w ramach podziękowania za napisanie o ubiegłorocznych włamaniach. Do niej również się włamano — zniknęły krasnoludki ogrodowe, zardzewiałe grabie (co jej akurat nie zmartwiło) i begonia w doniczce. Edie nie cierpiała scrapbookingu i próbowała protestować, ale Bettie nalegała, wciskając jej zamknięty pakiet. Co gorsza, zaprosiła ją na spotkanie miłośników scrapbookingu — Edie mogłaby dowiedzieć się dużo więcej o włamaniach od innych zainteresowanych obywateli.

— Czego się nie robi dla dobra artykułu. — Znów westchnęła. Mogła kopać rowy, zbudować szkołę, uczyć podstaw angielskiego kogoś, kto nigdy nie zetknął się z tym językiem, ale nie potrafiła rozwinąć w sobie zamiłowania do wzoru pa-isley ani zrozumieć, jak zrobić wytłaczane wzory na pergaminie za pomocą specjalnego atramentu i pieczęci.

—Zaraz, to moje imię? — Richard odłożył czasopismo i podszedł do niej, kiedy właśnie postanowiła pójść na łatwiznę i nakleić „Dr. Richard” zamiast „Richard Johnson”, oszczędzając dzięki temu kilka liter.

— Kobiety z avalońskiego stowarzyszenia scrapbo— kingu mają spotkanie w przyszłym tygodniu, tematem jest romans.

— Ach, to dlatego.

— Właśnie. — Przykleiła zdjęcie pod kątem. Może będzie wyglądać bardziej artystycznie? Albo amatorsko.

Richard wskazał ich zdjęcie zrobione w Beninie, w zachodniej Afryce.

— Skończył ci się gaz do gotowania w dniu, w którym się poznaliśmy — przypomniał z czułością.

— Owszem. — Klepnęła go w ramię. — A ty byłeś zbyt zajęty meczem koszykówki, żeby mi pomóc.

— Było przecięcie wstęgi! Dwa lata zbieraliśmy fundusze na zbudowanie boiska koszykówki. To miało ogromne znaczenie dla społeczności, musiałem tam być!

Przewróciła oczami. — To był mój pierwszy dzień, a ty mnie zostawiłeś, żebym radziła sobie sama.

— Hej, to przecież najtrudniejsza praca, jaką kiedykolwiek pokochasz — przytoczył motto Korpusu Pokoju.

Edie przekopała się przez ścinki, znalazła kawałek brązowego karbowanego papieru i wycięła kontur Beninu, który zawsze przypominał jej latarkę.

— To dobrze, że stajesz się częścią tutejszej społeczności. — Richard wziął wycięty wzorek w kształcie serca i przykleił do kartki.

— Nie jestem pewna, czy udział w kilku spotkaniach scrapbookingu można tak nazwać, ale niech ci będzie. O, i byłam na lunchu z dziewczyną z pracy.

To zrobiło na Richardzie wrażenie.

— Liwy Scott. Blondynka, szczupła, energiczna. — Edie wolałaby, żeby Liwy nie wyglądała tak ładnie. Widziała zdjęcia byłych dziewczyn Richarda, bardziej atrakcyjnych niż ona sama, dziewczyn, które wiedziały, jak ułożyć włosy czy zrobić makijaż, jak wyeksponować swoje atuty. Edie nazywano „ładną”, ale raczej w kontekście inteligencji, nie urody zwalającej z nóg. Nie wyczuwała różnicy aż do siódmej klasy, kiedy Missy Davidson wyśmiała jej taniec w czasie Fall Fling.

— Jak ty to robisz? — zapytała niewinnie, naśladując ruchy Edie podpatrzone w MTV. Rozległa się salwa śmiechu. Edie potrzebowała minuty, by zorientować się, że Missy z niej kpi. Nagle zauważyła, że ta sama turkusowa bluzka, która na niej wisi jak na wieszaku, piersi Missy opina niczym druga skóra; poczuła się zakłopotana i nieporadna. Patrzyła, jak Missy śmieje się, podając swoją błyszczącą pomadkę przyjaciółkom i ścisnęła w kieszeni twarde okrągłe pudełeczko kremu do ust. Zmusiła się do śmiechu, udając, że to nie ona jest obiektem żartu, ale ta chwila utkwiła jej w pamięci na zawsze. Właśnie wtedy przeszła do kategorii dziewczyn mądrych i zajętych, które nie mają czasu na takie błahostki jak makijaż czy pogaduszki z chłopcami. Zbojkotowała nawet bal seniorów: przerażała ją sama myśl o znalezieniu odpowiedniej sukienki, nie mówiąc już o chłopcu.

— Jest absolutnie w twoim typie — dorzuciła. — Może powinnam was poznać?

Nie dał się na to złapać.

— Niezły ruch, kochanie, ale nie pozbędziesz się mnie tak łatwo. — Uniósł brwi, zbierając na kupkę rozrzucone cekiny. — Liwy Scott... Skąd ja znam to nazwisko? Co ona robi?

— Zajmuje się reklamą wielkoformatową i ogłoszeniami drobnymi. Czasem zachowuje się jak gąska, nie wiem czemu, może myśli, że powinna dopasować się do stereotypu? — Edie przykleiła kontur Beninu. A jednak udało jej się skończyć! Teraz, gdy już wszystko znalazło się na stronie, wyglądało całkiem nieźle. Żałowała, że nie ma więcej pamiątek z Beninu, ale nauczyła się ograniczać do minimum, żadnego niepotrzebnego bagażu, żadnych niepotrzebnych rzeczy. — Może była kiedyś w klinice? — podsunęła, zabierając się do sprzątanania.

Pokręcił głową.

— Dobrze ją znasz?

— Nie bardzo. Wiem, że jej mąż jest przedstawicielem farmaceutycznym.

— Opowiadała o swojej rodzinie?

— Jeszcze do tego nie doszliśmy, a co? — Wydaje mi się, że jest coś, co powinnaś wiedzieć o swojej przyjaciółce.

Liwy balansuje na stołku, wpatrując się w pudła na górze szafy. Znow nadeszła ta pora roku, gdy zaczynają napływać zaproszenia na baby shower. To musi mieć jakiś związek z ciężkimi zimami w Illinois... Carol Doyle i Jo Kay Buckley będą rodzić w sierpniu i obie mają już po troje dzieci. Irytujące, że niektóre, zwłaszcza Carol i Jo Kay, tak łatwo zachodzą w ciążę. „Nawet się nie staraliśmy!” — zapewniała Jo Kay przez telefon, w co Liwy akurat trudno uwierzyć. Odkąd pamięta, Jo Kay zawsze się o coś starała.

Tak czy inaczej, to niesprawiedliwe. Liwy przywołała w pamięci narzekania Carol i Jo Kay: są zmęczone, mężowie prawie im nie pomagają, one nie mają czasu na swoje przyjemności. Czemu w takim razie chcą mieć więcej dzieci? Chciałabym mieć jedno, miała ochotę powiedzieć. I na pewno bym nie narzekała.

Wybrała pudło na chybił trafił i zgasiła światło w szafie. Chyba po prostu jest zazdrosna. Ona i Tom próbują od niedawna i raczej nie pomagają im, że Liwy jest zestresowana całą sytuacją, zastanawianiem się, czy będą jakieś problemy, co pewnie powoduje, że je mają. Po prostu nie spodziewała się, że nie uda jej się zajść w ciążę od razu, gdy tylko tego zapragnie. Może to jakaś kara za to, co się stało... Miała nadzieję, że jednak nie.

Usiadła na łóżku i otworzyła pudełko. W środku było pełno zdjęć i różnych pamiątek z dzieciństwa — własnoręcznie zrobiona łąпка do garnków, mnóstwo „oczu boga” z włóczki i patyczków do lodów. Carol prosiła Liwy, żeby przejrzała

stare zdjęcia — może ma jakieś wspólne z Carol czy Jo Kay? Zdecydowały, że jako prezent na baby shower chcą dostać wyłącznie kołdrę ze zdjęciami swoimi i swoich mężów, od narodzin aż po dziś, by wręczyć je potem swojemu dziecku.

— To takie ważne, żeby dać dziecku poczucie ciągłości historii — mówiła Carol. — Żeby mu pokazać, skąd pochodzi. Po co komu krem na odparzenia czy kolejna maskotka?

Liwy zakłęła w duchu — zawsze kupowała maskotki na baby shower i teraz miała zamiar zrobić to samo.

— Niektóre pluszaki są takie słodkie — próbowała zaprotestować.

Carol prychnęła.

— Większość to jedynie siedlisko kurzu. Spróbuj je potem uprać! Nic dziwnego, że Ruben ma astmę. — Ruben był najmłodszym dzieckiem Carol, sześciolatkiem, którego zawsze widziało się z beztłuszczowymi cukierkami z lukrecji w ręku. — Możesz sprawdzić, czy masz jakieś zdjęcia z obozu cheerleaderek po drugim roku? Pamiętam, że robiłaś naprawdę ładne zdjęcia!

— Czytaj: Carol ładnie na nich wyglądała.

Liwy ciągle nie mogła się do tego zabrać, ale Carol i Jo Kay zaczęły naciskać, zasypywały ją e— mailami i zostawiały wiadomości na sekretarce. Graniczyło to z molestowaniem i Liwy przypomniała sobie, że obie są pod wpływem hormonów, a Julia ostrzegała ją kiedyś, że z kobietami w ciąży trzeba uważać. Była wtedy w ciąży z Joshem, po pierwszym trymestrze. Robiły sobie pedikur, prezent urodzinowy dla Liwy na dwudzieste pierwsze urodziny. Julia była nieoceniona w takich sprawach, jedna z rzeczy, za którymi Liwy tęskniła.

Teraz jej urodziny wyglądały inaczej, nieobecność Julii odczuwała tak dotkliwie, że wołała ich nie obchodzić. Tom nie był zbyt sentymentalny — ledwie pamiętał o takich sprawach jak urodziny czy ich rocznica. Nie miała o to pretensji. Należał do facetów, którzy kupują kartkę w drodze do domu albo pytają sprzedawczynię, co mają kupić żonie.

Jednak Liwy brakowało najbardziej nie tyle specjalnych okazji, ile normalności codziennego dnia. Każdy jej dzień był pełen Julii: odwiedziny, wspólne załatwianie spraw, prośenie o opiekę nad dzieckiem. Dzwoniły do siebie dwa, trzy, nawet cztery razy w ciągu jednego popołudnia. To Julia pamiętała, żeby kupić kwiaty na dzień matki i dopisać imię Liwy na kartce z życzeniami, to Julia gotowała większe porcje, żeby Liwy nie musiała kombinować, co zrobić na obiad. Teraz Liwy bardzo za tym tęskniła.

Grzebała w pudełku, przekopując się przez breloczki, samochodziki, pamiątkowe monety, stare świadectwa szkolne i żadnych negatywów. W szafie było jeszcze kilka pudeł, w innych pokojach i na strychu jeszcze więcej. To zajmie całe wieki! Ze złością uderzyła w bok pudełka.

I wtedy pod czerwoną chusteczką dostrzegła coś znajomego. Wyjęła zdjęcie w ramce, odwróciła i wytarła szkło rękawem koszuli.

Na wyblakłej fotografii ośmioletnia Liwy i trzynastoletnia Julia siedziały w samochodziku w wesołym miasteczku i uśmiechały się szeroko, ściskając kierownicę. To był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty dziewiąty, rok, w którym Julia zdecydowała, gdzie spędzą rodzinne wakacje. Decydowała, ponieważ nie tylko oficjalnie została nastolatką, ale na świadectwie miała same szóstki.

Liwy była przyzwyczajona, że o Julii rodzice mówili z dumą, zaś o niej, wznosząc oczy do nieba. Julia była ich dumą i radością, Liwy urwipołciem. Pamięta, jak Julia ogłaszała swoją decyzję w kuchni, pamięta tę nagłą świadomość, że jej kolej może nigdy nie nadejść, że nigdy nie spędzą wakacji tak, jak chciałyby Liwy, że ona nigdy nie będzie taka mądra jak Julia.

Julia wybrała Hershey Park w Pensylwanii. Ojciec narzekał, że to daleko, ale zgodził się, a Liwy ogarnęła panika, gdy uświadomiła sobie, że jej marzenie, Dutch Wonderland, znajdowało się niecałą godzinę drogi od Hershey Park, a koleżanki z klasy mówiły, że jest milion razy fajniejszy. Jakie były szanse, że jeszcze kiedyś rodzice zabiorą je do Pensylwanii? No właśnie — żadne.

Długa jazda samochodem była okropna, Liwy zwymiotowała dwa razy. Gdy przejechali granicę stanu Pensylwania, zobaczyła drogowskaz do Dutch Wonderland i poczuła łzy w oczach. Zacisnęła powieki, jednak jedna łza spłynęła po policzku, Liwy szybko wytarła ją dłonią. Nie płacz, nakazała sobie. I nie płakała.

Wieczorem w motelu Julia oznajmiła nagle: „Jeszcze nie jest późno, moglibyśmy pojechać do Dutch Wonderland”. Liwy wstrzymała oddech, gdy ojciec zaczął narzekać, a mama zgodziła się. Julia rzuciła Liwy ostrzegawcze spojrzenie i szepnęła: „Nie robię tego dla ciebie, tylko dla siebie”. Patrzyła jej prosto w oczy i Liwy skinęła głową, zaciskając usta, chociaż i tak wiedziała swoje.

Robienie czegoś dla innych, zwłaszcza dla Liwy, stało się dla Julii sposobem robienia rzeczy dla siebie. Mimo kłótni, bójk i dąsów zawsze ją wspierała. Przynajmniej kiedyś tak to wyglądało. Julia przewijała się w każdym wspomnieniu Liwy z dzieciństwa i nic dziwnego, była w jej życiu od początku, od narodzin. Liwy nie potrafiła wyobrazić sobie życia bez Julii. To Julia dbała o nią, myślała i pamiętała o niej. To ona uratowała wesele Liwy, gdy fotograf się nie pojawił, suknia ślubna rozpruła się, a dziewczyny od rzucania kwiatów odmówiły kroczenia między ławkami. Julia umiała załatwić każdy problem, potrafiła skłonić do współpracy kompletnie obce osoby. Patrząc teraz ze smutkiem na to zdjęcie, Liwy poczuła taki ból, jakby pękało jej serce.

Wszystko — myślała z rozpaczą, dotykając ich twarzy na zdjęciu. — Zrobię wszystko, Julio. Tylko poproś.

Dziewczynki na fotografii patrzyły na nią ze szczęściem w oczach w tym słonecznym dniu w Dutch Wonderland, nieświadome, że kiedyś nadejdzie dzień, gdy wszystko się skończy, gdy siostry przestaną ze sobą rozmawiać, nie będą chciały się widywać, nie będą potrafiły wyciągnąć do siebie ręki.

„Avalon Gazette” wychodziła we wtorki i piątki, w nakładzie dwu tysięcy egzemplarzy, co znaczyło, że pensja była niewielka, ale Edie nie pracowała tu dla pieniędzy. Jej szef, Patrick, chciał, żeby została etatowym reporterem, ale jej zależało na statusie wolnego Strzelca. Zajmowała się sprawami ważnymi dla lokalnej społeczności i pracowała tyle, ile było trzeba, zostawiając sobie czas na myślenie o innych projektach.

Liczyła, że uda jej się przebić do dużej gazety regionalnej „Chicago Tribune” czy „Chicago Sun— Times”, pisząc artykuły z małego miasteczka. Miała zbyt wysokie kwalifikacje dla lokalnej gazetki, ale to najlepsze, co mogła robić w tych okolicznościach. Richard sugerował, że być może pewnego dnia Patrick ustąpi ze stanowiska redaktora naczelnego i wtedy Edie będzie mogła je zająć, lecz ona wiedziała, że Patrick lubi być w centrum zainteresowania i nie ma zamiaru odchodzić. Dla Edie to nie stanowiło problemu. Wybrała dziennikarstwo dlatego, że uwielbiała pisać i rozmawiać z ludźmi, słuchać o ich życiu, o tym, co jest dobre, a co nie. Nie chciała być taka jak Patrick, ze sztucznym uśmiechem na twarzy, poza tym nie miała zamiaru zajmować się robieniem interesów, w tym akurat była beznadziejna. Lubiła być w cieniu, spokojnie pracować, pilnując swoich spraw. Picie kawy i jedzenie pączków z członkami avalońskiej izby handlowej czy lokalnego oddziału bractwa Elks Club to nie w jej stylu.

Gdy pojawiła się możliwość, że Richard zostanie miejscowym lekarzem rodzinnym, Edie uznała, że to świetny pomysł. Dorastała w Springfield, kończyła szkołę w Chicago, a potem podróżowała po świecie

— była ciekawa, jak wygląda życie w małym miasteczku. Gdy razem z Richardem jeździła po Afryce i Azji w misjach Korpusu Pokoju, mieszkali w maleńkich wioskach, w których liczba mieszkańców stanowiła ułamek liczby mieszkańców Avalonu. Naprawiali chaty, nosili wodę, przygotowywali posiłki, zapewniali podstawową opiekę medyczną. Spędzali całe godziny, słuchając historii opowiadanych przez starych mieszkańców albo bawili się z dziećmi, które nie miały nic poza kamieniami, patykami i wyobraźnią. Liść stawał się ptakiem, kupka błota — górą. Zawsze było coś do zrobienia, ciągle byli zajęci, Edie wciąż miała coś, co ją pochłaniało. Dlatego w Avalonie czuła się zagubiona; nie spodziewała się, że będzie tu aż tak spokojnie.

Jednak teraz, gdy przestudiowała oprawione wydania dawnych numerów „Gazette”, poczuła znajome podekscytowanie, jakie czuje człowiek, gdy wypije za dużo kawy albo natknie się na coś, na co nie powinien. Ale to nie była jakaś straszna tajemnica, o wszystkim donosiła gazeta z ostatniego tygodnia maja dwa

tysiące trzeciego roku.

Artykuł miał tylko kilka akapitów, ale to wystarczyło. Edie wiedziała już, że Liwy ma swoje bolesne wspomnienia, pełną winy tajemnicę, którą nie chciała dzielić się z Edie.

 Nie dziwiła się jej.

Rozdział 7

Niegdyś poranki to dla Julii ulubiona pora dnia. Z natury ranny ptaszek, wstawiała niemal o wschodzie słońca, gotowa do działania. Resztę domowników niełatwo było rozruszać — wymagało nie lada wysiłku dobudze — nie ich, przerwanie drzemki, ignorowanie protestów dobiegających spod kołdry. Myli zęby półprzytomni, dosypiając.

A teraz to Julia leży zagrzebana w kołdrze, udaje, że śpi, dopóki Mark i Gracie nie wyjdą z domu. Leży w łóżku, gapi się w sufit, nie ma ochoty myśleć o praniu czy obiedzie, o nieuniknionej jeździe samochodem, żeby odebrać Gracie ze szkoły. To wszystko wydaje się takie niepotrzebne, takie nieważne. Czy naprawdę po to żyli, żeby ścierać blaty i zmiatać śmieci?

Wraca myślami do rozmów z matką, która niedługo po śmierci Josha czuwała nad Julią. Matka przeczytała wszystkie książki o żałobie, sporządzała listy, rozmawiała o etapach, wyjaśniała, że poczucie straty po nagłej śmierci dziecka różni się od jakiegokolwiek innej żałoby. Jakby Julia tego nie wiedziała.

Ale — zawsze było jakieś „ale” — matka twierdziła, iż Julia kiedyś poczuje, że ten świat wart jest, by do niego wrócić. Uprzedzała, że to nie będzie łatwe, lecz niewątpliwie nastąpi. Julia będzie w stanie stworzyć nową rzeczywistość, nowe życie. Nie tylko dla Gracie, ale również dla Josha, w imię jego pamięci, jego ducha. W tym momencie Julia wychodziła do swojego pokoju, odmawiając rozmowy z matką czy kimkolwiek innym do końca dnia.

Napływały kartki z wyrazami współczucia, koszmarne pretensjonalny sentymentalizm, najzupełniej chybiony i tylko pogarszający sytuację. Na jednej z nich ktoś napisał: „Jesteś w połowie drogi”, jakby to miało ją pocieszyć. Jej syn włąs nie zmarł, a ona była w połowie drogi, zupełnie jakby brała udział w maratonie. Minęło pięć lat, a meta nawet nie zaczęła majaczyć na horyzoncie.

Julia przekręciła się, żeby popatrzeć na stronę łóżka Marka, na której nie spał. Czuła się samotna w tym ogromnym kalifornijskim łóżku królewskim, na które pozwolili sobie, gdy tylko kupili dom. Rozważali zakup tego łóżka niemal tak skrupulatnie jak kupno domu: czy powinniśmy je kupić, czy raczej nie, teraz czy może trochę później — ale zdecydowali się — kosztem nadgodzin na pokrycie dodatkowego wydatku. Gdy później zdali sobie sprawę, że będą musieli kupić również nowe prześcieradła i całą pościel, wybuchnęli śmiechem i uznali, że trzeba zakasać rękawy i wziąć się do pracy. Julia wie, że ma wybór. Powrót do pracy zwiększyłby ich dochody, chociaż firma Marka zaczęła lepiej prosperować i wciąż mieli trochę oszczędności. Lubiła swoją pracę, ale nie widziała się już w Bertram Berry, małej firmie produkującej farby, gdzie pracowała jako menedżer od HR — u. Nie miała siły nie zauważać pełnych napięcia uśmiechów ani odpowiadać

na niekończące się pytania sondujące, zamaskowane trzema prostymi, tak natrętnymi słowami: „Jak się czujesz?”

Jak się czuje? Zastanówmy się. Miała dziecko, a teraz go nie ma. Jest żoną człowieka, który był jej pierwszą i jedyną miłością, a teraz przemienił się w nieznanego, mijanego na korytarzu w ich wspólnym domu. Jej rodzice postanowili cieszyć się emeryturą na słonecznej Florydzie, skąd wysyłali entuzjastyczne kartki, nie mając nic wspólnego z tym, co tu zostawili. „Kanasta! Czytanie poezji!

Byliśmy w Świecie Motyli — Gracie by go pokochała! Zadzwoń! Przyjedź! Tęsknimy! Co u ciebie?”

Co u niej. Już nie pytanie, stwierdzenie, bo pytanie nie ma sensu. Jak czuje się ktoś, kto stracił syna?

Julii nie było, kiedy to się stało. Słyszała opowieść Liwy i koronera i w jej umyśle powstał taki oto obraz.

Jest dwudziesty szósty maja, pięć lat temu. Liwy odbiera dziesięcioletniego Josha ze szkoły. Miał mieć jeszcze półtorej godziny treningu koszykówki, ale trener odwołał zajęcia z powodu choroby. Julia i Mark mają umówioną wizytę na USG piątego miesiąca, więc Julia zwraca się do swojej młodszej siostry, prosząc o pomoc, tak jak wiele razy przedtem.

Liwy ma mieć spotkanie, więc ustalają, że podrzuci Josha do domu, żeby odrobił lekcje; opiekunka będzie już czekać, przejmie Josha od Liwy i ta będzie mogła wrócić do pracy.

Ciotka i siostrzeniec rozmawiają sobie wesoło w samochodzie, podjeżdżając do domu Liwy, zamiast domu Julii — przypomniała sobie o czarnej spódnicy, którą pożyczyła od Julii dawno temu i postanowiła wstąpić po nią po drodze.

Parkuje na podjeździe, wyłącza silnik, a potem biegnie przez trawnik do ich niepotrzebnie wielkiego domu, czterysta osiemnaście metrów kwadratowych. Zauważa, że w misce psa pływa jakiś śmieć, może liść i prosi Josha, żeby nalał psu świeżej wody. Wprawdzie zaraz mają jechać dalej, jednak Liwy odruchowo naciska przycisk zamknięcia na breloczku klucza, zanim wejdzie do domu. Rozlega się bipnięcie, samochód mruga światłami, drzwi się blokują.

Julia oczyma wyobraźni widzi, jak Josh podchodzi bez pośpiechu do miski na ganku i wylewa starą wodę na krzaki obok. Potem idzie do węża ogrodowego z boku domu — i wtedy rozżłoszczona osa bez ostrzeżenia wbija żądło w opuszkę palca chłopca.

Josh na pewno czuje, że dzieje się coś złego. Być może woła ciotkę, ale Liwy przekopuje szafę w sypialni na pierwszym piętrze w poszukiwaniu spódnicy, którą powinna była oddać miesiąc temu. Nie słyszy go. Josh robi kilka kroków i upada nieprzytomny. Przejeżdżający obok mężczyzna widzi to i zatrzymuje się,

żeby pomóc, ale jest już za późno. Liwy wyłania się z domu z miną zwycięzcy, trzymając spódnicę jak trofeum. Kilka sekund zajmuje jej zrozumienie tego, co widzi: Josh leży na ziemi, mężczyzna pochyla się nad nim, samochód stoi na środku jezdni, drzwi od strony kierowcy nadal są otwarte. W pierwszej chwili Liwy myśli, że Josha potrącił samochód.

Sąsiad dzwoni pod 911, ale mija pięć minut, nim pogotowie dotrze na miejsce. Robią resuscytację oddechową i wypytyują Liwy, która nagle zdaje sobie sprawę, co się mogło stać.

— Ma alergię na pszczoły — mówi, odwracając się do zamkniętej hondy, na podjeździe. Plecak Josha jest na tylnym siedzeniu, jego epipen w środku.

Ratownicy medyczni od razu wstrzykują mu epi— nefrynę, a potem zabierają na ostry dyżur, gdzie przez kolejne trzydzieści minut lekarze próbują uratować mu życie.

W tym czasie Mark i Julia są na oddziale ginekologiczno— położniczym, wpatrują się w niewyraźny obraz ich nienarodzonego dziecka. Telefony komórkowe mają wyłączone, żeby nie zakłócały pracy urzędnika. Lekarz pyta, czy chcą poznać płeć dziecka, a oni odmawiają, wołają, żeby to była niespodzianka. Julia myśli, że to dziewczynka. Postanawiają poczekać, żeby Josh też miał niespodziankę.

Lekarz drukuje kilka zdjęć 3D, potem zbiera je razem, żeby stworzyć usg 4D — pierwsze wideo — wideo! — ich nienarodzonego dziecka. Niewiarygodne, jak daleko zaszła technika, oboje są pod wrażeniem. Spędzają jeszcze kilka minut, rozmawiając o znieczuleniu rdzeniowym i zewnątrzoponowym, o tym, jak to dobrze, że to długie upalne lato wreszcie się kończy.

Tymczasem na ostrym dyżurze lekarzom udaje się ożywić serce Josha. Jednak duży obrzęk krtani spowolnił dopływ krwi do mózgu, spowodował udar i niedotlenienie. Josh jest w śpiączce, jego mózg jest martwy.

Julia i Mark wychodzą z gabinetu, wsiadają do samochodu i ruszają, Julia sprawdza wiadomości na telefonie.

„Zawracaj!” — krzyczy.

To wszystko wydarzyło się we wtorek. W sobotę odłączyli Josha od systemu podtrzymywania życia i patrzyli, jak odchodzi.

Zapaść układu krążenia. Zatrzymanie oddechu. Niedotlenienie mózgu. Śmiertelny wstrząs anafilaktyczny.

Julia wie, że krtan Josha zacisnęła się w ciągu sekundy i mimo to ciągle słyszy, jak Josh woła ją na ratunek.

Właśnie to widzi. Właśnie to słyszy. Wciąż i wciąż, bez końca.

Na ścianie w przedpokoju widać jasne prostokąty plam, miejsca, w których ściana była osłonięta przed światłem słońca przez wiele lat. Planowała powiesić tu coś innego, ale nie może się do tego zabrać. Julia nie zdawała sobie sprawy, jak

dużo mieli w domu zdjęć jej siostry, dopóki nie zaczęła ich zdejmować. Liwy była dosłownie wszędzie, człowiek natykał się na jej podobiznę na każdym kroku. Od kiedy spełniło się życzenie Julii o posiadaniu siostrzyczki, w jej życiu nie było dnia bez Liwy — aż do chwili, gdy Julia pochowała swojego syna.

Ból i gniew znów napłynęły jak fala. To już nie jest jak dawniej, gdy uczucia zalewały ją, gdy nie była w stanie jasno myśleć, ale wciąż jest ciężko. Gdy Mark i Julia zastanawiali się, gdzie zamieszkać, Avalon wydawał się optymalnym rozwiązaniem — tu mieszkali rodzice Julii, tu była Liwy. Rodzina Marka mieszka w St. Louis, ale on nie jest z nią tak związany, jak Julia ze swoją. Jak była związana ze swoją rodziną.

Zrezygnowała z prysznic i zeszła po schodach na dół. Jest wdzięczna za ciszę w domu, ale zarazem przygniata ją samotność. W ciągu następnej godziny udało jej się pozbierać, uporządkować w myślach krótką listę rzeczy do zrobienia.

Kiedy zadzwonił telefon, miała już na sobie dzinsy i koszulkę bez rękawów, włosy związane w koński ogon. Teraz rzadko kto dzwoni i zastanawiała się, czy odebrać. Gdy żył Josh, ona i Liwy rozmawiały kilka razy dziennie, o wszystkim i o niczym. Nie pozwalała sobie na tęsknotę za tymi telefonami, długimi, bezcelowymi rozmowami, ale dziś zastanawia się — a może to Liwy? Może tym razem nie odłożyć słuchawki, może powinna posłuchać, co Liwy chce jej powiedzieć?

Ale co Julia mogłaby jej powiedzieć?

— Chyba coś źle zrobiłam. — To Hannah, młoda Azjatka, którą Julia poznała w salonie herbacianym; w jej głosie wibrowała niepewność. — Znalazłam twoje nazwisko w książce telefonicznej — mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, że dzwonię?

— Nie, wszystko w porządku. — To pierwsze słowa Julii wypowiedziane tego dnia. Chrząknęła, oczyszczając gardło ze snu. — A co zrobiłaś?

— Chodzi o ten chleb przyjaźni amiszów. Jest płynny! Może powinnam dodać więcej mąki? Koleżanka na studiach miała maszynę do chleba i pamiętam, że to było bardziej ciastowate...

Julia uświadamia sobie, że wstrzymywała oddech, słuchając głosu Hannah w słuchawce. Taka drobnostka — zwykła rozmowa telefoniczna — a ona nie wierzy, że to się dzieje naprawdę. Zwykła rozmowa, która nie dotyczy ani jej, ani szkoły Gracie, ani późniejszego powrotu Marka z pracy. Nie ma tu żadnego powodu do niepokoju, nie ma specjalnego traktowania Julii... Hannah mówi bardzo szybko, brzmi niemal histerycznie.

— Hej, wszystko w porządku! — mówi Julia z rozbawieniem. — Powinnam była cię uprzedzić. To się nazywa chleb przyjaźni amiszów, ale to raczej słodki chleb, rodzaj ciasta, coś takiego jak chleb bananowy.

— Aha. — Hannah wzięła głęboki wdech. — Znaczy wszystko w porządku?

— Jak najbardziej. Włożyłaś go już do piekarnika? — Julia opierając się o blat w kuchni, ramieniem przycisnęła słuchawkę do ucha.

— Nie, chciałam najpierw zadzwonić do ciebie.

— Wstaw do piekarnika i zadzwoń za godzinę, kiedy będzie gotowy.

Hannah zawahała się.

— Jesteś pewna? Nie chcę, żebyś przeze mnie zmieniała plany.

— Nie przejmuj się. — Julia nie pamiętała, co miała zrobić dziś rano, zwykle jej plany to brak planów. — Do usłyszenia wkrótce.

Popatrzyła na swoją torebkę z zakwasem, gotową do podziału. Gdy Gracie wróci ze szkoły, będą mogły upiec chleb. Skopiowały przepis i Gracie wybrała, komu jeszcze w szkole mogłaby dać torebki. Upieką i zostawią jeden bochenek sobie, drugi Mark będzie mógł wziąć do pracy — jeśli zechce.

Zerknęła na zegar, żeby sprawdzić, czy godzina już minęła i w nagłym przypływie energii uporządkowała i umyła lodówkę w rekordowym tempie. Kiedy ostatnio to robiła, rok temu? Może nawet więcej i wtedy trwało to całe wieki. Doprowadzała do porządku jedną półkę dziennie, potem drzwiczki, potem jeszcze zamrażarkę przez kolejne trzy dni. Tydzień, zajęło jej to dokładnie tydzień. A teraz uwinęła się w niecałą godzinę.

Wróciła myślami do chwili, gdy po raz pierwszy spotkała Hannah u Madeline. Nie miała pojęcia, czemu Hannah wtedy płakała, ale poczuła wdzięczność. Po raz pierwszy nie była jedyną osobą w towarzystwie, którą dotknęło nieszczęście.

Gdy zadzwonił telefon, niemal rzuciła się na słuchawkę.

— Halo?

— Cześć, Julio, mówi Hannah. Przepraszam, że znówci przeszkadzam... Miałaś rację — wyszło idealnie! Poczekam, aż ostygnie i zjem kawałek. — W głosie Hannah było tyle radości, że Julia poczuła się dziwnie dumna.

— Bardzo się cieszę. Świetnie, że się udało.

— Prawda? Mam dwie lewe ręce do gotowania i byłam pewna, że coś źle zrobiłam. Dzięki, że podzieliłaś się ze mną zakwasem.

— Nie ma za co. — Julia nie chciała kończyć rozmowy, ale nie miała pojęcia, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

— Jest tylko jeden problem...

— Tak?

— To była fajna zabawa, tyle że ja nie piekę ani nie gotuję i nie wiem, co zrobić z pozostałymi torebkami zakwasu?

Julia roześmiała się, przypominając sobie, że miała ten sam problem dziesięć dni temu.

— Moja córka będzie w siódmym niebie, mogąc zabrać do szkoły nowe torebki. Zdaje się, że jest już lista oczekujących dzieci, które chcą upiec ten chleb

w domu.

Hannah odetchnęła z ulgą.

— Super! Już się bałam, że się zmarnuje.

— Znam to uczucie. — Julia zastanawiała się nad tym i wymyśliła pewną teorię. Robiąc coś codziennie ze swoim zakwasem, przywiązujesz się do niego i zaczynasz mieć zbyt osobisty stosunek, żeby go po prostu wylać czy pozwolić mu się zmarnować.

— Jestem taka wdzięczna, że podzieliłaś się tym ze mną i pomogłaś mi. Mogę zaprosić cię na lunch?

— Och, nie musisz tego robić. — Julia od razu pożałowała swoich słów. To zabrzmiało, jakby nie miała ochoty wyjść, a to nieprawda. Dlatego dodała szybko:

— To znaczy, z przyjemnością za siebie zapłacę. — Zobaczyła swoje odbicie w piekarniku; musi przeczesać włosy, zrobić makijaż.

— To może zrewanżujesz się następnym razem? — Julia ucieszyła się — to znaczy, że takich spotkań będzie więcej. — Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy spotkały się u Madeline?

— Z przyjemnością ją odwiedzę — Julia nie wyobrażała sobie lepszego miejsca.

— Może być o dwunastej?

— O dwunastej. — Wymówiła to powoli, przypominając sobie, jak to jest, gdy ustala się datę, umawia na spotkanie. — Dwunasta jest idealna.

Hannah opierając się łokciami o blat, wdychała słodki zapach chleba. Cynamonową skórkę zdobiły kryształki cukru, jak małe diamenciki. Chleb był jeszcze ciepły, Hannah delikatnie wyjęła go z formy i położyła na kratce do wystygnięcia. Nie mogła uwierzyć, że go upiekła — sama, od początku do końca! Odkąd w wieku szesnastu lat zaczęła zawodowo grać na wiolonczeli, posiłki jadła w pośpiechu: coś na wynos, coś szybkiego do odgrzania w mikrofalce, kolacja w czyimś domu. Z czasem weszło jej to w krew, nawet gdy już przestała grać zawodowo. No i Philippe wołał jadać na mieście — lubił tę uwagę, z jaką traktowano go w kilku wybranych restauracjach, którym po prostu opłacało się podejmować go po królewsku.

Po przeprowadzce do Avalonu zaczęła próbować swoich sił w gotowaniu, a to dlatego, że nie zносиła chodzić sama do restauracji, jednak nie bardzo potrafiła poruszać się po kuchni. Nie miała zaopatrzonej spiżarni i wszystko wydawało jej się męczące: przygotowanie, gotowanie, nie mówiąc już o zmywaniu. Dochodziła do wniosku, że może Philippe miał rację, łatwiej jeść poza domem.

Po całym procesie była tak zmęczona, że już nawet nie miała ochoty na jedzenie.

Jednak chleb przyjaźni wyglądał i pachniał wspaniale, nie mogła mu się

oprzeć. Oderwała kawałek i wł ożyła do ust. Boski. Żałowała, że Philippe nie widzi tej kobiety, jaką się staje, którą stracił.

Na pewno był wściekły, że nie wykonała jego instrukcji i nie wpuściła robotników do domu. Najpierw przeraziła się, myśląc, że tylko pogorszyła całą sytuację, a potem nakazała sobie spokój.

Dlaczego to ona miała czuć się winna? Zawsze zgadzała się na wszystkie jego pomysły. Gdy zaproponował, żeby zamieszkali razem, zgodziła się. Kiedy chciał, żeby się zaręczyli — wcześniej, niż Hannah planowała

— zgodziła się. Gdy chciał, by przenieśli się do Chicago, też się zgodziła, choć to znaczyło, że to ona będzie latała tam i z powrotem kawał drogi, żeby ich związek na odległość miał sens. Po ślubie to Philippe o wszystkim decydował, wybierał meble, wybrał im samochody, zdecydował, gdzie będą mieszkać i jeździć na wakacje. To jego pomysł, żeby przenieść się do Avalonu — pomysł, który zaskoczył, ale i ucieszył Hannah. Zgadzała się na wszystko, a teraz pozostał tylko żal.

Philippe zapewniał, że o nią zadba, że nie będą niczego niepotrzebnie komplikować. Ona ma swoje pieniądze, on swoje, i zawsze tak było. Zostawi jej dom w Avalonie, żeby mogła go zatrzymać albo sprzedać, jeśli ona zgodzi się zostawić mu apartament w Chicago, który, jak podkreślał, był o połowę mniejszy. Odeśle Hannah jej rzeczy po zakończeniu sezonu w czerwcu. Każde zatrzyma swój samochód — Hannah toyotę, Philippe audi — i to już będzie koniec.

Palant, pomyślała Hannah i włożyła do ust jeszcze jeden kawałek, już ostatni — musi zostawić trochę miejsca na lunch. Mają spotkać się z Julią za kilka minut, ale do salonu Madeline jest niedaleko, a Hannah nie chce, żeby wyglądało, i że jej aż tak bardzo zależy. Z drugiej strony, skoro ona zaprosiła Julię, nie powinna się spóźniać. Włożyła trzy porcje zakwasu do torebki i wyszła z domu.

Był piękny dzień, jeszcze chłodny, ale już pełen zapowiedzi nadchodzącej wiosny. Hannah zapięła kurtkę i zawiązała szalik. Szła chodnikiem, przyglądając się domom sąsiadującym z jej własnym. Widać, że ktoś tu mieszka, ktoś o nie dba. Na ich ulicy jest szereg pojedynczych domków parterowych, zbudowanych pod koniec XIX wieku, z drewnianym sidingiem, gontowymi dachami, dobudowanymi później garażami. Dom Hannah i Philippe'a jako jeden z nielicznych przeszedł dodatkową renowację: został powiększony i nowoczesnie wyposażony. Drewniane podłogi odnowiono, dekoracyjny kominek, typowy w tych starych domach, zastąpiono działającym. Przed domem był tylko niewielki trawnik i nic nie wskazywało, że z tyłu jest przestronne podwórko, które Hannah tak lubiła. Tu było to, czego najbardziej brakowało jej w Nowym Jorku i Chicago: przestrzeń, trawa, własne drzewo. Teraz miała pięć drzew, w tym ukochaną paulownię cesarską, której aromatyczne bladofioletowe kwiaty właśnie zaczęły kwitnąć. Ich ulica znajdowała się opodal avalońskiego parku i szkoły podstawowej. Hannah podobało

się to, że Ava— lon jest wystarczająco duży, by człowiek potrzebował samochodu, a jednocześnie mnóstwo rzeczy ma się w zasięgu ręki. Kwadrans od jej domu była prawdziwa lodziarnia, z podłogą w czarno— białe kafelki i rzędem czerwonych plastikowych stołków przy ladzie. Dzieciaki, które przychodzą tam po szkole, zawsze ustawiają plecaki przed lodziarnią, taka avalońska tradycja. Podoba jej się to.

Zwalniała, podchodząc do salonu Madeline. Zauważyła zaparkowane samochody, sporo osób wchodziło i wychodziło. Jak widać w tym miejscu, jeszcze nie tak dawno cichym i spokojnym, zrobił się ruch. Uśmiechnęła się, zauważyła Julię, gdy ta wysiadała z samochodu, pomachała do niej.

— Tak się cieszę, że mogłaś przyjść. — Szły razem w stronę wejścia do salonu. — Dostawałam kręćka w domu.

— Ja też — przyznała Julia. — Gdy zadzwoniłaś, właśnie myślałam lodówkę. Hannah już miała przeproszać, ale Julia tylko machnęła ręką.

— Cieszę się, że mogłam wyjść z domu.

Gdy weszły do środka, otulił je ciepły, apetyczny zapach. Gości nie brakowało. Hannah dostrzegła srebrne włosy Madeline, gdy ta wychodziła z kuchni, niosąc talerze. Widać, że miała pełne ręce roboty.

Rozmawiała chwilę z klientem, chodziła między stolikami z dzbankiem mrożonej herbaty i proponowała dolewki. Julia i Hannah zastanawiały się, niepewne, czy powinny poczekać, czy przyjść później. W tym momencie Madeline podniosła wzrok i na jej twarzy zagościł szeroki uśmiech.

— Tu jesteście! — wykrzyknęła, jakby na nie czekała. Odstawiła dzbanek i podeszła do nich, witając je mocnym uściskiem. — Większość stolików lada chwila będzie wolna, bardzo wam się spieszy?

— Mnie nie. — Hannah zerknęła na Julię.

Pokręciła głową.

— Mnie też nie. Odbieram córkę ze szkoły dopiero za jakiś czas,

— Fantastycznie — powiedziała Madeline z błyskiem w oku. — Rozgoście się, za chwilę się wami zajmę. — Pobiegła dalej.

— Jejku, ale jest zajęta. — Hannah rozglądała się, trochę onieśmielona tym tłokiem. Śmieszne — potrafiła zagrać przed pięćdziesięcioma tysiącami ludzi w Central Parku, a sztywnieje w pokoju, w którym jest dwadzieścia osób. Poczła ulgę, gdy Julia dostrzegła stolik i ruszyła w tamtą stronę. Hannah musiała już tylko iść za nią.

— Avalon nie jest zbyt atrakcyjny dla inwestorów, dlatego cieszę się, że jej biznes się rozkręca. — Julia rozejrzała się po pokoju, potem skupiła na menu. — Jest nawet kilku miejscowych, choć większość to turyści.

— Avalon nie wygląda na miejsce oblegane przez turystów — zauważyła Hannah.

Julia pokiwała głową.

— Owszem, ale ludzie lubią jeździć wzdłuż rzeki, zaś Avalon jest dobrym miejscem, by się zatrzymać. Słusznie, pomyślała Hannah, przecież Philippe i ona właśnie w ten sposób odkryli Avalon. Pamięta staromodny drewniany drogowskaz zapraszający do Avalonu, gdy po raz pierwszy tędy przejeżdżali, niepewni, ale z ciekawości.

Julia pokazała coś w menu.

— Spójrz na to: „trio trzech kanapek”. Łosoś i twarożek, indyk z sosem żurawinowym, świeży kozi ser z rukwią wodną. Właśnie to zamówię. A ty?

Hannah zajrzała do karty, nie mając pojęcia, co wziąć. Menu nie zawierało dużo pozycji, ale wybór i tak ją przerastał. Zwykle brała to, co wybierał Philippe — nie dlatego, żeby mu się podporządkować, po prostu tak było łatwiej. Nigdy dotąd nie musiała się nad tym zastanawiać.

Wszyscy wokół niej jedli apetyczne rzeczy; Julia już wiedziała, na co ma ochotę. A ona? Do licha, to przecież tylko lunch, a nie kwestia reszty życia! Poddała się.

— Poproszę Madeline, żeby mi coś doradziła. — Położyła menu na stoliku zde gustowana, że nie potrafi podjąć nawet tak prostej decyzji.

Madeline podeszła z karafką mrożonej herbaty i dwiema wysokimi szklankami, postawiła wszystko na stole.

— To mrożona zielona herbata imbirowa, kompozycja mojego pomysłu — oznajmiła. — Na stole jest syrop, możecie sobie dosłodzić. Dziś polecam wspaniałe *croque madame* z sosem *mornay*. Sąsiad przyniósł jajka z własnej farmy, nie mogłam się oprzeć. Podawane ze świeżą zieleciną, dziewięć dziewięćdziesiąt pięć.

— To coś dla mnie. — Hannah sięgnęła po mrożoną herbatę, naląła sobie i Julii. — *Croque madame* dla *madame de Brisay*, *s'il vous plait* — imitowała zabawnie francuski akcent.

— A ja wezmę kanapki. — Julia popatrzyła na nią.

— Kim jest *madame de Brisay*?

— To ja. — Hannah dołała sobie syropu do herbaty.

— Mój mąż jest Francuzem — dodała, nie podnosząc wzroku nad szklanki.

Oczy Madeline rozszerzyły się w nagłym olśnieniu.

— Wiem, kim jesteś! — Ujęła się pod boki, patrząc na Hannah tak, jakby ta coś przed nią ukrywała. — Hannah de Brisay, z domu Wang! Czytałam o tobie w „*New York Timesie*”. Jesteś wiolonczelistką koncertową!

— Byłam.

— Słyszałam wywiad w *National Public Radio*... Zaczęłaś grać na wiolonczeli, gdy miałaś trzy lata!

— Trzy? — Julia wpatrywała się w nią, Hannah czuła się zakłopotana, a Madeline mówiła dalej, zupełnie niespieszona:

— Pamiętam, jak Joel Rose mówił, że potrafiłaś zagrać w całości z pamięci raz usłyszany utwór, gdy miałaś siedem lat.

Sześć, pomyślała Hannah, ale nie prostowała. Zdumiewające, że w tym miasteczku ktoś o niej słyszał. To miłe, że jednak jej tożsamość nie została zupełnie wymazana.

Podekscytowanie Madeline udzieliło się także Julii. Przysłuchiwała się im z ciekawością.

— Grałaś w Filharmonii Nowojorskiej! Nie wierzę— mamy wśród nas sławę! — wykrzyknęła Madeline i kilka osób już spoglądało w ich stronę.

— Nie, nie — zaprotestowała Hannah. — Nie gram już zawodowo. Poza tym, to było dawno temu.

— Nie mogło być dawno temu, przecież nadal jesteś piękna i młoda! — Madeline rzuciła jej spojrzenie, życzliwe i twarde zarazem; Hannah zastanawiała się, czy Madeline wie więcej, niż mówi. Starsza pani rozejrzała się po salonie, wciąż pełnym klientów. — No proszę, muszę wracać do pracy i to teraz, w najciekawszym momencie! Dołączę do was, gdy się rozluźni. Wybierzcie sobie deser, na koszt firmy. — Odeszła, nim zdążyły zaprotestować.

Julia patrzyła na Hannah zaintrygowana.

— Twój mąż też jest muzykiem?

Hannah skinęła głową, upiła łyk herbaty. Poczowała pieczenie w przełyku, to pewnie imbir.

— Philippe gra na skrzypcach. Jest zastępcą kierownika Chicagowskiej Orkiestry Symfonicznej. — „I zostawił mnie”, chciałaby dodać, ale powstrzymała się. Ludzie nie lubią słuchać o takich rzeczach.

— Czemu już nie grasz?

— Trzy lata temu doznałam urazu kręgosłupa, po długiej i ciężkiej trasie koncertowej. Nie mogłam długo siedzieć wyprostowana, ciągle bolały mnie mięśnie pleców. Już wcześniej miałam problemy z plecami, podobnie jak większość wiolonczelistów — ale to okazało się gorsze. Wzięłam urlop, lecz było jasne, że nie będę już w stanie grać tak intensywnie jak dawniej.

— Bardzo mi przykro.

— W porządku — odparła Hannah, choć tak naprawdę brakowało jej tego bardziej niż czegokolwiek innego. I pojawia się pytanie, po co w takim razie były te wszystkie lata ciężkiej pracy? — Philippe i ja czuliśmy się już zmęczeni małżeństwem na odległość, więc dobrze się złożyło, że mogłam zostawić mieszkanie w Nowym Jorku i przeprowadzić się do Chicago. W tym roku zastanawialiśmy się nad przeprowadzką do jakiegoś małego miasteczka. Ponieważ nic nam się nie podobało, jeździliśmy i szukaliśmy, dopóki nie trafiliśmy

do Avalonu.

— Nie powiedziała, że była przeciwna wyprowadzce na prowincję, tak daleko od dużego miasta, daleko od cywilizacji, jednak Philippe nalegał, przekonywał Hannah, że chodzi mu o ich wspólną przyszłość. Już wiadomo, że chodziło mu o jego przyszłość — bez niej. — To wybór Philippe’a, żeby się tu przenieść.

— I co, podoba mu się tutaj?

— Mówił, że tak, ale nigdy tego miejsca nie poznał. — Hannah zdawała sobie sprawę, że mówiąc o Philippe, używa czasu przeszłego, ale Julia tego nie zauważyła.

— Macie dzieci?

— Nie. — Nie wyobrażała sobie, co by zrobiła, gdyby mieli dzieci. — Myśleliśmy o dziecku, ale teraz to już raczej temat zamknięty. — Nie mówiła nic więcej, a Julia nie pytała; odwróciła się i wyglądała przez okno.

— Próbuję sobie przypomnieć, czy w „Avalon Gazette” było coś o waszym przyjeździe, ale właściwie rzadko zaglądam do gazety. Zawsze robią tyle szumu ze wszystkiego, co się dzieje w mieście, że na pewno byli poruszeni, wiedząc, że ty i twój mąż zamieszkacie w Avalonie.

Hannah uśmiechnęła się speszona. Avalon bardzo się różni od Nowego Jorku czy nawet Chicago... Pamięta czasy, gdy ona i Philippe gościli stale na łamach prasy, gdy fani muzyki i fotografowie byli zakochani w młodej parze, która wydawała się skazana na sukces. — Nie przypuszczam, żeby ktoś, z wyjątkiem Madeline, interesował się światem muzyki klasycznej.

Julia wyglądała na zakłopotaną.

— Muszę przyznać, że i ja wiem mniej, niżbym chciała.

— Innymi słowy, nie miała pojęcia, kim jest Hannah.

Hannah uśmiechnęła się szeroko. Do tej pory nigdy nie wiedziała, czy ludzie lubią ją za to, jaka jest, czy jedynie są oczarowani jej muzyką. Miała przyjaciół i znajomych ze swojego kręgu, innych muzyków, z którymi jeździła na tournée. Wszyscy z podobną przeszłością: zaczęli grać w dzieciństwie, w lecie jeździli na obozy muzyczne, potem poszli do Juilliard*¹ i tak dalej, i tak dalej, ale nie miała zbyt wielu znajomych spoza muzycznego kręgu. Ciągłe wyjazdy, do tego cztery do siedmiu godzin ćwiczeń dziennie sprawiały, że poznanie kogokolwiek stawało się niemożliwe.

Madeline przyniosła ich zamówienie, Hannah poczuła się nagle wygłodniała. Jej grillowana kanapka miała na wierzchu jajko sadzone, obok sos sero-wo—śmietanowy. Wymieniły się z Julią małymi kawałkami swoich kanapek, zachwycone smakiem i talentem Madeline. Wszystko było doskonałe i Hannah postanowiła następnym razem wybrać z menu coś, czego jeszcze nie próbowała, a potem znowu i znowu, dopóki nie spróbuje wszystkiego.

Wypytywała Julię o Avalon. Co można robić, gdzie pójść, co zobaczyć. To krępujące, że wie tak mało o mieście, w którym mieszka, ale do tej pory sądziła, że będzie je odkrywać razem z Philippe'em...

Wyrzuciła Philippe'a z myśli i słuchała uważnie Julii, zafascynowana jej miłością do tego miasta, które dla niej jest po prostu domem.

Dom. Sama idea zapuszczenia korzeni, ba, nawet posiadania korzeni była obca Hannah. Przeprowadzała się siedem razy: z powodu muzyki, z powodu choroby mamy, gdy koczowali w pobliżu szpitala Cedars—Sinai w Los Angeles. Wiecznie żyła na walizkach, jedne rzeczy tu, inne tam, nigdy nie miała wszystkiego w jednym miejscu. Nawet teraz jej rzeczy są podzielone między Avalon i ich mieszkanie w Chicago, a brat, Albert, wspominał, że u niego na strychu w Maryland stoją trzy jej pudła zabrane ze starego domu rodziców.

— Nigdy nie mieszkałam w jednym miejscu dłużej niż cztery lata — powiedziała. — Zawsze wmawiałam sobie, że jestem typem włóczęgi i podróż mam we krwi, ale teraz widzę, że jedynie usprawiedliwiałam to, że nigdzie nie zagrzałam dłużej miejsca. Po prostu nie chciałam przyznać, że nie mam miejsca, które mogłabym nazwać domem.

— A gdzie by on był, gdybyś mogła wybrać?

— Myślę, że chodzi mi nie tyle o miejsce, ile o uczucie...

To jakby ideał domu w stylu Normana Rockwella* : cała rodzina razem, dzieci jeżdżą na rowerach, sprzedają lemoniadę na ulicy, leniuchują w wakacje...

² Norman Rockwell - amerykański malarz i ilustrator, najbardziej znany jako autor okładek dla „The Saturday Evening Post”. Steven Spielberg powiedział o nim: „Rockwell lepiej niż ktokolwiek inny potrafił malować amerykańskie marzenia”.

Uśmiechnęła się krzywo. Nigdy nie leniuchowała w wakacje, nie było mowy, żeby ojciec pozwolił jej sprzedawać lemoniadę na ulicy i ani ona, ani Albert nigdy nie mieli roweru, nawet teraz. — Obchodziliśmy amerykańskie święta, ale zawsze był w nich jakiś chiński element.

Julia wyglądała na zdziwioną, więc Hannah wyjaśniła, że rodzice zrobili kiedyś indyka na Święto Dziękczynienia, ale potem uznali, że nie jest smaczny i znów była pieczona kaczka z chrupiącą skórką i wilgotnym, słodkim mięsem. Wróciły wspomnienia — siedziała przy poręczy schodów obok brata, chociaż oboje powinni być już w łóżkach i patrzyli, jak mężczyźni palą i rozmawiają po chińsku, a kobiety grają w madzonga; ich ręce poruszały się szybko nad kolorowymi płytkami, gdy mieszały je, śmiały się i przekomarzały.

Julia uśmiechnęła się.

— Uroczę...

— I ja tak sądzę. Ale zawsze myślałam, jak by to było miło mieć święta

w starym stylu... Rozumiesz? Nie urodziłam się na Tajwanie, tylko tutaj i chciałam żyć tak jak wszyscy inni. — Gdy jest się słynną wiolonczelistką, raczej nie żyje się jak wszyscy inni.

Hannah uśmiechnęła się.

— Wiem... I oczywiście musiałam wyjść za mąż za Francuza, więc obchodziliśmy francuskie święta, Dzień Bastylli czy Święto Naleśnika. Naprawdę nie mam nic przeciwko temu, chciałabym tylko...

— Mieć Boże Narodzenie w stylu Normana Rockwella

— dokończyła Julia.

— I Święto Dziękczynienia, i Wielkanoc. — Hannah westchnęła.

— Wiesz co? Teraz możesz mieć to wszystko tutaj, w Avalonie.

Hannah zastanawiała się. Nawet jeśli to Philippe wybrał Avalon, w miasteczku czuje się klasycznego ducha Ameryki.

— Może masz rację.

Pora lunchu minęła i salon opustoszał. Gdy skończyły jeść, pojawiła się Ma-deline z dzbankiem herbaty i trzema kubkami; przysunęła sobie krzesło.

— Nareszcie! — Widać po niej zmęczenie, ale oczy promieniają radością. — Już dawno chciałam spróbować tej herbaty. Mięta z nutą ziaren kakaowca, wspomaga trawienie.

Julia uśmiechnęła się.

— Rozpieszczasz nas.

— Ależ skąd. — Madeline tylko udawała obojętność, tak naprawdę była zadowolona. Położyła ręce na kolanach i wskazała głową bufet z deserami. — Idźcie i wybierzcie coś sobie, talerze są po lewej. — Herbata się zaparza, ale jeszcze nie jest gotowa.

Julia pierwsza nałożyła sobie na talerz ciemny piernik, waniliowe ciasto biszkoptowe z nadzieniem z passiflory i bułeczkę z jagodami. Hannah ze swoją namiętnością do czekolady wybrała brownie z toffi.

— Przejemy cały twój zysk — powiedziała Julia, ale Madeline machnęła ręką. Potem zerknęła na skromny wybór Hannah, Julia dodała: — To znaczy, ja przejem.

Madeline znów sprawdziła herbatę i usatysfakcjonowana napełniła filiżanki.

— Jest mi bardzo miło, że są ludzie, którzy jedzą to, co przygotowuję.

— Jak widać ich nie brakuje — wtrąciła Julia. — Dzisiaj był niezły tłok.

— Prawda? Czy to nie cudowne? Jest tak od czasu, gdy... — Twarz Madeline rozjaśnił uśmieszek. — Gdy byliście tu dwa tygodnie temu! Myślałam, że to wiosna wyciągnęła ludzi z domu, ale może to dzięki wam? Jesteście dobrymi duchami!

— A może — odezwała się Hannah — twoje wspaniałe jedzenie to sprawia? Człowiek próbuje i zakochuje się w nim — tak właśnie było ze mną.

— I ze mną — dodała Julia. — Czasem to trochę trwa, zanim ludzie w Ava-lonie skuszą się na coś nowego, ale jeśli już spróbują i jeśli im zasmakuje, uzależniają się. No i w Avalonie plotki szybko się rozchodzą.

— Bez względu na powód, cieszę się. — Madeline spróbowała herbaty. — Całkiem dobra! — dołała wszystkim i usiadła wygodnie. — Przez pierwsze miesiące naprawdę się martwiłam. Zamrażarka na dole jest pełna wypieków, szkoda wyrzucać. Miejscowy bank żywności przyjmuje tylko niepsujące się produkty, a ja lubię piec świeże. To będzie zapas na czarną godzinę.

Hannah przypomniała sobie o zakwasach, sięgnęła do torby i wyjęła z niej cztery zamykane torebki.

— Nie chcesz jednej zatrzymać? — spytała Julia.

Chciałyby, ale nie była pewna, czy w przyszłym tygodniu będzie miała ochotę na pieczenie.

— Zjedzenie tych dwóch bochenków zajmie mi całą wieczność, poza tym wolę czekoladę. — Ugryzła kawałek ciasta zaskoczona, że jest takie nasączone, niemal rozplywa się w ustach. — Boskie! Może kiedyś spróbuję upiec brownie?

Madeline uśmiechnęła się przekornie.

— Zabawne, że o tym mówisz. Użyłam do tego ciasta torebki zakwasu chleba przyjaźni.

— Naprawdę? — Znów odgryzła kęs. Pyszne; jeśli upieczenie nie wymaga specjalnych umiejętności, chciałyby spróbować. — Jeżeli nie jest trudne, poprosiłabym o przepis.

— Ja też — dodała Julia.

— Proszę bardzo. Zapewniam was, że jest zaskakująco proste. Jeśli upiekłyście chleb przyjaźni, z tym poradzicie sobie łatwo.

Hannah spojrzała niepewnie na Julię.

— W takim razie mogłabym jednak poprosić o jedną torebkę? Twojej córce nie będzie przykro?

— Oczywiście, że nie. — Julia oddała jej zakwas. — Gracie będzie się cieszyć z każdej nowej torebki, którą będzie mogła wziąć do szkoły.

— Bardzo chciałabym ją poznać — powiedziała Madeline. — Musisz mi obiecać, że kiedyś ją przyprowadzisz, Julio. Myślałam o tym, żeby urządzić popołudniowe przyjęcia dla małych dziewczynek albo w weekendy urodziny. Mogłabym przetestować moje pomysły, gdyby przyszła tu twoja córka.

— Gracie będzie wniebowzięta. — Julia uśmiechnęła się szeroko. — Tylko obawiam się, że potem nie będzie chciała wyjść.

— Masz jeszcze jakieś dzieci? — Julia wyglądała na kobietę, która ma kilka pociech. Hannah wyobraża sobie, jak Julia opanowuje rodzinny chaos niczym policjant na skrzyżowaniu, jak z uśmiechem pakuje dzieci do minivana.

Przez twarz Julii przemknął cień, wbiła wzrok w filiżankę. W jednej chwili

straciła humor. Hannah chciałaby cofnąć swoje słowa, żałowała, że zepsuła tę chwilę radości. Ramiona Julii zeszywniały, Hannah miała wrażenie, że ona zaraz wstanie i wyjdzie.

Ale Julia została. Podniosła oczy na Hannah.

— Tak. Mam syna.

Rozdział 8

Jeśli nie spotykasz się z nikim, nie musisz o tym mówić. Od bardzo dawna Julia nikomu o tym nie opowiadała, wszyscy w Avalonie znali jakąś wersję tego, co się wtedy zdarzyło.

Julia czuła, że pytanie i oczekiwanie wiszą w powietrzu. Głos miała niepewny, drżący, gdy zaczęła mówić cicho. Nie wiedziała, ile zdoła opowiedzieć. Ale słowa wylewały się falą.

Potem zapadła cisza. Julia nie wierzyła, że właśnie opowiedziała o wszystkim, co wiązało się ze śmiercią Josha. Nigdy o tym nie rozmawiała, nawet z Markiem, a gdy ktoś ją o coś pytał, po prostu wstawiała i wychodziła.

Madeline odezwała się pierwsza.

— Tak bardzo mi przykro, Julio. — Ujęła jej dłonie w swoje. Pomarszczona skóra starej kobiety była delikatna. Jak balsam. Hannah wyglądała na oszołomioną, oczy miała pełne łez. Julia знаła tę reakcję, ten szok, gdy ludzie słyszą o Joshu po raz pierwszy. Hannah nie potrafiła wykrztusić ani słowa; to, że nie starała się wypełnić ciszy słowami, sprawiało ulgę.

Madeline oczy miała utkwione w Julię, gdy ta cofnęła ręce, żeby wytrzeć łzy. Nagle poczuła się strasznie zmęczona. Chciałaby zasnąć.

— Tak mi przykro. — Hannah wzięła chusteczkę od Madeline i wydmuchiwała nos. — Ja... nie wiem, co powiedzieć.

Julia popatrzyła na młodą kobietę, która próbowała przestać płakać i nie mogła.

— W porządku, Hannah. — Kiedyś strasznie działało jej to na nerwy, gdy ludzie opłakiwali śmierć Josha, jakby to była ich rozpacz, jakby się spodziewali, że Julia będzie ich pocieszać. A teraz jest inaczej.

Madeline zostawiła je na chwilę, musiała zająć się klientami. Obiecała, że zaraz wróci, przytuliła Julię mocno i pocałowała w czubek głowy.

Zmęczenie mija. Julia nagle zdała sobie sprawę, że oto siedzi przy stoliku przykrytym niebieską per— kalową serwetą, a w dłoni trzyma chłodną filiżankę. Zauważa stylową solniczkę i pieprzniczkę, fioletowe krokusy w szklanym wazoniku. Dawniej takie zmęczenie zawładnęłoby nią na wiele dni i jedyne, do czego byłaby zdolna, to powlec się do łóżka. A dzisiaj zmęczenie przyszło i odeszło. Czuła pustkę w piersi, czuła się krucha jak skorupka jajka, ale jednak siedziała przy stoliku, piła herbatę i mówiła o Joshu.

Jest zszokowana.

Madeline wróciła do stolika z nowym imbrykiem herbaty. Zostały w salonie same i Julia spostrzegła, że Madeline przekręciła tabliczkę na drzwiach na „Zamknięte” po wyjściu ostatniego klienta.

Te kobiety nie znały Julii, nie znały Josha, a mimo to czuła się tak, jakby

podzielały jej rozpacz.

Trzy kobiety siedziały w ciszy, dając sobie czas, zanim zaczną cicho mówić o sprawach serca, o których nie da się zapomnieć.

Doktor Norma Meehan, 37 lat, terapeutka

— Wyrzuć to z siebie — zachęca Norma. — Jak się wtedy czułaś?
— Odchyliwszy się na oparcie, spogląda dyskretnie na mały zegarek za głową klientki. Jeszcze czterdzieści minut.

— Okropnie, pani doktor! — szłocha Phyllis Watts, ściskając chusteczkę.
— Powiedziałam mu, że nie chcę przedłużonej gwarancji, ale on nie słuchał. Oświadczył, że jest mi potrzebna i po prostu mi ją wypisał! Co za tyran!

Doktor Meehan mlaska językiem. Ten dźwięk ma zapewnić Phyllis, że ją słucha i że współczuje, nie osądzając tego, co się stało.

— I co wtedy?

— Powiedziałam mu, że nie mam zamiaru płacić za przedłużoną gwarancję, ponieważ przeczytałam w czasopiśmie dla konsumentów, że nie jest ona konieczna. A wtedy on... on... — Wzburzenie i złość powracają, Phyllis oddycha płytko, urywanie.

— Co zrobił, Phyllis?

— Roześmiał się! Wysłałam ze sklepu, żeby dać mu nauczkę, ale problem w tym, że naprawdę podoba mi się ten nowy odkurzacz, a tylko u niego można go kupić.

I jeśli chcę go mieć, muszę tam wrócić, a wtedy on znów mnie wyśmieje!

Doktor Meehan stłumiła ziewnięcie. Wczesne popołudnie, zaraz po lunchu, to dla niej najbardziej senna pora dnia.

— Nie powinien traktować klienta w ten sposób! — wykrzyknęła Phyllis.
— Jestem człowiekiem! A przez niego poczułam się taka mała, jakbym nie miała o niczym pojęcia! Ale poszukałam informacji i wiem, że ten odkurzacz ma najwyższe oceny i był na pierwszym miejscu w kategorii „ekonomiczne”. Jestem taka zła, że mam ochotę w coś walnąć!

Doktor Meehan wyprostowała się.

— Chcesz w coś uderzyć?

— Tak! Może w poduszkę albo ten pani piankowy kij...

Doktor Meehan wstała i przeszła do małej wnęki

kuchennej przy gabinecie. Wróciła parę sekund później, podając Phyllis torebkę z zakwasem chleba przyjaźni amiszów.

— Śmiało! Ściśnij ją, ale mocno! Uwolnij się od frustracji! Tylko uważaj,

żeby nie pękła, narobiłaby straszego bałaganu.

Phyllis patrzy na torebkę, nie rozumiejąc.

— Mam ją ścisnąć?

— Tak jest! I przepiszę ci zalecenia. — Doktor Meehan zapisała coś szybko na kartce.

— Ale ja nie chcę brać żadnych lekarstw. — Phyllis jest zaniepokojona.

— To inny rodzaj zaleceń — zapewnia doktor Meehan i podaje jej przepis na chleb przyjaźni amiszów, dodając kilka wskazówek. — Ściśnij tę torebkę, uderz w nią, walnij lub skręć raz dziennie przez dziesięć dni. I musisz dodać pewne składniki w dniu szóstym, ale to zajmie tylko chwilę.

Phyllis robi wielkie oczy.

— To wszystko?

— Tak jest. I dziesiątego dnia, jeśli będziesz chciała, możesz upiec dwa bochenki chleba — jest naprawdę dobry.

— Ale w jaki sposób ma mi to pomóc?

Doktor Meehan nie wie, ale przynajmniej pozbyła się jednej torebki zakwasu. Jej klient przyniósł kilka kawałków chleba, a ona powiedziała nieostrożnie, że jest świetny. To błąd. Godzinę później w jej skrzynce leżała torebka zakwasu i przepis, zaś w powietrzu unosił się swąd spalonej gumy, świadczący o ucieczce klienta.

Czemu nie wpadła na to wcześniej? To przecież świetny sposób, żeby pozbyć się tych nadprogramowych torebek, zostawiając jedną dla siebie! Genialne.

— Tajemnica zawodowa — odpowiada. Dzisiaj ma jeszcze dwóch pacjentów, torebki z zakwasami będą już na nich czekać. — Po prostu zróbmy to, dobrze?

Rozdział 9

Na biurku leżał prezent, nieduże białe pudełko z wielką białą wstążką. Mark zdjął kurtkę i odwiesił na wieszak na drzwiach gabinetu, zastanawiając się, od kogo ten prezent, choć właściwie nie miał wątpliwości.

W biurze panowała cisza. Każdy pracował nad projektem, a Victor był na konferencji AIA (Amerykańskiego Instytutu Architektów) w Stambule. Coroczne spotkanie odbędzie się w Miami za parę miesięcy, ale Mark nie przypuszczał, żeby Victor zdążył wyrobić się przed czerwcem. Od dawna nie brał urlopu ani wolnego, zastępując Marka, i stwarzał wrażenie, że Gunther & Evarts działa tak jak zwykle. Tak było przez ostatnie pięć lat, a teraz, jakimś cudem, Mark poczuł wreszcie, że gotów jest wrócić. Dlatego wysłał Victora i jego żonę do Europy na dwa tygodnie; i teraz to on, Mark, jest za wszystko odpowiedzialny.

Nie widział dziś Vivian na siłowni... Nie żeby jej szukał; po prostu te nieformalne poranne spotkania stały się jakby rutyną. Zanim poszli ćwiczyć, każde do swoich przyrządów, mogli zamienić kilka słów; a w czasie treningu Mark miał świadomość, że Vivian jest w pobliżu, choć starał się nie szukać jej wzrokiem. Potem wpadali na siebie przy wyjściu, a dwadzieścia minut później w barze kawowym koło biura. Zdarzało się, że wchodzili do firmy w tym samym czasie w dobrej komitywie i z uśmiechem na twarzy; a to, co było do omówienia, już mieli omówione.

Zdawał sobie sprawę, jak cienka jest granica między przyjaźnią i czymś więcej, ale naprawdę doceniał energię i wigor Vivian. Miała błyskotliwy umysł i była nastawiona na sukces. Z tych właśnie powodów pewnego dnia ją stracą, odejdzie do innej firmy albo otworzy własną, ale na razie Mark cieszył się, że mają jej talent w Gunther & Evarts.

Odezwały się wyrzuty sumienia i zaczął myśleć o swojej żonie. Nie żeby potrzebował tego przypomnienia — niby dlaczego miałby potrzebować? Jest z Julią i myśli tylko o niej od dwudziestu dwóch lat i kocha ją od chwili, gdy spotkali się na Uniwersytecie Illinois w Chicago, w stołówce Student Center West. Zakochał się w niej od razu — w jej śmiechu, dzikich, niesfornych włosach, jej miłości do organizowania i reorganizowania wszystkiego.

— Ta— da! — zawołała pewnego dnia, gdy wrócił po zajęciach do pokoju w akademiku i stwierdził, że wewnątrz szafy wygląda zupełnie inaczej. Zobaczył ubrania, których nie widział od miesiący, wyprane i wyprasowane, wiszące rzędem. Powyginane druciane wieszaki Julia zastąpiła plastikowymi, uporządkowała ubrania, wszystkie koszule, spodnie, kurtki. Na drążku zawisała saszetka zapachowa.

— Nie musiałaś tego robić — powiedział Mark, w głębi ducha zadowolony.

Uniosła brew.

— Właśnie musiałam. Doprowadzało mnie to do szału. To był chlew.

Och.

— Nie było aż tak źle — bronił się Mark.

— Naprawdę? — Jakby tylko czekała na tę chwilę — pokazała coś na jego biurku. Leżało tam niedojedzone burrito, zawinięte w papier, z czuprynką pleśni.

— Znalazłam to w kieszeni twojej kurtki, ale zawsze mogę odłożyć na miejsce, nie ma sprawy. To też. — Wskazała głową na tani kosz na śmieci wypełniony różnymi obrzydlistwami.

Mark skrzywił się, a niełatwo wzbudzić w nim obrzydzenie. Julia roześmiała się, wyrzuciła burrito do śmieci

padła na łóżko — które zostało starannie zaścielone. Położył się obok niej i wsunął rękę pod jej koszulę, dotykając płaskiego, ciepłego brzucha.

— Chciałbym ci się jakoś odwdziżyć, ale obawiam się, że mógłbym zniszczyć to perfekcyjne zaścienienie.

Julia wyciągnęła się na łóżku.

— Śmiało.

Więc już się nie wahał.

Mark kocha ciało Julii, piegi rozsypane na jej nosie, jej jasną skórę czerwieniejącą na słońcu bez względu na ilość nałożonego balsamu. Kocha ją za to, że jest gotowa na każde wyzwanie, że jeśli chce coś osiągnąć, udaje jej się to. Przypomniał sobie, jak zaplanowała wyjazd na camping, Josh miał wtedy osiem lat. Kupiła wszystko: namiot, śpiwory, dmuchane materace, kuchenkę turystyczną, składany stolik i krzesła, przenośną toaletę, przeciwdeszczowe kurtki i buty, sprzęt do wędkowania

hamak. W wypchanej apteczce były środki na każdy nieszczęśliwy campingowy wypadek, który mógł przytrafić się Joshowi czy komukolwiek innemu; mieli nowe plecaki, wodoodporne latarki i radio.

A potem Julia skręciła kostkę. Byli w Johnson— Sauk Trail State Park zaledwie pięć minut, gdy potknęła się o korzeń na parkingu i upadła. Pojechali na ostry dyżur, jej kostka została prześwietlona i opatrzona, a potem wrócili do domu. Mark poszedł do apteki po tylenol, a gdy wrócił, namiot był już rozbity za domem, cała reszta rzeczy rozstawiona, Julia stała nad paleniskiem, wbijając jajka na żeliwną patelnię, a zadowolony Josh huśtał się w hamaku, czytając komiks.

Kocha Julię, kocha Julię, kocha Julię. Nawet po tym wszystkim, co się stało — tym odizolowaniu się, zamknięciu, dystansie — wciąż ją kocha. Ale powoli zaczynało do niego docierać, że kocha też swoje życie i gotów jest iść naprzód, nawet jeśli Julia nie jest gotowa.

Pudełko leżało na środku biurka niczym bezgłośna bomba.

Mark najpierw odsłuchiwał pocztę głosową, co zajęło mu więcej czasu niż zwykle, notował szczegóły każdej wiadomości, niektóre odsłuchiwał dwukrotnie, choć nie było takiej potrzeby. Włączył komputer, żeby sprawdzić, czy są jakieś ważne e—maile. Nie ma. Dopiero gdy uporządkował biurko i włożył plany do szafy na dokumenty^Awrócił do błękitnego pudełka.

Na kopercie widniało jego nazwisko napisane stal rannym pismem Vivian. Na grubym papierze zostały wytłoczone inicjały Vivian. Mark poczuł delikatny zapach, poznał jej perfumy.

Mark,

to drobiazg, by pogratulować ci zdobycia projektu Lemelina — wiedziałam, że ci się uda. Dziękuję, że mogę być częścią rodziny G&E.

Pozdrawiam, Vivian

Victor, Mark i Vivian spotkali się z Lemelinem wkrótce po tamtej kolacji w Roux, a potem pracowali non stop nad propozycją projektu jego nowej restauracji w Chicago. Lemelin zaakceptował projekt dwa dni temu i od tego czasu Mark był w euforii. Niespokojnej euforii, ponieważ wiedział, że Lemelin jest wymagającym klientem, który nie czuł się ograniczony godzinami pracy biura i dzwonił do Marka o każdej porze dnia i nocy, żeby dodać jakiś komentarz czy wprowadzić zmianę. Mark wiedział, że następne miesiące będą oznaczały pracę po nocach i kolejne dawki kofeiny, ale to go nie przerażało, ba, nawet cieszyło. Ten projekt jest tego wart i może wiele zmienić. Może zmienić wszystko.

Nie dzielił radości z Julią. Od śmierci Josha nie interesowała się jego pracą — nie dziwiło go to, nawet on dopiero niedawno wciągnął się w wir pracy. Julia nie straciła swojego potencjału, po prostu większość rzeczy uważała za przytłaczające lub nieistotne. Gdyby mogła, ograniczałaby się do niezbędnego minimum.

Jedna z terapeutek, kobieta, która nosiła klapki i powłóczyste suknie, zasugerowała delikatnie, że być może Julia nie robi nic, bo nie musi — Mark robił wszystko za nią, nim zdążyła o tym pomyśleć. „Gdy człowiek traci rękę, czuje się bezradny, dopóki nie uświadomi sobie, że może używać drugiej ręki”, powiedziała mu wtedy. Mark patrzył na nią bez słowa, nie znosił metafor. „Jeśli zostawi się ją samą sobie, Julia być może zdoła sobie pomóc”, wyjaśniła kobieta.

Niewykluczone, ale to „może” Markowi nie wystarczało. Może tak, a może nie. Początkowo wyglądało to jak coś nieistotnego, coś, co kochający mąż powinien .zrobić dla swojej żony — pomagać tam, gdzie się dało, próbować i starać się.

Ale teraz Mark pomyślał, że może tamta hipisowska terapeutka miała rację... Wpakował się sytuację, z której nie było wyjścia. Chciałby zmienić to, co się stało rutyną, ale jak?

Nie powiedział Julii o projekcie Lemelina, ponieważ się bał — nie tyle reakcji, ile jej braku. Nie zniósłby obojętności. Nie chce nawet myśleć, co mógłby poczuć, czy zrobić, gdyby Julia przyjęła tę wiadomość bez emocji.

Pudełko wciąż leżało cierpliwie na biurku; wreszcie postanowił je otworzyć.

Biała satynowa wstążka opadła lekko, gdy zdjął pokrywkę. W środku był woreczek; Mark wsunął rękę do środka i natrafił na coś zimnego i twardego — po chwili wyjął okazały srebrny kompas.

Na wieczku zobaczył wygrawerowane swoje inicjały, na krawędzi widniał napis *925 T7CO 1837*. Nie wiedział, ile kosztuje taki kompas, ale ocenił go na kilkaset dolarów. Tak czy inaczej, to jeden z najelegantszych i drogich prezentów, jakie kiedykolwiek dostał. Kiedy Vivian zdążyła go kupić w tym całym zamieszaniu?

Ktoś zapukał do drzwi i usłyszawszy „proszę”, do środka weszła jego sekretarka, pięćdziesięcioczeroletnia Dorothy Clements.

— Dzień dobry. — Jak zwykle wpatrywała się w notes. Cała Dorothy, zawsze skoncentrowana na listach spraw do załatwienia, upewniająca się, że nie przegapiła żadnego drobiazgu. Jej zadaniem jest orientowanie się w załącznikach wszystkich innych, co było nieocenione, gdy Mark przychodził do biura nieobecny duchem. Trzymał go w kursie tego, co się działo, co się naprawdę działo, gdy jego rola ograniczała się do przychodzenia do biur i podpisywania listy płac.

Nie skomentowała prezentu na jego biurku, nie okazała najmniejszego zainteresowania.

— Victor dzwonił wcześniej rano, mówił, że wszystko w porządku i przesyłał pozdrowienia. Pytał, czy miałeś okazję porozmawiać z Tedem Morrowem, który prowadzi ten nowy projekt budowy domów w Edison. Victor twierdzi, że Ted miał świetną prezentację przyjaznej dla środowiska architektury modułowej, która pojawiła się nawet na YouTube.

Architektura modułowa? Litości! Mark nie był snobem, ale uznał, że mimo wszystko mają więcej ambicji i domy z prefabrykatów nie wpisują się w ich styl. Za to projekt Lemelina jak najbardziej.

Spostrzegł smugę na srebrnej powierzchni kompasu; i delikatnie wytarł ją woreczkiem.

— Dobrze, zadzwonię do niego.

— Victor mówił, że sam by z nim porozmawiał, ale Ted chce się skontaktować z tobą, posłuchać twoich pomysłów. — Udawała, że pisze coś w notesie, gdy Mark podziwiał kompas. — Jeśli nie masz do niego dzwonić, powiedz o tym Victorowi.

— Uhm. — Kiwnął głową.

Dorothy chrząknęła.

— Bo jeśli nie masz zamiaru, byłoby miło, gdybyś powiadomił o tym Victora.

Popatrzył na nią zirytowany.

— Dorothy, mam zamiar skontaktować się z Tedem.

Nie spuszczała z niego wzroku.

— Kiedy? Minęły już dwa tygodnie.

— Może nie zauważyłaś, ale to były bardzo pracowite dwa tygodnie.

— On również rzucił jej ostre spojrzenie. Nawet cieszyła go ta przekomarzanka. Jak za starych czasów... Brakowało mu tego. — Po prostu chciałem najpierw porozmawiać z Victorem, ale nie mogę załapać tej całej różnicy czasu.

— Turcja jest siedem godzin do przodu.

— Zrozumiałem.

Dorothy poinformowała go jeszcze o kilku rzeczach, zasugerowała urządzenie skromnej imprezy w biurze dla uczczenia projektu Lemelina — szampan, ciasto, bilety do kina, coś w tym stylu. Przyznał, że to świetny pomysł.

Dorothy, wychodząc, zatrzymała się przy drzwiach.

— Aha, Vivian poszła do domu, jest chora. Grypa żołądkowa — uściśliła z tajemniczym wyrazem twarzy. A może Mark ma przywidzenia?

Gdy wyszła, rzucił się do telefonu, wykręcił numer Vivian. Była kluczowym członkiem zespołu przy załatwianiu projektu Lemelina, nie ma sensu urządzić przyjęcia bez niej.

Odebrała po trzecim sygnale.

— Cześć. — Zabrzmiało słabo.

— Cześć. — Odchrząknął. Nagle poczuł pustkę w mózgu, nie miał pojęcia, co powiedzieć. — Jak się czujesz?

— Szczerze? Koszmarnie. Chyba złapałam jakiś wirus.

— Przykro mi. — Vivian zawsze jest taka twarda; dziwne słyszeć ją taką przybitą.

— Zdarza się. Niedługo przejdzie. — Miał rację, jest twarda jak zwykłe.

— Mógłbym coś dla ciebie zrobić? — zaproponował bez zastanowienia i poczuł ulgę, gdy Vivian powiedziała, że nie.

— Znalazłeś mój prezent? — spytała. — Zostawiłam wieczorem.

Spojrzał na kompas. Czerwona strzałka jest nad E, przekręcał kompas, dopóki igła nie zaczynała wskazywać N.

Zignorował natrętne wspomnienie o Julii, która uczyła się posługiwać kompasem przed ich pamiętnym wyjazdem na kemping kilka lat temu. Nie mógł jej zmusić, żeby przestała mówić „lewo” i „prawo”, co oczywiście zmieniało się w zależności od miejsca, w którym się znajdowała. Strony świata są bardziej

stałymi punktami odniesienia, nie zależą od tego, w którym kierunku idziesz.

— Znalazłem. Nie musiałaś... Nie trzeba było...

— Wiem, że nie. Ale gdy tylko go zobaczyłam, od razu pomyślałam o tobie. Pasuje do ciebie.

— W razie gdybym się zgubił na pustkowiu? — Próbował żartować.

Głos Vivian był zmęczony, ale poważny.

— W razie gdybyś kiedykolwiek potrzebował odnaleźć kierunek.

Chwilę niezręcznej ciszy przerwał Mark:

— Wiesz, Dorothy i ja myśleliśmy o tym, żeby któregoś dnia napić się szampana z całym zespołem, rozdać bilety do kina czy coś takiego. Ale wolałbym poczekać, aż poczujesz się lepiej i będziesz mogła wrócić do pracy.

— To miło z twojej strony.

— Wiesz, nie zdobylibyśmy tego projektu bez ciebie.

— Po co on tyle gada? Czemu to powiedział?

— Mam nadzieję, że to tylko jednodniówka. Ale na wszelki wypadek zaplanuj imprezę na pojutrze.

— Pojutrze — powtórzył, zapisując na kawałku papieru.

— Dobrze, super. Dbaj o siebie i odpoczywaj.

— Mark. — Głos Vivian, zupełnie matowy, jakby przypominał zmęczeniem głos Julii. — Właściwie jest coś, co mógłbyś dla mnie zrobić, skoro już zaproponowałaś.

Cholera. Miał ochotę odłożyć słuchawkę i jednocześnie chciał się dowiedzieć, czego ona chce.

— Może kupiłbyś mi wodę gazowaną z cytryną? Albo bagietkę? Potrzebuję czegoś lekkiego, żeby uspokoić żołądek. Wyszłabym sama, ale boję się prowadzić. Jeśli nie możesz, oczywiście zrozumiem...

Zastanawiał się nad jakąś alternatywą, ale nic nie przychodziło mu do głowy. No dobra.

— Nie, to żaden problem — zapewnił. Kupi, co trzeba, podrzuci jej i dziesięć minut później będzie już jechał do domu. Nie da się wciągnąć w rozmowę czy oglądanie domu, chociaż ciekawi go, jak mieszkają takie kobiety jak Vivian.

Wy tłumaczyła mu, jak dojechać, a on obiecał wpaść na chwilę po pracy, akcentując to „na chwilę”.

— Oczywiście — odparła. — Być może zasnę, więc gdybym nie otwierała, nie przejmuj się. Po prostu zapukaj, a gdybym nie podeszła, zostaw wszystko pod drzwiami. Wielkie dzięki, Mark.

Kończąc rozmowę, odetchnął z ulgą, a potem parsknął śmiechem. Ale z niego kretyn! Vivian wcale się nim nie interesuje, jest dla niej za stary, jest żonaty, na pewno widziała Julię... Zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć.

Możliwe, że się nie widziały, zresztą co za różnica. Vivian jest zawodowcem, zależy jej na dobrych relacjach z współpracownikami i przełożonymi. Dlatego jest taka dobra w tym, co robi, dlatego klienci ją uwielbiają.

Telefon znów zadzwonił, tym razem to współpracownik. Mark przełączył uwagę na pracę, cieszył się, że znów czuje puls interesów, rytm życia.

Kuchnia wygląda jak pobożowisko. Mąka jest wszędzie, w zlewie piętrzą się naczynia, powietrze jest słodkie i ciepłe. Cztery bochenki chleba amiszów stygną na kratkach, dwa kolejne są w piekarniku.

Panuje chaos, ale jest wspaniale.

Gracie biega na bosaka, na pokrytej mąką podłodze widać ślady stopek. Bardzo chciała mieć taki fartuszek jak Julia, ale Julia ma tylko jeden, w dodatku za duży na Gracie, dlatego tworzy coś ze ścierki do naczyń i wstążki, pomagając sobie zszywaczem. To proste i szybkie rozwiązanie wprawia Gracie w ekstazę, Julia czuje się nawet odrobinę dumna z siebie.

Torebek zakwasu zaczęło być zbyt dużo. Gracie zaniósła kolejne trzy do szkoły w zeszłym tygodniu i w tym tygodniu planowała zanieść następne, jednak inne dzieci również wpadły na ten sam pomysł i teraz w małej szkółce Montessori krąży ponad dwadzieścia torebek chleba przyjaźni amiszów. Inne dzieci dostały od matek zakaz przynoszenia do domu kolejnych zakwasów, więc rozczarowana Gracie przyniosła swoje z powrotem.

Dlatego teraz pieką.

Dokarmianie czterech torebek przez najbliższe kilka dni zaowocowałoby szesnastoma torebkami pod koniec procesu, dlatego Julia podjęła męską decyzję i postanowiła zużyć, ile się da, by nie dopuścić do niekontrolowanego rozmnożenia zakwasu. Zostawia sobie tylko jedną torebkę, przyzwyczała się do posiadania zakwasu, do regularnego pieczenia.

Mark będzie mógł zabrać kilka bochenków do biura, inne rozda sąsiadom; w przyszłym tygodniu będzie miała trzy torebki zakwasu, którymi może obdarować jakieś szczęśliwe osoby i wszystko wróci do normy.

Wymienia się przepisami z Madeline, a Hannah surfuje po internecie w poszukiwaniu nowych możliwości wykorzystania zakwasu. Julia lubi te ich codzienne rozmowy telefoniczne, nawet na nie czeka. Wczoraj Madeline zaproponowała, żeby spotykały się co najmniej raz na dziesięć dni, wtedy gdy wypada podział zakwasu i pieczenie — czyli właśnie dzisiaj. Spotkają się po zamknięciu salonu herbacianego; Mark zgodził się wrócić wcześniej do domu i zająć Gracie; Julia nie może się już doczekać.

Słońce wpada do kuchni. Nie, stanowczo nie ma ochoty zmywać teraz tych wszystkich naczyń, woli zrobić coś innego. Widzi, że Gracie przeskakuje z jednej nogi na drugą i wyciąga rękę, by włączyć radio.

Leci piosenka starego dobrego „Crosby, Stills and Nash”^{*3} i chociaż Gracie

jej nie zna, zaczyna tańczyć, wymachując rękami.

Julia patrzy na nią i śmieje się. Gracie usiłuje śpiewać, ale spóźnia się o jedną linijkę; Julia czuje, jak jej serce rośnie i niemal zaczyna boleć. Ale nie może przestać się śmiać, nie może się nie uśmiechać. Czuje się szczęśliwa — szczęśliwa! Gdy nie myśli o niczym innym, koncentruje się na tej chwili — na kuchni przysypanej mąką, na „To much love to hide” — jest szczęśliwa. Śmiała się już wcześniej z Gracie i ostatnio z Hannah i Madeline, ale zawsze czuła jakąś blokadę. A teraz ma wrażenie, że coś w niej się otworzyło.

Dlatego też unosi ręce i zaczyna tańczyć.

Mark wszedł po schodach do mieszkania Vivian, w sympatycznym bloku na osiedlu tuż za miastem, bardziej wielkomiejskim i nowocześniejszym niż stare domki w Avalonie. Kupił bagietkę i wodę perrier, choć sprzedawczyni nie polecała napojów gazowanych osobie z gripą żołądka. Zaproponowała mu sok jabłkowy, więc wziął go również, a potem przypomniał sobie, że gdy Gracie miała atak grypy żołądkowej w zeszłym roku, jadła wyłącznie banany, mus jabłkowy i słone krakersy, więc to też kupił.

Postanowił, że nie będzie w ogóle pukał do drzwi, po prostu zostawi torbę na progu, a potem zadzwoni do Vivian, żeby dowiedzieć się, czy ją wzięła. Czuł się głupio, że w ogóle tu jest, ale tłumaczył sobie, że gdyby Victor czy Dorothy byli chorzy, zrobiliby to samo; nie ma różnicy.

Gdy dochodził do końca schodów, drzwi otworzyły się i stała w nich Vivian, skromnie ubrana w jedwabny szlafrok i wyjątkowo urocze, puchate kapcie. Włosy miała związane w węzeł i spięte na czubku głowy — nawet w tej domowej wersji, nawet chora, wyglądała bardzo ładnie. Ale była blada i chociaż się uśmiechała, Mark widział, że czuje się podle.

— Pomyślałam, że to pewnie ty, nie chciałam, żebyś uciekł, zanim ci podziękuję.

— Och. — Mark wahał się, czy dać jej torbę, była dość ciężka z napojami. — Mogę to gdzieś postawić?

— Proszę. — Odsunęła się i Mark wszedł do domu.

Uderzyły go czystość i zorganizowanie tego wnętrza.

Cała Vivian. Mieszkanie miała ładnie urządzone (niczego innego się nie spodziewał), widać, że każda decyzja dotycząca wystroju została starannie przemyślana. Na kanapie zauważył zielony, szenilowy koc, widocznie tu leżała Vivian. Dostrzegł odcisk jej ciała na poduszkach i szybko odwrócił wzrok.

To mieszkanie drastycznie różniło się od jego domu, pełnego zabawek Gracie i zdekompletowanych mebli w różnym stopniu zużycia. Planowali kupić nowy ze—

staw do salonu i pomalować ściany, ale z oczywistych powodów nigdy do tego nie doszło.

Ich dom stanowi antytezę jego pracy zawodowej, której myślą przewodnią jest połączenie piękna i funkcjonalności, by stworzyć życiową przystań. Znał dowcipy o tym, co architekci robią i czego nie robią, i chociaż nie nosił czarnych golfów i modnych okularów (ma doskonały wzrok) i tak uważał się za idealny przykład. Po prostu zapomniał o tym przez ostatnie kilka lat.

Położył torbę z zakupami na granitowym blacie w kuchni. Zdumiała go otwarta kuchnia, w klasycznym stylu szejkerskim z eleganckim zwrotem ku minimalizmowi. Orzech nadawał kuchni wrażenie ciepła i przytulności, a stalowe wyposażenie — hipernowoczesny wygląd. Odchylił głowę i przyglądał się designerskiej rozgałęzionej lampie zwisającej z sufitu.

— Wymaga dwudziestu czterech żarówek. — Vivian zajrzała do torby z zakupami i wyjęła butelkę wody.

— Zamówiłam lampę dla pani McAllister, ale nie zaakceptowała jej. Zadzwoiłam do dostawcy i zaoferowałam mi ją po kosztach. Nie chciał się kłopotać całą procedurą przyjmowania zwrotu towaru.

— Aha. Więc wkręciłaś się do biznesu, żeby przy okazji urządzić sobie dom?

— Nie chcę kłamać. Urządzenie domu jest dla mnie tym, czym buty dla niektórych kobiet. — Wyjęła dwie szklanki. — A Julia? Lubi buty? — Nalała wody do szklanek i podała mu jedną.

Vivian zaczęła u nich pracować kilka lat po śmierci Josha i na pewno słyszała całą historię od kogoś z biura. Nigdy nie rozmawiał o tej sprawie z nikim z pracy, z wyjątkiem Dorothy i Victora, i nie miał zamiaru robić tego teraz. Nie wiedzieć czemu, to pozornie niewinne pytanie o Julię nastroiło go obornie. A potem przypomniał sobie — miał być wcześniej w domu, przypilnować Gracie, żeby Julia mogła wyjść! Przeżył szok, gdy go o to poprosiła, zgodził się od razu, nie spytał nawet, dokąd się wybiera. A teraz był spóźniony.

— Dziękuję za wodę, ale muszę iść. Mam nadzieję, że niedługo poczujesz się lepiej. I jeszcze raz wielkie dzięki za prezent. Jest piękny, naprawdę nie musiałaś — dodał, idąc do drzwi.

— Wiem, już mówiłeś. — Vivian odprowadziła go. — Po prostu chciałam to zrobić, okej? — Przechyliła głowę i uśmiechnęła się, kładąc mu rękę na ramieniu.

Poczuł uderzenie adrenaliny. Odwrócił się szybko i jej ręka zsunęła się niby przypadkiem. Podszedł bliżej drzwi; żałował, że w ogóle wszedł do środka.

— W porządku. Mówię tylko, że to nie było konieczne. To bardzo miły gest, znaczy, że o mnie myślałaś i...

— Rany! — Vivian śmiała się, kręcąc z niedowierzaniem głową. — Mark, to nie pierścionek zaręczynowy, to tylko kompas! Nie musimy o tym rozmawiać, ale na wszelki wypadek, jeszcze raz — nie ma za co.

Patrzył na nią speszony, zakłopotany swoim zachowaniem.

— W porządku. — Otworzył drzwi.

Vivian klepnęła się dłonią w czoło.

— Byłabym zapomniała! Mam kartę zniżkową na występy Chicagowskiej Orkiestry Symfonicznej. Może chciałbyś się kiedyś wybrać? Daje wstęp na wszystkie przyjęcia po koncertach...

— Vivian. — Teraz wszystko stało się jasne. Był jej niemal wdzięczny, że to powiedziała; mógł mówić otwarcie.

— Przykro mi, ale nie mogę. Jesteś wspaniałą kobietą i nieocenionym pracownikiem dla G&E, ale nie powinienem umawiać się z tobą poza biurem. Moja żona...

— Twojej żony to nie obchodzi — odparła spokojnie, nie odrywając od niego wzroku.

Markiem wstrząsnęła jej zuchwałość.

— Obchodzi ją to — powiedział twardo i wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi.

— Spóźniłeś się! — Julia gotowała się ze złości, w ciągu ostatniej godziny jej niepokój przerodził się w furję. — Mówiłam, żebyś był koło piątej, a jest prawie szósta! — Grzebała w torbie, szukając czegoś.

— Przepraszam, przepraszam... — Mark miał minę winowajcy.

Julia sprawdziła godzinę.

— Boże! Już byłam gotowa do wyjścia, a teraz... Gdzie są moje kluczyki? Widziałeś je? — Miała je jeszcze przed chwilą, a teraz nie mogła znaleźć. Wysypała zawartość torby na stolik w przedpokoju; długopisy, miętówki, kawałki papieru, drobniaki, chusteczki odświeżające, tampony, plastry, gumki recepturki, okulary przeciwsłoneczne, zabłąkany kolczyk, pomadka, portfel, znaczki, agrafki, gumki do włosów, taśma samoprzylepna, ibu— prom.

— Mogłaś zadzwonić i mi przypomnieć — zaczął niepewnie Mark. Odsunął na bok zatyczki do uszu i paczkę nasion ogrodowych, próbując pomóc szukać kluczyków.

Julia otworzyła i zamknęła usta, bała się tego, co mogłaby powiedzieć. Dobry nastrój prysnął, teraz chciała już tylko wyjść z tego domu, który więził ją przez ostatnie pięć lat. Nigdy przedtem tak się nie czuła, a teraz nagle myśl o pozostaniu w domu doprowadza ją do szaleństwa.

— Są! — Podniosła kluczyki, wrzuciła wszystko do torby. Zarzuciła ją na ramię i zrobiła głęboki wdech. Nadal ma przed sobą kilka godzin z Madeline i Hannah — wszystko jest w porządku. Złość minęła, teraz Julia czuła pustkę i wyrzuty sumienia, że nawrzeszczała na Marka.

— Przepraszam... Ja tylko... Przepraszam, przesadziłam. — Pokręciła głową. Mark robi dla niej tyle rzeczy... Zdawała sobie z tego sprawę i czuła się

winna, wstyd. Dlatego tak ciężko jej zostać w domu, patrzeć na jego skruszoną minę.

Marka chyba to zaskoczyło, miał dziwny wyraz twarzy.

— W porządku. Nie powinienem być się spóźnić.

Poczuła się jeszcze gorzej. Wiedziała, że Mark chciałby powiedzieć coś jeszcze, że mogłoby się to przerodzić w długo odkładaną rozmowę, ale w tej chwili chciała jak najszybciej wyjść.

— Gracie jest już wykąpana.

Wyglądał na zdumionego. Prawdę powiedziawszy, nie wykąpałaby Gracie, gdyby nie to, że dziewczynka była cała w mące i czekoladzie — wstawienie jej do wanny i umycie wydawało się najprostszym rozwiązaniem. Gracie pachniała tak słodko, że Julia posadziła ją sobie na kolanach i wdychała jej zapach; teraz oglądała video. Mark poszedł za Julią do wyjścia.

— Dokąd się wybierasz?

Zignorowała pytanie. Nie chciała się tłumaczyć, opowiadać o tych kobietach, jeszcze nie teraz.

— Możesz wziąć kilka bochenków chleba przyjaźni jutro do biura. Jeden jest już pokrojony, możecie zjeść, zanim Gracie pójdzie spać, tylko dopilnuj, żeby potem umyła zęby.

— Och. Dobrze. Miło z twojej strony. — Uprzejmość Marka peszy ją; przez chwilę niezręcznej ciszy patrzą na siebie. Dzieli ich kilkanaście centymetrów i Mark ma w oczach nadzieję, Julia zna język jego ciała, wie, że zaraz ją pocałuje. Ale jak to? Nie uprawiali seksu od bardzo dawna, dwa razy w ciągu ostatnich pięciu lat. Nawet nie całowali się już w usta... Mark zrobił krok do przodu, ale Julia cofnęła się, serce waliło jej jak oszalałe, gdy otwierała drzwi.

Uciekła, gdy Mark nachylił się do niej; z ulgą wsiadła do samochodu. Odjeżdżając, widziała jego cień w drzwiach.

Rozdział 10

Hannah cieszyła się na spotkanie z Julią i Madeline. Właściwie nie przestawała o tym myśleć od ich ostatniego spotkania dziesięć dni temu. To jedyna rzecz, która pozwala jej przetrwać, nie oszaleć od myśli o rozpadającym się związku.

W zeszłym tygodniu Philippe dzwonił i zostawił wiadomość na sekretarce: chciał porozmawiać o ich kontaktach bankowych. Gdy wreszcie zebrała się na odwagę, żeby oddzwonić, słuchawkę podniosła kobieta.

— Kto mówi? — spytała Hannah. Odpowiedziała jej cisza, potem rozległ się sygnał zajętości.

Zadzwoiła znowu, wkurzona. Tym razem odebrał Philippe.

— Hannah! — zawołał, jakby cieszył się, że ją słyszy. — Co u ciebie?

Odłożyła słuchawkę. Była wściekła, piekły ją łyzy. Gdy usłyszała z komputera dźwięk powiadamiający o nowej wiadomości, wyciągnęła wtyczkę z gniazdka i poszła do kuchni.

Kuchnia powoli stawała się jej przystanią. Nie była duża, może właśnie dlatego Hannah ją lubiła, nie czuła się tu zagubiona i miała wszystko w zasięgu ręki. Jej chicagowskie mieszkanie miało zaskakująco dużą, profesjonalną kuchnię (poprzedni właściciel był kucharzem), ale oboje z Philippe'em używali tam jedynie mikrofalówki. Hannah zawsze czuła onieśmienie wobec olbrzymiej lodówki ze stali nierdzewnej, ogromnych palników na kuchence wolfa. W Avalonie skromna, przytulna kuchnia była miejscem, gdzie można odgrzać sobie zupełną pomidorową czy zrobić kanapkę.

Zwykle, jeśli tylko nie bolały jej plecy, zaczynała dzień od gry na wiolonczeli. Jednak teraz, coraz bardziej oddalając się od Philippe'a, rzadko miała ochotę, żeby wejść do pokoju muzycznego i grać. Spędzała dużo czasu w kuchni, zapoznawała się z każdym urządzeniem, każdym pudełkiem przypraw, z każdym sprzętem. Wiedziała, gdzie co jest i teraz mogła powiedzieć, że ta kuchnia naprawdę była jej kuchnią.

Dzisiejszy ranek zaczął się wspaniale. Wprawdzie od razu po obudzeniu pomyślała o mężu, ale chwilę potem przypomniała sobie, że miała dziś wypróbować przepis Madeline na brownie. Poszła w piżamie do kuchni, umyła ręce i wzięła się do pracy.

Wiedziała już, co ma robić, nie czuła się całkiem bezradna jak dziesięć dni temu. Zawsze tak jest, gdy robisz coś po raz kolejny — czujesz się pewniej i radzisz sobie coraz lepiej. Niektórzy słynni muzycy byli średnio uzdolnieni, ale nadrabiali braki ciągłymi ćwiczeniami, a inni, naprawdę utalentowani, z powodu lenistwa marnowali talent i nie dochodzili do niczego. Hannah wie lepiej niż ktokolwiek inny, że trening czyni mistrza, teraz musi tylko pamiętać, że ta sama zasada panuje w kuchni.

Pewną ręką dodaje mąkę, cukier i mleko, a potem dzieli ciasto: jedna porcja dla niej, trzy do torebek. Dalej postępuje według przepisu Madeline, jej kuchnia wypełnia się zapachem gęstej czekolady.

Ciasto się piecze, a Hannah przygotowuje torebki. Mieszka tu od kilku miesięcy, ale nie miała jeszcze okazji oficjalnie poznać sąsiadów. Z nich dwojga to

Philippe był duszą towarzystwa, dla niej poznawanie nowych ludzi czy rozpoczęcie rozmowy z nieznanym graniczyło z niemożliwością. Dlatego właśnie niespodziewana przyjaźń z Madeline i Julią jest niezwykle cenna. Nie może

się już doczekać, kiedy spotkają się późnym popołudniem.

Nie kseruje ani nie drukuje przepisu, wyjmując pudełko z papeterią i pisze przepis odręcznie. Dodaje własne uwagi, dopisując z tyłu przepis na brownie.

Ciasto już zostało wyjęte z piekarnika i teraz stygnie, Hannah myje się i przebiera. Potem zawija trzy duże czekoladowe prostokąty w woskowany papier i idzie do drzwi.

Najbliższą sąsiadką Hannah po prawej stronie jest Marion Krum, zmęczona matka dwójki niemowlaków. Marion bierze Hannah za uczennicę liceum sprzedającą batoniki. Czy uczennice sprzedają batoniki? Poza tym, Hannah ma prawie trzydzieści lat! Wie, że za sprawą azjatyckich genów wygląda młodo, ale bez przesady! Siłą woli zachowuje powagę i opowiada o chlebie przyjaźni.

Następny jest Joseph Sokołowski, mechanik samochodowy, pracujący na pół etatu. Jego przedpokój obwieszony jest tablicami rejestracyjnymi i starymi kołpakami, wypolerowanymi do blasku. Grzecznie zaprasza ją do środka i częstuje filiżanką espresso, która smakuje jak pomyje.

Kobieta mieszkająca dom dalej stanowczo odmawia przyjęcia zakwasu, zanim Hannah w ogóle zdąży coś wyjaśnić. Ostatni sąsiad, Henry Tinklenberg, jest Afro— amerykańcem w podeszłym wieku, emerytowanym bagażowym United Airlines. Hannah podoba się sposób, w jaki mruży oczy, gdy przygląda się torebce zakwasu. Decyduje się wziąć go dla wnuków, które mają przyjechać w przyszłym tygodniu.

Hannah wraca do domu. Na sekretarce widać kolejną wiadomość. Bez mrugnięcia okiem naciska „usuń”, a potem spokojnie sprząta dom. Po skończeniu porządków w powietrzu unosi się cytrynowy zapach, popołudniowe słońce wypełnia pokoje światłem; Hannah, choć zmęczona, jest gotowa do wyjścia.

Tabliczka „Zamknięte” już wisi, ale drzwi są otwarte. Hannah zapukała delikatnie, potem weszła i zawołała Madeline. Kobieta wyłaniała się z kuchni, wycierając ręce w ściereczkę.

— Hannah! — Uściskała ją. — Prawie skończyłam, zostało mi już tylko kilka rzeczy do zrobienia, zaraz będę wolna.

— Mogę pomóc. — Hannah poszła za Madeline do kuchni. Na kuchence stał duży garnek. Hannah umyła ręce, Madeline poszukała dla niej fartuszka.

— Pokrój na połówki i ćwiartki. Podała Hannah żółte cebule. — A potem znowu na ćwiartki, tak, żeby miały centymetr grubości. Możesz wziąć nóż ze stojaka.

— Ee... — Centymetr grubości, ale w którą stronę? Zdejmując kruche cebulowe łuski, wahała się, nim zrobiła pierwsze cięcie.

Madeline hojnie skropiła oliwą dno garnka, potem wzięła cebulę i nóż.

— O, tak. — Przecięła cebulę na pół przez środek.

— Po przekrojeniu łatwiej zdjąć łupinę, a potem wygodniej kroić.

Hannah naśladowała ruchy Madeline, słuchając jej wskazówek, gdy układała połówki cebuli na drewnianej desce. Przycinając koniec, a potem krojąc cebulę w poprzek; Madeline pokazała Hannah, jak przytrzymać cebulę, żeby nie stracić palca.

Kiedy wrzuciła swoją cebulę do garnka, pozwoliła, żeby Hannah dokończyła resztę.

— Mam nadzieję, że Julia da radę przyjść. — Madeline zerknęła na zegar. Wzięła kostkę masła, pokroiła na kawałki i wrzuciła do garnka.

Hannah też miała taką nadzieję. Chociaż Julia jest od niej starsza, nie zachowuje się protekcjonalnie, nie traktuje Hannah jak dziecko. W tajemnicy dodała numer Julii i Madeline do szybkiego wybierania w telefonie, ale nie mówiła o tym, to dziecinne i żalosne.

— Co robimy? — spytała.

— Jutrzejszą specjalność zakładu: francuską zupę cebulową z grzankami i serem gruyere. — Madeline mieszała cebulę w garnku, dodała szczyptę soli. — Wstawimy teraz do piekarnika, żeby cebula zbrązowiała. Chodźmy, dość się już narobiłaś. Napijemy się herbaty w salonie z tyłu.

Ten salon to już prywatna część domu Madeline, wychodząca na ogród.

— Och! — Widok przez duże okno wykuszu zaparł Hannah dech w piersiach. Drzewa były jeszcze nagie po zimie, ale podwórko wydawało się dużo większe niż

jej.

— Prawie akr. — Madeline zerknęła na zewnątrz. — Tylko obawiam się, że strasznie je zapuściłam. Gdy nie masz dochodów, utrzymanie staje się drogie. Poprzedni właściciele sami uprawiali ogródek, ale dla jednej osoby to dużo pracy. Ogródek nie jest częścią salonu herbacianego, nie ma sensu najmować ogrodnika, chociaż byłoby miło mieć w lecie kilka stolików na zewnątrz. Ale za dużo mówię o sobie. Chciałabym dowiedzieć się czegoś o tobie, Hannah. Czemu, na litość boską, mieszkasz w Avalonie?

— Och. — Hannah poczuła się zakłopotana. Umościła się wygodniej na kanapie, podwijając nogi. — Mój mąż, Philippe, chciał, żebyśmy znaleźli sobie jakiś domek za miastem i tak zrobiliśmy.

— Rozumiem. — Madeline nie pyta o szczegóły, a Hannah nie dodaje nic więcej. Co miałyby powiedzieć? Madeline próbuje zamknąć okno, ale ono stawia opór. Hannah już wstała, żeby pomóc, ale Madeline naparła na nie z całą siłą i zamknęło się ze stęknięciem.

— Nareszcie. — Z satysfakcją przesunęła zasuwkę.

Słońce zachodziło powoli, niebo rozpałało się na złoto i pomarańczowo, gromadziły się ołowiane chmury. W powietrzu było czuć chłód, więc Madeline podała Hannah miękki wełniany koc; dziewczyna otuliła się.

— A co z wiolonczelą? Grasz?

— Ostatnio nie. — Nie grała od czasu, gdy Philippe powiedział jej, że nie wróci. — Zwykle grałam trzy godziny rano.

— Naprawdę? — Madeline uniosła brew; przecież te trzy godziny to i tak niewiele w porównaniu z tym, ile grała kiedyś.

— Grałabym dłużej, ale potem zaczynają mnie boleć plecy albo odzywa się zapalenie ścięgien ramion i muszę przestać.

Madeline wzdrygnęła się

— Musi być ci ciężko.

— Było. Przyzwyczaiałam się.

— Tęsknisz za występami?

Hannah uśmiechnęła się. Tęskni za tym podniecającym zamieszaniem przed koncertem, za dźwiękami orkiestry strojącej instrumenty, za światłami sceny, za ciemną widownią. Za brawami.

Tęsknię.

— No to co teraz?

Dobre pytanie. Hannah nigdy nie robiła nic innego poza graniem na wiolonczeli. Wiedziała, że niektórzy odbierają to jako wielkie osiągnięcie, ale tak naprawdę była to po prostu część jej samej. Rodzice zdecydowali, że zaczęła grać, gdy miała pięć lat, aż do rozpoczęcia nauki w gimnazjum ćwiczyła codziennie dwie godziny, a potem dwa razy dłużej. Pod koniec pierwszego roku w Julliard miała już na swoim koncie ponad dziesięć tysięcy godzin ćwiczeń i występów. I chociaż nie żałuje ani jednej chwili, szkoda, że nie miała okazji spróbować czegoś innego, nauczyć się, poeksperymentować, rozerwać się.

— Nie wiem — odparła. Przedtem, gdy miała Philippe'a, nie był to palący problem, myślała po prostu, że jakoś wypracują sobie wspólną przyszłość. Teraz, gdy to ona musi podejmować decyzje, nie wie, od czego zacząć.

— Nie mam pojęcia, Madeline. Nie wiem ani dokąd pójść, ani co robić. — Głos jej drżał.

— Innymi słowy, cały świat należy do ciebie.

— Uśmiech Madeline okazał się zaraźliwy, Hannah też się uśmiechnęła.

— Nie patrzyłam na to w ten sposób — przyznała. — Ale może rzeczywiście tak jest?

— Na pewno tak jest — poprawiła ją Madeline.

— Wiem. — Hannah pokiwała głową, chociaż nie miała wrażenia, że stoi u progu wielkiej przygody. — Problem w tym, iż zawsze myślałam, że moje życie będzie związane z wiolonczelą.

— I nadal może tak być. Kto wie, jak się wszystko potoczy?

— Kto wie — powtórzyła Hannah. Ale nie nabrała większej pewności siebie, zrozpaczona. Musiałby zdarzyć się cud, żeby wróciła do zawodowego

grania, a teraz miała wątpliwości, czy tego chce. Po prostu nie wiedziała, czego chce.

Madeline domyśliła się, co gryzie Hannah.

— Wiesz, to właśnie niespodziewane zwroty wzbogacają życie. Zdobyłaś już tyle, że aż mnie ciekawi, co będzie dalej. Jestem przekonana, że czekają cię same dobre rzeczy.

— Chciałabym mieć taką pewność.

— Oczywiście. I będziesz ją mieć, gdy nadejdzie czas. Ale na razie spróbuj zaakceptować tę niewiadomą. Wszystkie nasze plany to i tak iluzja. Mój Boże, gdybym postępowała zgodnie z planem i po prostu wróciła do Chicago, nie byłoby mnie tu. Wszystkiemu winne moje słabe krążenie. — Roześmiała się.

— Krążenie?

— Gdybym nie musiała rozprostować nóg, nie zatrzymałabym się wtedy, kiedy się zatrzymałam. — Madeline poklepała swoje nogi. — Tak naprawdę powinnam być wdzięczna mojemu staremu ciału.

Hannah już zrozumiała.

— Czuję to samo w stosunku do mojego ciała. Dało mi kilka dobrych lat zawodowego grania.

— Gra na wiolonczeli zawsze była twoim marzeniem?

Hannah zamyśliła się, trudno sobie wyobrazić życie bez wiolonczeli.

— Gdy zaczynałam, byłam za mała, żeby zrozumieć, co to znaczy. O tym marzyli moi rodzice, zwłaszcza ojciec. — Pamięta pełną napięcia ciszę w słuchawce, gdy powiedziała mu przez telefon, że nie może już dłużej grać zawodowo.

— Wrócił na Tajwan, gdy moja matka zmarła kilka lat temu. Nie rozmawiamy zbyt często.

— Nie?

— Trochę z powodu różnicy czasu, ale właściwie dlatego, że nie mamy sobie nic do powiedzenia. Zwykle mówiliśmy o mojej muzyce, moim harmonogramie, moich występach. A teraz, gdy tego wszystkiego już nie ma, niewiele zostało. To samo z moim bratem. — Przypomniała sobie, to było, gdy Philippe pierwszy raz ją zostawił. Zadzwoiła do Alberta, żeby zapytać, co słysząc, choć tak naprawdę chciała usłyszeć, że wszystko będzie dobrze, że Philippe to palant i że ona zawsze może u nich zostać. Ale nic takiego nie nastąpiło. Była wstrząśnięta, powtórzył dokładnie to, co powiedziałby ojciec: że powinna się zastanowić, co należałoby zrobić, żeby uratować ten związek. Co można powiedzieć po czymś takim?

— Kiedy żyła twoja mama, było inaczej?

Hannah uśmiechnęła się smętnie.

— O, tak. Ojciec zawsze był surowy i mama również, na swój sposób, ale

ona usiłowała zapewnić nam normalne dzieciństwo. Na przykład, kiedyś pozwoliła nam zrobić przerwę w czasie ćwiczeń, żeby kupić lody od lodziarza, który jeździł po okolicy. Ojciec oczywiście był wściekły, uważał, że to strata czasu i pieniędzy, ale mama uparła się i musiał ustąpić. Tylko ona potrafiła zrobić coś takiego, my byliśmy zbyt przerażeni. Ale nie mama. — Hannah nie dodała, że za nią tęskni, choć od jej śmierci minęło już dziesięć lat. Nie musi, Madeline i tak to rozumie.

Otuliła się szczerzej afganem, podciągając nogi pod siebie. Popatrzyła na równe rzędkie wzoru i przesuwała po nich szczupłymi palcami.

— Ty to zrobiłaś?

Madeline pokręciła głową.

— Mam dar do gotowania, ale to wszystko, co potrafię. Kupiłam go w małym sklepiku z upominkami w mieście, sprzedają tam śliczne rzeczy, zrobione przez mieszkańców Avalonu.

Hannah jest pełna podziwu dla Madeline. Kobieta jest zupełnie sama, ale nie wygląda, by jej to przeszkadzało. Może również ona będzie zadowolona ze swojej niezależności, ale teraz nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

— Jak ty to robisz? — Zatoczyła krąg ręką. — Salon herbaciany, całe to gotowanie i pieczenie... Jak ci się to udaje?

Madeline zastanawiała się, zanim odpowiedziała:

— Chyba po prostu nie patrzę na to w ten sposób. Jak mówiłam, przejeżdżałam przez Avalon i już wiedziałam, że tu bę dzie mój dom. Nie rozmyślałam, co tu bę dę robić. Po kilku dniach mieszkania w tym domu zrozumiałam, że szkoda takiej dużej przestrzeni tylko dla mnie, ale nie chciałam prowadzić pensjonatu, lubię ciszę w nocy i potrzebuję prywatności. Natomiast nie miałam nic przeciwko serwowaniu jedzenia. Nie bez znaczenia było to, że dom miał już załatwione pozwolenie na podawanie jedzenia i napojów. Pomyślałam, że to może być miłe i po prostu zrobiłam to. — Pokręciła głową, jakby rozbawiona swoim zwariowanym pomysłem. — Słowo daję, nie miałam pojęcia, że to będzie tyle pracy. Teraz już zaczynam rozumieć, na szczęście. Przez chwilę myślałam, że będę musiała to wszystko sprzedać i przenieść się gdzie indziej.

— O, nie możesz! — zaprotestowała gwałtownie Hannah, sama zdziwiona swoją reakcją. Tylko Madeline i Julia trzymają ją w Avalonie.

— Nie, nie mam zamiaru wyjeżdżać — zapewniła Madeline. — W każdym razie nieprędko. Za bardzo lubię tutejszych mieszkańców. — Pochyliła się i uściśnęła rękę Hannah, a ona odpowiedziała uśmiechem.

Potem rozmawiały o muzyce, sztuce i książkach. Madeline i jej mąż Steven dużo podróżowali, byli prawdziwymi miłośnikami sztuki. Grube niedzielne wydania „New York Timesa” leżą na stercie w rogu salonu, obok czasopism literackich i pism naukowych. Madeline lubi się uczyć, aż Hannah jej pozazdrościła.

— Cóż, to po prostu z nudów. — Madeline upiła łyk herbaty. — Gdy w salonie nie było ruchu, miałam mnóstwo wolnego czasu, a ponieważ nie lubię telewizji, czytałam i piekłam.

— Philippe nigdy nie lubił mojej kuchni. — Nie żeby miała o to pretensje, przecież udało jej się przypalić nawet pudding! — Nigdy nie byłam dobra w niczym poza grą na wiolonczeli; dlatego jedliśmy w restauracjach. Gdy próbowałam coś upichcić, było to albo przerażająco proste albo totalnie nieudane.

— Nie ma nic złego w prostocie — stwierdziła Madeline.

— Bardzo cenię proste gotowanie, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, gdy mamy tyle nadmiaru i przesady. — Wstała i podeszła do sterty książek. — Poprzedni właściciele mieli mnóstwo książek kucharskich, dostałam je wraz z domem. Niektóre to już klasyka. — Wybrała jedną i ścierając warstewkę kurzu, podała Hannah gruby tom z prostą okładką.

— „Radość gotowania” — Hannah odczytała tytuł. Poznała tę okładkę, słyszała o tej książce, ale po raz pierwszy trzymała ją w ręku.

— To podstawa niejednej kuchni. Korzystają z niej również w restauracjach. Autorka, Irma Rombauer, napisała ją w latach trzydziestych, tuż po krachu na giełdzie.

Hannah przeglądając książkę, natrafia na przepis zupy żółwiowej. To nie jej poziom i w ogóle nie ma mowy, żeby ugotowała żółwia. Już chciała oddać książkę Made— line, gdy zobaczyła przepis, jak ugotować jajko.

Gotowanie jajka zawsze było kwestią sporną między nią i Philippe’em. Lubił, żeby miały lekko płynne żółtka, Hannah wołała takie ugotowane na twardo. Przez te wszystkie lata nigdy nie udało jej się ugotować jajek tak, żeby Philippe był zadowolony. Za każdym razem wychodziły za twarde, nawet jeśli gotowała je dokładnie trzy minuty.

Dopiero teraz, czytając przepis, zrozumiała, że powinna przykręcić gaz w chwili, gdy woda zawrze i gotować jajka na małym ogniu przez trzy minuty. Nie miała o tym pojęcia! A Philippe, wiecznie utyskujący, że nie potrafi dobrze ugotować jajek, nigdy nie zadał sobie trudu, żeby dowiedzieć się, co trzeba zrobić, żeby było dobrze.

Czytała dalej i już dowiedziała się, czemu jajka czasem tak trudno obrać. Też miała z tym problem.

Dopiero gdy Madeline chrząknęła delikatnie, Hannah uświadomiła sobie, że od paru minut siedzi z nosem w książce. Słońce za drzewami zeszło ku horyzontowi, pociemniałe niebo wyglądało złowrogo.

— Przepraszam, Madeline, ale to takie ciekawe. Mogłabym pożyczyć?

— Możesz ją wziąć. Pierwsze wydanie książki autorka sama sfinansowała; była gospodynią domową, która usiłowała związać koniec z końcem po tym, gdy rok wcześniej jej mąż popełnił samobójstwo. Miała wtedy, zdaje się, pięćdziesiąt

cztery lata.

Hannah poczuła, że musi mieć „Radość gotowania”. Jeśli Irma Rombauer mogła napisać książkę w wieku pięćdziesięciu czterech lat, Hannah na pewno znajdzie sposób, żeby poukładać swoje życie. Przycisnęła książkę do piersi.

— Dziękuję, Madeline.

Rozległ się niski odgłos gromu. Gdy spojrzały w okno, grube krople deszczu uderzały w szyby.

Burza wzięła się nie wiadomo skąd. Tak, życie na słonecznym zachodnim wybrzeżu, pełnym jasnego słońca i niebieskiego nieba, rozpieściło Madeline. Zapomniała, że tu pogoda nie jest łaskawa, może być ładnie, i w jednej chwili lunie deszcz.

Madeline zostawia Hannah z „Radością gotowania” i poszła sprawdzić cebulę. Gdy otworzyła drzwiczki piekarnika, boski aromat wypełnił całą kuchnię. Doskonale. Ostrożnie wyjęła garnek z piekarnika i postawiła na kuchence, na wolnym ogniu. Mieszając złoto— brązową cebulę, obserwowała, jak płyn powoli wyparowuje, aż dno garnka pokryła cienka skorupka.

Dolała wody i znowu mieszała, kawałki skorupki połączyły się z cebulą. Będzie musiała to jeszcze powtórzyć, cebula powinna być ciemnobrązowa. Wzięła bagietkę z koszyka z pieczywem, pokroiła na kawałki i ułożyła na blasze do pieczenia. Należy piec je przez dziesięć minut, aż staną się złote i chrupiące. Jutro, podając zupę, położy kromki na wierzchu, posypie serem, a potem zapiecze. To jeden z jej ulubionych przepisów z czasopisma „Cooks Illustrated”, nie może się już doczekać, kiedy znowu spróbuje tej zupy.

Uderzenie pioruna wstrząsnęło ścianami domu, aż Madeline się wzdrygnęła.

— Słyszałaś? — Hannah weszła do kuchni; owinięta pledem, tuliła do siebie książkę.

Madeline pokiwała głową.

— Słyszałam. Leje jak z cebra. Obawiam się, że przez kolejne dwa miesiące tak będzie.

— Nie, chodziło mi o to, że ktoś jest za drzwiami.

Popatrzyły na siebie, Madeline nasłuchiwała. Najpierw wydawało jej się, że to gałąź uderza o ścianę domu, ale potem wyraźnie usłyszała pukanie.

— To pewnie Julia — powiedziała. Hannah pokiwała głową, jakoś bez przekonania. W Avalonie przestępstwa niemal się nie zdarzają, więc Madeline nie czuła niepokoju.

No, może odrobinę... W dzisiejszych czasach nigdy nie można mieć pewności, poza tym za dużo widziała, żeby być pewna czegokolwiek. Na zewnątrz panowały kompletne ciemności, w nocy wszystko wydaje się bardziej podejrzanie.

— Chodźmy. — Po drodze Madeline bierze wałek do ciasta — tak

na wszelki wypadek.

Nie zapaliła światła na zewnątrz, ale dostrzegła skuloną postać na ganku. Obie drżały ze strachu, i nagle Madeline uświadamia sobie, jak śmiesznie muszą wyglądać. Gdyby Steven je zobaczył, wyśmiałby bezlitośnie. Niemal słyszy jego chichot i to wystarcza: prostuje się i odkłada wałek. A potem naciska przycisk, przedpokój i ganek zalewa światło.

— Zagadka rozwiązana. — Otwiera drzwi i wciąga do środka przemoczoną Julię.

— Przepraszam za spóźnienie. — Julia szczeka zębami. Trzęsie się, chociaż jest w płaszczu, kręcone włosy przykleiły się jej do twarzy. Hannah szybko narzuca jej na ramiona swój pled. — Mój mąż się spóźnił, a gdy już tu dotarłam, nie wiedziałam, czy powinnam wejść, więc kręciłam się po okolicy i myślałam...

Kręciła się po okolicy i myślała? W taką pogodę? Bez parasolki? Madeline powinna być mądrzejsza, Julia również.

— Wejdz. — Chce, żeby poszły do ciepłej kuchni, chce rozpaść ogień w kominku. Julia ma lodowato zimną rękę. — Cieszę się, że przyszłaś.

— I ja się cieszę. — Madeline widzi, że Julia płakała.

— Nie mogę wrócić do domu.

Madeline włożyła podpałkę do żeliwnego piecyka. Julia zdjęła z siebie mokre ubranie, teraz ma na sobie flanelową koszulę nocną, odrobinę za krótką i przyciasną w ramionach, jedyna rzecz Madeline, która pasowała na wysoką Julię.

Drży. Trochę się rozgrzała, ale i tak nie może przestać szczekać zębami ani powstrzymać dreszczy.

— Nie mogę wrócić do domu — powtórzyła. Madeline i Hannah kiwały głowami. Nie zadawały pytań, chociaż niczego nie wyjaśniła. Jakby dla nich wszystko było jasne. Jak to możliwe, skoro przez tyle czasu nikt nie potrafił zrozumieć, o co Julii chodzi, bez względu na to, co mówiła?

Z wyjątkiem Marka, który widział, jak ona się wycofuje i pozwolił jej na to, bo wiedział, że nikt nie jest w stanie pójść za nią. Trwało to tak długo, że dziś, gdy wrócił do domu i spojrzał jej w oczy, Julia poczuła strach. Ujrzała w jego oczach zapowiedź powrotu do życia, takiego jak niegdyś, a przecież to niemożliwe. Nic nie mogło już być takie samo.

Jak to jest, stracić dziecko? Nie potrafiła wyrazić słowami tej rozpacz. Tego szoku. Tego spustoszenia. Co można powiedzieć, gdy twoje życie nagle legnie w gruzach?

Od śmierci Josha mijały dni i miesiące, a ona wciąż żyła w odrętwieniu. To było jak koszmarny sen, z którego nie sposób się obudzić. Gdy cztery miesiące później urodziła Gracie, płakała tak straszliwie, że lekarz musiał dać jej środek uspokajający. Nikt nie rozumiał, skąd ten wybuch. Słyszała niewyraźne mamrotania, że nadal oplakuje Josha — jakby to było coś, co wreszcie powinna

przestać robić. I nikt nie potrafił zrozumieć, że płakała nie z powodu Josha, lecz z powodu Gracie. Jej mała córeczka już przyszła na świat i wszystko mogło się jej przytrafić.

Przyjaciele najpierw próbowali pocieszać, a potem zniknęli z ich życia. Julia nie miała ochoty wychodzić z domu, a gdy to robiła, natykała się na ludzi, którzy uśmiechali się z przymusem i odwracali wzrok. Dorastała w tym mieście, znała tych ludzi, a teraz nikt nie chciał znaleźć się blisko nich. Mówi się, że tragedia zbliża ludzi, ale w wypadku Julii tak nie było. Wręcz przeciwnie, czuła się odizolowana.

Wszyscy przestali ją wspierać, nawet jej rodzice. W pierwszych tygodniach płakali i rozpaczali, ale wkrótce znaleźli wsparcie i mogli wrócić do życia, pełnego idiotycznych zajęć w rodzaju zakupów w spożywczym czy strzyżenia trawnika. Próbowali namówić Julię, żeby więcej jadła, wzięła prysznic, wyszła z domu, żeby poszła na spacer. Odmawiała.

W pierwszą rocznicę śmierci Josha poczuli się urażeni, gdy odmówiła oglądania pokazu slajdów, który pieczołowicie przygotowali. W pierwsze urodziny po śmierci Josha byli zbulwersowani, gdy sprzątnęła z grobowca wszystko, co na nim położyli — baloniki, drobne prezenty, koszulkę jego ulubionej drużyny baseballowej — na nagiej płycie zostały tylko kwiaty, które przyniosła Julia. Nikt tego nie rozumiał, nikt z wyjątkiem Marka — on pomagał jej po cichu, a potem zawiózł wszystko do Armii Zbawienia. Rzecz w tym, że te upominki nie były dla Josha, lecz dla innych, żeby mogli poczuć nieuzasadniony spokój, zupełnie jakby Josh był gościem na swoim własnym przyjęciu. Szkoda tylko, że umknął im pewien drobiazg — Josh nie mógłby nic zrobić z prezentami, ponieważ już go nie było.

Wiedziała, że jej rodzice są przytłoczeni zajmowaniem się nią. Nie chciała tego, ale i tak to robili, mówili o niej w trzeciej osobie, gdy planowali tydzień, ustalając z Markiem opiekę nad Gracie. Porozumiewali się wzrokiem, wskazując

Julię głową, zupełnie jakby jej nie było. Wiedziała, że chcą pójść naprzód i gdy stało się jasne, że ona nie może, zrobili to sami.

Tego dnia, gdy lecieli na Florydę, matka przyszła do ich domu, żeby się pożegnać. To było trzy lata po śmierci Josha. Rebecca Townsend wystroiła się, miała starannie ułożone włosy i pomalowane paznokcie, zupełnie jakby szła na przyjęcie, Julia nie mogła na nią patrzeć.

— Julio. — Matka wzięła ją za rękę. — Julio, wszyscy tęsknimy za Joshem, ale musisz przez to przejść i iść dalej. Powinnaś dać trochę miłości Markowi, Gracie. Nadal masz przed sobą długie życie, szczęście...

Gdy nie odpowiedziała, Rebecca westchnęła i pocałowała ją na pożegnanie. Już przy drzwiach zawahała się, a potem, ku zaskoczeniu Julii, wzięła ją w ramiona.

— Zadzwoń do Liwy — szepnęła jej do ucha i Julia poczuła jej wilgotny policzek, ale nie wiedziała, która z nich płacze. — Porozmawiaj z nią, Julio.

A potem rodzice wyjechali.

Myślała o tym całym dniami, myślała, żeby zadzwonić do Liwy, może nawet ją odwiedzić. Ale tego nie zrobiła, nie mogła się przełamać. Nie zniosłaby żadnych wyjaśnień czy przeprosin. Widziała wahanie siostry w szpitalu, gdy opowiadała policji, co się stało, jej zdenerwowanie, jej rozbiegane oczy, zupełnie jakby się bała, że ktoś może ją obwiniać.

Cóż, nie myliła się. Julia ją winiła. Liwy powinna była zawieźć Josha prosto do domu, tak jak ustaliły, a nie zostawiać go samego na podwórku, wydawać mu polecenia; nie przypilnować go. Nie powinna zamykać samochodu. Nie powinna była zostawiać go nawet na chwilę.

Co powinna była zrobić? Zmusić swojego leniwego męża, żeby zajął się trawnikiem, tak jak wszyscy inni właściciele domów w Avalonie, żeby w pobliżu domu nie gnieździły się osy. Powinna była oddać spódnicę Julii o czasie, a najlepiej w ogóle jej nie pożyczać. Powinna była zachować zimną krew, gdy Josh leżał nieprzytomny, pamiętać, że jeden zastrzyk epinefryny może uratować mu życie. Gdy przyszło jej to do głowy, było już za późno.

Julia nie rozumie, jak Liwy mogła o tym zapomnieć. Znała tego chłopca przez całe życie, była przy jego narodzinach, została jego chrzestną, Josh ją uwielbiał! Na początku każdego roku szkolnego, każdego obozu letniego to pierwsza rzecz, jaką wpisywało się w dokumentach!

Alergia na pszczoły. Ryzyko szoku anafilaktycznego. Przez cały czas ma przy sobie epipen.

Liwy wiedziała o tym, tyle razy wypełniała dokumenty za Julię. Dlaczego właśnie wtedy musiała o tym zapomnieć, musiała stracić głowę?

W szpitalu wszyscy stali zszokowani. Ojciec Julii zabrał ich do poczekalni, gdzie musieli wypełnić dokumenty, podjąć decyzję o przekazaniu narządów, robić to, co nie powinno mieć miejsca tego dnia, w tej chwili. Julia usiadła na niewygodnym plastikowym krześle, po jej obu stronach siedzieli Mark i Liwy, rodzice i Tom naprzeciwko. Wszyscy płakali, Julia była mało przytomna, nie słyszała, co do niej mówili. Myślała o Joshu, widziała go, jak szedł do szkoły tego ranka, jak się żegnał, na co prawie nie zwróciła uwagi. Kazała mu wpuścić koszulę w spodnie, a on przewrócił oczami i wpuścił. I to wszystko.

To wszystko.

Czuła, że między nią i pozostałymi niemal od razu wyrosła ściana, czuła, jak wszyscy się oddalają, mąż, siostra, rodzice. Nie mogła uwierzyć, że Liwy do tego dopuściła i nawet wtedy, gdy zaczęła powoli oswajać się z myślą, że być może to nie do końca jest wina siostry, nie potrafiła pogodzić się, że Liwy była ostatnią osobą, którą Josh widział przed śmiercią. To ona, Julia, powinna tam być,

nie Liwy.

Rodzice odwiedzali ich raz w roku. Dzwonili, czasem pisali, przeważnie kartki na urodziny Gracie z włożonym do środka banknotem dziesięciodolarowym. Prosili Marka i Julię, by do nich przyjechali, obiecywali zająć się Gracie i sprawić, żeby się świetnie bawiła, ale Julia nie chciała nigdzie jechać. Chciała być tu, blisko Josha. Nie chciała go zostawiać.

Początkowo Mark towarzyszył jej, gdy szła na cmentarz, czasem z Gracie, czasem nie. Ale te codzienne czuwania przygnębiały go i sama chodziła na grób Josha. Wiedziała, że Mark też tam chodził, o innych porach, ponieważ zastawała świeże kwiaty albo nową piłkę do ba— seballa. Raz znalazła truskawkowego batonika chalreston chew, leżał na nagrobku. Josh uwielbiał chalrestona, ale miał próchnicę i Julia zabroniła mu jedzenia batoników.

Jedyną osobą, która mogła zlekceważyć te zakazy, była Liwy. Julia złapała wtedy batonika, chciała go wyrzucić, ale nie zdołała. Odłożyła go na miejsce, a potem pojechała do domu i wczłogała się z powrotem do łóżka.

Cierpiała na bezsenność, na migreny, na nadmiar wszystkiego. Życie, świat — to było o wiele za dużo. Lekarze dawali jej tabletki, ale nie brała ich. Nie chciała poczuć ulgi — i tego też nikt nie rozumiał. Jej syn umarł. Dlaczego miałyby poczuć ulgę, skoro nikt nie ulżył jego cierpieniu?

Widzi teraz troskę w oczach Madeline i Hannah, widzi, że pragną jej pomóc, jeśli to będzie w ich mocy, ale dostrzega również cień niepokoju. Czuje się jak obłąkana

— czuje, że traci świadomość, czuje odpływającą rzeczywistość. Powinni ją zamknąć. Zamknąć i wyrzucić klucz, ukarać ją za to, za co już dawno powinna zostać ukarana.

Powinna tam wtedy być. Powinna tam być.

Zamyka oczy. Nie może przestać się trząść, chociaż jej ciało płonie. Czuje ogień w żołądku, jest wewnątrz niej, trawi ją od środka.

A potem zalewa ją ciemność.

Madeline wie, co to znaczy stracić bliską osobę. Ból po śmierci Stevena jest tak dotkliwy, jakby to było wczoraj. A niespodziewana śmierć nie daje ci żadnego ostrzeżenia, nie masz czasu przygotować się, pożegnać, powiedzieć „kocham cię”.

Nie potrafi sobie nawet wyobrazić, co czuje człowiek, któremu umiera dziecko. To nie jest naturalna kolej rzeczy. Twoje dzieci powinny cię przeżyć, cieszyć się długim życiem, dorosnąć, ożenić się, mieć własne dzieci. Nikt i nic nie jest w stanie przygotować ciebie na tę rozpacz, żaden ból nie może się z nią równać.

Gdy Madeline straciła Stevena, straciła również Bena. Oczywiście to było coś innego, ale i tak traumatyczne przeżycie. Przez tyle lat czuła ulgę, że Bena nie ma obok, że nie powodował kłopotów. Gdy Steven umarł, Ben był jedyną osobą,

która mogła zrozumieć ten ból. Teraz Madeline żałuje, że przeżywali swoją żalobę oddzielnie — samotnemu człowiekowi jest jeszcze trudniej.

Zajęło jej to trochę czasu, ale wreszcie zdołała pójść naprzód, a gdy to zrobiła, po prostu zabrała swój smutek ze sobą. Nigdy nie zapomnisz o zmarłym, którego kochałeś, ale możesz znaleźć sposób, by ta tęsknota stała się jedynie częścią twojego życia, nie zdominowała go. Problem, że nie ma na to recepty, nie ma wytyczonego punktu, od którego zaczniesz być lepiej. Tak jak Madeline, Julia musi znaleźć swoją własną drogę.

— Co zrobimy? — wyszeptała Hannah.

Madeline zastanawiała się, czy uda im się zanieść Julię na górę, ale przecież kanapa na tyłach była bliżej. Ułożyły tam Julię i przykryły pledem, potem wróciły do kuchni; Madeline musiała dokończyć zupę cebulową.

— Wszystko będzie dobrze? — Hannah jakby czekała na jakieś słowa otuchy.

Madeline z przekonaniem pokiwała głową, ale wcale nie była tego pewna. Nie chciała budzić Julii, zapewne nie spała dobrze od śmierci Josha. Jeśli serce cierpi, mózg nie może wypocząć, wiedziała o tym aż za dobrze. Jednak nie to ją niepokoiło. Rzecz w tym, że najgorszym i najwierniejszym towarzyszem śmierci jest poczucie winy i tego właśnie Julia doświadcza.

— Po prostu potrzebuje odpoczynku. Niech śpi.

Burza przeszła w ulewny deszcz. Hannah pomogła Madeline zdrapywać boki garnka.

— Dolejemy wody. Zgarnij to, co na bokach i spodzie i zamieszaj z zupą. To się nazywa deglazurowanie.

— Deglazurowanie — powtórzyła Hannah posłusznie, trzymając fachowo drewnianą łyżkę.

— I jeszcze zamiast wody dodaj sherry, to powinno wydobyć smak.

Madeline wsunęła do piekarnika blachę z kawałkami bagietki, a potem zajrzała do Julii. Spała głęboko. Otuliła ją pledem. Wróciła do kuchni, postawiła na stole trzy miski, ułożyła łyżki na złożonych serwetkach i zastanawiała się, co zrobić. Sięgnęła do szuflady i wyjęła książkę telefoniczną. Mrużąc oczy, próbowała odczytać drobny druk; sunęła palcem w dół, dopóki nie znalazła nazwiska, którego szukała. Klepnęła Hannah po ramieniu, gdy nachyliła się, żeby sprawdzić zupę.

— Prawie gotowe — stwierdziła z uśmiechem; a potem sięgnęła po telefon, żeby zadzwonić do Marka Evartsa.

Sierżant Rpbert Overby, lat 55, posterunek policji w Avalonie

Overby przegląda dzisiejsze raporty z interwencji.

Jeden przypadek zakłócenia spokoju. Nastolatek grał w garażu na nowej perkusji, wysłany policjant stał się świadkiem gorącej dyskusji między nastolatkiem, rodzicem i sąsiadem. Następnie pomógł przenieść perkusję do piwnicy i zaproponował wyciszenie pomieszczenia. Problem rozwiązany.

Podejrzany pojazd na Elwood Drive. Na tylnym siedzeniu znaleziono nagiego mężczyznę i nagą kobietę. Twierdzili, że nie robią nic nielegalnego, jedynie rozmawiają. Poproszono ich, żeby odjechali. Problem rozwiązany.

Zachichotał. Proszę, całkiem udany dzień. Cztery patrole policyjne były w terenie, za godzinę będzie mógł pojechać do domu i wreszcie położyć się spać.

Właśnie ziewał, gdy policjant Joey Daniels wprowadził na posterunek starszą kobietę w trenczu.

— Przyłapana na gorącym uczynku, sierżancie — zameldował z powagą. Daniels był nowy w Avalonie, nie znał wszystkich mieszkańców i dlatego nie rozpoznał w kobiecie niegdysiejszej panny Sunshine.

Cora „Panna Sunshine” Ferguson zrobiła przelotną karierę telewizyjną jako śliczna gospodyni domowa w popularnej reklamie telewizyjnej lat siedemdziesiątych „Sunshine Detergent”. Zauważył ją łowca talentów w centrum, w Chicago

Marshall Field na State Street w weekend po Święcie Dziękczynienia, gdy szukała bożonarodzeniowych okazji. Wyłonił ją z tłumu i urządził przesłuchanie na miejscu. Cora przeszła je śpiewając, łowca uznał, że jest czarująca (nie wyczuł płynącego od niej zapachu grzańca) i zabrał ją do biura „Sunshine detergent” na Lake Street. Cora przeszła zdjęcia próbne, a cała reszta, była, jak to się mówi, karierą telewizyjną.

„Sunshine detergent” zbankrutowało i Cora wróciła do Avalonu z niewielką sumką na koncie, którą udało jej się przepić w niecały rok. Z czasem, mimo usiłowań przyjaciół i sąsiadów, którzy próbowali skierować ją na leczenie, Cora Ferguson zaczęła być znana jako miejscowa alkoholiczka.

Daniels zajrzał do notesu.

— Mam tutaj... pannę Ferguson

Cora uwolniła rękę z jego uścisku.

— Dla ciebie panna Sunshine. — Zachwiała się i rzuciła mu ostre spojrzenie.

— No dobrze, panno Sunshine, co pani tu robi? — Sierżant Owerby wstał zza biurka i podszedł do niej. — Napije się pani kawy?

— A ma pan whisky?
— Nie, proszę pani, nie mam.
Owinęła się ściślej trenczem.

— W takim razie z przyjemnością napiję się kawy. Dziękuję.

Znów rzuciła Danielsowi pogardliwe spojrzenie, a potem usiadła na krześle, podsuniętym przez sierżanta. Napełnił styropianowy kubeczek kawą, wziął dwie paczuszki cukru i śmietanki i położył to wszystko na stole przed nią.

— A więc, dlaczego policjant Daniels przyprowadził tu panią?

— Kradzież. — Daniels wymówił to słowo głośno i wyraźnie, a potem to on popatrzył pogardliwie na pannę Sunshine. — Sprawca został przyłapany na czajeniu się przy terenie prywatnym na North David Street. Odpowiadała opisowi, jaki otrzymaliśmy w zeszłym tygodniu: osoba w trenczu, kradnąca gazety z podjazdów.

— Ja je tylko redystrybuuję. — Cora podniosła głos.

Sierżant Overby wiedział, że trafiła tu nie pierwszy raz i był pewien, że nie ostatni.

— Co zabrała pani tym razem, Coro?

— Nic. — Nadąsała się.

Daniels próbował rozpiąć jej trencz, ale odparła atak. Policjant cofnął się i oznajmił:

— Ukryła to pod płaszczem, sierżancie. Widziałem, jak coś tam chowa, zanim ją aresztowałem.

Overby westchnął. Miał nadzieję, że dopuściła się czynu mało szkodliwego społecznie, bo naprawdę nie chciał jej aresztować. Większość miasta знаła Corę i wiedziała, że jest nieszkodliwa, ale ostatnio do miasta napłynęło sporo nowych mieszkańców, co mogło znaczyć, że barwna historia Cory w Avalonie dobiega końca.

— Mogłaby pani zdjąć płaszcz, panno Sunshine? Owinęła się nim jeszcze szczelniej.

— Obawiam się, że nie.

— Dlaczego?

— Ponieważ dziś robię pranie i mam na sobie jedynie dolne niewymowne — czekam, aż moje rzeczy się wysuszą. — Rzuciła mu pełne satysfakcji spojrzenie i wlewała śmietankę do kawy.

— Daniels, może pan zadzwonić do Roxy Hicks?

— Sierżant westchnął. — Przed chwilą wyszła, więc może nie jest daleko. Roxy Hicks — wyjaśnił Corze — to nasza nowa pomoc policyjna. Nie jest policjantką, ale pomaga nam w wielu sprawach na posterunku.

— To prostytutka? Nazywa się, jakby była prostytutką.

— Nie jest prostytutką, to bardzo miła kobieta. Nie chce pani chyba,

żebym wezwał funkcjonariuszkę Tripp, prawda?

Cora zacisnęła usta i pokręciła głową. Juanita Tripp jest chyba najtwardszym gliną na posterunku. Przyprawiała tu Corę tyle razy, że już dawno straciła do niej cierpliwość.

Roxy zaprowadziła Corę do pokoju przesłuchań; kilka minut później wróciła z kartonowym pudełkiem w ręku i minę miała pełną odrazy.

Boże, w co ta Cora się wpakowała? Sierżant Overby wyprostował się.

— Co tam jest, Roxy?

Wyjęła z pudełka dwie „Avalon Gazette”, kilka piłeczek golfowych, pogryzioną psią zabawkę i napęczniałą zamykaną torebkę z podejrzaną substancją w środku. Na torebce ktoś napisał grubym markerem: *ChPA, Dzień dziesiąty*, a obok dzisiejszą datę.

— Co to jest? — Daniels pochylił się, żeby się lepiej przyjrzeć i odskoczył, gdy Roxy szturchnęła torebkę.

— Nie mam pojęcia — przyznał sierżant Overby.

Może należałoby to wysłać do laboratorium? Torebka

wyglądała, jakby za chwilę miała eksplodować, a sierżant nie wiedział, czy substancja w środku jest trująca, czy jeszcze gorzej.

— Pytałam ją, ale nie chce powiedzieć. I nazwała mnie prostytutką. Milutkie.

— Przyprawdź ją tu — polecił Overby. Chciałby puścić Corę wolno, ale nie podobał mu się wygląd torebki. Coś tu nie grało.

Roxy wróciła z Corą, która patrzyła poządlawie na „swoje” rzeczy. Sierżant Overby odsunął je dalej i podniósł torebkę.

— Co to jest, Coro?

Milczenie.

— Coro — zaczął twardo. — Mówię poważnie. Nie chciałbym cię zatrzymać za wkroczenie na cudzy teren czy kradzież, ale jeśli ta substancja może być niebezpieczna, muszę wiedzieć.

— Zadzwoń do straży pożarnej i kazać im wezwać jednostkę ratownictwa chemicznego? — Daniels już trzymał telefon.

Sierżant Overby uniósł rękę.

— Coro, czy wiesz, co się stanie, jeśli otworzę tę torebkę?

— Nie do końca. — Uśmiechnęła się z wyższością. — Ale nie wolno dopuścić do zetknięcia z metalem, bo można pożałować.

Minutę później posterunek policji został ewakuowany.

Rozdział 11

Niebezpieczny materiał w Avalonie! Edie ciągle nie może w to uwierzyć. Otrzymali telefon kilka minut temu, pewien zaniepokojony obywatel dopytywał się, czy wiedzą, dlaczego posterunek policji został ewakuowany i po co przyjechała straż pożarna. Edie wykonała kilka telefonów, złapała plecak i pobiegła na posterunek.

Słyszając syreny, poczuła zastrzyk adrenaliny. Być może to nic ważnego, a być może coś, co rozsławi Avalon — ją, Edie. I to wcale nie przesada — spójrzmy na Benson w Minnesocie, które ma jeszcze mniejszą liczbę mieszkańców niż Avalon: niewielki artykuł o paliwie wytwarzanym z naturalnego nawozu został opublikowany w „New York Timesie”. Artykuł w „Chicago Tribune” o trwającym dziesięć sekund tornadzie w Uttica, w stanie Illinois, przyniósł jego autorowi nagrodę Pulitzera. Więc może teraz czas na Avalon, czas na Edie?

Już ma pomysł na nagłówki. Już widzi, jak największe agencje prasowe wybierają jej artykuł, AP, UPI, Reuters. Już widzi podpis.

Autor: Edith Gallagher.

Być może robi z igły widły, ale jest dobrą dziennikarką, dobrą reporterką. Wie, że potrafi napisać mocny w wymowie artykuł, jeśli tylko znajdzie odpowiedni temat. Nie chodzi o znikające krasnoludki ogrodowe czy imprezy z grillem, nic z tych rzeczy nie wpłynie na jej karierę, ale jest tylu znanych dziennikarzy, którzy zaczęli od jednej dobrej historii... I tego właśnie pragnie Edie.

Przy Main Street zobaczyła specjalistycznego pikapa, Ford F65U. Nigdy przedtem nie widziała takiego w Ava—lonie, musiał przyjechać z sąsiedniego miasta. Na dachu była zamontowana armatka wodna, pewnie w środku jest kilkaset litrów piany. Już gromadził się tłumek, policjanci usiłowali nad tym zapanować. Dostrzegła dwóch mężczyzn, pewnie z jednostki ratownictwa chemicznego, ubranych w hermetyczne kombinezony, gotowych wejść na posterunek.

To najbardziej ekscytująca rzecz, jaka wydarzyła się w Avalonie od czasu, gdy Edie się tu sprowadziła. I chociaż miała szczerą nadzieję, że wszystko dobrze się skończy, że nikt nie ucierpiał, to wiadomo, że informacje o tym wypadku nie będą schodzić z pierwszej strony co najmniej przez tydzień.

Nie znając jeszcze żadnych szczegółów, już miała pomysł na artykuł. Coś o kruchości życia i o tym, że musimy sobie nawzajem pomagać. Może Edie nie jest zbyt dobra w relacjach jeden na jeden, ale jest niezła, jeśli chodzi o dobro ogółu. Dlatego przyłączyła się do Korpusu Pokoju, dlatego spędziła dwadzieścia siedem miesięcy w Beninie, w Afryce. Chciała, żeby dzięki niej życie ludzi zmieniło się na lepsze. Te dwa lata drastycznie zmieniły jej sposób postrzegania świata.

Lubi być Amerykanką, ale bycie Amerykanką na innym kontynencie to coś

zupełnie innego. Miała okazję zobaczyć siebie i swój kraj oczami innych ludzi — pracowników organizacji humanitarnych z Europy i Azji, ludzi, którym usiłowali pomóc. Amerykanie są często postrzegani jako aroganccy i bezmyślni, niewie-dzący nic o swoim kraju i wkurza ją, że to prawda.

Pamięta wieczór, gdy ona i dwóch Amerykanów przegrało haniebnie z grupą Szwedów w zaimprovizowanym teleturnieju wzorowanym na „Jeopardy!”*4. Kategoria: historia Ameryki. Szwedzi, Vilde, Max i Frej, wiedzieli więcej o rządzie amerykańskim niż oni. Potrafili wymienić nazwiska prezydentów, lata ich prezydentury, powiedzieć, z jakiego powodu się skończyła. Edie i jej koledzy (w tym student historii z Vasaar), początkowo jakoś sobie radzili, ale ostatecznie przegrali z kretesem. Szwedzi zaproponowali im pytanie dodatkowe, decydujące o wszystkim (stawką była tabliczka czekolady Hersheya i puszka chipsów Pringles): Jak brzmi nazwisko obecnego prezydenta Szwecji.

Przegrali.

Później, gdy Edie opowiadała o tym Richardowi, śmiał się, aż z oczu popłynęły mu łzy.

— Edie — powiedział wtedy. — Szwecja jest monarchią konstytucyjną, nie mają prezydenta, tylko króla.

Była zażenowana, to jedynie potwierdziło to, co już wiedziała. Wokół nich jest ogromny świat i każdy człowiek odpowiada za to, żeby uczynić go lepszym miejscem, każdy, także Edie. Przecież nie trzeba robić dużo. Czy naprawdę potrzebuje cappuccino za cztery dolary? Albo butów za sto dwadzieścia pięć, produkowanych przez dzieci w zakładzie wyzyskującym robotników w Indonezji? Dlaczego w kraju o tak wielkim zadłużeniu społeczeństwa są kobiety, które robią tyle szumu wokół powiększania piersi i robienia pasemek? Naprawdę trzeba zadawać takie pytania?

— Panie Neimeyer, co się stało? — Przekrzykuje ryk syreny. Kilka innych osób zadaje to samo pytanie, choć nie są dziennikarzami, jej głos ginie w harmi-drze. Edie przeciska się na początek, trzymając dyktafon w pogotowiu. Powtarza pytanie głośniejszym głosem, spotyka wzrok komendanta.

— Proszę państwa, pozwólcie ekipie wykonać swoją pracę! Gdy tylko dowiemy się, co się dzieje, powiemy wam! — Komendant Neimeyer zawołał sierżanta Overby’ego, żeby tu stanął, a sam poszedł porozmawiać z komendantem straży, poznać najświeższe wiadomości.

Edie próbuje dowiedzieć się czegoś od sierżanta.

— Może nam pan powiedzieć, co się dzieje?

— Przykro mi, Edie, nie mogę.

— Sierżancie Overby, w redakcji urywają się telefony, mieszkańcy Avalonu są zaniepokojeni... — No dobrze, może trochę przesadziła, ale przecież mogłoby tak być. Jej szef Patrick kazał im wszystkim pójść i dowiedzieć się, jak

najwięcej. W redakcji została jedynie Liwy i recepcjonistka.

Edie dostrzega kolegów z redakcji, są coraz bliżej. Musi mieć tę historię, potrzebuje jej.

— Sierżancie, b ł agam, czy może pan nam coś powiedzieć? — Z głosu przebija desperacja.

Overby rzuca jej ochłap.

— Jedyne, co mogę powiedzieć: Na posterunku była pewna kobieta, która miała przy sobie kilka przedmiotów, między innymi torebkę zawierającą podejrzaną substancję. W zaistniałych okolicznościach uznaliśmy, że należy zadzwonić do straży pożarnej i pozwolić ratownikom chemicznym zbadać tę substancję.

— Może pan ocenić poziom ryzyka?

— Powiedziano nam, że ta substancja może reagować z metalem, ale nie mogliśmy sprawdzić prawdziwości tej informacji, zanim...

Patrick podbiegł do nich, zasapany; sierżant Overby wyprostował się, rozumiejąc, że powiedział więcej, niż zamierzał. Uprzejmie skinął głową i odwrócił się.

Cholera! Na pewno powiedziała by jej więcej, gdyby Patrick się nie pojawił! Teraz musi czekać jak wszyscy inni.

Edie gryzie paznokcie, myśląc szybko. Za godzinę będzie już pozamiatane, przyjedzie telewizja i artykuł w lokalnej gazecie może się tylko nadawać do wyszcielania klatki dla ptaków — jeśli Edie nie wymyśli, jak spożytkować zdobyte informacje.

— Co tam? — Patrick jest podekscytowany, w kąciku ust ma musztardę.

Edie szybko zdaje mu relację i już wie, co ma zrobić. Zostawia Patricka, żeby wyciągał szyję, usiłując zajrzeć do posterunku policji i dzwoni do Liwy.

— Liwy, tu Edie. Chciałam cię prosić o wielką przysługę. Jesteś ciekawa, co się tu dzieje?

— Żartujesz? Mów szybko, nie dręcz mnie! Czego potrzebujesz?

Podawała szybko adresy portali informacyjnych w inter— necie, a potem dyktowała Liwy, co ma napisać. Będzie pierwszą osobą, która napisze o tym wydarzeniu i to da jej fory. Gdy skończyła dyktować, dostrzegła ratowników wychodzących z posterunku.

— Czekaj! — krzyknęła. Zobaczyła, że komendant Ne— imeyer kiwa głową i odwraca się do tłumu.

— Wszystko w porządku — oświadcza. — Jednostka ratownictwa stwierdziła, że badana substancja nie zagraża życiu i zdrowiu.

Przez tłum przebiegło westchnienie ulgi, ale dały się słyszeć pomruki rozczarowania.

— Komendancie Neimeyer! — wola Edie. — Co to była za substancja?

Neimeyer zawahał się.

— To ciasto...

Pomruk niedowierzania.

— Miasto w niebezpieczeństwie? — próbuje Edie.

— Ciasto. Do pieczenia. Na drożdżach. Do diabła, nie wiem. To jest coś, czego używa się do chleba przyjaźni amiszów. Podobno ostatnio krąży po mieście. — Odwrócił się i poszedł na posterunek.

Edie usiłowała zrozumieć to, co właśnie usłyszała, ale nie mogła. Co to za chleb przyjaźni amiszów i dlaczego krąży po mieście? I co ważniejsze, w jaki sposób krąży?

— Co mam jeszcze napisać? — pyta Liwy.

Do Edie dochodzą strzępy rozmów z tłumu.

— Zaczekaj, Liwy...

— Nie znoszę tego świństwa — słyszy. — W biurze ciągle ktoś próbuje mi to wcisnąć.

— Naprawdę? Uwielbiam chleb przyjaźni! — mówi ktoś inny. — Piekę kilka bochenków dwa razy w miesiącu. Dzieciaki nigdy nie mają dosyć.

— Moja kuchnia pachnie cudownie w czasie pieczenia.

— Zdaje się, że zgodnie z przepisem trzeba trzymać ten zakwas w temperaturze pokojowej? Nie wygląda to na bezpieczne przechowywanie żywności. W tym jest mleko!

— To przecież zakwas — zauważa ktoś ze zniecierpliwieniem. — Musi fermentować.

— Co to jest chleb przyjaźni amiszów? — Niektórzy są zainteresowani. — Gdzie można go dostać?

Ludzie wokół Edie zaczynają rozprawiać i spierać się, ona mówi Liwy, żeby zapomniała o tamtym artykule. Fałszywy alarm nie jest wart zachodu, poza tym ci z telewizji i tak zgarną temat. Za to Edie ma pomysł na coś lepszego. Znacznie lepszego.

Gdy przyszła do domu ze sklepu, Hannah zauważyła, że mruga automatyczna sekretarka. Spokojnie rozpakowała zakupy, nucąc improwizację Jeana Sibeliusa opus siedemdziesiąte ósme. Może to właśnie powinna zrobić

— zagrać na wiolonczeli, a potem odsłuchać wiadomości. Chociaż tęskni za muzyką, nie grała od dłuższego czasu. Gdy czuje, że pokój muzyczny ją przyciąga, odwraca się i idzie do salonu albo do kuchni, żeby znaleźć sobie jakieś zajęcie.

Na sekretarce wyświetlała się cyfra dwa. Dwie wiadomości; na pewno od Philippe'a! Zżera ją ciekawość, ale nie odsłuchuje ich, boi się usłyszeć coś, co zepsuje jej dzień albo jeszcze gorzej — sprawi, że będzie chciała oddzwonić. Zawsze miała problemy z wyrażaniem uczuć, tym bardziej przez telefon. Jeśli

Philippe ma jej coś do powiedzenia, niech przyjedzie do Avalonu.

Nalała wody do szklanki i wzięła kawałek chleba, przyjaźni. Cukiniowego, sama wyszperała przepis w in—terniecie. Za pierwszym razem ciasto było zbyt płynne i piekło się dwa razy dłużej. Już miała dzwonić do Ma—deline, ale postanowiła najpierw zajrzeć do „Radości gotowania” — tam odkryła, że powinna była odcisnąć wodę z cukinii po utarciu. Wzięła drugą torebkę zakwasu i spróbowała znowu, tym razem z lepszym skutkiem.

I teraz ma cztery bochenki chleba cukiniowego i dwie torebki zakwasu. Nie może być lepiej.

Nieprawda. Mogłoby być, gdyby nie została sama, gdyby był przy niej jej mąż i ją kochał. Oto smutna prawda: mimo że zrobił jej przykrość i nadał robi, Hannah przyjąłaby go z powrotem, gdyby tylko poprosił.

Ta świadomość jedynie pogarszała sprawę. Wiedziała, że tak zwykle postępują kobiety bez charakteru, które boją się samotności, ale cóż — taka właśnie jest Hannah. Nie lubi i nie chce być sama. Nie jest jedną z tych niezależnych kobiet, które mają własne firmy, podejmują odważne decyzje, ryzykują. Wie, że jest inteligenta, ale brak jej tej śmiałości, cechującej niezależne kobiety. To tylko ona, Hannah, dziewczyna z talentem muzycznym, chwilę przed rozwodem, która nie ma pojęcia, co teraz zrobić.

Gdyby żyła matka... Wiedziałyby, jak pocieszyć Hannah, jak ją uspokoić. Nie należała do tych uroczych, ciepłych matek, była praktyczna i szalenie efektywna, ale Hannah wiedziała, że matka ją kocha i ta świadomość dodałaby jej odwagi, pomogłaby zdecydować, co robić dalej.

Jej rodzice byli tacy jak wszyscy inni chińscy rodzice — ustawiali wysoko poprzeczkę i zmuszali dzieci do osiągnięcia maksimum, nie akceptując niczego poniżej tego poziomu. Żadnych dyskusji, żadnego wyboru

— po prostu słuchać i wykonywać. Zwłaszcza ojciec Hannah, szczególnie wymagający, oczekiwał najwyższego stopnia doskonałości. To matka była tą łagodniejszą, wnoszącą odrobinę śmiechu do ich poważnego domu. Gdy Hannah chciała zrobić przerwę w ćwiczeniu, gdy Albert chciał pobawić się na dworze z chłopakami z sąsiedztwa, mama pozwalała. Ojciec — nigdy. Narzekał, że matka jest zbyt uległa, choć to nieprawda, ona jedynie dawała im odrobinę luzu, odrobinę radości dzieciństwa; w przeciwnym razie tego by nie mieli. Gdy matka przy czymś się upierała, ojciec ulegał jej, bez względu na to, czy było to coś poważnego, jak pomoc krewnym z problemami finansowymi, czy pozornie błahego, jak obchodzenie świąt Bożego Narodzenia.

Przez wiele lat wieszali jedynie plastikowy wieniec na drzwiach, bardziej dla sąsiadów niż dla siebie, nie mieli żadnych światełek, ozdób choinkowych czy choinki, a ona i Albert dostawali po jednym czy dwa prezenty.

tak było, dopóki Hannah nie skończyła dziewięciu lat. Wtedy nagle ich

matka uparła się, żeby mieli święta z prawdziwego zdarzenia. Mieszkali wówczas w Północnej Karolinie, to były ich pierwsze białe święta.

— Idziemy kupić choinkę! — zawołała matka do ojca po chińsku, wypuszczając opatulone dzieci, Hannah i Alberta, do garażu.

— Shenme? — Ojciec wyskoczył z gabinetu, gdzie przygotowywał szkic wykładu. — Nie, żadnej choinki! Jest za droga! Nie potrzebujemy choinki!

— Potrzebujemy — poinformowała go chłodno matka, wciągając rękawiczki. — Kupię też światełka, będziesz mógł je powiesić, gdy wrócimy. — Nie miała zamiaru dyskutować i chyba ojciec to zrozumiał.

— W przyszłym roku — zaproponował w próbie kompromisu; Albert przewrócił oczami za plecami ojca.

— Kupimy wszystko dzień po świętach, gdy zaczną się wyprzedaże. Kupimy sztuczną choinkę i całe mnóstwo ozdób.

— Kupimy żywą choinkę — oświadczyła matka.

— W tym roku. Chcę, żeby dzieci miały prawdziwe święta. Albert jest prawie nastolatkiem, a Hannah za chwilę skończy dziesięć lat. W tym roku będziemy obchodzić Boże Narodzenie. — I z tymi słowami wymaszerowała z domu, dzieci za nią.

Wrócili cztery godziny później. Samochód był załadowany najróżniejszymi ozdobami bożonarodzeniowymi.

— Hannah nigdy nawet nie marzyła, że zobaczy je w ich własnym domu. Po raz pierwszy w życiu ona i Albert mieli skarpety na prezenty. Albertowi specjalnie na tym nie zależało, ale ona uwielbiała swoją. Gdy wrócili, ojciec wyjął drabinę, młotek i gwoździe. Hannah nie wie, czy była jeszcze jakaś kł ótnia, oprócz tej którą słyszała, ale mama uśmiechała się z zadowoleniem, wręczając ojcu sześć opakowań światełek. Gdy skończył wieszać, wyszedł i dokupił jeszcze pięć, twierdząc, że sklepy już zaczęły obniżki i właściwie można je kupić już teraz. Matka nie powiedziała ani słowa, ale przygotowała na kolację *huoguo*, chińską potrawkę z jarzynami, ulubione danie ojca, zwykle zarezerwowane na przyjęście gości.

Małżeństwo jej rodziców może nie było idealne, ale w jakiś sposób udane. Nie wyobrażała ich sobie oddzielnie, a po śmierci mamy nie mieściło jej się w głowie, że ojciec mógłby się ponownie ożenić (czego zresztą nie zrobił). Może Hannah przejęła od niego więcej, niż chciałaby przyznać — czuła lojalność wobec tego człowieka, któremu pierwszemu powiedziała „tak”.

Philippe był jej mężem. Wyobrażała sobie, że to związek na całe życie, będą razem grać, razem koncertować, razem się zestarzeją. Próbowwała wyobrazić sobie siebie i Philippe’a w wieku siedemdziesięciu, sześćdziesięciu, choćby pięćdziesięciu lat, ale nie umiała; nie potrafiła wyjść poza teraźniejszość. Nie są już równymi partnerami muzycznymi, a jeśli nie są, to co im pozostaje? Co jeszcze

mogłaby z nim dzielić?

Pobiegła do sekretarki i wcisnęła „odtwórz”, wstrzymując oddech.

Pierwsza wiadomość to automatyczny komunikat z banku w sprawie karty kredytowej; usunęła ją zirytowana. Następną zostawił jej sąsiad, Henry Tinklen-berg, dziękował za chleb przyjaźni i zapraszał Hannah na rodzinną kolację. Ma córkę w jej wieku, Paulinę, chciałby, żeby się poznały. Hannah zachowała tę wiadomość

z poczuciem porażki padła na sofę.

Do jej oczu już napływały łzy, gdy zadzwonił dzwonek przy drzwiach. Pierwsza myśl: Philippe! Nie ma klucza od nowego zamka i dlatego nie może wejść. Jeśli to on, jeśli będzie chciał ją przeprosić, przyjmie go. Ma zapasowy klucz w szufladzie, wręczy mu go i powie, że czekała na tę chwilę, żeby go dać. Wyciągną naukę z tego doświadczenia, a ich związek stanie się silniejszy.

Dzwonek zadzwonił znowu, tym razem towarzyszyło mu pukanie. Hannah żałowała, że nie zdąży nałożyć delikatnego makijażu. Podbiegła do drzwi i wyjrzała przez wizjer.

Ale za drzwiami nie stał Philippe.

To Julia.

Co by było gdyby.

Od chwili, gdy obudziła się w domu Madeline ubiegłej nocy, Julia nie mogła przestać o tym myśleć.

Co by było gdyby.

Co by było, gdyby Josh nie umarł? Gdyby osa nigdy go nie użądliła, gdyby spokojnie czekał na trawniku, gdy Liwy zeszła na dół? Co by było, gdyby przez te minione pięć lat stanowili rodzinę składającą się z czterech osób — jej, Marka, Josha i Gracie?

Co by było gdyby.

Czy jeździliby na rodzinne wakacje, wychodzili wieczorami, zmieniali wystrój pokojów dorastających dzieci? Czy mieliby jeszcze jedno dziecko? Co mogłoby się stać, gdyby Josh nie umarł? Co?

Nie miała pojęcia. Myślenie o tym sprawiało ból i mimo to nie mogła przestać o tym myśleć. To ostatnia rzecz, o której myśli przed zaśnięciem, pierwsza, o której myśli po przebudzeniu.

Dzisiaj nie mogła już dłużej spać, otworzyła oczy, słyszała, jak Mark i Gracie szli korytarzem, rozmawiając, śmiali się. Próbowала jeszcze zasnąć, ale nic z tego, była rozbudzona i nawet gdyby chciała zostać w łóżku, nie mogłaby. Musiała wstać. Siedziała ze swoją rodziną przy śniadaniu, wsypywała musli do jogurtu i patrzyła na jedyne puste krzesło przy stole. Lata temu kupili ten drewniany, klonowy stół i cztery pasujące krzesła; teraz

Julia zastanawia się, jakby to było, gdyby Josh z nimi był, gdyby siedział

na tym czwartym krześle. Patrzy na męża i córkę, czy myślą o tym samym? Ale nie, Gracie wsłuchuje się w chrupanie swoich płatków, a Mark jest zajęty prowadzeniem ostrożnej konwersacji z Julią, jakby nie był pewien, co ona powie, jak zareaguje. Czuje się nieswojo razem z nią przy jednym stole, niepewny, czy ona nagle nie zmieni zdania. W rezultacie rozmawiają o sprawach nieistotnych i dla niej, i dla niego.

Jakby to było, gdyby ona i Mark już ze sobą nie byli?

Nie wyobraża sobie tego, ale zarazem czuje, że może właśnie o to chodzi...

Co by było, gdyby zaczęła wszystko od początku, jak Madeline czy Hannah?

Co by było gdyby.

Przez resztę dnia znajdowała sobie jakieś zajęcia, a jej myśli powracały do nowych przyjaciółek. Tamtej nocy obudziła się bardziej wypoczęta niż kiedykolwiek przez ostatnie pięć lat. Siedziała, otoczona ciepłem przyjaźni, z miską francuskiej zupy cebulowej, która smakowała niebiańsko. Coś w niej się wtedy zmieniło, coś zniknęło, odeszło w niebyt.

Madeline, która miała jedynie numer komórki Julii, zadzwoniła do Marka do domu i powiedziała mu, że Julia zostanie u niej trochę dłużej. Nie wyglądał na zaniepokojonego, gdy wróciła do domu po północy, nie zadawał żadnych pytań, jedynie życzył jej dobrej nocy. Teraz już zawsze tak będzie? Ona i Mark będą mieć oddzielne, niezależne życia, bez opowiadania się czy sprawdzania, tylko ustalenia dotyczące Gracie, zawożenia jej do szkoły

przywożenia do domu. To nie wygląda jak małżeństwo. Czy w takiej sytuacji powinni to ciągnąć dalej?

Koło południa Julia czuje, że dłużej już nie wytrzyma

— wsiada do samochodu i jedzie do Madeline. Jest trochę za wcześnie na ich spotkanie, ale Madeline na pewno nie będzie miała nic przeciwko temu.

Podjeżdżając, zobaczyła, że w salonie herbacianym jest pełno ludzi: sami miejscowi, chyba coś w rodzaju spotkania, wszystkie kobiety są zwrócone do Margot West, niezależnej konsultantki Avonu, która unosi koszyk prezentowy wypchany kosmetykami, wyjmując je po kolei. Dostrzegła też kilka znajomych osób, nie miała ochoty się z nimi spotkać. Wrzuciła wsteczny

zjechała w dół ulicy. Po drodze zauważyła dom, który wyglądał jak dom Hannah, a chwilę później widzi Hannah przez okno — przechodzi, zatopiona w książce.

Julia podejmuje błyskawiczną decyzję: wyłącza silnik, łapie torbę i idzie do drzwi.

— Przejeżdżając tędy, pomyślałam, że wstąpię — mówi, gdy Hannah otwiera drzwi. — Nie wiedziałam, że mieszkasz tak blisko Madeline. Mam nadzieję, że nie przyszłam nie w porę?

— Oczywiście, że nie. — Hannah ściska ją i zaprasza do środka,

proponuje herbatę i chleb cukiniowy. — Obcięłaś włosy! — woła.

Julia dotyka niepewnie włosów; zawija lok na palec, ciągnie.

— Nie za krótko? — Obcięła je następnego dnia po nocy u Madeline. Wyszła spod gorącego prysznicza, rozluźniona i odświeżona. W zaparowanym lustrze nad umywalką widać było jej niewyraźne odbicie. Wydawało jej się, że dostrzegła ruch za sobą, coś znajomego; szybko przesunęła dłonią po lustrze, ale jedyne, co zobaczyła, to siebie oglądającą się, długie włosy spadały jej na ramiona. Przekopła szufladę w poszukiwaniu nożyczek do włosów i pomyślała: dość.

— Wyglądają idealnie! — Hannah patrzyła na nią z uznaniem i Julia poczuła się pewniej. Przeszły do słonecznego salonu Hannah. — A ja właśnie sobie rozmyślałam.

— Rozmyślałaś... — Może właśnie to Julia robiła przez cały ranek? Z korytarza widzi pokój z oprawionymi fragmentami artykułów na ścianie.

— Robiłam to samo. Myślałam o tym, co mogłoby się wydarzyć.

— Zabawne. — Hannah usiadła na sofie. — Bo ja myślałam o czymś wręcz przeciwnym — o tym, co się zdarzyło, wyborze, jakiego dokonałam. Właściwie nie wiem, co innego mogłabym wybrać. Wiolonczela wydawała mi się jedynym możliwym rozwiązaniem. Tak samo jak małżeństwo z mężczyzną, który też gra, rozumie muzykę, wie, ile wyrzeczeń wymaga zawodowe granie.

— Może masz rację. Ale ja nie jestem architektem, a Mark często mówił, jaka to dla niego ulga — wszyscy architekci rozmawiają w kółko o architekturze. Mówił, że dzięki mnie udaje mu się zachować normalność.

— Normalność? — Hannah patrzy na nią zdumiona.

— A czym jest normalność?

Julia śmieje się, Hannah pyta niewłaściwą osobę.

— Nie mam pojęcia — odpowiada szczerze, a potem dostrzega znajomą książkę. — „Radość gotowania”? — Jest pod wrażeniem.

— Czytałaś? Dostałam ją od Madeline! Na razie nauczyłam się, jak obrać jabłko, że naleśniki powinny być przewrócone tylko raz, a pieczenie pizzy na grillu daje chrupiącą, ale twardą skórkę. — Hannah pokazała notes w linię. — Wpisuję przepisy, które mi się spodobały.

I chyba mogłabym już upiec szarlotkę. — Przewracała strony w notesie. — Albo risotto z grzybami. Philippe uwielbiał risotto, ale nigdy nie miałam dość odwagi, by je zrobić. — Zagięła róg kartki, zaznaczając przepis.

— Philippe wraca? — zdziwiła się Julia. Ze słów Hannah wynikało, że ich małżeństwo zmierza prosto do rozwodu, właśnie z inicjatywy Philippe'a.

Hannah czerwieni się.

— Nie, raczej, nie przypuszczam. Ale gdy rozmawia się przez telefon, wszystko jest takie niejasne, prawda? Musimy porozmawiać osobiście. Znalazłam kilku mediatorów w sprawach małżeńskich i pomyślałam, że może ktoś pomógłby

nam się porozumieć. To znaczy, nie wiem, czy będziemy razem, czy...

Julia usłyszała w głosie Hannah skrywaną nadzieję. Szanowała to, że ona próbuje ratować związek, ale nie chciałaby patrzeć, jak ta młoda, piękna kobieta marnuje życie na kogoś, kto nie chce odwzajemnić jej miłości, nie szanuje jej, choć powinien. Jak dobrze musiałyby znać Hannah, by powiedzieć, co naprawdę myśli?

Nigdy nie widziała Philippe'a, nie zna historii ich małżeństwa i tak naprawdę nie powinno jej to obchodzić. Pamięta, że denerwowały ją nieproszone rady matki względem ich związku. Ale Julia nie jest matką Hannah, tylko nową przyjaciółką, która patrzy obiektywnie i widzi, co się z nią dzieje. Chciałaby, że Hannah była szczęśliwa i po raz pierwszy od dawna sama też zapragnęła być szczęśliwa.

Zamiast tego po prostu zmienia temat, zachwyca się wspaniale urządzonej domem.

— O, to zasługa Philippe'a. — Hannah czerwieni się, pokazując kilka drogich dzieł sztuki, idealnie współgrających. — Jest bardzo zasadniczy, jeśli chodzi o to, gdzie co powinno leżeć i jak powinno wyglądać.

— Nie, to nie tylko to. To ty sprawiasz, że to miejsce jest domem. — Julia dostrzega tu kobiecą rękę, drobne akcenty, łagodzące ostre krawędzie.

Na okapie kominka stoją kwadratowe zdjęcia, każde w porcelanowej ramce. Każda ramka jest trochę inna, ale razem tworzą harmonijną całość. Na każdej fotografii jest Hannah, od dzieciństwa do dorosłości, na każdej z wiononczelą.

Julia wpatruje się w jedno ze zdjęć.

— Jesteś tu taka mała. Kiedy zaczęłaś grać?

— Miałam pięć lat.

Pięć! jak Gracie.

— Mogłabyś uczyć moją córkę? — pyta nagle. Nie wie, czy Gracie chciałaby grać, nie zastanawiała się nad tym aż do teraz.

Hannah uśmiecha się, ucieszyło ją to.

— A chciałaby się uczyć?

— Nie wiem. Uwielbia śpiewać i tańczyć. Ja nigdy nie brałam lekcji muzyki, a Mark grał na trąbce w szkolnym zespole przez pięć lat. Miejmy nadzieję, że Gracie nie odziedziczyła uzdolnień po nas — Julia delikatnie dotyka porcelanowej ramki. Malutka Hannah ma warkocze, ubrana jest w zwykły sweterek. W ręku trzyma smyczek

wiononczelę, na małej buzi jest szeroki uśmiech; z tyłu stoją dumni rodzice.

— Jesteś tu taka szczęśliwa... Chciałabym, żeby Gracie była szczęśliwa. — Na twarzy Julii maluje się determinacja. — Ile bierzesz za lekcję?

Hannah marszczy brwi, zastanawiając się.

— Och, nie wiem. Może najpierw zrobmy jedną lekcję próbną, zobaczymy, czy w ogóle będzie jej się podobać. To bardzo ważne, żeby dziecko było

zainteresowane. Możemy się tak umówić?

— Oczywiście. — Julii spodobał się pomysł. Gracie może to pokochać lub znienawidzić, ale chciałyby, żeby miała wybór.

Hannah przeprosiła i poszła nastawić czajnik. Z kuchni zawołała do Julii:

— Nie mam takiego wyboru herbat jak Madeline. Może być czarna? Mam z cytrusami, wanilią i lawendą.

— Brzmi wspaniale.

Przy krawężniku zaparkowała ciężarówka UPS i wysiadł z niej młody człowiek. Julia odłożyła „Radość gotowania” i patrzyła na kuriera, który szedł na podjazd Hannah z paczką w ręku. Czy to możliwe? Przeszła przez salon i otworzyła drzwi w chwili, gdy chłopak miał nacisnąć dzwonek.

Zrobił wielkie oczy.

— Pani Evarts?

— Jamie! — To Jamie, jeden ze starszych braci Petera Linde’a, który jest... był najlepszym przyjacielem Josha. Pamięta, że Jamie kończył naukę, ale to było ponad pięć lat temu. Kontakt z rodziną Linde urwał się po śmierci Josha, Julia nigdy nie oddzwoniła na liczne telefony Sandry. — Witaj! Pracujesz dla UPS?

Uśmiechnął się nieśmiało.

— Dorywczo, kończę studia magisterskie, a UPS daje dobre warunki i bonusy. No i jestem aktywny.

— Studia magisterskie? — Wpatrywała się w niego. Jeszcze niedawno Jamie przywoził matce do prania wielkie worki brudnych ciuchów. Czy Sandra zauważyła, jak wyrósł jej syn?

— Tak, zdecydowałem się na stopień magistra — pedagogika, wieczorowo, ale to już prawie koniec. Myślę, żeby zostać nauczycielem.

— Och, to wspaniale! Naprawdę się cieszę. — Kiedy on tak urósł? To jak teraz musi wyglądać Peter? Oblizła wargi i zdecydowała się zapytać: — A jak tam Peter?

— O, świetnie. Gra w drużynie pierwszego roku Ava— lon High, jest biegaczem. — Mówił z dumą. Julia przypomniała sobie, że chłopaki Linde zawsze grali w football.

— Poza tym wygłupia się na lekcjach, zaczyna oglądać się za dziewczynami, wie pani, normalka... — Głos mu się załamał, gdy uświadomił sobie, co powiedział. Niby skąd Julia miałaby wiedzieć, jak wygląda taka normalka?

— To wspaniale — odparła z wymuszonym uśmiechem.

— Przekażesz mamie pozdrowienia ode mnie? I Peterowi oczywiście.

— Jasne.

Odwróciła się i zobaczyła, że Hannah stoi w salonie z tacą pustych

filiżanek.

— Cześć — powiedział Jamie, a Julia dostrzegła, że zrobił się jakby wyższy. Podniósł paczkę, którą trzymał w ręku. — Mam następną przesyłkę, Crate i Barrel. Na szczęście to już potrafiłem przeczytać. — Postawił w przedpokoju dużą, prostokątną paczkę.

Hannah uśmiechnęła się zaskoczona.

— To Jamie. — Julia odchrząknęła. — Nasze rodziny przyjaźnią się od lat. Jego młodszy brat był najlepszym przyjacielem Josha. Mojego syna. — Zamrugła gwałtownie, mając nadzieję, że uśmiech nie zniknął z jej twarzy.

Hannah odstawiła tacę i przeszła przez salon.

— Mam gdzieś podpisać, czy...

Jamie pokręcił głową.

— Nie, nie trzeba.

— Och. Dobrze, dzięki. — Julia spostrzegła, że koniuszki uszu Hannah po-różowiały.

— Nie ma za co.

— To mikser kitchen aid — rzuciła Hannah w przestrzeń, udając, że sprawdza etykietkę wysyłkową na pudełku. — Pomyślałam, że skoro tyle piekę...

— Pieczesz? — zainteresował się Jamie.

Julia wyczuwała, że między tym dwojgiem coś się dzieje. Czajnik w kuchni zaczął gwizdać i Julia, zadowolona, iż może coś zrobić, powiedziała, że zajmie się herbatą; wyszła, nim Hannah zdążyła odpowiedzieć.

W kuchni wyłączyła gaz i odstawiła czajnik, a potem oparła się ciężko o blat.

Piętnaście lat. Tyle lat ma teraz Peter, tyle lat miałby Josh. Wyjrzała przez kuchenne okno. Zapowiadano deszcz, ale na niebie królował błękit i świeciło słońce. Zupełnie tak, jakby wszystko było w porządku, jakby nic złego się nie stało.

W porządku? A może nie? Już nie jest niczego pewna. Nastawiła się na to, że reszta jej życia będzie szarą beznadzieją z nielicznymi przebłyskami, ale czy tak musi być?

Hannah zarumieniona wpadła do kuchni, chwyciła bochenek chleba przyjaźni, stygnący na kratce i pakowała go, omal nie upuszczając. Zawinęła w folię, złapała torebkę zakwasu i wybiegła z kuchni.

Julia ostrożnie podeszła do drzwi: w korytarzu Hannah wręczyła bochenek i torebkę Jamiemu, próbując wyjaśnić, co to jest i co z tym zrobić.

Wyglądał na rozbawionego i wdzięcznego jednocześnie, dziękował i pomachał ręką na pożegnanie.

Hannah wróciła do kuchni, oczy jej błyszczały.

— Pomyślałam, że mogłoby mu smakować... albo może jego matce...

— Jej uszy znów poróżwiały.

— Hannah — zaczęła Julia delikatnie. Wie, dokąd to może zaprowadzić. Jamie jest miłym chłopcem — miłym młodym mężczyzną, a Hannah jeszcze miłszą młodą kobietą, ale nadal mężatką. Chce coś powiedzieć, coś poradzić, zanim sprawy skomplikują się jeszcze bardziej. — Myślę, że masz rację: powinnaś zobaczyć się z Philippe'em.

— Och. — Hanna czerwieni się, majstrując przy uchwycie szuflady. — No tak. Tylko że... — Bierze głęboki oddech. — Tylko że on raczej nie ma zamiaru przyjechać do Avalonu.

— W takim razie musisz zobaczyć się z nim w Chicago, dowiedzieć się, co się dzieje. — Julia sama nie wierzy, że oto właśnie nie udziela porad małżeńskich, ale nie chce, żeby Hannah zrobiła coś, czego potem może żałować. — Jedź i spotkaj się z Philippe'em. Chicago nie jest na końcu świata.

— Wiem. — Hannah podniosła oczy pełne łez. — Ale jeśli on nie zechce się ze mną zobaczyć?

Clyde Thomas, lat 64, farmaceuta

— Co to jest, do ciężkiej cholery? — krzyknął Clyde Thomas, jedyny farmaceuta w Avalonie, spluwając do serwetki. Zaglądał do dużej ceramicznej miski na stole w kuchni i krzywił się. — Myślałem, że to moja owsianka, na litość boską!

Jego żona, Hazel, pacnęła go po ręce.

— Nie ruszaj i nie przeklinaj. Będę dziś piekła — podała mu czystą miskę i łyżkę ze zmywarki, misę z zakwasem odsuwając poza zasięg Clyde'a.

Clyde nalał owsianki do miski i dolał gorącej wody. Je owsiankę sumiennie każdego ranka i zaleca ją każdemu, kto przychodzi po leki na obniżenie cholesterolu, ale szczerze mówiąc, nie znosi tego świństwa. Sięgnął po „Avalon Gaze-tte” i zaczął przeglądać.

— Co będziesz piekła?

Hazel wyjęła mąkę, jajka, cukier i inne składniki. Ustawiła produkty na blacie i przyglądała się im, marszcząc brwi.

— Chleb przyjaźni amiszów. Jest wspaniały. Jadłam go w zeszłym tygodniu w naszym klubie bunco*5, Mary Winder była gospodarzem i zrobiła trzy rodzaje, z

⁵ * Bunco — gra w kości.

trzech różnych budyniów i właśnie mam zamiar spróbować zrobić to samo. — Podniosła kilka opakowań. — Mam waniliowy, czekoladowy i bananowy.

Clyde spoglądał z zainteresowaniem. Uwielbia ciasto z kremem bananowym.

Hazel włączyła piekarnik i zaczęła mieszać składniki. Clyde otwiera aptekę dopiero o dziewiątej, ale lubi być wcześniej, chociaż ma pomocnika, który sprawdza opakowania i upewnia się, że w chwili otwarcia wszystko jest na swoim miejscu.

— Kiedy będzie gotowe? — spytał.

Hazel wzruszyła ramionami, natłuszczając dwie średnie okrągłe formy do pieczenia babek, a potem posypała je cukrem.

— Za godzinę.

Godzinę? Tyle może spokojnie zaczekać. Złożył gazetę i wstawił pustą miskę do zlewu.

— Sprawdzę pogodę w telewizji — powiedział.

— Dobrze. — Hazel obserwuje go kątem oka, gdy wchodzi. Gdy słyszy ryk z salonu, nie jest zaskoczona.

— Co to jest?!

— Formularz na kościelną wielkanocną imprezę składkową.

— Umiem czytać, Hazel. Pytam się, co to robi na moim fotelu?

— Potrzebują wysokich, silnych mężczyzn do ustawiania stołów i krzeseł, a potem żeby poukrywali wielkanocne jajka dla dzieci. Długopis jest przymocowany do formularza, twoje okulary do czytania leżą na stoliczku.

— Hazel! — jęknął Clyde.

Wzięła pierwszą porcję ciasta do formy i wsunęła do piekarnika.

— Będzie gotowe za czterdzieści pięć minut! — zawołała. — I zaparzyłam świeżą kawę, tę waniliową, twoją ulubioną. Była w promocji.

Clyde mruży pod nosem, wkładając okulary do czytania. Pracuje sześć dni w tygodniu i potrzebuje wolnej niedzieli, żeby się wypaść. Chodzi z Hazel do kościoła na dziesiątą trzydzieści, nie wcześniej, ale to już naprawdę przesada!

Położył blankiet przed sobą i czytał długą listę obowiązków wolontariuszy. Roboty na cały dzień! Nie, nie ma mowy, Hazel może sobie zatrzymać ten swój bananowy chleb amiszów, on nie da się w nic wciągnąć.

Wstał i już miał zamiar wkroczyć do kuchni i powiedzieć, co o tym myśli, gdy poczuł zapach cynamonu, bananów i jakby orzechów. Hazel nuciła coś, słyszał odgłosy przygotowywanej kawy. W całym domu zaczynało cholernie ładnie pachnieć. Clyde usiadł z westchnieniem i zaczął wypełniać formularz.

Niech licho porwie tę kobietę.

Rozdział 12

— Powiedz mi jeszcze raz. — Oczy Liwy błyszczą
Edie bierze kawał pizzy.

— Dobrze. Po Avalonie krąży zakwas ciasta. Nazywa się to chleb przyjaźni amiszów, chociaż z amiszami nie ma nic wspólnego. — Zdjęła plasterk peppe-roni, a potem odgryzła kawałek pizzy, żując z namysłem. — Sprawdziłam w necie i dowiedziałam się, że jest dość popularny. To jakby łańcuszek, z tym że nikt nie mówi, że zdarzy ci się coś złego. Po prostu musisz dbać o zakwas, a dziesięć dni później podzielić go na cztery części. Jedną zużywasz sama, piekąc chleb, pozostałe dajesz trójce przyjaciół.

Edie uniosła plastikową torebkę z zakwasem. Dostała ją od Bettie Shelton na ostatnim spotkaniu scrapbookin— gu. Poznane tam kobiety wiedzą o tym mieście więcej, niż ona byłaby w stanie dowiedzieć się sama, dlatego będzie chodzić na spotkania. W celu prowadzenia badań, oczywiście.

— Miałam kolejne spotkanie — powiedziała z westchnieniem „no co ja na to poradzę” Richardowi zeszłego wieczoru, wchodząc do domu. — Wiesz, potrzebne mi to do pracy. — Pod kurtką ma ukryte plastikowe pudełko z nożem, gumkami do ścierania na plastiku i do ścierania kleju, nożyczki, cały zestaw kolorowych nitów i małych ćwieków. Grupa chętnie dzieli się papierem i akcesoriami, ale Edie miała już swoje ulubione narzędzia do scrapbookingu i uznała, że chce mieć je na własność. To uzasadniony wydatek, związany z jej pracą; inaczej by tego nie robiła.

— Skoro tak mówisz — odpowiedział Richard dobrodusznie.

Liwy wzięła od niej plastikową torebkę i wpatrywała się w zawartość.

— To jest to, co panna Sunshine, to znaczy Cora Ferguson, przyniosła na posterunek policji?

Edie pokiwała głową.

— I sądząc po tym, jak się rozprzestrzenia, zapewne pochodzi z tego samego początkowego zakwasu, który pojawił się tu jakiś czas temu.

— Gdzie?

— A dokładniej: u kogo? Tego właśnie chcę się dowiedzieć. Nikt nie robił chleba przyjaźni amiszów, gdy tu się sprowadziłam, a teraz każdy ma taką torebkę.

— Ja nie mam. — Liwy była zawiedziona.

Edie uśmiechnęła się szeroko, biorąc kolejny kawał pizzy.

— W takim razie masz szczęście. Za dziewięć dni będę dzielić zakwas, więc możesz dostać jedną z moich torebek. Co ty na to? — Zdjęła krążki pepperoni ze swojego kawałka, dokładając je na stertę poprzednich, a potem zerknęła na Liwy — sądząc po minie, była zadowolona.

— Super, Edie. — Liwy cieszyła się, że ich przyjaźń wyszła poza kontakty

w biurze, że Edie wtajemnicza ją w swoje plany. Nie do końca rozumiała, o co tyle hałasu z tym chlebem przyjaźni amiszów, ale miło, że Edie chce ją w to wciągnąć. Zastanawiała się, jak mogłaby się zrewanżować. — Dzięki!

Edie parsknęła śmiechem.

— Nie dziękuj mi na razie. Z tego, co czytałam, mnóstwo ludzi zagroziło swoim krewnym zerwaniem kontaktów, jeśli pojawią się w zasięgu wzroku z torebką tego czegoś. Za miesiąc, gdy twój dom bę dzie zawalony zakwasami, możesz mnie znieawidzić.

Wiedziała, że Edie żartuje. Nie mogłaby jej znieawidzić, nie potrafiłaby znieawidzić nikogo, nawet Julii, która ją odepchnęła. Coraz częściej myślała, że nie ma już żadnej nadziei na pojednanie. To smutne, to nie fair, ale nie ma pretensji do Julii. Poczowała łyzy pod powiekami, zamrugowała szybko i odchrząknęła. Chciałaby, żeby jej przyjaźń z Edie nigdy się nie skończyła.

— To co ja mam zrobić?

— Pomożesz mi zadać kilka pytań — znasz to miasto lepiej niż ja. Spróbujemy prześledzić, od kiedy ludzie zaczęli dostawać torebki, od kogo je dostawali, kiedy i tak dalej. W ten sposób dotrzemy do źródła. — Edie upiła łyk napoju gazowanego.

— Dobrze. — Liwy usiłuje zapamiętać słowa Edie. Może powinna robić notatki? — Ale po co?

— Co — po co?

— Po co chcesz o tym pisać? Do działu kulinarnego?

Edie pokręciła głową.

— Nie. To będzie jakby... przypomnienie, że marnujemy czas na rzeczy nieistotne, podczas gdy powinniśmy skupić się na sprawach naprawdę ważnych. Skoro już zajmujesz się łańcuszkiem, czemu nie prosisz ludzi, żeby dali dolara dziennie i trzech kolejnych osób, żeby dali dolara dziennie i tak dalej? Czemu nie posadzisz drzewa? Czemu nie dasz sobie spokoju z różnymi bzdetami, które potem łądują na wysypiskach śmieci i niszczą ozon? Chyba można żyć, mając w torebce jedną pomadkę mniej, prawda?

Liwy notuje w pamięci: nigdy nie pozwolić Edie zajrzeć do swojej torebki.

Edie mówi dalej o obyczajach, o tym, że jeśli napisze dobry artykuł, ludzie zastanowią się, jak mogą zagospodarować swój czas i swoje zasoby dla dobra ogółu.

— Szkoda, że nie słyszałaś tych kobiet wczoraj wieczorem — mówiły tylko o tym chlebie! Pomyśl, ile czasu spędzają na zakupach, pieczeniu, dbaniu o to coś, przekazywaniu go innym... Ludzie mogliby zmienić świat na tyle różnych sposobów, poświęcając na to znacznie mniej czasu! Przecież, powiedzmy sobie szczerze, to tylko ciasto!

— Dobrze. — Liwy kiwa głową. To nawet może być zabawne, brzmi jak

przygoda. Chciałaby pomóc, chciałaby zrobić z tego tę wielką opowieść, o której mówi Edie.

— Patrick musi być podekscytowany, on uwielbia takie tematy z życia wzięte.

Edie zniża głos, poważniejąc nagle.

— Liwy, nie robię tego dla „Gazette”. To znaczy, być może nic z tego nie wyjdzie, ale myślę, że zdołam napisać historię, która mogłaby zainteresować duże gazety. Dlatego Patrick nie powinien nic o tym wiedzieć.

— Dlaczego?

— Bo nawet jeśli będzie wiedział, że robię temat dla innych, pewnie chciałby puścić artykuł w „Gazette”. A ja myślę, że może z tego wyjść niezła historia, rozejdzie się echem poza nasze małe miasteczko.

Liwy zmrużyła oczy. Co jest złego w małych miasteczkach?

— Ale skoro to dotyczy Avalonu...

— Słuchaj, Liwy, nie musisz mi pomagać, jeśli nie chcesz. — Edie wzruszyła ramionami.

— Nie, nie. — Liwy wpadła w panikę, nie chciała, żeby Edie znalazła sobie kogoś innego.

— Bardzo chcę pomóc. Tylko pytałam.

Edie uniosła brew, pojadając pizzę.

— Jesteś pewna? A co z Patrickiem?

— A co z nim? — Liwy wzruszyła ramionami. Nie rozumie, o co tyle zachodu, ale nie czuje żadnych wyrzutów sumienia, że będzie robić coś za plecami Patricka — zwłaszcza po tym, gdy pochwalił Tracy za propozycję ogłoszeń internetowych stworzoną przez Liwy. — Ja jestem w dziale sprzedaży. Nie obchodzi go, co robię, dopóki zjawiam się na zebraniach i robię kawę.

Edie pokiwała głową uspokojona.

— No to super. W takim razie będę dbać o zakwas i zobaczymy, co z tego wyjdzie. Jeśli chcesz, możesz przyjść, gdy będę piekła, powiesz mi, czego się dowiedziałaś. Z każdej torebki zakwasu wychodzą dwa bochenki, więc jeden będziesz mogła wziąć do domu.

Liwy rozpogodziła się.

— Kiedy, dzisiaj?

— Co? Nie, mówiłam ci przecież, za dziewięć dni

— Edie ze zniecierpliwieniem pokręciła głową.

Liwy wzięła pizzę, żałując, że się odezwała; jeśli będzie zadawać głupie pytania, wszystko zepsuje.

— Ach no tak, za dziewięć dni. No dobra.

Ta przyjaźń jest ważna dla Liwy, nawet nie dlatego, że właściwie nikt nie rozmawiał z nią od śmierci Josha, ale dlatego, że Edie jest koleżanką, jakiej nigdy

nie

miała — inteligentną, sumienną, światową. Dużo widziała i dużo zrobiła,

Liwy mogłaby jej słuchać całymi dniami. Edie ma szlachetny cel, naprawianie świata, Liwy pragnie jej pomóc, nawet jeśli nie do końca rozumie, co właściwie robią.

Lubi w Edie także i to, że ona nigdy nie mówi nic złego o Richardzie, nigdy na niego nie narzeka, wyraża się o nim w samych superlatywach, w przeciwieństwie do Carol i Jo Kay, które nieustannie żalą się na męczące dzieci i fajtlapowatych mężów. Podobnie jak Mark i Julia, Richard i Edie stanowią dla Liwy wzór idealnej pary, do którego ona też dąży.

Czuje na sobie wzrok Edie, ale nie podnosi oczu w obawie, że zdradzi się ze swoimi myślami albo znów powie coś głupiego.

— Słuchaj, mam pomysł. — Edie wyciera ręce serwetką i wstaje. — Idziemy po test ciąży?

Sikanie na kawałek plastiku jest upokarzające. Edie robiła już dziwniejsze rzeczy, mieszkając w krajach trzeciego świata, ale Avalon to nie trzeci świat. Richard umarłby ze śmiechu, gdyby wiedział, co ona wyczynia.

Westchnęła, poruszając się niezręcznie za cienkim przepierzeniem. Jest tu tylko dlatego, że w przeciwnym razie sprawiłaby Liwy zawód. A Liwy stała się niespodziewanie częścią jej dnia, Edie nawet czeka na ich przerwy na kawę i wypadki na pizzę. Więc gdy zobaczyła jej nieszczęśliwą minę, zaproponowała tę jedyną rzecz, która mogłaby Liwy ożywić.

— Coś się dzieje? — pyta Liwy zza drzwi. — Minus znaczy, że nie jesteś w ciąży. Plus, że jesteś.

— Jeszcze nic się nie dzieje, Liwy, dopiero weszłam do łazienki. — Ale oto właśnie zaczął się tworzyć różowy pasek. Minus, dzięki Bogu. Nie żeby się bała, ale...

— Instrukcja mówi, że to może potrwać dłużej, jeśli jesteś we wczesnym stadium ciąży. — Liwy wybrała test, który chwalił się najwyższą dokładnością nawet na pięć dni przed okresem. Kosztował prawie osiemnaście dolarów za pudełko — dwa testy plus jeden gratis. Jak to świadczy o dokładności testu, myślała Edie, jeśli muszą dać ci aż trzy?

Ciężko jej było wydać taką sumę, zwłaszcza ze świadomością, że tyle kosztują trzy moskitiery w Afryce, gdzie co trzydzieści sekund umiera na malarię jakieś dziecko. Okropność. Edie zmusza się do myślenia o tym, czemu właściwie to robi. Im szybciej zacznie pracować jako wolny strzelec dla dużych gazet, tym więcej będzie zarabiać i tym więcej będzie mogła zrobić dla innych.

— Jest coś? — Liwy dopytuje się z niepokojem.

Edie wyszła z kabinki i pokazała test.

— Minus. — Wyrzuciła test do kosza i poszła umyć ręce.

— No coś ty, Edie, to przecież plus! — Liwy wyjęła test z kosza przez papier toaletowy. — Widzisz?

No tak, czarno (a raczej różowo) na białym — plus.

Edie łapie instrukcję, Liwy coś pokręciła.

Ona również wygląda na zaskoczoną, jakby nie spodziewała się, że Edie będzie w ciąży; ale chwilę później ściska ją serdecznie.

— Gratulacje! Musisz go zapakować i dać Richardowi! Jak myślisz, co on powie?

Edie nie ma zielonego pojęcia. Zapewne będzie w siódmym niebie, znów zacznie mówić o dzieciach i małżeństwie, niekoniecznie w tej kolejności. No tak, ale to nie on będzie nosił to dziecko, a potem je rodził.

— Nie, to nie może być prawda. — Przebiega wzrokiem tekst instrukcji, jeszcze raz sprawdza test. — Zobacz, piszą, że może być fałszywy wynik pozytywny. — Wyciągnęła z pudełka dwa pozostałe, oddzielnie zapakowane testy. — Zrobię jeszcze raz, ty też zrób.

— Ja? — Liwy jest przerażona.

— Potrzebuję grupy kontrolnej. — Edie idzie z powrotem do kabinki. — To nie może być prawda.

Liwy otwiera i zamyka usta.

— Edie, szkoda na mnie testu. Robiłam je już i jeszcze nigdy nie wyszedł mi plus. Nawet mi się okres nie spóźnia, nie ma sensu, żebym robiła test.

Edie rozdziera opakowanie i wyjmuje nowy test. W ustach czuje suchość, robi jej się niedobrze. To nic, to tylko mój mózg, tłumaczy sobie.

— Liwy, to był twój pomysł. Dawaj. — Drzwi kabinki zamykają się z hukiem.

— Dobrze. — Liwy wchodzi do toalety obok.

Edie wpatruje się w test, usiłując wymóc na nim pojedynczą poziomą linię. Minus. Minus to wszystko, czego pragnie. Jedna linia. Słyszy, że Liwy spuszcza wodę, a w okienku tworzy się różowy plus.

Szlag.

Edie jest w szoku. Wychodzi z kabinki i idzie umyć ręce. Jedyna nadzieja, że trafiły na partię wadliwych testów. Wyciera ręce, czeka niecierpliwie na Liwy.

— Powiedz, że tobie też wyszedł plus, wtedy będziemy mogły po prostu wyrzucić je do kosza.

Liwy otwiera drzwi i wychodzi z kabinki.

— Proszę — mówi, wyciągając test.

Plus.

Cztery pudełka i dziewięć testów później Edie i Liwy zyskały potwierdzenie tego, co niemożliwe.

Obie są w ciąży.

Edie niemal siłą zaciągnęła Liwy do apteki. Kupiły cztery testy różnych firm, niektóre z dwoma testami, niektóre z jednym. Potem poszły do łazienki, Edie ponura, Liwy w euforii, gdy każdy kolejny test dawał wynik pozytywny.

Stały w łazience, niepewne, co teraz zrobić, gdy zadzwonił telefon Liwy. Patrick pytał, gdzie ona się podziwia. Już godzina po przerwie na lunch, nie było jej na spotkaniu z nim i Tracy. Co się dzieje?

— Przepraszam, Patrick... — Liwy zaczęła się tłumaczyć, ale nagle urwała. Odkąd pracuje w „Gazette”, nie opuściła ani jednego dnia, nie brała zwolnień, nie chodziła na urlop, odkąd dołączyła do nich trzy lata temu. Myślała, że jej niezwykła etyka zawodowa wprawi Patricka w podziw, ale jak widać jedyną rzeczą, do której, jego zdaniem, się nadawała, było robienie tłumy przy stole konferencyjnym.

— Biorę wolne do końca dnia — poinformowała go.

— Słucham?

— Dzień wolnego — Nigdy nie brała zwolnienia, nawet wtedy, gdy czuła, że ma zapalenie oskrzeli. — Albo dwa. — A może weźmie wolne do końca tygodnia? I żeby uniknąć dalszych pytań, dorzuciła: — Sprawy kobiece. — I rozłączyła się.

Edie wpatrywała się w stosik testów ciążowych; Liwy czuła, że dla niej to nie jest dobra wiadomość. Usunie ciążę? Pójdzie na urlop macierzyński? W umyśle Liwy — wypanował kompletny chaos. Wiedziała, że Edie jest skoncentrowana na karierze, ale przecież wiele kobiet godzi te rzeczy. Jeśli Edie nie usunie ciąży, Liwy mogłaby pomóc, uwielbia pomagać. Brakuje jej tej części życia Gracie, tych pierwszych miesięcy, pierwszych lat. Była tak podekscytowana, gdy Julia spodziewała się dziewczynki! Ś wiadomość, że Gracie dorasta, prawie nie znając Liwy, była niemal tak samo bolesna, jak odtrącenie przez Julię.

Ale może ta ciąża to znak, że wszystko będzie dobrze?

Liwy jest w ciąży.

— Edie, dobrze się czujesz? — Liwy nie może się doczekać, kiedy wróci do domu i powie Tomowi. Od dawna marzyła o tym dniu i teraz dokładnie wie, co robi. Kupi kartkę, przygotuje pyszny obiad i deser. Położy test ciążowy w pudełku razem z notatką: „Prawdziwy prezent pojawi się za dziewięć miesięcy” i wręczy mu, gdy skończą jeść.

Albo może wręczy mu go od razu, gdy tylko Tom wejdzie do domu.

— Muszę się zobaczyć z Richardem — mówi nagle Edie i odwraca się do Liwy. — Wszystko w porządku?

Liwy jest wzruszona, że Edie pyta ją w chwili, gdy sama dostała cios. Kiwa głową, chociaż drży, pociąga usta pomadką. „W tej chwili wewnątrz mnie rośnie dziecko”. Chociaż nigdy nie powiedziała tego głośno, zawsze obawiała się, że może nie zająć w ciąży z powodu tego, co się stało z Joshem. Co by z niej była

za matka? Matki nie popełniają takich błędów, prawda?

A teraz ona, Olivia Scott, ma zostać matką. :

Madeline mrużyła oczy, wpatrując się w ekran monitora. To fascynujące i kłopotliwe zarazem, że w internecie jest tak dużo prywatnych informacji. A może powinna powiedzieć: w sieci? Nawet nie wie, jak to nazwać.

Strona internetowa bardzo zmieniła się od czasu, gdy zaglądała tu ostatnio, czyli prawie dziesięć lat temu. Jest muzyka, jest kolaż obrazków, suną przez monitor i znikają, ustępując miejsca innym obrazkom. Za to buty niemal się nie zmieniły, choć zauważyła pewne innowacje. Na szczęście fason jej butów z klamrami, które nosiła od zawsze, pozostał taki sam, jedynie wzrosła cena. No i jest większy wybór kolorów, pojawiły się takie jak jaskrowy czy malinowy. Nie planowała nic kupować — nie po to weszła na stronę, poza tym, te buty miały dożywotnią gwarancję, wystarczyło po prostu wysłać swoje do podzelowania. Ale teraz pomyślała, że mogłaby zaryzykować inny kolor, może storczykowy, wypróbować inną podeszwę... Kliknęła odpowiednie przyciski i zamówiła nową parę butów.

Gdy już podała szczegóły karty kredytowej i otrzymała potwierdzenie, patrzyła na górę strony, na zakładki.

O nas. Pamięta, co było kiedyś tam napisane, pamięta, że było nawet jej zdjęcie (firma chciała mieć zdjęcia członków rodziny w tych butach, najmowała fotografa, który sprawiał, że każdy wyglądał świetnie). Co jest tam teraz? Kliknęła zakładkę i wstrzymała oddech.

Caitlyn Shoe Company. Uwielbia tę nazwę; wzięła się od pra— pra— prababki Stevena, Caitlyn Dunn, sprzedającej sąsiadom robione przez siebie mokasyny.

Zakład rozrastał się stopniowo, wprowadzał nowe linie: buty z klamrami, czółenka, śliczne skórzane botki. Każda para ręcznie robiona w warsztacie rzemieślniczym w Devon, w Anglii.

Informacja na stronie była dość ogólna, mówiła o historii firmy, o dbałości o jakość. Zdjęcia ludzi zostały zastąpione zdjęciami wystaw i zbliżeniami tych doskonale wykonanych, robionych na zamówienie butów. Innymi słowy, nie ma tu żadnych informacji, które mogłyby pomóc Madeline.

Gdy Steven zajmował się sprzedażą butów, był sprzedawcą przez duże S. A nawet \$.

Wyłączyła komputer. Trzymając wydruk swojego zamówienia na kolanach, rejestrowała, jak cichy i spokojny jest jej dom, gdy nie ma gości.

W Kalifornii, nawet gdy mieszkała sama (z przelotną, ale katastrofalną próbą mieszkania ze współlokatorką) zawsze wokół niej kręcili się ludzie, dobiegał hałas z ulicy, słychać było alarmy samochodów, huk przelatujących samolotów. Dwa razy w tygodniu budził ją śmieciarz, który rzucał (dosłownie!) na chodnik

opróżnione metalowe kosze na śmieci. W Chicago było podobnie. A w Avalonie jest tak cicho i spokojnie... Madeline nie jest do tego przyzwyczajona; ten spokój sprawia, że pogrąża się w myślach.

Czuje swój wiek, czuje, jak entuzjazm przechodzi w zmęczenie. Dzisiaj znów miała salon pełen gości, od śniadania do popołudniowej herbaty. Uwielbiała to, naprawdę, ale za każdym razem, gdy klienci wychodzili, była wykończona. Potrzebowała pomocy w kuchni albo w księgowości. Albo jednego i drugiego.

Spojrzała na wydruk potwierdzający zamówienie. „Dziękujemy za zamówienie, Madeline Davis Dunn”. Tak serdecznie, jakby ją znali, ale Madeline wie, że ta odpowiedź została wysłana przez automat. Była po prostu kolejnym klientem, niczym więcej.

Rozdział 13

— Wychodzę! — zawoła Julia.

Mark pamiętał, żeby wrócić dziś wcześniej, nie chciał znowu nawalić. Nie mógł zapomnieć, co się stało tamtego wieczoru, gdy spóźnił się z powodu Vivian. Lał ulewny deszcz i gdy Julia nie wróciła do domu o dziewiątej, zaczął się niepokoić. Zapakował śpiącą Gracie do samochodu i ruszył szukać żony. Najpierw pojechał na cmentarz, zamknięty o tej porze, a potem jeździł na chybił trafił po ulicach miasteczka.

Oszalały z niepokoju wrócił do domu. Myślał, że Julia po prostu ich porzuciła, gdy ni z tego, ni z owego zadzwoniła tamta kobieta. Przedstawiła się jako Made-line Davis i powiedziała, że z jego żoną jest wszystko w porządku, ale że śpi w jej domu. Stary pensjonat Belleweather był teraz salonem herbacianym — zaledwie kilka minut od ich domu! Jak to możliwe, że Julia była tak blisko, a Mark o tym nie wiedział?

Chciał po nią pojechać, ale Madeline zaproponowała, żeby pozwolić Julii wypaść się, oczywiście, jeśli zaopiekowanie się Gracie to dla niego nie problem. Oczywiście nie było problemu, jednak to, że nieznamy osoba wie o nim całkiem sporo, podczas gdy on nie miał nawet pojęcia o jej istnieniu, wprowadziło go w zdenerwowanie.

Julia miała swoje tajemnice, którymi nie chciała się z nim dzielić. Zaczęła wreszcie wychodzić ze swojej skorupy, ale zamiast zwrócić się do niego, nie chciała mieć z nim nic wspólnego.

Gdy wtedy przyjechała do domu w środku nocy, nie powiedziała, co się stało, a Mark nie pytał. Następnego dnia obudził go dźwięk lejącej się wody, a gdy Julia wyszła z łazienki, zobaczył, że ścięła włosy. Zwykle sama obcinała sobie włosy (Joshowi również), ale przez ostatnie pięć lat po prostu pozwalała im rosnąć. Stawały się coraz dłuższe i bardziej gęste, tworząc burzę ślicznych loków, które Mark uwielbiał. Już ich nie było.

Ale Julia wyglądała tak pięknie, że zapało mu dech; nie wiedział, co powiedzieć. Fale rudoblond loków okalały jej twarz, muskały policzki; Julia wyglądała zupełnie inaczej, młodziej, lepiej. Zerknął na tył jej szyi i poczuł przemożne pragnienia dotknięcia wargami jej skóry, wdychania jej zapachu. Chciał jedynie poczuć zapach własnej żony, ale nie miał odwagi.

Gracie marudziła, żeby jej też obciąć włosy, mówiąc, że chce wyglądać jak Julia, co niestety było niemożliwe. Odziedziczyła po nim proste brązowe włosy, które trzymały się posłusznie założone za uszy, związane w kucyk czy splecione w warkocz. Jednak dotąd b łągała Julię, żeby zrobiła z jej włosami coś, cokolwiek, aż wreszcie Julia zgodziła się ze śmiechem.

Mark przyglądał się im z pewnej odległości, gdy Julia przyniosła nożyczki

i zawinęła ręcznik wokół szyi Gracie. Nagle uzmysłowił sobie, że nigdy przedtem nie obcinała włosów córce, wysyłała jego i Gracie do salonu piękności.

Delikatnie podcięła dziewczynce włosy i zrobiła jej grzywkę. Gracie była przeszczęśliwa.

— A teraz kolej na tatę — oznajmiła.

— Proszę bardzo. — Mark zaryzykował.

Julia wytrzepała ręcznik do zlewu.

— Może innym razem — powiedziała i zagoniła Gracie pod prysznic.

Teraz Mark wyszedł zza rogu, z Gracie na barana, jej cienkie rączki oplatały jego szyję i zobaczył, jak Julia przegląda się w lustrze, nieświadoma ich obecności.

— Kiedy wrócisz? — zapytał.

Wzruszyła ramionami.

— Niezbyt późno. Nie będzie mnie parę godzin, najwyżej cztery.

— Może zaprosimy kiedyś twoich przyjaciół na obiad?

— Na pewno oprócz Madeline była tam jeszcze jedna kobieta, która również niedawno zamieszkała w Avalonie. Chciałby je poznać, zobaczyć, jakie one są, zrozumieć, czemu Julia woli spędzać czas z nimi, zamiast z nim. Jak dobrze ją znają? Jak dobrze ona je zna? Czy wiedziały o Joshu?

Julia nie odpowiedziała, pocałowała Gracie w głowę. Już miała się odwrócić, gdy Mark skorzystał z okazji, objął Julię i pocałował ją w usta.

Była wstrząśnięta. Uśmiechnęła się słabo, a potem odwróciła, zabrała swoje rzeczy i wyszła.

Gdyby wytarła usta ręką, Mark poczułby się tak samo. Słyszał, jak rusza, jak wyjeżdża tyłem z podjazdu, jak przyspiesza.

Jak ucieka.

Jadąc do Madeline, Julia ze złością waliła ręką w kierownicę. Czemu to zrobił? I to w obecności Gracie? Dlaczego?

Nie wiedziała, czemu taki problem stanowi dla niej pocałunek własnego męża. Kiedyś całowali się bez przerwy, głęboko, namiętnie, seksownie, a po narodzinach Josha — po kryjomu, na tyle, na ile pozwalały im rodzicielskie obowiązki, rozkręcanie firmy Marka.

Po śmierci Josha i narodzinach Gracie zawsze rano udawała, że śpi, otwierała oczy dopiero wtedy, gdy miała pewność, że Mark wyszedł. Pocałunki stawały się nieśmiałe, delikatnie, potem zdawkowe, ale nigdy nie ustały, chociaż Julia rzadko oddawała pocałunki i starała się ich unikać, co udawało się jej aż do dziś.

Zdawała sobie sprawę, że ich małżeństwo jest okaleczone, nie wiadomo, czy da się je naprawić. Przez długi czas było jej to obojętne, ale teraz czuła smutek. To jej wina? A może Marka? Zna statystyki dotyczące dzieci wychowywanych

w rozbitej rodzinie. A co z rodziną rozdartą, postawioną na głowie, pozbawioną niezbędnego elementu?

Kiedys ktoś życzliwy dał jej artykuł o rodzicach w żałobie, który niestety przeczytała. Była w nim mowa, że śmierć dziecka to jakby odłamanie gałęzi na drzewie rodziny. Mogą wyrosnąć nowe gałęzie, ale nigdy nie zastąpią tej złamanej. Problem polegała na tym, że dla Julii nie była to jedynie złamana gałąź. Ona czuła się tak, jakby całe drzewo zostało wyrwane z korzeniami.

— Podjęłam decyzję. — Hannah obraca swój pierścionek z diamentem i obrączkę. Zsuwają się z jej szczipłych palców, ale nie odda ich do przerobienia w obawie, że Philippe mógłby ją zobaczyć bez nich.

Madeline przyniosła talerz z ciastkami i kanapkami— — paluszkami, Julia nastawiła wodę na herbatę.

— Jaką decyzję? — pyta.

— Jadę zobaczyć się z Philippe'em. Dzwoniłam do niego przez kilka ostatnich dni, ale nie odbierał. — Niedługo miną trzy miesiące, odkąd widzieli się ostatni raz. Rozstawali się już, gdy jeździli w trasy koncertowe, ale zawsze mieli ze sobą kontakt, telefoniczny, faksowy, e— mailowy. A teraz nic. Wzięła głęboki oddech. — Pojadę do niego do Chicago.

Wyłożyła im cały plan. Ponieważ nie może się do niego dodzwonić i nie wie, co to za kobieta odebrała wtedy telefon w ich mieszkaniu, chce się z nim zobaczyć na neutralnym gruncie. Philippe będzie grał w ten weekend, więc zdoła złapać go po występie, wtedy nie będzie mógł się wykręcić. Nie jest pewna, czego się właściwie spodziewa, ale chce go zobaczyć. Jak on wygląda? Jest szczęśliwy? Może zgnębiony? Czy za nią tęskni? A może, gdy ją zobaczy, zrozumie, że nadal ją kocha, że pragnie z nią być? To możliwe, prawda?

— Nie uprzedzę go, że przyjeżdżam. — Widząc, że przyjaciółki wymieniają spojrzenia, dodała szybko: — To znaczy, nie planuję żadnego sabotażu, nigdy bym czegoś takiego nie zrobiła. — Przerwała. Gdyby tak nie było, nawet by o tym nie pomyślała, prawda? Czuje, jak jej pewność zanika zastępowana przez upokorzenie. Co sobie o niej myślą te wspaniałe kobiety, które stały się jej przyjaciółkami? A może już żałują, że się z nią zaprzyjaźniły? — Tak mi głupio, że spotkałyśmy się w chwili, gdy w moim życiu jest taki bałagan.

— Życie takie już jest, moja droga — powiedziała Ma— deline; Julia pokiwała głową.

Hannah przygryza wargę, wdzięczna za tę uprzejmość, ale nie przekonana.

— Ja i Philippe musimy wyglądać jak dwójka rozpuszczonych dzieciaków...

— Och, daj spokój. — Madeline machnęła ręką. — Przede wszystkim, oboje jesteście muzykami — i to nie jakimiś tam muzykami, lecz wybitnymi artystami, wiecznie w centrum uwagi. Masz wyjątkowy dar i zdecydowałaś się

dzielić nim z innymi. Całe lata poświęciłaś ćwiczeniom, a twoja pasja była zarazem twoim źródłem utrzymania. Niewiele osób potrafi tak pokierować swoim życiem i do tego jeszcze zaznać sławy. Szczerze mówiąc, zdumiewa mnie, że nie jesteście kompletnie nieznośni.

— Skrzywiła się.

Hannah uśmiechnęła się i wytarła oczy, pochylona nad swoją herbatą.

Madeline z błyskiem w oku podeszła do wieży i wzięła CD.

— Zobacz, co znalazłam.

Hannah rozpoznaje okładkę i czuje się zakłopotana.

— O, nie.

— O, tak. — Madeline wyjęła krążek z pudełka. — Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak to jest grać pod batutą Lorina Maazela i Kurta Masura. — Wróciła do stołu i podała okładkę Julii.

Gdy muzyka Straussa wypełnia pokój, Hannah czuje, że jej ciało odpręża się. Nawet Julia zamyka oczy, pozwala odpłynąć myślom.

Madeline usiadła na krześle.

— Ty i Philippe jesteście tylko ludźmi, jak wszyscy inni. Nie ma sensu zadrećzać się tym, że jesteś człowiekiem.

Hannah czuje wdzięczność za te słowa otuchy, ale nie wyobraża sobie, żeby Madeline była kiedykolwiek tak niemądra jak ona.

— Chciałabym być taka jak ty. Jesteś taka niezależna, potrafisz wykorzystać okazję, nie musisz niczego żałować.

Madeline sięgnęła po koszyk ze świeżo upranymi serwetkami i zaczęła je składać.

— Tego bym nie powiedziała. Jak mówiłam, jesteśmy tylko ludźmi, każdy ma coś, czego żałuje.

Julia też sięgnęła po serwetki.

— Zapewne, ale spójrz na swoje życie, Madeline. Idziesz przez nie z taką pewnością siebie, z taką dystynkcją, jesteś taka miła i szczodra dla wszystkich.

— Nie, nie dla wszystkich. Zbyt dobrze o mnie myślicie. — W jej głosie pojawiła się niespodziewana ostrość.

W skupieniu składała serwetki jeszcze przez kilka sekund, a potem odsunęła krzesło i wstała. — Przepraszam na chwilę.

Patrzyły na nią w osłupieniu, gdy wychodziła.

— Powiedziałyśmy coś nie tak? — spytała Hannah z niepokojem.

Julia, też zaskoczona, pokręciła głową.

— Myślę, że po prostu potrzebuje chwili dla siebie.

Skladały serwetki, czekając na powrót Madeline.

Następuje zwrot w muzyce — rozbrzmiewają instrumenty dęte, włączają się skrzypce. Hannah wzdycha.

— Uwielbiam tę część.

Julia przechyla głowę, słuchając uważnie.

— Czy w tej części grają wiolonczele?

Hannah kiwa głową.

— Tak. Wiolonczela to wspaniały instrument solowy, ale w orkiestrze odgrywa fundamentalną rolę. Zapewniamy stabilność, jesteśmy szkieletem utworu i nawet jeśli nas nie słyszysz, jesteśmy tam. Gdyby nas usunięto, poczułabyś brak.

— Żałuję, że nie widziałam ciebie w czasie występów. Jestem pewna, że to było niepowtarzalne.

Hannah oblewa się rumieńcem. Chciałaby zaprzeczyć, ale wtedy musiałaby skłamać.

Julia składa serwetki, słuchając muzyki.

— Byłam na koncercie tylko raz czy dwa razy w życiu, ale nigdy nie miałam okazji naprawdę tego docenić. Teraz, gdy poznałam ciebie, chciałabym dowiedzieć się więcej. — Roześmiała się. — Może to nie Gracie, tylko ja powinnam brać lekcje gry?

— Czemu nie? — mówi Hannah. Takie wspólne lekcje wydają się idealne dla Julii, no i mogłyby zachęcić Gracie do ćwiczeń. — To może być fajna sprawa dla was obu.

— Nigdy o tym nie myślałam. To może być dobra zabawa, prawda?

— Świetna — dla nas wszystkich. — Uśmiechają się do siebie i Hannah zdobywa się na odwagę, żeby zadać Julii pytanie, nad którym zastanawiała się od kilku dni.

— Chciałabym cię o coś zapytać, Julio.

— Słucham.

— Mogłabyś pojechać ze mną do Chicago? Na jedną noc? Wiem, że to może wydawać się niezręczne przy całej tej sytuacji wokół mojego małżeństwa, ale chciałabym mieć obok siebie przyjaciółkę, w razie gdyby coś poszło nie tak. Mogę zdobyć darmowe bilety na koncert, bardzo dobre miejsca.

— Chicago — wymamrotała Julia.

— Nie czuj się zmuszona, oczywiście. Być może za wcześnie na taką propozycję, może powinna zwrócić się do starego przyjaciela, kogoś, kogo zna od dawna. Ale Hannah nie ma nikogo takiego i strasznie by chciała, żeby to Julia była przy niej. — Załatwiłabym hotel i wszystko inne, przecież i tak muszę to zrobić, jeśli pojedę sama.

Julia włożyła ostatnią serwetkę do koszyka.

— Wiesz, myślę, że mogłabym. Muszę tylko porozmawiać z mężem, ale skoro to będzie w weekend... — Pokiwała głową, uśmiechnęła się. — Tak, pojedę z przyjemnością.

— Naprawdę? — Hannah aż klasnęła w dłonie, czując ogromną ulgę.

— Tak się cieszę! — Świadomość, że Julia będzie tam przy niej sprawiła, że poczuła się odważniejsza, miała wrażenie, że zdoła stawić czoło temu, co może ją tam spotkać. — Chcę zobaczyć się z Philippe'em dopiero po występie, zwykle jest przyjęcie za kulisami dla posiadaczy biletów rocznych i VIP—ów. Będziesz mogła poznać się z innymi melomanami i muzykami.

Julia wzruszyła ramionami.

— Nie wiem, czy jestem gotowa na coś takiego. Może po prostu będę trzymać się ciebie albo wrócę do hotelu.

— Co tylko zechcesz. — Hannah chciała, żeby Julia też dobrze się bawiła. Dziwne, jak coś może się zmienić w jednej chwili! Tak się bała tego wyjazdu do Chicago, a teraz nie może się go doczekać.

Noc poza domem — te słowa huczą jej w głowie. Noc, gdy Julia będzie normalną kobietą, żadnego osądzania czy współczujących spojrzeń. Bez Marka i Gracie. Kocha ich i potrzebuje, ale teraz pragnie czegoś innego.

Chwili przerwy od swojego życia.

Madeline wróciła do pokoju, z grubą kopertą w dłoni. Napisała ten list wkrótce po przeprowadzce do Avalo—nu, miała wtedy mnóstwo czasu. Położyła go na środku stolika i usiadła ciężko.

— To jest to, czego żałuję, dziewczęta. — Zacisnęła wargi.

Wpatrywały się w kopertę, ale żadna po nią nie sięgnęła. Była zaadresowana do Benjaminu Dunna w Pensylwanii.

— To ostatni adres, jaki znam. Kto wie, czy on tam jeszcze mieszka? Nawet nie wiem, czy żyje. — Ta ewentualność przerażała ją najbardziej.

— Kim jest Benjamin? — spytała Hannah.

— Jedynym dzieckiem z pierwszego małżeństwa mojego męża. — Madeline patrzyła na staromodną tabliczkę, powieszoną nad wejściem do kuchni. „Tu zbiera się rodzina i przyjaciele”. Nigdy nie wnikała w treść, po prostu podobały jej się rustykalność i urok tej tabliczki, ale teraz dostrzegła hipokryzję w tym prostym stwierdzeniu.

— Pierwsza żona Stevena, Erica, zginęła w wypadku samochodowym, wjechała na płamę czarnego lodu na jezdni. Gdy zostałam macochą Bena trzy lata później, miał siedem lat i był rozszluszczonym, poranionym dzieckiem. Zapewne miał ADHD, czy jakkolwiek się to teraz nazywa. On i Steven wiecznie się kłócili, między innymi dlatego, że nie było z nimi kobiety, która łagodziłaby spory.

Julia i Hannah słuchały, kiwając głowami. Madeline westchnęła — nie często opowiada tę historię, nie lubi o niej mówić, ponieważ brak jej dobrego zakończenia.

— Erica zaszła w ciążę w ich noc poślubną i Steven nie był gotów zostać ojcem. Nie miał pojęcia, jak postępować z takim chłopcem jak Ben. Nie zrozumcie mnie źle — był wspaniałym człowiekiem i naprawdę bardzo się starał, ale nie

potrafił zająć się Benem tak, jak chłopiec tego potrzebował. Moje zjawienie się w jego życiu tylko dołało oliwy do ognia.

To była walka. Na początku bardzo się starałam — proponowałam pomoc przy odrabianiu pracy domowej, zgłaszałam się jako opiekunka na wycieczki szkolne, brałam stronę Bena w kłótniach ze Stevenem. Im bardziej się starałam, tym gorzej to wychodziło, w każdym razie tak mi się wtedy wydawało. Teraz, gdy o tym myślę, widzę, że było mnóstwo drobiazgów, na które nie zwracałam uwagi: na przykład, że wolał zostawać w domu, niż wyjść z kolegami, że wiecznie kręcił się pod nogami, że wszędzie rozrzucał rzeczy. Wydawało mi się, że specjalnie usiłuje wejść mi w drogę, czasem tak mnie to wytrącało z równowagi, że musiałam ochłonić w swoim pokoju. Nie zdawałam sobie sprawy, że Ben po prostu pragnął mojej uwagi. Byłam zbyt głupia, by to dostrzec, by zrozumieć, co tak naprawdę znaczy jego zachowanie. A on tylko pragnął miłości, tak jak wszystkie dzieci, tylko nie wiedział, jak o nią poprosić. — Julia otarła oczy i Madeline poczuła łzy pod powiekami. Od tak dawna nie płakała z tego powodu... — Nie rozumiałam wtedy, że to ja powinnam to sobie uświadomić, nie on. Gdy Ben poszedł na studia, muszę przyznać, że odetchnęłam z ulgą. Co z oczu, to z serca. Zrobiło się spokojniej, chociaż od czasu do czasu dawał o sobie znać: warunkowe pozostawienie na studiach, prowadzenie samochodu po alkoholu, i tak dalej. A potem Steven zmarł.

Utkwiła spojrzenie w sufit.

— Firma obuwnicza Stevena należała do jego rodziny od pięciu pokoleń. *Zawsze* miał nadzieję, że Ben mimo wszystko ustatkuje się i przejmie interes, więc nie byłam zaskoczona, gdy zapisał firmę na syna. Rozmawialiśmy o tym, bardzo chciał to zrobić, ja również pragnęłam, by tak się stało. Chociaż nie widzieliśmy Bena od lat, utrzymanie interesu w rodzinie wydawało się jak najbardziej słuszne.

Sprzedał firmę w chwili, gdy ją dostał. Nie mogłam w to uwierzyć! Czulałam się tak, jakby wbił mi nóż prosto w serce. Podejrzewałam, że był alkoholikiem, potem dowiedziałam się, że brał też narkotyki. Żył jak tułacz, bez rodziny, bez domu, bez miejsca na ziemi. Nawet poczułam ulgę, że Steven nie żyje i nie musi patrzeć na to, co zrobił Ben. — Głos jej zadrżał. Za każdym razem, gdy o tym mówiła, bolało tak samo, jakby wydarzyło się wczoraj.

— To nie twoja wina — odezwała się cicho Julia. — Nie mogłaś przewidzieć, co on zrobi. Nie możesz siebie za to winić. — Miała dziwny wyraz twarzy, zupełnie jakby te słowa odbiły się echem w jej własnym sercu.

— Za to — nie. — Madeline wzięła głęboki wdech. — Byłam na niego wściekła, nie tylko, że sprzedał firmę, ale za wszystko, co zrobił wcześniej — Stevenowi, mnie, nawet sobie. Nasza mała saga rodzinna wzbudziła żywe zainteresowanie mediów i poproszono mnie o wywiad. Zgodziłam się i ostro zaatakowałam Bena. Publicznie. Nie pamiętam, co dokładnie powiedziałam,

pamiętam tylko przerażenie, jakie poczułam, gdy czytałam swoje własne słowa wydrukowane czarno na białym. To było straszne. Zastanawiałam się, jak mogłabym mu to wynagrodzić, ale wtedy Ben wynajął dobrego prawnika i spróbował odebrać mi dom, który Steven zostawił mnie, dom, w którym mieszkałam. Skromny domek, nic nadzwyczajnego, a Ben miał tyle pieniędzy, że mógłby kupić sobie kilka domów w najlepszej dzielnicy.

Odebrałam to w ten sposób, że chciał sprawić mi ból. Media podchwyciły temat, poproszono mnie o kolejny wywiad, ale tym razem odmówiłam. Postanowiłam nie robić już nic więcej, dać sobie spokój, pozwolić, by cała sprawa umarła śmiercią naturalną, by wszystko wróciło do normy.

Madeline czuje się nieszczęśliwa, opowiadając resztę tej historii. Przyciągnęli uwagę największych gazet, „Wall Street Journal” cytował Bena, który nazwał Madeline naciągaczką, złą macochą, alkoholiczką. To było tak absurdalne, że aż śmieszne.

Ludzie, których uważała za przyjaciół, zaczęli jej unikać. Kasjerzy w banku uśmiechali się z przymusem, sąsiedzi witali ją krótkim skinieniem głowy, gdy wychodziła rano po gazetę. Czy po tych wszystkich latach ludzie nie znali jej na tyle dobrze, by przejrzeć kłamstwa Bena? Najwidoczniej nie.

— Zrobiłam jedyną rzecz, jaka wtedy wydawała mi się słuszna: przekazałam dom fundacji, żeby Ben nie mógł go kupić. Sprzedałam wszystko, zostawiając sobie jedynie niezbędne rzeczy, zaś pieniądze przekazałam na cele charytatywne. Wyjechałam z miasta. Kalifornia wzywała, więc pojechałam.

— Czemu Ben chciał mieć ten dom? — Hannah nie mogła tego zrozumieć. Madeline otarła oczy.

— Ponieważ, gdy ja byłam opłakującą męża wdową, on był synem w żałobie. Stracił oboje rodziców bardzo wcześnie i jedyne, co mu pozostało, to dom, w którym dorastał. Teraz to rozumiem, że tak naprawdę nie miało to nic wspólnego ze mną. Zrobił jedyną rzecz, która mogła zwrócić mnie przeciwko niemu, bo chciał zobaczyć, co zrobię.

— Jak to? — odezwała się Julia.

— Chciał sprawdzić, czy on sam jest dla mnie ważniejszy niż dom czy firma. Ale ja nie dałam mu tego odczuć i tego chyba żałuję najbardziej. Teraz nie mam już nic — ani domu, ani firmy, ani Bena. Gdybym mogła cofnąć czas, postąpiłabym inaczej, dokonałabym innego wyboru...

— To dlatego wróciłaś? — spytała Hannah. — Żeby to naprawić?

Madeline z uśmiechem pokiwała głową.

— Chciałam być bliżej, zachodnie wybrzeże wydawało się tak odległe, to niemal inny świat. Chicago było moim domem przez długi czas, również domem Bena i myślałam naiwnie, że w jakiś sposób znów tu wrócimy. Rzecz jasna, on może być wszędzie. Ostatni adres, jaki miałam, to Pensylwania, właśnie ten.

— Poklepała kopertę.

Kiedyś użyła Google'a, żeby sprawdzić, czy zdoła go odnaleźć, ale ilość wyników — ponad dwa miliony dla Benjamina Malcolma Dunna, w różnych kombinacjach tego imienia — przytłoczyła ją. Początkowo klikała każdy link, wreszcie poddała się i postanowiła użyć ostatniego znanego jej adresu, tego, który dostała od prawnika. Nawet jeśli Ben już tam nie mieszkał, list mógł do niego jakoś dotrzeć.

— Ale teraz nie jestem pewna, czy powinnam go wysłać. To mogłoby niepotrzebnie otworzyć stare rany. — Westchnęła ciężko. — Pisanie tego listu zajęło mi trzy miesiące. Pewnie tak samo długo zajmie mi wysyłanie go.

— Mogę go wysłać, jeśli chcesz — powiedziała łagodnie Hannah.

Madeline pokręciła głową i szybko wzięła kopertę, jakby się bała, że Hannah wyśle list już teraz.

— Nie, nie. Zrobię to sama. — Położyła kopertę na kolanach i przykryła serwetką. Odetchnęła głęboko. — Zrobię to, gdy już będę gotowa.

Bernice Privott, lat 58, bibliotekarka

— Nie. Przepraszam cię, ale nie mogę tego zrobić.

Bernice Privott stała bezpiecznie za drzwiami z siatką przeciw owadom, ze skrzyżowanymi ramionami i przepaszającym, ale stanowczym wyrazem twarzy. Właśnie płukała naczynia, gdy zauważyła, że Helen Welch wychodzi ze swojego domu z kilkoma charakterystycznymi torebkami zakwasów. Bernice zdążyła wytrzeć ręce i zasunąć zasuwę w chwili, gdy Helen weszła na chodnik.

Helen uśmiechnęła się słodko.

— Bernice, nie prosiłabym o to, gdyby to nie był nagły wypadek.
— Trzymała torebki w objęciach.

Bernice pokręciła głową; nie da sobie nic wcisnąć.

— Helen, przesłałam już przez trzy cykle, mam własną torebkę i nie mam pojęcia, co z nią zrobić.

Helen westchnęła ze współczuciem i podeszła bliżej.

— Ale ja nie zamierzam ci ich dać, Bernice, chciałam tylko, żebyś zajęła się nimi przez jakiś czas. Henry chce odwiedzić matkę w Grand Detour i wrócimy najwcześniej w piątek. Po prostu nakarm zakwas w dniu szóstym, a potem odbiorę od ciebie torebki.

— Nie — odpowiedziała Bernice. Stanowczość przychodzi jej bez trudu, jest kierownikiem biblioteki publicznej Avalonu od ponad trzydziestu lat.

Helen sięgnęła do kieszeni sukienki i wyciągnęła kartę katalogową.

— Wspominałam, że znalazłam przepis na przepyszny chleb na tym zakwasie, z dynią i żurawiną? Czy przypadkiem pan Takahashi nie przepada za dynią?

— zmrużyła oczy.

Koji Takahashi jest nowym informatykiem w bibliotece. Kilka lat starszy od Bernice, ostatnio przeniósł się z Ann Arbor w Michigan. To on ulepszył system biblioteczny w bibliotece okręgowej w Ann Arbor, zawierający ponad pięćset tysięcy książek, czasopism, audiobooków, DVD i tak dalej. Ich przytulna biblioteka miejska o powierzchni stu osiemdziesięciu sześciu metrów kwadratowych ma dużo mniejsze zasoby, ale Koji powiedział, że to bez znaczenia. Gdy usłyszał, że ich potrzeby są znacznie skromniejsze, odparł, że jego również — i dostał tę pracę.

Helen stuknęła kartą w siatkę drzwi; Bernice zawahała się, ale tylko chwilę. Odsunęła zasuwę i otworzyła drzwi.

— No dobrze. Wracasz w piątek?

Helen kiwnęła głową i uśmiechnęła się szeroko, wypełniając jej ręce torebkami. Potem wręczyła kartkę i idąc w stronę domu, rzuciła przez ramię:

— Och, gdybym nie zdążyła wrócić na czas — wiesz, ostatnio padały ulewne deszcze — to bądź tak dobra i zadbaj, żeby zakwas się nie zmarnował. Dzięki!

Bernice już wie, że dała się zrobić.

— Helen!

Ale Helen biegnie do domu, nie oglądając się. Ma wolne ręce, wolną kuchnię, a Bernice klnie pod nosem, zastanawiając się, ile bochenków dyniowego chleba z żurawiną będzie potrzeba, żeby zdobyć serca Koji Takahashi.

Rozdział 14

W Liwy buzuje nerwowa energia. Wysprzątała dom, wyprała pościel, przygotowała wspólny obiad (z gotowych dań od Krogera), znalazła idealne pudełko na test ciążowy i zawięła je w bibułę w kolorze żonkili.

Urządzi pokój dziecięcy w drugiej sypialni dla gości. Jest daleko od schodów (wybiega myślą naprzód, gdy dziecko zacznie raczkować), ma dużo światła, miejsce na łóżeczko, przewijak, komodę, bujany fotel i regały. Szafy są przestronne, będzie można zamocować drugi drążek, dziecięce ubranka są takie małe. Nie może się już doczekać kupowania wyprawki dla noworodka. A może ona i Edie będą kupować razem? Może dzięki temu dostaną zniżkę na meble i inne rzeczy?

Trzaskają drzwi, wchodzi Tom. Liwy wita go z zimnym piwem w ręku.

— Cześć, Liv. — Tom całuje ją, rozluźniając krawat, bierze piwo z uśmiechem. — Rany, jak miło. Dzięki, kochanie.

Miał dobry dzień. Idealnie.

— Jesteś głodny? Przygotowałam obiad. — Chce zaciągnąć go do jadalni.

— Umieram z głodu. Przebiorę się i za chwilę będę na dole. — Rzucił teczkę na bok i poszedł na piętro.

Liwy pobiegła do kuchni upewnić się, że wszystko jest ciepłe. Przygotowała ulubione dania Toma: stek z ziemniakami piure i marchewką, bułeczki, fasolka szparagowa. Do tego piwo dla niego i musujący cydr dla niej. Na deser sernik.

Przyniosła na stół wszystko z wyjątkiem sernika i usiadła; położyła serwetkę na kolanach i czekała — serce jej biło jak szalone.

Dziesięć minut później wciąż czeka.

Po upływie kwadransa ciska serwetkę na talerz i idzie na górę. Tom jest w sypialni: leży na łóżku, oglądając golf, w bokserkach, skarpetkach i koszuli, którą wkłada do pracy. Pusta butelka stoi na szafce nocnej.

— Tom!

Uciska ją wpatrzony w telewizor.

— Liv, jeszcze chwila. Dają skrót z Players Championship...

— Tom, zrobiłam obiad, który właśnie stygnie na dole.

— A nie możemy zjeść tutaj?

Liwy wyłączyła telewizor.

— Nie!

Tom klnie.

— Do diabła, Liwy. — Cisnął pilotem i wstał. — Dobrze. Idźmy jeść.

Patrzy na niego szeroko otwartymi oczami.

— Nie masz zamiaru przebrać się?

— Nieważne. Po prostu zjedźmy ten obiad. — Pierwszy wyszedł z pokoju.

Liwy idąc za nim, stara się uspokoić. Z każdym krokiem jej złość znów zastępuje podniecenie, świadomość, że wszystko będzie dobrze, że wszystko się zmieni.

Tom zatrzymuje się przy swoim krześle.

— Co to jest? — Podnosi pudełko zawinięte w żółtą bibułę.

— Prezent. — Liwy nie siada na swoim miejscu, staje obok niego.

Tom wygląda na zaskoczonego, nawet zawstydzonego. Pochyla się i całuje ją.

— Więc to dlatego... Dzięki, Liv. — Siada i zrywa papier. — Zegarek?

Kręci głową, ale nic nie mówi. Nie chce nic mówić, dopóki on nie zobaczy, co to jest.

— Co do... — Jest zszokowany, gdy czyta liścik, a potem podnosi test ciążowy. — Plus oznacza ciążę? Jesteś w ciąży?

Liwy nie może już wytrzymać.

— Tak! Wyobrażasz sobie? Nie miałam o tym pojęcia, po prostu moja znajoma, Edie robiła test, i ja też, żeby ją wesprzeć, i... — Pokazuje okienko z różowym plusem.

— Wynik jest pozytywny! Będziemy mieć dziecko, kochanie! — Zarzuciła mu ręce na szyję, całując go. — Będziemy rodzicami!

Tom przeczesał ręką włosy.

— O rany. To znaczy... o rany.

— Wiem! Wyszło dokładnie tak, jak mówili: jeśli bardzo się starasz, żeby zajść w ciążę, robi się coraz trudniej, ale gdy odpuszczasz, to się po prostu dzieje...

— Jesteś absolutnie pewna? To znaczy, może ten test jest wadliwy?

Liwy czuje, jak uśmiech odpływa z jej twarzy.

— Co powiedział lekarz? — indaguje Tom.

— Jeszcze nie byłam, umówiłam się na jutro.

— Czyli możliwe, że wynik jest fałszywy? To znaczy, lekarz powinien to potwierdzić, prawda?

Nie rozumie, co on mówi. A może rozumie. Wyrywa mu test z ręki.

— Możliwe, ale mało prawdopodobne. Jestem w ciąży, Tom. To jest to, czego chcieliśmy. Nie jesteś szczęśliwy?

— Jestem, Liwy, tylko że... — Patrzy na nią zmieszany.— Toniemy w długach, jeśli tego nie zauważyłaś, mamy jeden samochód i obciążoną hipotekę. To chyba nie są najlepsze warunki do wychowywania dziecka.

A jakie byłyby najlepsze? Zabezpieczenie finansowe to przecież tylko część równania. A co z miłością? Z rodziną? Pieniądze nie są jedyną rzeczą, która wprawia w ruch ten świat.

— Poza tym, mogę stracić pracę.

— Stracić pracę? — Liwy wytrzeszcza oczy, siadając na krześle naprzeciwko. — Co masz na myśli?

Westchnął ciężko.

— Mam kiepskie wyniki w sprzedaży. To był fatalny rok dla wszystkich. Nawet jeśli mnie nie zwolnią, będę musiał poszukać lepszej pracy. Ty też.

— Ja? Ale ja lubię moją pracę w „Gazette”.

— Wiem, Liv, ale oni mamie płacą. W ten sposób nigdy nie wyjdziemy z długów. — Wpatruje się w butelkę musującego cydru, chłodzącą się w kubelku z lodem i łagodnieje: — To się dzieje naprawdę? Naprawdę jesteś w ciąży?

Liwy kiwa głową, choć nie czuje się już taka szczęśliwa.

— Naprawdę.

— Powiedziałaś już komuś?

Kręci głową.

— Edie wie, ponieważ była tam ze mną, ale myślałam, żeby najpierw pójść do lekarza, sprawdzić, który to tydzień. Powinniśmy poczekać do końca pierwszego trymestru, zanim komuś powiemy... — Ale wie, że i tak zadzwoni do rodziców, jeszcze zanim wyjdzie od lekarza. Omal nie zadzwoniła dziś do Julii, jej palce błędziły po klawiaturze komórki, lecz nie wybrała numeru.

Tom wciąż nie może wyjść z oszołomienia. Sadza sobie Liwy na kolanach.

— Jesteś w ciąży. — Smakuje te słowa. — Może oleję jutro pracę i pójdę z tobą do lekarza? Chciałabyś?

Bardzo by chciała. Płacze i śmieje się jednocześnie.

— A co z pracą, z pieniędzmi?

Wzrusza ramionami, udając obojętność.

— I tak mnie wyleją. Potem coś wymyślimy. — Całuje ją, a potem przytula. Bardzo mocno.

Siedzą tak przez długi czas: Tom, Liwy i ich malutkie dziecko, pełne możliwości i nadziei na przyszłość.

— Chodź tutaj, *mamacita* — mówi Richard, odchylając kołdrę, gdy Edie wraca do łóżka z łazienki.

— Pewnie myślisz, że to urocze, ale to wcale nie jest śmieszne.

Miała mdłości od chwili, gdy zmusiła Richarda, żeby zrobił jej badanie krwi na potwierdzenie ciąży i okazało się, że jest w ciąży. Są umówieni na USG za kilka dni, żeby określić datę porodu i jednocześnie wiek dziecka

— ze względu na nieregularne okresy Edie i jej kompletny brak zainteresowania prowadzeniem jakichkolwiek notatek nie wiadomo, kiedy właściwie zaszła w ciążę. Poprawka: kiedy zaszli w ciążę. Edie ciągle nie może przywyknąć do tej liczby mnogiej i chociaż cieszy się, że Richard się angażuje, wie aż za dobrze: to nie „oni” będą rodzić dziecko.

Richard klepie pieszczotliwie jej brzuch.

— Nie staram się być zabawny, kochanie. Naprawdę zostaniesz czyjąś mamą — pochyla się i całuje delikatnie jej brzuch, a potem kładzie głowę na podołku. — Ciekawe, swoją drogą, że zaczęłaś mieć poranne mdłości zaraz po tym, gdy potwierdziło się, że jesteś w ciąży.

Edie wkłada do ust cukierek imbirowy, a potem jeszcze jeden, na wszelki wypadek.

— Richardzie, przede wszystkim, to wcale nie jest takie ciekawe. I poważnie wątpię, by ktokolwiek był tym tak dalece zainteresowany jak ty. Po drugie, to wcale nie są poranne mdłości, tylko całodobowe — proszę bardzo, mamy dziesiątą wieczorem. Po trzecie, jeśli jeszcze raz zaczniesz sugerować, że to wszystko jest w mojej głowie, skrócę moje cierpienia i zrobię ci krzywdę, a na policji powiem, że wszystkiemu winne są hormony.

Richard chichocze, wsuwa palce w dłoń Edie.

— A więc... — zaczyna cicho.

Edie jęczy, wie, co za chwilę nastąpi.

— Richardzie, jeśli to ma być jedna z tych rozmów pod tytułem: „musimy się pobrać ze względu na dziecko”, to ja nie chcę. — Uwalnia rękę i zagrzebuje się po kołdrę, tyłem do niego. Po prostu chce spać. I to przez cały czas, niestety.

Richard pochyla się nad nią.

— Edie, nigdy nie prowadziliśmy takiej rozmowy. Znam twoje uczucia i szanuję je.

— To czemu mam wrażenie, że właśnie będziemy o tym rozmawiać? — dobiega spod kołdry stłumiony głos.

Delikatnie ciągnie za brzeg kołdry, dopóki nie wysunie się ona z palców Edie.

— Ponieważ chciałbym, żebyś ty również szanowała moje uczucia. Czy w ogóle wiesz, co czuję? Od trzech dni wiadomo, że jesteś w ciąży i ani razu nie rozmawialiśmy o przyszłości.

— Przyszłości? — Edie marszczy brwi.

— Tak, naszej przyszłości.

— Chcesz poznać przyszłość? Proszę bardzo. — Edie odrzuca prześcieradła i unosi się na łokciach. — Oto, jak będzie wyglądała przyszłość. Za dziewięć miesięcy będziemy mieć dziecko, co znaczy, że mam dziewięć miesięcy, żeby zrobić karierę jako dziennikarka, zanim stanę się jedną z tych karmiących matek w klapkach, które spędzają czas przy koszach z przecenionymi towarami w sklepie ze zdrową żywnością. Taka przyszłość ci wystarcza?

Richard sprawia wrażenie zdenerwowanego.

— Tak to widzisz. Nie wiem tylko, gdzie tu jest miejsce dla mnie.

— Będziesz zmieniał pieluchy i wstawał w środku nocy z butelką mleka.

— Edie. — Richard wygląda już na mocno podenerwowanego. — To się rozumie samo przez się, że będę zmieniał pieluchy i wstawał w nocy, nie mam z tym problemu, dobrze o tym wiesz. Problem w tym, że twoim zdaniem to już wszystko. A co z małżeństwem, Edie? Chcę się z tobą ożenić. Wiem, że ty też tego chcesz. Więc dlaczego czekamy?

Edie wpatruje się w sufit. Nie wie, jak mu to wytłumaczyć. Nie jest niezadowolona ze swojego życia w Avalonie, ale wszystkie gazety akademickie pokazują jej dawnych kolegów, chwalaących się sukcesami, publikacjami, osiągnięciami. Zaczyna ją to wkurzać. Jedyne, jaka zawsze była jej obojętne, to, że ktoś spodziewał się dziecka. Wtedy tylko przewracała oczami i myślała: na szczęście to nie ja. Czy to nie ironia, że bogowie dali jej właśnie to, na czym najmniej jej zależało?

— Richardzie, po prostu chciałam się jeszcze przez chwilę skupić na pracy. Łatwo ci mówić — masz swoją praktykę lekarską, swój gabinet, pacjentów, sekretarkę, pielęgniarkę, nawet akwarium. Jesteś doktorem Richardem, którego wszyscy kochają. — Nie zazdrości Richardowi popularności, ale to wszystko należy do niego, nie do niej. — Chciałabym czegoś dokonać, zostawić jakiś ślad. Pisanie o wariatce, która kradnie ludziom gazety i węże ogrodowe, nie wprowadzi mnie do głównych gazet.

Richard opadł zrezygnowany na poduszki. Przesunął dłonią po twarzy i zacisnął zęby.

— Edie... Edie... Edie... — powtarza jej imię jak mantrę.

— Richardzie, potrzebuję tylko jednej dużej historii. I myślę, że ten chleb przyjaźni to jest właśnie to. Znalazłam coś jeszcze. Był taki słodki chleb, Hemin, krążący wśród wyznawców świętego Pio z Pietrelciny, znanego jako Ojciec Pio. Robisz święty chleb, wygłaszasz modlitwę, dzielisz zakwas i rozdajesz innym. Rzecz jasna, Watykan i grupa modlitewna Ojca Pio zaprzeczają temu, ale ludzie i tak to robią, na wszelki wypadek. Tamten przepis różni się od chleba amiszów, ale w gruncie rzeczy chodzi o to samo! Szkoda, że nie słyszałaś historii

o tych wszystkich rzekomych cudach, które ludzie...

— Dość. Wystarczy. — Richard delikatnie ujmując podbródek Edie, odwracając jej twarz do siebie. — Nie obchodzi mnie chleb Hemin czy Ojciec Pio.

Edie mruży oczy.

— No dobrze, ale...

— Cicho. — Taką determinację Edie widzi u niego po raz pierwszy. — Wiem, że nie cierpisz niespodzianek, więc potraktuj to jako uczciwe ostrzeżenie: planuję specjalny obiad, na którym mam zamiar zadać ci pewne pytanie.

— Och, Richard. — Edie nie potrafi ukryć zawodu.

W zasadzie nie ma nic przeciwko temu, że jej facet jest romantykiem, ale

mówiła, że nie znosi niespodzianek, szczególnie takich, które skutkowałyby pamiątkowym zdjęciem. — Nie możemy jeszcze trochę poczekać?

— Nie, ja na pewno nie mogę — mówi twardo. — Pomyśl, ile miałaś szczęścia, że cię ostrzegłem. To nie jest dokładnie tak, jak planowałem to zrobić, ale chcę, żebyś miała czas, by o tym pomyśleć, i kto wie, może nawet zacząć się cieszyć?

Nigdy nie bawiła się w przebieranki, wyobrażając sobie siebie jako pannę młodą. Nie ma nic przeciwko małżeństwu jako takiemu, ale czy każdy musi się żenić? Przez osiem lat wszystko układało się dobrze

— po co to niszczyć?

Niemal zapomniała, że jest w ciąży (to dopiero me— gaczynnik niszczący!), dopóki nie napłynęły mdłości. Zasłoniła usta dłonią; mdłości minęły.

— Czyli tak właściwie są to oświadczyzny przed oświadczynami? — podsumowuje, przełykając ślinę.

— Nie. Nie mówię, że zamierzam ci się oświadczyć. Ja ci się oświadczę, Edith Whitting Gallagher. — Richard wstał z łóżka i wyszedł na korytarz. Może chce coś przekąsić albo zrobić więcej tostów dla Edie. — A więc bądź czujna.

Connie Coils, lat 22, pracowniczka pralni samoobsługowej

Avalonski „Wash and Dry” jest jedyną samoobsługową pralnią w mieście. Znajduje się na rogu Main i Grave i ma osiem pralek ładowanych z góry, trzydzieści osiem ładowanych z przodu i trzydzieści sześć suszarek. Jest czynna od piątej rano do dwudziestej trzeciej, codziennie, włączając święta.

Connie Colls zaczęła pracować w pralni, gdy była w liceum. Miała idealną pracę dorywczą — zamiatanie i czyszczenie, uzupełnianie drobnych w automatach, dokładanie do nich małych paczuszek detergentów oraz chusteczek do suszarek, zgłaszanie awarii pralek. Gdy skończyła szkołę, bez żadnych perspektyw zawodowych, przyjęła pełny etat dzienny na stanowisku pracownika pralni.

Zdaje sobie sprawę, że nie jest to tak ambitna praca, jaką mają niektóre koleżanki, ale Connie i tak czuje się szczęśliwa. Praca jest łatwa i ona wykonuje ją dobrze. Wynagrodzenie nie jest rewelacyjne, a dodatki mizerne, ale dzięki pewnym rzeczom jest ciekawie.

Dorabia sobie, pomagając klientom — składa pranie czy wyjmuje je po skończonym cyklu. Właściwie nie powinna tego robić, ale świetnie zna wszystkich, którzy tu przychodzą, i nie boi się, że wpadnie w kłopoty.

W pralni niewiele się działo i znudzona Connie zasugerowała właścicielowi zamówienie kilku automatów z napojami. Zorganizowała też kącik dla maluchów, żeby zmęczone mamy mogły w spokoju złożyć pranie, urządziła półkę z książkami, które można wypożyczyć, także nie brakowało czasopism i gazet. Pomalowała ściany na kolor morski, zastępując wszystkie odręcznie napisane kartki wydrukami, dodała też kilka własnych kalamburów w rodzaju: „Świat jest brudny — pomożemy ci go wyprać!” To był jej pomysł, żeby zaoferować bezpłatny dostęp do Wi— Fi (dzięki czemu w wolnym czasie mogła surfować po internecie) oraz zainstalować telewizor w kącie i puszczać zabawne filmy. Jedno i drugie cieszyło się ogromną popularnością wśród klientów.

Connie jest mistrzem w byciu niezauważalną. Klienci niby mają świadomość, że ona tu jest, ale traktują ją jak część wystroju. Opowiadają sobie różne rzeczy, nie krępując się jej obecnością; Connie zapisuje co ciekawsze anegdotki w małym notesie, który trzyma na zapleczu. Może pewnego dnia napisze książkę: „Moje życie w pralni” albo coś bardziej chwytliwego: „Wszystko wychodzi w praniu”. Coś w tym rodzaju.

Wie, że interes idzie dobrze, ponieważ każdego tygodnia ma kilku nowych klientów, a starzy zawsze wracają; czasem nawet trzeba zaczekać chwilę w kolejce. Właściciel wyglądał na zadowolonego za każdym razem, gdy przychodził. Ostatnio nawet kogoś ze sobą przyprowadził i obaj ją pochwalili, powiedzieli, że robi kawał

świetnej roboty; wychodząc, właściciel pokazał Connie uniesiony kciuk.

Jej ostatnim pomysłem była tablica ogłoszeń. Kupiła tablicę korkową i powiesiła pod zegarem — po kilkunastu godzinach pojawiły się wizytówki, po kolejnych kilku ulotki.

Co jakiś czas przegląda tablicę, usuwając informacje przedawnione i bezużyteczne. Nie cierpi tych fałszywych propozycji pracy („Pracuj w domu! Zarób sto tysięcy dolarów w miesiąc!), te od razu zdziera z tablicy. Lubi ogłoszenia o słodkich psiakach do oddania, kolorowe ulotki zajęć jogi, listy wyprzedaży rzeczy przed przeprowadzką tanio lub „kto da więcej”. Na tablicy pozostaje tylko to, co służy społeczności miasteczka, w tej kwestii Connie jest bardzo stanowcza.

Dwa miesiące temu na tablicy ktoś zawiesił kartkę z pytaniem:

Mój zakwas chleba przyjaźni amiszów pokrył się pleśnią — dlaczego?

Zaraz potem pojawiła się jeszcze jedna kartka, napisana przez inną osobę:

Czemu nie mogę używać metalu do mojego zakwasu ChPA?

I następna:

Mam mnóstwo zakwasu ChPA — czy mogę go zamrozić?

Odpowiedzi pojawiały się na tych samych kartkach, jedne ołówkiem, inne długopisem, każda pisana innym charakterem pisma. Pojawiały się coraz to nowe kartki i nowe odpowiedzi, aż chleb przyjaźni amiszów zajął połowę tablicy ogłoszeń.

Kartek robiło się coraz więcej, pojawiały się też przepisy. *Bez drożdży. Z płatkami czekoladowymi i musem jabłkowym. Kokosowo— marchewkowe. Rabarbarowe muffinki. Cytrynowo—makowe.* Wszystkie z użyciem zakwasu chleba przyjaźni.

Connie znalazła wreszcie rozwiązanie. Poszła do sklepu i kupiła dwa duże pudła na fiszki, jedno na pytania i wskazówki techniczne, drugie na przepisy. Położyła obok plik czystych kartek i długopisów, żeby ludzie mogli wynotować sobie wybrane przepisy albo zostawić własne.

Gdy po tygodniu oba pudełka były pełne, kupiła dwa następne.

Z czasem zauważyła, że kobiety przychodziły nie tylko po to, żeby zrobić pranie, ale również, żeby zajrzeć do pudełek i wkrótce dodała do usług darmową kawę. Zdarzało się, że dwie czy trzy kobiety siedziały, czekając na wysuszenie prania, częstowały się przynoszonym chlebem i zastanawiały, czy dać jedno opakowanie budyniu, czy mąka pszenna razowa zawiera wystarczająco glutenu, żeby chleb się udał. Connie nie do końca rozumiała te rozważania, ale z przyjemnością brała udział w degustacji. Z czasem mogła już liczyć na południową i popołudniową przekąskę, a nawet zabrać do domu cały bochenek. Jednak za każdym razem odmawiała przyjęcia torebki zakwasu — to nie była jej działka.

Za to pomagała skontaktować się ze sobą kobietom, które chciały zdobyć

zakwas i tym, które chciały się go pozbyć. Tłumaczyła, który to dzień cyklu, jak należy opiekować się zakwasem, mówiła, co robić i czego nie robić. Chociaż nigdy nie piekła chleba (zawsze mówiła o tym szczerze), nasłuchiwała się tyle, że mogła udzielać rad. Była niczym prawnik, który nigdy nie miał wypadku samochodowego czy nie był pozwany do sądu. To, że nigdy nie robiła chleba przyjaźni amiszów, nie znaczyło, że nie mogła mówić ludziom, jak go robić.

A kilka dni temu przyszedł właściciel. Utworzył usta na widok grupki gawędzących pań, które dzieliły się przepisami i popijały darmową kawę w czasie składania prania. Było mu naprawdę przykro, że musi wręczyć Connie zwolnienie z dwutygodniowym wypowiedzeniem. Sprzedał pralnię człowiekowi z miasta, który miał już dziesięć świetnie prosperujących pralni samoobsługowych i chciał przemienić avalońską pralnię w pralnię w stylu lat trzydziestych, z kartami debetowymi zamiast monet. Pralnia chemiczna, „zostawiasz i odbierasz”, czynna całą dobę. Miał zostać przeprowadzony gruntowny remont, do nadzorowania prac sprowadzono kierownika z innej pralni i Connie nie była już potrzebna.

— Naprawdę bardzo mi przykro — powiedział właściciel, wręczając jej kartkę: „Dziękuję za wspaniałą pracę” z banknotem studolarowym w środku. Connie podziękowała, ale widziała, że on myśli już o czymś innym, może o wakacjach w jakimś egzotycznym miejscu czy nowym samochodzie. Zarobił pieniądze dzięki jej pomysłom, a teraz — używając kalamburu — wystawił ją za drzwi, jak kosz z brudną bielizną.

Nowy kierownik przywiózł szyld i oznajmił, że tablica z ogłoszeniami ma zniknąć, nie chcą tu bałaganu. A więc dzisiaj tablica ogłoszeń i wypełnione po brzegi pudełka z informacjami o chlebie przyjaźni musiały znaleźć nowy dom. Chciała je umieścić gdzieś, gdzie ludzie mogliby swobodnie z nich korzystać. Myślała, żeby dać je jakiemuś stałemu klientowi, ale nikt nie chciał brać na siebie odpowiedzialności.

Może spróbuje w bibliotece i przy okazji weźmie katalogi z dwuletnimi college ami przygotowującymi do wyższych studiów we Freeport i Rockford? Nie zamierzała być dłużej na łasce i niełasce kapryśnych pracodawców, chciała mieć wybór. Pragnęła prawdziwej odpowiedzialności, możliwości rozwoju, może nawet zrobienia kariery.

Tłumiła w sobie pretensje do właściciela, że sprzedał pralnię. Tak czy inaczej, praca była sympatyczna i nauczyła się w niej paru rzeczy, a co ważniejsze, dobrze się bawiła. Zaoszczędziła trochę pieniędzy, mogła pooglądać najnowsze filmy z Netflbc, poznała miłych ludzi. Klienci byli wściekli, że tak z nią postąpiono, ale powiedziała im, żeby się nie przejmowali. Musieli przecież oddawać gdzieś swoje rzeczy do prania i nie chciała, by czuli się winni, że przychodzą tu, gdy jej już nie będzie.

Po trzech i pół roku tej pracy Connie doszła do wniosku, że życie

przypomina pranie — musisz oddzielić ciemne rzeczy od jasnych. Nie znaczy to, że jedne są gorsze od drugich — są inne, mają inne potrzeby, wymagają innego traktowania. Znała klientów, którzy nie przejmowali się tym i wyrzucali pranie jak leci. Może to jest właśnie ta nieunikniona chaotyczna część życia: bez względu na to, jak bardzo się starasz, nie jesteś w stanie oddzielić od siebie pewnych spraw. Czerwona skarpetka zapłącze się w białe pranie, delikatny czarny top zostaje uprany w dziewięćdziesięciu stopniach. Zdarza się. Jedyne, co możesz zrobić, to wyciągnąć wnioski i pójść dalej. Powiedzieć mężowi, żeby się cieszył z różowej bielizny, oddać skurczony top młodszej siostrze czy siostrzenicy. To nie znaczy, że masz przestać sortować swoje pranie. Nadal oddzielasz jasne od ciemnych, ciemne od jasnych i masz nadzieję, że będzie dobrze.

Rozdział 15

Mark pchał przed sobą wózek po sklepowych alejkach, Gracie podążała za nim ze swoją miniwersją wózka na zakupy. Może wkładać do niego tylko lekkie rzeczy, pudełka herbaty, torebki z pianką, ale to jej nie przeszkadza. Takie zakupy trwają dłużej, ale za to ona jest szczęśliwa, no i dłużej są poza domem, Julia ma więcej czasu dla siebie.

Dzisiaj Mark był nabuzowany. Zaczęło się, gdy pocałował Julię, a ona wzdrygnęła się, jakby był obcym człowiekiem. Chociaż nie, obcego pewnie by tak nie potraktowała, to zarezerwowała wyłącznie dla Marka.

Ładował do wózka same tłuszcze, skrobie i węglowodany, choć wiedział, że potem będzie tego żałować. No i dobrze, najwyżej spędzi więcej czasu na siłowni, która staje się jego drugim domem. Białe chleb, makaron, krakersy, chipsy. Dorzucił dip śmietanowy i nagle poczuł, że ma ochotę na nachosy z serem i jalapeños.

Gracie rozmawiała ze swoim pluszowym słoniem, Troyem, który siedział w jej wózku w siedzonku dla lalki. Troy jest słoniem, ale myśli, że jest ptakiem. Gracie usiłuje teraz poprawić Troyowi humor, by potem, w odpowiedniej chwili, powiedzieć mu delikatnie, jak jest naprawdę.

Mark zerka na nią. Boi się, że ta zabawa w przyjaciela na niby może być przykrywką znacznie poważniejszych problemów. Wyobraża sobie rodzinnego terapeutę, który kręci głową i mówi, że Gracie straciła kontakt z rzeczywistością. Ze jest zupełnie rozbita, niezdolna do funkcjonowania w normalnym świecie, pełnym złych rzeczy, rodziców, którzy ze sobą walczą i nie wiedzą, jak się całować. Nawet rozczulone spojrzenia innych kupujących i zagadywanie do Gracie nie jest w stanie go uspokoić.

Skręcił za róg. W polu widzenia pojawiły się wyroby Hostess snack, słodczyce, których nie jadł od dzieciństwa. Kolejne pudełka Ho Hos, Twinkies, Ding Dongs, Sno Balls lądują w jego wózku. Nawet Gracie marszczy brwi; ale dzisiaj on ma to gdzieś.

Julia wyjechała na dwa dni ze swoją herbacianą przyjaciółką. Mark nie ma pojęcia, ani gdzie ona jest, ani co robi. Jak zwykle. Dlaczego miałaby mu coś powiedzieć? Przecież jest tylko jej mężem.

Do wózka trafia pudełko minipączków z cukrem pudrem; Mark jedzie dalej.

Po zakupach pójda do wypożyczalni wideo i wezmą najnowszy film Disneya. Kolejna wymyślona historyjka z dobrym zakończeniem, klasyka studia Disneya. Chcesz efektów specjalnych? Spróbuj sprawić, by twoja żona ciebie pocałowała. Potrzebowałbyś całego sztabu techników, żeby uzyskać coś takiego.

Julia nieodmiennie wygłaszała cały wykład na temat filmów Disneya. Czy

Mark zauważył, że niemal w każdym filmie występuje tylko jeden rodzic? I że to zwykle matka ginie albo już jest nieobecna? „Kopciuszek”, „Królewna Śnieżka”, „Piękna i Bestia”, „Pocahontas”, „Mała syrenka”, „Bambi”, nawet „Lis i pies”! zaproponował, żeby napisać list do studia, ale to nie poprawiło jej humoru.

Następny rząd to mrożonki. Weźmie jedną z tych rzekomo zdrowych mrożonek dla Gracie, a dla siebie pizzę czy coś takiego. O, reklamowano nowe kanapki, może spróbuje.

— Mark?

Podniósł wzrok. Liwy! Wyglądała na zdenerwowaną, że wpadła na niego w sklepie; wózek też miała wypełniony, ale prawdziwym jedzeniem: warzywa, owoce, ryby, jogurt. Zaskakująco zdrowym jedzeniem. Zaprzagnął nagle sałatki, najchętniej zostawiłby swój wózek

I odszedł.

— Cześć, Liwy. — Zna ją prawie tak długo jak swoją żonę. Julia przedstawiła ich sobie wkrótce po tym, gdy zaczęli się spotykać. Często spędzali razem czas, Liwy doprowadzała Julię do szafu i rozpieszczała Josha, czyli robiła to, co powinny robić siostry i ciotki. Mark tęsknił nawet za jej leniwym mężem, Tomem, który był przewidywalnie przewidywalny, można było na niego liczyć. Mark tęsknił za tym wszystkim i jest zmęczony niezręcznością i formalnością ich rzadkich spotkań, ich ostrożnych powitań. Jest tak zmęczony tą całą beznadzieją, że powodowany impulsem robi krok do przodu i mocno przytula Liwy.

Sam jest zaskoczony tym nagłym przyływem emocji, który nastąpił, gdy trzymał Liwy w ramionach. Guzik go obchodzi, że oto stoi pośrodku sklepu spożywczego i ma łzy w oczach. „Uwaga, klienci! Zapraszamy do rzędu szóstego, gdzie można obejrzeć szlochającego męża!”. Boże, jak mogli pozwolić, żeby wszystko aż tak się schrzaniło?

Odsuwa się, wycierając oczy.

— Przepraszam, nie chciałem... Miło cię widzieć, Liwy.

Oczy Liwy również wypełniły się łzami, gdy spływały po policzkach, wycierała je wierzchem dłoni.

— Ciebie też. Gracie, jak się masz? — Usiłowała uśmiechnąć się wesoło.

— Dobrze — odpowiada grzecznie Gracie. Troy ma na kolanach batonika, Gracie tłumaczy mu, że będzie mógł zjeść go później, jeśli będzie bardzo, bardzo grzeczny.

— Jejku, jakaś ty duża! Wyglądasz zupełnie jak twoja mama, Gracie.

Dziewczynka kręci głową.

— Mam brązowe włosy, jak tata.

— Ale masz takie same oczy i nos jak Julia, twoja mama — mówi delikatnie Liwy. — Nawet piegi masz dokładnie w tych samych miejscach co ona. — Dotyka nasady swojego nosa.

Gracie patrzy na nią, na Marka, a potem uśmiecha się szeroko. Nagle jest speszona.

— Dziękuję.

Mark przypatruje się córce z rozczeniem i uświadamia sobie, że Liwy ma rację. Gracie odziedziczyła po Julii piękne rysy. Jak mógł nie zauważyć tego wcześniej?

— To jest Troy. — Gracie przedstawiła słońia Liwy.

Liwy pochyliła się.

— Bardzo miły słońik.

— Jest ptakiem. — Gracie przybiera minę, jaką czasem mają dorośli, gdy rozmawiają o dziecku w jego obecności.

— Och, faktycznie. Fajne skrzydła.

Zachwycona Gracie rozjaśnia się w uśmiechu.

— Dlaczego nigdy się nie widzimy? — pyta nagle. Chyba polubiła Liwy. — Możesz przyjść do naszego domu, jeśli chcesz. Mogłabym pokazać ci mój pokój, jest różowy.

Mark nigdy nie słyszał, żeby Gracie pytała o Liwy. Zwykle widywali się przelotnie, zamieniając zaledwie kilka słów. Zastanawiał się, co powiedzieć, żeby nie urazić Liwy i w tym momencie zadzwonił jego telefon.

To Vivian. Od czasu pamiętnej rozmowy w jej mieszkaniu miesiąc temu była wobec Marka bardzo chłodna. Gdy wchodził, ona niby przypadkiem wychodziła, rozmawiając z nim jedynie z bezpiecznej odległości stołu konferencyjnego. Unikała go na siłowni, udając, że go nie widzi lub jest zbyt skupiona na ćwiczeniach, żeby powiedzieć coś więcej niż „cześć”. Czuł dyskomfort, ale nie miał pojęcia, co mógłby zrobić. Chciałby, żeby dało się wrócić do czasów sprzed prezentu, sprzed tamtej rozmowy.

— Bruno chce wstrzymać projekt — powiedziała Vivian. Głos miała ponury, w tle było słychać jakieś trzaski.

— Co? Dlaczego? — Zainwestowali już w ten projekt ponad tysiąc robo-czogodzin, Mark zatrudnił jeszcze jednego pracownika, żeby pomógł im to wszystko ogarnąć. Dostali zaliczkę i płacono im za każdą konsultację, ale całe honorarium mieli otrzymać pod koniec. Zresztą, nie tyle chodziło o pieniądze, ile o prestiż; Mark liczył na zainteresowanie mediów, spodziewał się go!

— Nie wiem dlaczego, Mark. — Była poirytowana.

— Zadzwonił do mnie z tą nowiną, udało mi się jedynie namówić go, żebyśmy najpierw porozmawiali. Jadę do Chicago.

Czemu Lemelin zadzwonił do Vivian? Przecież to Mark jest architektem tego projektu! Zerka na zegarek, jest po czwartej. Patrzy zdesperowany na Gracie, która uszczęśliwiona papie z ciotką. Mógłby ją zabrać albo poprosić sąsiadów, żeby się nią zajęli...

— Oddzwonię do ciebie, Vivian. Jest ze mną córka, muszę wykonać kilka telefonów. Powiedziałaś mu, że o której się spotkamy?

— Już, Mark! Od razu wsiadłam w samochód. On wcale nie chce się z nami zobaczyć, udaje zajętego gościa, trzeba to załatwić natychmiast. — W jej głosie zadźwięczały oskarżycielskie nutki.

Wypuścił powietrze. Przyjechanie z Gracie nie wchodzi w grę.

— Dobra. Zaraz do ciebie oddzwonię. Będę tam. — Zamknął z trzaskiem telefon.

— Wszystko w porządku? — pyta zaniepokojona Liwy.

— Tak, tak, to tylko praca. Liwy, mogłabyś popilnować Gracie przez chwilę? Muszę zadzwonić do kilku osób.

— Oczywiście. Będziemy dalej robić zakupy. Może tak być, Gracie?

— Tak!

Liwy ucieszyła się.

— No to chodźmy. Mark, poszukaj nas, kiedy skończysz, dobrze?

Kiwnął głową, już wybierając numer.

Dziesięć minut zajmuje mu znalezienie rodzica jednego ze szkolnych kolegów Gracie, który popilnuje jej z przyjemnością. Zdenerwowany Mark zostawia wózek, idzie szukać Gracie i Liwy.

Znajduje je w alejce z rzeczami dla niemowląt, rozmawiają cicho, oglądając malutkie szczotki do włosów i kremy na odparzenia.

— Liwy, bardzo ci dziękuję — mówi szczerze. — Chodź, Gracie, musimy iść. Jedziemy do Nicky’ego Fishera, pobawicie się.

— Ale Nicky Fisher sika w majtki! — woła Gracie.

Mark nie jest w nastroju do dyskusji.

— Pożegnaj się z cicią Liwy. — Oblicza w myślach, jak długo zajmie mu droga do domu, spakowanie Gracie, przebranie się, dotarcie do autostrady. Za długo, ale nie ma innej opcji.

— I uderzył Lisę Starkey w głowę hula— hop — mówi Gracie z rozpaczą, patrząc to na ojca, to na ciotkę. — A gdy panna Danielle spytała go o to, nie powiedział prawdy.

Mark zamyka oczy. Czy zdoła żyć ze świadomością, że Gracie może zostać uderzona w głowę hula— hop przez pięcioletniego terrorystę?

Tak.

— Idziemy, Gracie. — Traci cierpliwość.

— Jestem dziś cały dzień w domu, Mark, nie mam żadnych planów. Z przyjemnością zajmę się Gracie. — Liwy przełyka nerwowo ślinę.

— O tak, tak! — Gracie podskakuje jak piłeczka. — Proszę, proszę, proszę...

Mark waha się. To może być świetny albo tragiczny pomysł. Czuje,

że właśnie w tej chwili ważą się losy jego biznesu, jego małżeństwa.

— Może być u mnie albo u ciebie, jak tobie i Julii wygodniej — mówi Liwy.

Na wzmiankę o Julii Mark sztywnieje. Zabawne, że nie pomyślał, by zadzwonić do niej, zapytać, czy mogłaby przerwać swój babski weekend i pomóc mu. Pewnie zgodziłaby się wrócić, ale byłaby wściekła. Zresztą, i tak nie ma czasu, a cała sprawa nie jest tego warta.

Tylko że będzie jeszcze bardziej wściekła, gdy dowie się, że Mark zostawił Gracie z Liwy. Cokolwiek zrobi, będzie źle. Ale ile czasu zajęłoby mu skontaktowanie się z Julią i czekanie na nią? Mark wie, co ryzykuje. Patrzy na Liwy, skupionej na Gracie, która właśnie wylicza przestępstwa Nicky'ego Fishera.

Mark nigdy nie obwinił Liwy o śmierć Josha, co nie znaczy, że nie czuł zł oś ci. Czuł, ale nie na nią, tylko na niesprawiedliwość losu... Poza tym, uważał, że jego miejsce jest przy żonie, która nie mogła nawet patrzeć na Liwy. Potem nigdy nie było dobrego momentu na granie roli rozjemcy, no i zbyt skoncentrował się na ratowaniu swojego małżeństwa, by zająć się pojednaniem sióstr.

Ale dzisiaj, patrząc na Liwy, poczuł, że coś się zmieniło. Liwy nie jest już takim lekkoduchem jak kiedyś, jest spokojniejsza, zrównoważona. Może to wiek, upływ czasu? Podjęcie decyzji zajęło mu całe pół minuty.

— To super, Liwy.

Zadzwonił do pani Fischer, żeby odwołać przyjazd Gracie, w tym czasie Liwy przeniosła fotelik do swojego samochodu. Co za ulga, że nie musi jej wszystkiego opowiadać, Liwy zna ich wystarczająco dobrze. To niesamowite, że mimo tych kilku lat spędzonych oddzielnie, wszystko gra.

Jedzie bardzo szybko, próbując nadrobić stracony czas, przez komórkę spierając się z Victorem.

— Mark. — Victor wzdycha. Nigdy nie lubił Brunona Lemelina, nigdy nie przejmował się tym projektem, dzięki któremu mogli tyle zyskać. Victor jest prawie dwadzieścia lat starszy od Marka i w tym biznesie od dawna. Mark docenia opanowanie Victora, jego równowagę, ale wie też, że Victor planuje przejść na emeryturę. Nie zależy mu, żeby odejść w wielkim stylu, nie zależy mu na artykułach w prasie. A Markowi tak.

— Victorze, wielkie projekty to zawsze wielkie osobowości — wiesz o tym. Lemelin po prostu potrzebuje naszej uwagi.

— To czarna dziura, Mark. Skarbonka. W rezultacie to my zapłacimy za zbudowanie tej restauracji. Nie chcę, żebyśmy wypruwali sobie flaki, stawiali wszystko na jedną kartę. Mamy innych klientów, inne projekty. A Ted Morrow i Bluestem? Spotkałeś się z nim?

Nie spotkał się. Dzwonili do siebie i zostawiali sobie wiadomości, ale całą

energię Mark koncentrował na Lemelinie.

— Poczekaj, najpierw się zorientuję, o co chodzi Le— melinowi. Vivian już tam jedzie.

— Vivian? — Victor nie krył dezaprobaty; zawsze traktował dekoratorów wewnątrz jako dodatek do zespołu architektów i inżynierów.

— Pomogła nam zdobyć ten projekt — przypomniał Mark. Wie, że to brzmi obronnie, ale nie chce, żeby Victor jej nie doceniał. — Poza tym, Lemelin ją lubi.

— O, to na pewno.

— Daj spokój, Victorze. Zadzwoń, kiedy już będzie po wszystkim. Chyba że chcesz wsiąść do samochodu i przyłączyć się do nas?

Victor nie daje się złapać.

— To twój projekt, Mark. Jeśli chcesz, żebym tam był, będę, ale jeśli nie, to wolę zostać w biurze i zająć się rysunkami budynków, które mają szansę powstać.

Tak, obecność Victora naprawdę zwiększyłaby ich szansę.

— Zadzwoń później.

Hannah wyłoniła się z łazienki w prostej wieczorowej czarnej sukni, z wisiorkiem z diamentem na szyi. W uszach lśniły diamentowe kolczyki, długie proste włosy opadały na ramiona.

Julia, leżąc na szezlongu w hotelowym apartamencie, odłożyła pismo hotelowe i uśmiechnęła się.

— Wyglądasz pięknie, Hannah.

Ona miała na sobie połyskliwą czarną bluzkę i długą spódnicę. Nie wkładała tego stroju od lat i gdy teraz wyjęła go z szafy i przymierzyła, była zaskoczona widokiem kobiety widzianej w lustrze, dziwnie obcej. Wpatrywała się w swoje odbicie bardzo długo, dotykała włosów, przesuwała rękami po biodrach, obracała się, żeby pochwycić błyski słońca, tańczące srebrne iskry na bluzce. Spodziewała się ujrzeć na swojej twarzy strach i przygnębienie, a zobaczyła elegancką kobietę, której dojrzałość przejawiała się w paru zmarszczkach wokół oczu. Uśmiechnęła się do siebie, do możliwości, jakie niósł ten weekend — szansy ucieczki, zostania nową— starą Julią.

Hannah odwróciła się, żeby obejrzeć się w lustrze i nagle posmutniała.

— A może porozmawiam z nim innym razem? Po występie będzie zajęty, nie spodziewa się mnie... — Zdejmowała z sukienki niewidoczną nitkę.

— Hannah, to nadal jest twój mąż. — Julia wzięła torebkę. — Poza tym, w ciągu ostatnich dni wielokrotnie próbowałam skontaktować się z nim telefonicznie.

— Wiem. — Hannah miała nieszczęśliwą minę.

Przez chwilę Julia pomyślała nawet, żeby się poddać, pozwolić, by Hannah

dała sobie spokój, poczuła chwilową ulgę. Ale na tym właśnie polega problem, że ulga będzie chwilowa i za kilka dni wszystko powróci z nową siłą.

Chciała, żeby Hannah tam poszła, żeby zrobiła to dla siebie, dla swojej przyszłości. Żeby rozpoczęła nowe życie uzbrojona we wszystko, czego może potrzebować do podjęcia właściwej decyzji. Dlatego nie mówiła nic, wzięła szal i czekała cierpliwie przy drzwiach.

Hannah niechętnie poszła za nią.

— Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli pójdziemy do Symphony Center na piechotę? To zajmie jakieś dwadzieścia minut. Świeże powietrze dobrze by mi zrobiło.

Julia czuła, że to próba odwleczenia spotkania z Philippe'em, ale co tam, przecież i tak dotrą na miejsce.

— Świetny pomysł. — Ścisnęła delikatnie rękę Hannah. A potem jej myśli pobiegły do Liwy, do tych chwil, gdy robiła to samo dla swojej siostry: była przy niej, gdy Liv— wy tłumaczyła się rodzicom, gdy podarła świadectwo, ukradła kilka dolarów z portfela ojca, wagarowała. Gdy pożyczyła samochód bez pozwolenia (pięć razy), upiła się na balu, gdy chciała zacząć brać pigułki antykoncepcyjne, porzucić college przygotowujący na studia, wyjść za Toma. Za każdym razem, gdy Liwy potrzebowała wsparcia, Julia przy niej była. Nawet gdy czegoś nie akceptowała, była przy niej. Teraz Julia nagle zastanawia się, co słyhać u Liwy, czy wszystko dobrze, jak ona się miewa, tam, w Avalonie.

— Julio, dobrze się czujesz? — Hannah patrzy na nią z nadzieją. Julia świetnie zna ten wzrok, uśmiecha się. Robiła to już dla Liwy i teraz robi dla Hannah — nie pozwoli, żeby zrezygnowała, chociaż wie, że nie będzie jej łatwo.

— Tak — mówi, otwierając drzwi. — Chodźmy. Już czas.

— Po prostu nie jestem już pewien, że to właściwy kierunek — mówi Lemelin niechętnie. Jest zdystansowany, po jego niedawnej zażyłości nie został nawet ślad.

— Chciałbym, żeby w tym była zaskakująca oryginalność.

Coś takiego jak projekty Bentel & Bentel.

Mark jęknął w duchu. To trwa od jakiegoś czasu, ta gra w kotka i myszkę, która wydaje się nie mieć końca. Victor pewnie jest już w domu, je kolację z żoną albo ogląda telewizję, może przegląda czasopismo. Odpoczywa w swoim wygodnym domu, a Mark siedzi na plastikowym krześle w szkielecie budynku, a podstępny chicagowski wiatr wyje w betonowej konstrukcji.

Może nie powinien był dać się w to wciągnąć... Teraz już wie, że Victorowi nie chodziło jedynie o to, że projekt pochłonie mnóstwo pieniędzy — jeśli coś pójdzie naprawdę źle, może pogрузić karierę Marka czy stać się jego znakiem rozpoznawczym. Będzie tym architektem, którego Lemelin odrzucił, uznał za nic niewartego.

„Uważaj — ostrzegał Victor. — Architekci oddawali już duszę projektom życia, ale nigdy nie żyli wystarczająco długo, by je ukończyć. Lepszy wróbel w garści...

To są porządne, przeciętne projekty, Mark. Wystarczająco dobre”.

Ale Mark nie chce przeciętności, nie chce już grać ostrożnie. Ma serdecznie dość status quo. Chce, żeby coś się zmieniło, więcej, rozpaczliwie potrzebuje jakiejś zmiany, w pracy, w domu, wszędzie. Jak to było? Nic, co wartościowe, nie przychodzi łatwo... Po prostu musi przełknąć gorzką pigułkę, zrobić wszystko, co musi zostać zrobione. Nowa restauracja Lemelina to wyjątkowy projekt, a Bruno jest wyjątkowym klientem. Nie ma tu miejsca na popełnienie błędu.

Tymczasem Vivian mimochodem nawiązuje do nagrodzonych restauracji Lemelina, akcentując elementy wystroju i zagospodarowanie przestrzeni użytkowej. Lemelin łagodnie — pochlebia mu zainteresowanie Vivian jego sukcesami. Mark widzi, że Bruno znowu taksuje Vivian wzrokiem. Łajdak! Ale Vivian jest zbyt spostrzegawcza, by tego nie zauważyć; unosi brew, również mierząc go od stóp do głów. Śmieją się oboje, rezerwa Lemelina znika, powraca serdeczność.

— Butelkę szampana dla panny Vivian — poleca asystentowi. — Rocznik 1983, Millesime.

Vivian uśmiecha się do niego powściągliwie.

— Tylko pod warunkiem, że świętujemy. — Stuka długopisem w prowizoryczny stolik, zdając się tryskać energią. Najpierw interesy.

Jednak Lemelin nie chce się do niczego zobowiązywać.

— Potrzebuję nowego projektu.

— Możemy to zrobić. — Vivian rzuca Markowi znaczące spojrzenie, daje mu do zrozumienia, że gdyby chciał się odezwać, właśnie jest dobry moment. — Ale uważamy, że należy zachować pewne elementy pierwotnego projektu. Jest w nim prostota i innowacja, szlachetne materiały kontrastują ze zwykłymi. Zastosowanie naturalnego światła w dzień podkreśli wszystkie faktury i kolory wnętrza, światło zmagazynowane przez panele solarne zostanie przekierowane do diod LED, biegnących przez restaurację...

— I uczyni z niej najbardziej rozpoznawalną, przyjazną ekologicznie restaurację, która stosuje surowce odnawialne — kończy Mark, prostując się; czerpał irracjonalną przyjemność z tego, że jest kilka centymetrów wyższy od Lemelina. — Jednak tym, co zapewni restauracji wyjątkowość, będzie zintegrowanie jej z otoczeniem miasta, wpisanie w przestrzeń...

Siedzą w samym sercu chicagowskiej dzielnicy kulturalnej, tuż obok muzeów światowej klasy i Chicagowskiej Orkiestry Symfonicznej. Restauracja, którą Lemelin chce nazwać 227, od liczby mil kwadratowych powierzchni zajmowanej przez Chicago, ma odzwierciedlać gusta i dzielnicę miasta w menu

2—2—7: dwa startery, dwa dania główne, siedem dodatków, serwowane na półmiskach. Mark nie ma wątpliwości, że jedzenie będzie godne reputacji Lemelina.

Wyciąga szkice i makietę planów zrobionych w Auto—CAD—zie. Dał z siebie wszystko i projekt jest dobry. Ba, znakomity. Wie, że potrafi przekształcić tę przestrzeń w coś wspaniałego. Jednak Lemelin słucha go z miną znudzonego sceptyka, który słyszał już takie gadki i gdy Mark kończy, jedynie wzrusza ramionami.

— Właściwie nie chodzi mi o sam projekt. Choć muszę powiedzieć, że te wszystkie ekobrednie mnie w sumie nie obchodzą. Po prostu czuję, że brak temu artyzmu, duszy. Nie widzę w tym pasji. — Macha ręką w stronę planów. — Potrzebuję zapewnienia, że będzie w tym pasja. Rozumiecie?

Po raz pierwszy Vivian wygląda na zaskoczoną.

— Gwarantuję ci, Bruno...

— Nie potrzebuję gwarancji. Mam prawników i oni dają mi gwarancje. Firma, która ze mną pracuje, ma dać mi pasję. Chicago to nie Nowy Jork, ale ma własne obietnice amerykańskiego snu. To miasto buzuje ogniem — i chcę, żeby ten ogień znalazł się w 227. Chcę czegoś seksownego. Żywego. Niebezpiecznego. I pełnego obietnic.

Niech to szlag. Kilka tygodni temu Lemelin mówił o eklektycznej mieszance barw, o świetlistej mozaice. Chciał mieć każdy kolor tęczy, radosny, optymistyczny, sama naturalność, żadnej tandety. Każdy element wystroju wybierali, wychodząc z tego właśnie założenia

ten projekt, choć pełen elegancji, na pewno nie był seksowny. Tu nie chodzi wyłącznie o nowy wystrój, to kompletnie inne podejście, nowy projekt!

— Mogę przyjrzeć się palecie kolorów... — Vivian zerknęła na Marka, ale ten nie wiedział, co powiedzieć.

— Zróbcie to, co uważacie za konieczne. Jeśli chcecie tego projektu, musicie o niego zawalczyć. Daję wam trzy tygodnie. — Lemelin wstał, ścisnął im dłonie, a potem poszedł prosto do samochodu, nie oglądając się.

— Cholera. — Vivian wrzuciła swoje rzeczy do teczki.

— Powinam wziąć tego szampana, jak była okazja.

Mark przygląda się jej. Wyglądała na zmęczoną, jej figlarny sposób bycia zniknął, zastąpiło go poddanie się, rezygnacja.

Mark czuł się winny. Zrobiła wszystko, co mogła, żeby zdobyć ten projekt, by go utrzymać. Z jednej strony nie chciał przeceniać jej udziału w przedsięwzięciu, ale z drugiej uważał, że Vivian na to zasługuje.

— Przepraszam, Vivian.

— Za co? — Zwijała plany. — Lemelin się z nami bawi, zawsze to robił. Chce zobaczyć, co jeszcze możemy wymyślić, a potem weźmie nasze pomysły

i przekaże większemu graczowi z głośniejszym nazwiskiem.

— No dobrze, ale ja się jeszcze nie poddałem — oświadczył Mark, chociaż wie, że Vivian może mieć rację.

— Skoro zabrnęliśmy tak daleko, możemy pójść jeszcze dalej. — Kolejne trzy tygodnie piekła. Dadzą radę.

Zerknęła na niego podejrzliwie.

— Chodź. — Mark wskazał ulicę. Jest wcześniej; Julia jest na wypadzie z przyjaciółkami, a Gracie pod dobrą opieką, z Liwy. — Postawię ci drinka. — Uznał, że przynajmniej tyle jest jej winien.

Gdy wyszli, silny wiatr natychmiast wziął ich w objęcia. Papiery chciały odlecieć, ale Mark trzymał je mocno. Wziął Vivian pod rękę i walcząc z wiatrem, poszli w stronę podziemnego parkingu.

Czy to był Mark? Julia nie ma pewności, ale chyba po drugiej stronie ulicy widziała kogoś bardzo podobnego. Szedł z jakąś przytuloną do niego kobietą, razem stawiali czoło chicagowskiemu wiatrowi, który nadleciał nie wiadomo skąd.

Julia patrzy, jak mężczyzna, wyglądający jak jej mąż, skręca za róg i znika z pola widzenia. Powinna za nim pobiec? Co miałyby powiedzieć? Nie, nie, coś jej się przywidziało; to nie może być Mark, Mark jest w Avalonie, w domu, z Gracie. Nie ma pojęcia, że ona tu jest. Co by tu robił z inną kobietą? Zapada zmierzch, jest zbyt ciemno, by móc mieć pewność, ale przecież zna jego chód, zna jego cień, prawda?

Hannah jest obok niej, szczerze otulona wełnianym szalem.

— Chyba wrócę do hotelu. — Odwraca się na pięcie.

— Co? Nie ma mowy, już jesteśmy na miejscu. — Julia trzyma mocno jej ramię. — Przecież możemy posłuchać muzyki, a potem, jeśli nie będziesz chciała zobaczyć Philippe'a, wrócimy do hotelu. Dobrze?

Hannah kiwa głową.

— Potrzebuję czekolady — mówi słabo.

— Zamówimy mnóstwo czekolady, kiedy tylko wrócimy do hotelu — obiecuje Julia. Zerka na pusty teraz róg, gdzie, jak jej się zdawało, widziała męża. Potrząsa głową, musiało jej się przywidzieć. — Specjalnie dla ciebie zamówimy jedną z tych czekoladowych fontann. — Klepie Hannah po ramieniu. — Wejdźmy do środka.

W holu Symphony Center Julia wpada prosto w tłum ludzi. Przytłacza ją to, że ludzie objijają się o siebie, że przypadkowe ręce dotykają jej ramion, chodzący w różne strony ludzie przesuwają ją delikatnie.

A potem czuje ulgę, cieszy się ze swojej anonimowości, cieszy ją ta beztraska kakofonia dźwięków. Każdy jest obcy i zarazem dziwnie znajomy. Rozgląda się, zadowolona, że może po prostu iść za Hannah przez ten ocean ludzi.

Kilka osób wita Hannah, wymieniają uściski, pocałunki, uprzejmości.

Dostrzega kilka zakłopotanych spojrzeń, których Hannah nie widzi. Jest w nich jakby współczucie czy żal... Julia rozumie nagle, że pewnie tak właśnie ludzie patrzyli na nią, tylko z innego powodu, nie z powodu zdrady męża, lecz śmierci syna.

Zajmują swoje miejsca, zapadając się w purpurowy plusz siedzeń; Julia koncentruje się na scenie. Gdy światła na widowni gasną, czuje podniecenie, jej ciało przeszywa dreszcz, gdy słucha dźwięków strojonej instrumenty orkiestry. Są tu po to, żeby Hannah mogła zobaczyć się z Philippe'em, ale teraz Julii wydaje się, że to jedynie środek prowadzący do celu. Być może są tu właśnie po to, by Julia mogła przeżyć tę chwilę doskonałości, by mogła patrzeć na sto dziewięć osób w różnym wieku, różnej narodowości, z których każda ma swoją własną historię i tragedię, patrzeć na nich w tej podniosłej chwili, gdy grają razem w doskonałej harmonii.

Hannah widzi go, zanim on jeszcze wyjdzie na scenę. Oczyma wyobraźni widzi, jak wsuwa ręce w czarny smoking, jak kiwa głową i śmieje się, żartując z innymi muzykami, chociaż myślami już jest w muzyce. Artyści przygotowują się do występu w garderobach i na korytarzach, a Philippe będzie sunął między nimi niczym skrzypek między stołami w restauracji, będzie wchodził po schodach, grając, rozgrzewał palce i szyję. A potem przerwie, poruszy ramionami, zaczeka na swoją kolej, weźmie skrzypce pod ramię i wyjdzie na scenę, z wysoko uniesioną głową.

Oczy Hannah przesuwają się po znajomych twarzach. Z wyjątkiem kilku osób rozpoznaje większość, i to jest w jakiś sposób pocieszające. Być może to wszystko nie zmieniło się aż tak bardzo, jak się obawiała? Przez długi czas była odizolowana od tego życia, ale nie zapomniała wzlotów i upadków artysty grającego w największej orkiestrze symfonicznej. Madeline miała rację — ona i Philippe nie są tacy, jak inne małżeństwa. Tu jest ich dom, to jest ich rodzina.

Potem widzi znajomą grzywę włosów — obciął je? kiedy? — i wstrzymuje oddech. Czy Philippe ją widzi, czuje jej obecność w tłumie dwóch tysięcy osób? Na widowni jest komplet. Czy wie, że ona tu jest?

Z łoża w sekcji F jest idealny widok na sekcję skrzypcową. Philippe jest tak blisko, że Hannah widzi kosmyki jego ciemnych włosów układające się na czole. Ma spuszczone wzrok, kąciki ust opadają w dół. Hannah czuje przyływ miłości do męża, a gdy dyrygent unosi batutę, muzyka porywa ją i napełnia nadzieją.

Rozdział 16

Bar, a właściwie restauracja, jest tuż obok Symphony Center; z trudem udaje im się przedrzeć przez strumień tych, którzy w ostatniej chwili biegną na przedstawienie.

— Miałaś abonament, prawda? — przypomina sobie Mark.

Vivian kiwa głową.

— Jestem melomanką, ale nie cierpię chodzić sama.

— Nie wraca do tego, co wydarzyło się w jej mieszkaniu.

— Przekazałam bilet na cele charytatywne. I tak muszę się skupić na projekcie Lemelina.

Ho, ho, filantropia i imponująca etyka zawodowa. Jestem pod wrażeniem.

— I słusznie. Mnóstwa rzeczy o mnie nie wiesz. Siadają w barze, zamawiają margaritę z passiflorą dla Vivian i wódkę z martini dla Marka.

— To się nazywa drink — mówi Mark, gdy przynoszą jej margaritę w stylu art deco, barwną i wyrafinowaną.

— Proszę, spróbuj. — Vivian wyciąga rękę, sól na krawędzi kieliszka jest nietknięta.

— Nie, nie. — Unosi swoje martini. — Mam wszystko, czego mi trzeba.

— No to się odpręż. — Vivian upija łyk, a potem siada wygodnie w fotelu i rozgląda się z wyrazem niesmaku.

— Rany, ale scena. To jedyna rzecz, za którą nie tęsknię.

Jaka scena? Mark rozgląda się, ale nie widzi nikogo robiącego scenę.

— Co masz na myśli?

— Wszystkie te randki. Pierwsza randka, randka w ciemno, fatalna randka... Uch. — Wzrusza ramionami i unosi kieliszek. — Właśnie dlatego rzuciłam się w wir pracy. — Wydaje się wskazywać na tłum przy barze, ale kieruje swoim drinkiem w stronę Marka.

— Czyli randkowanie nie jest w twoim stylu. To chciałaś powiedzieć?

Śmieją się.

— Brawo. — Vivian wyjmuje z kieliszka cienki krążek ananasa.

— Czyli co, zamierzasz pracować do końca życia, zapomnieć o miłości, małżeństwie?

— Małżeństwo. — Marszczy nos. — Jestem realistką, Mark. Wiem, że uczucia i małżeństwo nie trwają wiecznie. To znaczy, na pewno jest kilka wyjątków, ale ja do nich nie należę. — Spogląda w dal, upija duży łyk margarity.

— Byłaś mężatką? — Mark jest zaskoczony. Vivian sprawia wrażenie tak niezależnej, że trudno wyobrazić ją sobie w związku. Sprawdzał jej akta personalne pewnego wieczoru i wie, że ma trzydzieści jeden lat, jest trzynastu lat młodsza

od Marka.

— Dwukrotnie. Za pierwszym razem na studiach. Zrezygnowałam na rok przed końcem. Mój chłopak chodził do akademii medycznej w Teksasie i postawił mi ultimatum. Po ślubie przenieśliśmy się do Houston. Pracowałam na dwóch etatach, żeby spłacić jego kredyt studencki. Zostawił mnie cztery lata później, gdy skończył studia.

Za drugim razem wydawało mi się, że trafiłam lepiej. To był ambitny chłopak, nie musiałam pracować jako kelnerka, żeby on mógł zdobyć wykształcenie. Płacił za moją szkołę, kupował mi ładne rzeczy, pozwalał urządzić dom. Pieniądze nie stanowiły problemu. — Zaśmiała się gorzko. — Wykorzystałam to w całej pełni. Ale byłam dobra, wiesz? Nadzorowałam renowację naszego domu, nieruchomości należących do jego przyjaciół, do kilku jego klientów. Pracował w nieruchomościach, pożyczki pod hipotekę dla osób ze złą historią kredytową, takie rzeczy. Mieliśmy kupę forsy.

— Nie musisz o tym mówić — wtrącił Mark. Czuł się zakłopotany, wołał nie znać zbyt wielu szczegółów.

Spojrzała na niego, wzruszyła ramionami.

— To już przeszłość — odparła obojętnie, ale Mark widzi zbielejące kostki palców, zaciśniętych na nóżce kieliszka. — A potem był krach gospodarki, koniec jego firmy, koniec mojego małżeństwa. Na szczęście wyczułam, że coś się szykuje i odłożyłam trochę pieniędzy na czarną godzinę, a potem uciekłam. Kto by przypuszczał, że ta godzina będzie aż tak czarna? — dopiła drinka.

— Daj spokój, Vivian. — Usiłuje ją pocieszyć. — Masz tyle do zaoferowania. Możesz mieć każdego faceta.

Patrzy na niego z niedowierzaniem.

— O mój Boże. Zrywasz ze mną!

— Co? Nic podobnego!

Vivian parska śmiechem:

— Akurat! Zrywasz ze mną, chociaż niczego nie zaczęliśmy! To nawet nie była randka! — Śmieje się histerycznie, z jej oczu płyną łzy. Przywołuje kelnerkę, zamawia następnego drinka. — O, potrafię zrozumieć, że nie jest dobrze, gdy faceci wygłaszają takie przemowy, a przecież nawet ze sobą nie spaliśmy. Rany! — Znowu wybucha śmiechem.

— Vivian, nie wygłaszałem żadnej przemowy, mówi łem poważnie.

— Poważnie? No, no? A teraz pewnie powiesz coś w rodzaju: „nie chodzi o ciebie, chodzi o mnie”. — Unosi brew. — Bo przecież jestem taką świetną dziewczyną

— mówi sarkastycznie.

— Jesteś świetną dziewczyną, Vivian. Przepraszam, nie chciałem cię zdenerwować...

— Na litość boską, Mark, choć raz jeden przestań być miłym facetem!
— Wytarła oczy serwetką, opanowując się szybko. Kelnerka przyniosła drugą margaritę, Vivian nie patrzyła na nią, przyjęła drinka i upiła łyk; rzuciła Markowi ostre spojrzenie. — Jesteś męczennikiem idealnym. Nic nigdy nie jest twoją winą, nikt nigdy nie może mieć do ciebie pretensji, bo przeżyłeś tragedię osobistą. Wszyscy mamy za sobą jakieś tragedie, Mark. Nie ty jeden.

Mark sztywnieje.

— Nigdy nie używałem życia osobistego jako wymówki w życiu zawodowym

— odparł, zaciskając zęby.

— Nie musiałeś, nie musisz! Każdy robi to za ciebie. Biedny Mark, potrzebuje więcej czasu. Biedny Mark, żona z nim nie rozmawia.

— Nic nie wiesz o Julii. Nawet jej nie znasz. — Zastanawiał się, czy wstać i wyjść. Albo — czy zwolnić Vivian.

— Och, proszę cię. — Jest zniesmaczona. — To małe biuro, Mark. Myślisz, że ludzie nie gadają? I zobacz, znowu jej bronisz! Oto Mark, broniący swojej żony! Czyż nie jest wspaniały? Nie potrafi utrzymać klienta, zawalił swoją szansę na sukces, ale co za facet! — Kończy drinka i bierze torebkę. — Co musi się stać, żebyś się postawił, zaryzykował? Bruno myśli, że jesteś słaby, dlatego nie chce zostawić ci tego projektu. — Wstaje, jej oczy błyszczą, prowokują go, wyzywają.

— Bądź mężczyzną, Mark!

Górny guzik jej bluzki jest rozpięty, Mark widzi koronkę stanika, kremową krągłość jej piersi. Vivian ma rację. Zachowywał się jak facet bez jaj, który boi się zrobić niewłaściwy ruch, pragnie spokoju, chce, żeby wszyscy byli zadowoleni.

Vivian chwije się, usiłując utrzymać równowagę przy swoich stu siedemdziesięciu pięciu centymetrach wzrostu plus kilka dodatkowych centymetrów seksownych obcasów. Nawet zawiana wygląda pięknie.

Mark rzuca na stół kilka banknotów, wstaje, biorąc Vivian mocno pod rękę.

— Wiem, czego potrzebujesz — mówi niskim głosem.

Vivian patrzy na niego spod ciężkich powiek, opiera się o jego ciało. Jest idealnego wzrostu — fizycznie są świetnie dobrani. Julia jest odrobinę za wysoka, niemal tak wysoka jak Mark, pasują do siebie, ale nie aż tak dobrze.

— Czego potrzebuję? — szepcze Vivian, słowa są ściągnięte z jej ust.
— Powiedz mi.

Mark wyprowadza ją z baru, dłoń Vivian sunie w dół jego ręki. Dochodzą do hostessy przy wejściu.

— Kolacji. Poproszę stolik dla dwóch osób.

— Philippe? — Hannah jest już za kulisami. Koncert skończył się pół godziny temu. Był niesamowity, wybór arcydzieł Beethovena, a wśród nich Fidelio

Overture, opus siedemdziesiąte drugie, jeden z jej ulubionych utworów. Muzyka wprawiła ją w ekstazę, Julia też jest w euforii.

Julia zaskakuje siebie i Hannah, decydując się na przyjęcie po przedstawieniu. Hannah jest rozmowna i ożywiona, przeciska się przez tłum znajomych; wszyscy pragną się z nią przywitać, dowiedzieć się, co u niej. Miło, że ludzie cieszą się na jej widok, i też chciałyby się dowiedzieć, co u nich słysząc, ale to opóźnia spotkanie z mężem. Gdy wreszcie do niego dociera, widzi już, dlaczego.

To altowiolistka, Janet Vandesteeg. Była rok niżej w Julliard, teraz uczy repertuaru orkiestrowego na altówkę w Northwestern i to właśnie Hannah poznała ją z Philippe'em, gdy po raz pierwszy dołączył do orkiestry chicagowskiej. Patrząc, jak ręce Janet oplatają jej męża, Hannah rozumie, że to był błąd.

Janet i Philippe całują się. To nie jest uprzejmy czy powitalny pocałunek, który Philippe tak lubi, gdy niemal nie dotykasz policzka. To pocałunek namiętny, pełen pasji i uczucia, pocałunek całego ciała, nie na miejscu, odpychający, a jednak

Hannah nie może odwrócić wzroku. Dopiero po chwili odzyskuje głos, odzywa się, najpierw szeptem, a potem głośniej:

— Philippe!

I to Janet ją słyszy, to ona przerywa pocałunek, wyplątując się z objęć Philippe'a. Inni muzycy są zakłopotani, mamroczą przeprosiny albo po prostu wychodzą. Po kilku sekundach pokój pustoszeje; Philippe z gniewną miną podchodzi do Hannah.

Jest wstrząśnięta, że Janet ma czelność tu stać i jednocześnie nie może na nią nie patrzeć. Przecież była też płaska, jak Hannah, której z trudem udawało się wypełnić miseczkę B, a teraz jest ponętna i krągła, a jej piersi niemal wylewają się z sukienki. I zrobiła coś z włosami — są lśniące, wiją się delikatnie, zupełnie jak na reklamie szamponu Pantene, nie, wygląda raczej jak Lauren Bacall z tym uwodzicielskim, tajemniczym spojrzeniem. Hannah jej nienawidzi.

— Hannah! — Głos Philippe'a nie jest głośny, ale wypełnia cały pokój. — Co ty tu robisz? — Zasłania Janet i Hannah musi wyciągnąć szyję, by znów ją zobaczyć. Janet udaje, że przygląda się czemuś na suficie.

— Chcę porozmawiać. — Hannah patrzy na męża, usiłując wzbudzić w sobie złość. Zdradzał ją — i to z Janet! podejrzewała już, że nie był jej wierny (przecież to nie pokojówka odebrała wtedy telefon), a teraz stoi tu, przed nim, przed nimi i próbuje rozmawiać.

Kobietko, obudź się wreszcie!

O ironio, to Philippe wygląda na wkurzonego.

— Hannah, to nie jest odpowiednia pora. Właśnie skończyłem grać, na litość boską! — mówi szorstko. — Wracaj do domu. Zadzwonię do ciebie jutro. — Kładzie rękę na jej łokciu, chce zaprowadzić ją do drzwi.

— Do domu? — pyta. — Masz na myśli nasze mieszkanie?

Janet podrzuca głowę, Philippe patrzy groźnie na Hannah — i ona już wie.

— Och... Miałeś na myśli Avalon.

— Hannah...

— Nie traktuj mnie w ten sposób, Philippe. — Patrzy na niego ostro, a on cofa się, teraz już niepewny. — Nigdy więcej tego nie rób. Niewiarygodne, że ci na to pozwalałam. — Próbuje się zaśmiać, ale brzmi to jak szloch.

— Gdy mówiłeś, że bym ci ufała, ufałam ci. Gdy mówiłeś, że wszystko będzie dobrze, przytakiwałam. Gdy mówi łeś, że zostaniesz w mieście, ponieważ dojazdy są zbyt męczące — to wiesz co? Uwierzyłam ci! Ponieważ byłeś moim mężem i ponieważ powiedziałeś, że mnie kochasz. A ja kochałam ciebie. Ale to już przeszłość. — Czuje nagły przypływ siły, pewności siebie. Teraz Philippe nie wygląda już groźnie, po prostu żałośnie.

Próbuje wziąć ją za rękę, ale Hannah wrywa się.

— Powinnaś wpaść kiedyś na kolację — mówi do Janet. — Robię wołowinę po burgundzku. — Odwraca się do Philippe'a. — Z rukwią i sałatką z gruszek. Palce lizać.

Philippe wzdycha. Hannah widzi żyłą pulsującą na jego szyi i żałuje, że nie zna kung-fu czy karate, żeby go załatwić. Niestety, nigdy nie uprawiała żadnego sportu.

— Po prostu wyjdź, Hannah. — Philippe trzyma drzwi otwarte, czeka.

Ale Hannah podchodzi do Janet, nim Philippe zdąży ją powstrzymać.

— Nie mogę uwierzyć, że z nim spałaś. Przecież wiedziałaś, że zdradza swoją żonę?

Janet unika wzroku Hannah, patrzy na Philippe'a.

— Philippe... — mówi śpiewnie, w jej melodyjnym głosie dźwięczy ostrzeżenie. Od kiedy to Janet ma melodyjny głos?

Philippe szybko staje pomiędzy kobietami.

— Hannah, dość. — Kładzie opiekuńczo rękę na ramieniu Janet.

Hannah wytrzeszcza na niego oczy. Ona ma przestać? Przecież nie zrobiła nic złego! Słuszność jest po jej stronie; to ona jest porzuconą żoną!

Ale teraz, patrząc na swojego męża i jego kochankę za kulisami Symphony Center, czuje, jak ulatnia się jej odwaga. Ma pełne prawo, by tu być, a jednak czuje, że jest tu nie na miejscu.

Prostuje się, modląc w duchu, żeby się nie rozplakać, przynajmniej nie teraz i odwraca się z godnością. Nie reaguje, gdy Philippe woła za nią, że jutro zadzwoni. Nie mówi nic, wychodzi z pokoju z wysoko uniesioną głową.

— Nie, to nie jest dobry pomysł — mówi Julia stanowczo. Są już w hotelu, niszczą zawartość minibaru. Julia pije jacka danielsa, Hannah wine coolera. — Nie

możesz otruć swojego męża. — Rozumie, że Hannah nie myśli jasno, że przemawia przez nią wściekłość, ale istnieje cień możliwości i to Julię niepokoi.

— Mojego byłego męża — poprawia Hannah z pasją. Wertuje „Radość gotowania”, szukając odpowiedniego przepisu. Julia nie dziwi się, że zabrała ze sobą tę książkę, sama nosiła ją wszędzie, studiowała przepisy w kolejce albo stojąc w korku. — O, zobacz! Philippe uwielbia przepiórki, pewnie dlatego, że to takie małe bezbronne ptaszki. Mogłabym przyrządzić pieczoną przepiórkę w przyprawach i syropie klonowym. Nawet by nie wiedział, co go zabiło. — W jej oczach jest dzikość i triumf.

— Przestań. — Julia przykryła stronę dłonią, zmuszając Hannah, żeby na nią spojrzała. — Masz zamęt w głowie.

— Oczywiście, że mam! Właśnie wpadłam na mojego męża, całującego inną kobietę! W miejscu publicznym!

— Zatrząskuje książkę, płacze w bezsilnej złości. — Przez całe życie byłam grzeczną dziewczynką. Uczyłam się, ćwiczyłam, jadłam warzywa, kładłam się wcześniej spać, nie wymykałam się po kryjomu z domu, nie chodziłam na imprezy, słuchałam rodziców.

Julia patrzy na nią.

— Nie ma nic złego w prawidłowym postępowaniu, Hannah.

— Ale jaki to ma sens? Ciężko pracowałam, żeby stać się najlepszą wiolonczelistką, jaką tylko mogłam, a potem dostałam urazu. Mój mąż był moim pierwszym mężczyzną, a teraz mnie zdradził. Utrzymywałam ciało w formie, a Janet Vandesteeg powiększyła sobie biust. — Pociąga łyk coolera, a potem patrzy na niego z obrzydzeniem. — No zobacz, nawet nie potrafię się porządnie upić! Czy ja jestem w liceum? — Wyrzuca buteleczkę do kosza, podchodzi do mini baru, grzebie dłuższą chwilę i wyciąga butelkę wódki. Odkręca zakrętkę, wacha, a potem krzywi się. — O rany, nie mogę tego pić. Obrzydliwe.

Julia leżąc na łóżku, patrzy w sufit. Co ona by zrobiła, gdyby Mark ją zdradzał? Już sama myśl wydaje się nieprawdopodobna, Mark nigdy nie zrobiłby czegoś takiego, to nie w jego stylu. W każdym razie, do tej pory tak myślała, teraz nie jest już pewna niczego. Próbuje sobie przypomnieć, kiedy ostatnio ze sobą spali. Dawno temu... Kiedyś go o to pytała, powiedział, że mu to nie przeszkadza, że rozumie — ale czy naprawdę? Poza tym, skoro ona myśli, żeby pójść naprzód, zostawiając za sobą całą przeszłość, razem z ich małżeństwem, co za różnica, czy Mark z kimś spał, czy nie? Mruży oczy niepewna, już na samą myśl o życiu bez Marka czuje pustkę, nie potrafi sobie wyobrazić, że on mógłby być z kimś innym.

Hannah przekopuje minilodówkę, próbując każdego alkoholu, ale nic jej nie pasuje. Mimo wzburzenia nadal jest piękna i elegancka, Julia patrzy z czułością na młodą kobietę.

— Hannah, co ty robisz?

— Próbuje znaleźć coś, co nie będzie obrzydliwe, żeby upić się do nieprzytomności. — Podnosi butelkę whisky i upija łyk. — Uuu...

— A czemu miałybyś się upijać do nieprzytomności?

Zakręca whisky zgnębiona.

— Bo to by najlepiej pasowało do okoliczności?

Julia odwraca się do niej.

— A kto tak powiedział? Każdy jest inny. To właśnie ludzie mówili mi na początku: każdy jest inny, każdy przeżywa żalobę po swojemu. Jeśli jednak nie przechodzisz przez kolejne etapy żaloby w odpowiedniej kolejności, jeśli nie zajmuje ci to wskazanego odcinka czasu, ludzie zaczynają myśleć, że coś jest z tobą nie tak. Każdy ma swoją definicję tego, co jego zdaniem pasuje do okoliczności. Zapomnij o tym i po prostu zrób to, co odpowiada tobie.

— Nie jestem taka jak ty, Julio. — Hannah kryje twarz w dłoniach.

Julia patrzy na nią rozszerzonymi oczami. Znowu przypomina jej się Liwy. Siostra zawsze porównywała się do Julii, ponieważ rodzice je porównywali. Julię to drażniło, nie mogła zrozumieć, czemu Liwy po prostu tego nie oleje. Ale teraz słysząc to samo od osoby tak utalentowanej jak Hannah, słysząc, jak ona porównuje się z nią, z Julią, która straciła przytomność u Madeline, która jest kłębowi—

skiem sprzecznych emocji i nie potrafi żyć w prawdziwym świecie... W tym momencie przychodzi jej do głowy, że może była zbyt twarda dla Liwy, gdy ta miała naście lat, może jest dla niej zbyt twarda teraz.

Hannah płacze, czuje się rozbita i pokonana. Julia żałuje, że nie można wrócić do początku, do czasów sprzed Philippe'a, a nawet sprzed kariery muzycznej i zacząć jeszcze raz. Bądź sobą, powiedziała by młodej Hannah, tak jak mówiła młodej Liwy. Ale może nic by to nie zmieniło... Prawda, że w jakimś stopniu kształtuje nas otoczenie, ale mimo wszystko najważniejsze jest, co otrzymaliśmy przy narodzinach. Julia widzi to w Gracie, która odpowiada swojemu imieniu: Gracja. Nigdy nie będzie musiała jej mówić „bądź sobą”, bo Gracie zawsze taka jest.

— Hannah — zaczęła łagodnie. — Moja siostra Liwy spędziła większość dzieciństwa, próbując postępować tak, jak jej zdaniem ludzie chcieliby, żeby postępowała.

— Doskonale pamięta, jak Liwy przepytowała swoich przyjaciół, jakie — ich zdaniem — przyjęcie urodzinowe powinna urządzić. — Ciężko pracowała nad tym, żeby zachowywać się tak, jak oni by chcieli. Ale nigdy to nie zdało egzaminu.

— Czemu?

— Ponieważ Liwy to Liwy. — Julia odsuwa pasmo włosów z zapłakanej twarzy Hannah. — Odnalazła siebie na przedostatnim roku, gdy dołączyła

do reprezentacji cheerleaderek. Przestała przeproszać za to, kim jest, przestała prosić o pozwolenie. Ale pozostała pod wpływem tego, co ludzie o niej myśleli. I pewnie nadal tak jest.

— I mimo to Liwy ma dużo szczęścia. — Hannah podniosła wzrok.

— Naprawdę? Czemu? — Julia uśmiecha się.

— Bo ma ciebie.

Nie wie, co powiedzieć.

— Ja i mój brat nie jesteśmy ze sobą tak blisko i nigdy nie byliśmy. Ciężko się z nim rozmawia. Szybko wpada w złość, zwłaszcza w stosunku do mojego ojca. Cały ten chiński system zmuszania dzieci do doskonałości nie sprawdził się w jego wypadku.

— Czemu? Co się stało?

— Nic się nie stało. Albert robił to, co tata kazał mu robić, studiował na Harvardzie, potem w Yale, na medycynie. Teraz jest ordynatorem pediatrii dziecięcej w szpitalu Johnsa Hopkinsa. Ożenił się z Lynn, endokrynologiem, mają dwójkę dzieci, które przechodzą przez to samo, przez co my przechodziliśmy, dorastając. Widujemy się raz w roku i za każdym razem to tak samo boli

— Hannah krzywi się. Wrzuca małe buteleczki alkoholu do kosza, z satysfakcją słuchając ich brzęku.

Julia też wyrzuca swoją butelkę do kosza.

— Liwy i ja nie rozmawiamy ze sobą. Od lat.

— Z powodu tego, co się stało twojemu synowi?

— Tak.

— Ale byliście ze sobą mocno związane! Albert i ja nigdy nie mieliśmy takich relacji.

— To skomplikowane, Hannah.

— Pewnie Liwy tęskni za tobą. Ja bym tęskniła

Julia opuszcza ramiona i wzdycha.

— Śmierć to poważna sprawa. Wiele zmienia.

Hannah kiwa ze smutkiem głową. Julia nie chce, żeby czuła się źle z powodu czegoś, czego nikt nie może naprawić i mówi:

— Tak po prostu jest. Podobnie jak między tobą i Albertem.

— O Boże, mam nadzieję, że jest inaczej! Blee...

— Krzywi się komicznie, obie śmieją się.

— Bez względu na to, co się dzieje, musisz powrócić do własnego życia, Hannah. Pamiętaj, kim jesteś i po prostu rób swoje, krok po kroku.

— Krok po kroku?

— Taka jest wkurzająca prawda. I nikt nie wie tego lepiej ode mnie. Masz na to za dużo klasy. — Julia wskazuje głową butelki w śmieciach. — Minibarek to nie twój styl, grałaś w Filharmonii Nowojorskiej — nie zapominaj o tym. Niech

inne dziewczyny upijają się do nieprzytomności, twój styl to obsługa hotelowa.

— Obsługa hotelowa... Na pewno mają kawior! Coś mi się wydaje, że mogłabym utopić moje smutki w bieżudze. Chyba po coś oszczędzałam pieniędzy no nie?

— No właśnie. — Julia roześmiała się.

Hannah podeszła do biurka, otworzyła księgę usług, oprawioną w skórę z wytłoczonym logo hotelu.

— Och. Mają sommeliera kąpielowego!

Julia słyszy o tym po raz pierwszy. i :

— Co to takiego?

— Ktoś, kto przygotowuje ci kąpiel w twoim pokoju. Posłuchaj tego: „Zanurz się w wannie, pozwól, by otuliła cię aromatyczna woń, łagodząc zmysły, wprowadziła cię w nowy stan odprężenia”. — Patrzy na Julię. — Mam zamiar natychmiast zamówić sobie nowy stan odprężenia.

— Czyli znalazłaś swój nałóg. Zamów, a ja w tym czasie obejrzę jakiś film.

— Film? Jesteś pewna? Nie chciałabyś masażu albo pedikiuru?

Julia kręci głową, już trzyma w ręku pilota. Nie miałaby nic przeciwko masażowi czy pedikiurowi, ale nie oglądała nic od lat — ani w kinie, ani w telewizji, nigdzie. To jakby potajemna, zakazana przyjemność, coś, na co nie pozwoliłaby sobie w domu. Wybierze jakąś komedię, coś zabawnego, nie jest gotowa na żadne dramaty — przeżyła ich zbyt dużo. A jeśli po jednym filmie nie będzie się czuła zmęczona, obejrzy jeszcze jeden.

— Szczerze? Nie potrafię wyobrazić sobie nic lepszego.

AA. Gilliland, lat 58, właściciel sklepu „Przejeżdż mnie”

— Hej, A.A.! Dołączasz do nas, czy nie? — Trzej faceci na motorach czekają na niego na parkingu, grzejąc silniki. Z chromowanych rur wydobywa się ryk.

A.A. kręci głową, tak samo jak w każdą sobotę, gdy zamyka sklep.

— Nie, jedźcie sami.

Żartują sobie z niego, pokpiwają, a potem kiwają mu głową na pożegnanie i wyjeżdżają z rykiem z parkingu, odprowadzani niechętnymi spojrzeniami pieszych, krążących wokół niewielkiego avalońskiego centrum handlowego.

W bandanach na głowie, z tatuażami i w nieodzownych czarnych skórach, ci kolesie wyglądają jak zbiry, ale A.A. dobrze wie, jak jest naprawdę. Jeden z tych gości, Bill, jest księgowym, drugi jest właścicielem firmy czyszczącej baseny, a jeszcze inny żyje z funduszu powierniczego, który założyli mu rodzice, a motorami zainteresował się dzięki byłej żonie, niegdysiejszej tancerce egzotycznej. Ci goście nie potrafiliby odróżnić wałka rozrządu od klocka hamulcowego, zresztą, co za różnica. W Avalonie nie ma zbyt wielu miłośników motorów z prawdziwego zdarzenia, więc A.A. jest wdzięczny za facetów przechodzących kryzys wieku średniego — dzięki nim ma ruch w interesie. Niech dają czadu!

Najlepszy przyjaciel A.A., Isaac, zwany Izem, sam złożył swojego własnego choppera z silnikiem shovelhead, istne dzieło sztuki. Iz jest geniuszem, matematykiem i generalnie fajnym gościem z jednym mankamentem: nadal mieszka ze swoją osiemdziesięcioośmioletnią matką. Poza tym Iz jest konserwatystą i nie znosi gości jeżdżących na importowanych motorach.

— Popisują się akrobacjami na autostradach, jadą na jednym kole i jeszcze mają czelność machać do mnie i spodziewać się, że im odmacham! Żenujące!

A.A. jest bardziej tolerancyjny.

— Daj spokój. Wielu z nas zaczynało od „suszarek”. Nie każdy może sobie pozwolić na harleya.

— Nie w tym rzecz. Chodzi o te dzieciaki. Myślą, że pozjadały wszystkie rozumy, a nie szanują drogi, nie szanują motoru. — Iz kręci głową zniesmaczony i poirytowany. A.A. myśli sobie, że zachowują się jak te dziadki w cadillacach czy panusie w buickach wielkości szalupy, utyskując na bezczelnych źle wychowanych smarkaczy.

W wieku pięćdziesięciu ośmiu lat słomiane włosy A.A. pokryła siwizna.

Zawsze związuje je z tyłu w kucyk, dzięki czemu nie włożą mu w oczy i generalnie nie przeszkadzają, zapuścił wąsy i brodę, nie przejmując się tym, że sprawia wrażenie niechluj. Lubi swój „uniform”: podkoszulek i skórzaną czarną kurtkę upstrzoną harleyo— I wymi znaczkami i przypinkami. Jest wysoki, ma prawie metr dziewięćdziesiąt i szerokie bary, wygląda jak Szkot na sterydach. Oczywiście to nie sterydy, tylko geny, ale nie raz słyszał, co chłopaki sobie szepczą. Gwiżdże na to. Babcia, która wychowywała go od piątego roku życia, nauczyła go niejednego, choć czasem w ciężki sposób.

„Nie możesz przejmować się tym, co ludzie myślą — tłumaczyła, uderzając drewnianą łyżką w blat stołu w niewielkim domu, gdzie razem mieszkali. — Ludzie to idioci, a jeśli przez całe życie będziesz próbował zgadywać, co kto myśli, to też jesteś idiotą”. — A potem ciągnęła go za ucho, dopóki nie zaczął wrzeszczeć, tak na wszelki wypadek, żeby upewnić się, czy zrozumiał.

I nawet jeśli wygląda jak chodzący banał, A.A. dobrze się czuje w swojej skórze. Niech sobie ludzie mówią, co chcą.

Jest szósta i może iść do domu. Nie lubi pić czy przesiadywać w barach, z biegiem lat wytworzył sobie własne rytuały, których nie zamierza zmieniać. Na przykład, w niedzielę wieczorem zajmuje się księgowością, dzięki czemu wie, co ma do zrobienia w nadchodzącym tygodniu.

W poniedziałkowy wieczór robi pranie, prasuje spodnie i bokserki. Nie wie dlaczego, ale uwielbia świeżo wyprasowane spodnie.

We wtorki robi zakupy na cały tydzień.

W środę wieczorem bierze jedzenie na wynos i ogląda filmy dokumentalne na PBS. Uwielbia biografie i wszystko, co wiąże się z weteranami. Raz w miesiącu zamiast programów ogląda wypożyczony film.

Czwartkowe popołudnia są zarezerwowane na wszelkie prace remontowe w jego własnym domu i dwóch, które wynajmuje, na Madison i LeBell.

W piątki wychodzi z Izem, jedzą obiad, czasem grają partyjkę bilardu. Potem wraca do domu, żeby się wyspać, ponieważ następnego ranka, bez względu na pogodę, wychodzi pojeździć.

Jest jeszcze jedna rzecz, której A.A. nigdy nie odpuszcza. Rezerwuje na nią sobotnie wieczory, od dziewiętnastej, i uwielbia prawie tak, jak swoje motory.

Pieczenie.

Zna na pamięć przepis babci na kruche ciasto (kluczem do sukcesu jest prawdziwe masło i brązowy, nie biały, cukier), robi też ciastka z bakaliami, kruche ciasteczka z dżemem, bułeczki i szkocki chleb pełno— ziarnisty, bez zagładania do książki kucharskiej. Nie onieśmielają go skomplikowane przepisy i nie ma nic przeciwko, żeby poświęcić trochę czasu na nauczenie się czegoś nowego.

Dziś właśnie eksperymentuje, ma nastrój na coś zupełnie nowego. Dostał

torebkę zakwasu chleba przyjaźni amiszów od swojego dentysty i zmodyfikował przepis, dodając suszone owoce i orzechy. Od jakiegoś czasu dba o swoje serce, dlatego zmniejsza ilość oleju i dodaje mus jabłkowy. Zamiast jajek użyje zamiennika, zamiast budyniu — ricottę i gęsty jogurt naturalny.

Dzieli zakwas zgodnie z instrukcją, da torebki Izo— wi, Billowi i facetowi od czyszczenia basenów. Tamten rozwiedziony gość nie potrafi gotować, a on nie chce, żeby zakwas wylądował w koszu.

Wysypuje dwie formy cynamonem, szczyptą cukru waniliowego i odrobiną gałki muskatołowej. Włącza radio i pogwizduje „Smoke on the water” Deep Purple. Gdyby miał czas na drugie hobby, nauczyłby się grać na gitarze. Może w przyszłym roku?

Wlewa ciasto do foremek, plastikową łopatką zeskro— buje resztki. Jeśli chleb się uda, zabierze jeden bochenek do domu spokojnej starości, jutro, w czasie swojej przerwy na lunch. Chodzi tam co tydzień, a oni czekają na jego wizytę i domowe wypieki. Wypije filiżankę kawy i zapyta, jak minął im tydzień, pomoże przy przenoszeniu ciężkich rzeczy, czy co tam będzie do zrobienia. Jeśli będzie czas, zagra w karty czy tryktraka, może potrzyma włóczkę robiącej na drutach pani Pickering. No i oczywiście nie wyjdzie bez obejrzenia najświeższej partii zdjęć przedstawiających wnuki, trzymany w portfelach i zwisających z breloczków na klucze.

Chleb się piecze, A.A. zmywa naczynia, a jego mała kuchnia szybko wypełnia się słodkim aromatem suszonych moreli i prażonych orzeszków pekan. Chleb będzie gotowy za pół godziny, więc A.A. podgłośnia muzykę i siada w starym bujanym fotelu babci z najnowszym numerem czasopisma „Biker”.

Rozdział 17

— Mama! — Gracie wyrywa się Markowi i biegnie do Julii, gdy ta wchodzi do domu. Jest niedzielny wieczór, mała już ma na sobie piżamę, włosy wilgotne po kąpieli.

— Tęskniłam za tobą!

— Ja też za tobą tęskniłam. — Podniosła córeczkę i przez chwilę trzymała ją na biodrze. Zaskoczyło ją, że tak bardzo tęskniła za swoją Gracie. I kiedy ona zrobiła się taka ciężka?

Mark stał w holu, zachowując dystans. Poczucie winy napłynęło z nową siłą i Julia nakazała sobie przestać. Dość.

— Cześć! — mówi, przesuwając ręką przez włosy Gracie, a mała chichocze. Julia uśmiecha się.

— Cześć. — Mark zrobił krok do przodu, ostrożnie cmoknął ją w policzek. Dotyk jego ust sprawił, że przeszedł Julię dreszcz, zaczerwieniła się. Nie zauważył tego, sięgnął po torbę. — Wezmę to.

— Dzięki. — Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością, co wydało się go dezorientować.

Jesteś głodna? — spytał ostrożnie.

Julia próbuje ukryć rozczarowanie. Nie zainteresował się, gdzie była, nie pytał o szczegóły — a bardzo tego pragnęła. Chociaż biorąc pod uwagę swoje nie tak dawne zachowanie, teraz wymagała zbyt dużo. Czuje, że to prawie niemożliwe, ale i tak tego pragnęła. Chciała, żeby ją zapytał, chciała opowiedzieć mu, jak się czuje, opowiedzieć o wszystkim.

Ze świetnie się bawiła w Chicago, że obejrzała trzy filmy pod rząd i śmiała się, śmiała!, na dwóch ostatnich niemal histerycznie — albo filmy były lepsze, albo śmiech przychodził jej z coraz większą łatwością — a potem zasnęła nad ranem, z uśmiechem na twarzy.

Zaskoczyło ją, że wtedy zatęskniła za Markiem. Cieszyła się ze swojej niezależności, z tej części życia bez niego, a potem nagle chciała, żeby on też tam był.

Spodobałyby mu się filmy. Obejrzała komedię romantyczną z Jennifer Connelly, ulubioną aktorką Marka, w której durzył się jak nastolatek. Potem był głupiutki film z Willem Ferrellem, kompletnie niedorzeczny, ale na tyle śmieszny, że chichotała. Ostatniego już nawet nie pamięta, przysypiała, ale za każdym razem, gdy otwierała oczy, natrafiała na coś zabawnego. Grał w nim Ben Stiller albo Jim Carrey, a może obaj, i chyba Drew Barrymore. Bohaterowie przeżywali nieszczęście za nieszczęściem, tak rozpaczliwie pragnęli uchronić swoje serce przed złamaniem, że skutecznie odpychali od siebie szczęście, aż do końca filmu.

I wtedy zrozumiała. Nie chciała czekać do końca, żeby zobaczyć, czy

potrafi znów odnaleźć szczęście. Chciała znaleźć je teraz — razem z Markiem.

— Widziałam zabawny film — powiedziała, zaskakując Marka. — W hotelu Fairmont. Pojechałam z Hannah, wiolonczelistką. Ona pokryła koszty, chociaż proponowałam, że za siebie zapłacę. Jej mąż gra w orkiestrze symfonicznej, ale zapewne się rozwiodą, ma romans z altowiolistką...

Mark kiwał głową, słuchając tych informacji i jednocześnie je przetrawiał. Julia też była w Chicago?

— Rozpieszczała mnie — mówiła Julia, jakby nieśmiało.

— Nie powinna...

— Zaslugujesz na to — odparł Mark szczerze. Julia zasługuje, by ją rozpieszczać, by o nią dbać. Żałuje, że sam nie robi tego lepiej. Zaprowadził ją do kuchni, gdzie czekała duża miska pokrojonych owoców.

Zielone i granatowe winogrona, żółte i zielone melony, jabłka, banany, cząstki pomarańczy. Julia uwielbiała sałatkę owocową — w czasie obu ciąży nie jadła nic innego.

— Och! — Zaskoczył ją.

— To nasz projekt dnia. — Mark jest zadowolony. Wyjmuje jedną miseczkę, tylko dla Julii; Gracie już zjadła całe dwie miski i umyła zęby. Ale dziewczynka i tak łapie zielone winogrono i wrzuca do ust. No trudno.

— Dobrze się bawiłaś? — pyta mamę. Cała promienieje, zbyt podekscytowana, żeby pójść spać, choć jest już późno. — Bo ja super!

— Naprawdę? A co robiłaś? — Julia zjada łyżkę owoców. Sprawia wrażenie naprawdę zainteresowanej i Markowi aż się serce ściska z radości, gdy widzi, że Julia jest zaangażowana w sprawy Gracie i jednocześnie odprężona przy nim. Zawsze podejrzewał, że Julia zachowuje się inaczej, gdy jest sam na sam z Gracie, ale gdy była z nim, stawała się zdystansowana, wycofana. Ale teraz Julia odsłania się i naprawdę są razem. Chciałby, żeby ta chwila trwała wiecznie.

— Zrobiłam Troyowi domek dla ptaków. Bardzo mu się podoba i jest szczęśliwy! I robiliśmy laleczki z papieru, ja kolorowałam księżniczkom sukienki; przyniosłam je do domu, będziesz mogła zobaczyć.

— Przyniosłaś je do domu skąd? — pyta Julia i spogląda na Marka, nadal z uśmiechem na twarzy.

Mark przysiadł na krześle obok niej, nawet nie tknął owoców. Żałuje, że nie pokierował rozmowy na inny temat, teraz jest już za późno. Myślał, że będzie miał więcej czasu, żeby znaleźć jakieś wytłumaczenie wczorajszego dnia, nie spodziewał się, że Gracie od razu się wygada. Dziewczynka papie dalej, a on słucha bezradnie, przerażony tym, co za chwilę może nastąpić.

— Od cioci Liwy i wujka Toma. — Gracie chrupie kawałek jabłka. — Wiesz, że kiedyś mieli psa? Nazywał się Patches. Musieli go oddać, ale wszędzie mają jego zdjęcia. Ciocia Liwy bardzo za nim tęskni.

Zapada cisza.

— Patch — mówi Julia powoli, uśmiech znika z jej twarzy. — Nazywał się Patch.

— Aha. Ciocia Liwy chce pomalować jedną sypialnię — mówi dalej Gracie. — I powiedziała, że będę mogła pomóc. Będziemy używać szablonu! — Grzebie w misce, szukając winogrona.

— Nie jedz rękami. — Mark wyławia dla niej winogrona. Julia odwraca się do niego.

— Kiedy Gracie widziała się z Liwy? — W jej głosie dźwięczy stal.

Mark odchrząkuje, nie patrzy na nią.

— Wczoraj. Wpadliśmy na Liwy w spożywczym, gdy nagle u mnie w pracy wydarzyło się coś nieprzewidzianego, a ona zaproponowała, że popilnuje Gracie przez kilka godzin...

— Zostawiłeś ją z Liwy? — Julia wstaje i bierze córkę na ręce, Gracie właśnie sięgała po winogrono. — Nie uzgadniając tego ze mną? Nawet nie pytając mnie o zdanie? — Ostatnie słowa wypływa ze złością i wybiega z kuchni.

Gracie jest wstrząśnięta, patrzy z niepokojem na Marka, który biegnie za nimi. Julia pędzi na górę, przeskakując po dwa stopnie.

— Julio, to był nagły wypadek! Nie miałem czasu, nie wiedziałem, gdzie jesteś! Omal nie straciliśmy najważniejszego klienta. Wiem, że to dla ciebie bez znaczenia, ale dla mnie, dla nas, to wielka szansa! Moglibyśmy przebierać w zleceniach, nie musielibyśmy tak harować, walczyć o klientów... Miałbym więcej czasu dla Gracie, dla domu...

— Bo co? Bo ja nie jestem w stanie tego zrobić? — Julia kopnęła w drzwi od pokoju Gracie. Otworzyły się, uderzyły w ścianę z hukiem i odbiły się. Wystraszona Gracie wybuchnęła płaczem. — Bo jestem niekompetentną matką, beznadziejną gospodynią?

— Nigdy nic takiego nie mówiłem. Nie musimy teraz o tym rozmawiać...

— A kiedy, Mark? Czy kiedykolwiek będzie dobry moment? Nigdy nie ma odpowiedniej chwili, ani dla mnie, ani dla ciebie. Narzekałeś, że nigdy nie rozmawiamy, no to rozmawiajmy! — Jej wybuch przeraził go. Julia usiadła na brzegu łóżka, kołyszając Gracie na kolanach.

Mark chciał wziąć córkę, Gracie zanosila się płaczem, ale Julia go odpychała, smagając wzrokiem.

— Wyjdź.

Mark ma dosyć.

— Chciałabyś! — Nie zostawi Gracie i nie pozwoli Julii dłużej dyktować warunków ich związku. Cokolwiek się stanie, ma dość.

Może dlatego, że jest późno, a może dlatego, że dzieci wyłączają się w chwili stresu, Gracie zasypia na kolanach Julii. Pociąga nosem, ma mokre

policzki. Julia trzyma ją jeszcze przez kilka minut, a potem delikatnie kładzie na łóżku i przykrywa kołdrą.

Wychodzi, mijając Marka; ten zamyka drzwi z cichym szcękaniem, idzie za nią do kuchni. Julia wyjmuje rolkę folii i zaczyna przykrywać miskę z owocami.

— Jak mogłeś, Mark? — Odrywa folię o ząbkowany brzeg pudełka; rozlega się ostry, nieprzyjemny trzask.

Mark ma dosyć skoków nastroju, szalonej jazdy kolejką górską.

— Jak mogłem co? Zostawić Gracie z twoją siostrą na kilka godzin? Gracie świetnie się bawiła — obie świetnie się bawiły! Co w tym złego?

Wskazała kartkę na lodówce, listę uczniów z klasy Gracie.

— Mogła zostać u kogoś z klasy!

— Nie mogła, nie miałem tej listy przy sobie, byłem w sklepie! Tam spotkaliśmy się z Liwy!

— Liwy? Daj spokój, Mark!

— Julio, nie bałem się o Gracie czy Liwy. Jedyne, czego się bałem to twojej reakcji!

— Jak widać nie aż tak bardzo, skoro i tak to zrobiłeś! — Otworzyła lodówkę i włożyła miskę do środka. Walnęła drzwiami, aż lodówka się zatrzęsła.

Stali naprzeciwko siebie, powietrze między nimi iskrzyło od napięcia. Mark nagle zdał sobie sprawę, że są w impasie, że być może nigdy z tego nie wyjdą, nie chce, nie jest w stanie przeżywać tego po raz kolejny.

Nie ma już siły. Czuje się kompletnie wypluty, wyprany z energii.

— Co chcesz, żebym zrobił, Julio? Staram się najlepiej, jak potrafię. Przepraszam, jeśli to za mało. — Dociera do niego, że to zawsze będzie za mało. Zawsze. Zalewa go smutek.

Julia opiera się o drzwi lodówki, zamyka oczy, zapada długa cisza. A potem pyta cicho:

— I jak ona?

— Co? — Mark patrzy na nią zaskoczony. — Och, super. Bawiła się fantastycznie, nie chciała wracać do domu. Myślę, że zrobili wszystko, żeby jej się podobało.

— Nie, chodziło mi o Liwy. Jak ona wygląda?

— Och. — Mark westchnął. — Dobrze. Wydaje się dojrzała.

— Mądrzejsza? — Julia nie może się powstrzymać, słowo samo wyskakuje z jej ust. Uśmiecha się.

Zaśmiała się krótko, niewesoło.

— Wygląda na bardziej zmęczoną. I chyba mają problemy finansowe.

— Jak to?

W sklepie miała portfel wypchany bonami niżkowymi. I listę zakupów.

— Listę zakupów? — Julia jest niemal rozbawiona. To już inna Liwy niż

ta, którą znali, a jednocześnie jest tą samą osobą, którą Mark pamięta. — Może po prostu jest lepiej zorganizowana?

Mark nie wie i w tej chwili niewiele go to obchodzi.

— Może.

Julia siada obok niego i pozostają przez długi czas. Ona przerywa milczenie.

— Jesteś nieszczęśliwy, Mark? Nie mam pretensji, jeśli jesteś.

Nie wie, co powiedzieć. Ma chwile radości i chwile smutku, ale zwykle to jakby szara strefa pomiędzy nimi. Szczęśliwy smutek? Nieszczęśliwa radość?

— Wiem tylko tyle, że cię kocham i boli mnie, gdy widzę, że cierpisz, a ja nie potrafię nic na to poradzić.

— Głos mu się załamał.

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni. Wstrzymał oddech, zwalczył pragnienie ujęcia jej ręki, splecenia palców. Czasem lepiej poczekać.

Odwróciła jego dłoń, przesunęła palcami po jej wnętrzu, jak chiromantka. Przypomniała mu się ich podróż poślubna. Mogli sobie pozwolić jedynie na cztery dni w Kalifornii, w Santa Cruz. Na promenadzie przy plaży stała chiromantka, która za odczytanie przyszłości z ich dłoni wzięła dziesięć dolarów. Mark nie pamięta, co mówiła, zbyt był zajęty patrzeniem na swoją żonę, ale pamięta nazwy.

Linia głowy, linia życia, linia serca i linia losu.

Zgiął palce, trzymając dłoń Julii w swojej. Nie wyrwała ręki, położyła drugą dłoń na wierzchu, Mark zrobił to samo. Siedzieli tak długo.

Madeline robiła przegląd swoich herbat. Powinna zamówić Darjeeling i English Breakfast. Zakupi rooibos, herbatę z czerwonoekrzewu, nie zawiera kofeiny, ale za to ma więcej antyoksydantów niż zielona, a do tego słodki, orzechowy smak. Jaśminowa prawie się skończyła, a earl greya, jednej z najczęściej zamawianych herbat, starczy na jakieś dwa tygodnie. Herbat ziołowych, rumiankowej i miętowej, też niewiele zostało.

Zawsze gorąco wierzyła w uzdrawiającą moc herbat. ty. Chociaż wiele osób preferuje kawę, choć ona sama od czasu do czasu z przyjemnością wypija filiżankę, to imbryk dobrej herbaty jest czymś wyjątkowym. Odpowiednie zaparzenie wymaga pewnej znajomości rzeczy, cierpliwości i odrobiny finezji. Ciągle ma przed oczami japońską ceremonię parzenia herbaty, widzianą w Saratogach. Była to jedna z najpiękniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek oglądała: precyzja, skupienie, wyciszenie...

Herbatę zawsze traktowano z szacunkiem, to było coś więcej niż tylko gorący napój. Towarzyszyły jej rytuały i zwyczaje, powstały całe tomy o ceremoniach herbacianych z całego świata, niemal każda kultura ma swój własny sposób parzenia herbaty. Madeline to uwielbia.

Skończyła inwentaryzację. Na końcu listy jest jej domowa mieszanka,

aromatyczna kombinacja, na którą składają się przede wszystkim skórka cytrynowa i dzika róża. To jest jej własny rytuał: wymyślanie i komponowanie smaków w tych spokojnych godzinach dnia, gdy nie gotuje. Myślała o zorganizowaniu kursu sporządzania własnych mieszanek herbat ziołowych, sprzedawałaby wtedy więcej suszu, ale to po prostu jeszcze jedna pozycja na długiej liście jej dobrych intencji.

Rozległ się dzwoneczek nad drzwiami, Madeline podniosła wzrok. Nie ma jeszcze siódmej rano, ale zwykle otwiera drzwi i przekręca tabliczkę z napisem „otwarte” na pół godziny przed oficjalnym otwarciem — są klienci, którzy biorą herbatę i bułeczki przed wyruszeniem w długą drogę do pracy. Zna ich wszystkich po imieniu i zaczyna myśleć o nich jak o swoich dzieciach, choć to przecież dorośli ludzie, którzy mają własne rodziny. Jak zwykle daje się ponieść fantazji, tworząc własny, idealny Avalon. Włożyła długopis za ucho i odsunęła notes.

Mniej więcej dwudziestoletnia dziewczyna weszła niepewnie, trzymając przed sobą kilka niedużych pudełek. Ufarbowane na czarno włosy miała postawione na żel.

— Czy to pani jest tą kobietą od chleba przyjaźni amiszów?

Dobry Boże, Madeline ma nadzieję, że to nie stało się jej przezwiskiem. Stawiałoby ją to na równi z „tą wariatką”, „kobietą karmiącą koty i gołębie”.

— Możesz mnie nazywać Madeline.

Dziewczyna stawia pudełka na stole, jest ich sześć.

— Nazywam się Connie, pracowałam w tutejszej pralni. Dużo moich klientek piekło ten chleb i stąd wzięło się to — wskazała pudełka. — Ale nie mogę ich dłużej trzymać. W bibliotece nie chcieli, a chodzi o to, żeby umieścić je w jakimś miejscu, gdzie ludzie mogliby swobodnie przyjść i poszukać przepisu albo znaleźć odpowiedź na swoje wątpliwości, rozumie pani?

Zaintrygowała Madeline. Przysunęła sobie pudełko i gestem zaprosiła dziewczynę, żeby usiadła. Zdjęła pokrywkę i cicho gwizdnęła na widok upchniętych w środku kartek. Wyj ęła jedną: tropikalna wariacja chleba z anansem i kokosem. Rzuciła okiem na resztę pudełek: przepisy i wskazówki, wszystko starannie posegregowane. Była pod wrażeniem. Na pewno nie można tego tak po prostu wyrzucić.

Ty to zrobiłaś?

Dziewczyna kiwnęła głową.

— Mogłaby je pani zatrzymać? Myślałam, żeby mieć je w swoim mieszkaniu, ale to byłoby dziwne i właściciel pewnie miałby pretensje, gdyby ludzie ciągle się kręcili. Nadal nie naprawił umywalki w łazience, myję z ęby nad zlewem w kuchni. — Obejrzała się na drzwi wejściowe. — Ale to byłoby dobre miejsce. No i mogłoby być z korzyścią dla interesu, do herbaciarni przychodziłoby więcej ludzi. To znaczy, nie żeby pani interes szedł źle

— dodaje szybko w obawie, że uraziła Madeline.

Ale Madeline niełatwo urazić. Uśmiecha się do Con— nie zachęcająco.

— Chętnie przyjmę wszelką możliwą pomoc.

— To mogłabym je zostawić?

Madeline nie widzi powodu, by tego nie robić, w tym wielkim domu z pewnością znajdzie się miejsce na pudełka.

— Oczywiście. Możesz postawić je w holu albo jeszcze lepiej, w salonie naprzeciwko holu. Klienci tam nie zagląдают, można będzie spokojnie posiedzieć i przeglądać przepisy.

Connie wyjęła z torby paczkę nowych kartek i długopisów.

— Przyniosłam, w razie gdyby ktoś chciał zanotować przepisy.

— Bardzo przezornie.

— Przenieść to wszystko do tamtego pokoju?

Madeline z uśmiechem kiwnęła głową. Connie szybko zebrała pudełka i poszła do salonu; wróciła kilka minut później ze szmatką do kurzu w ręku.

— Znalazłam to obok lampy. Zdawało mi się, że była pani w trakcie ścierania kurzu, więc dokończyłam.

Madeline nie pamięta nawet, kiedy ścierała kurz w salonie. Może w zeszłym tygodniu?

— Och, dziękuję. Wezmę to.

— Mogę ją zanieść do pralni albo wypłukać ręcznie.

— Co? Och nie, nie trzeba. — Wzięła od niej szmatkę ujęta grzecznością i rozważą dziewczyny. — Bardzo miło z twojej strony.

— To nic takiego. — Connie rozglądała się po herbaciarni, jakby widziała ją po raz pierwszy. — Bardzo tu ładnie. Tu serwuje pani herbatę?

— A także śniadania i lunchy. Wypieki przez cały dzień. — Madeline wskazała bochenki chleba przyjaźni stygnące na ladzie. — Możesz wziąć jeden, jeśli chcesz.

— Zakwasu robiło się coraz więcej, dlatego zużyła kilka torebek naraz.

Connie uśmiechnęła się.

— Dziękuję. Zwykle jadłam go na śniadanie, ale od dłuższego czasu nie miałam okazji. — Przez chwilę zastanawia się, który wybrać. — Ten wygląda apetycznie.

— Z jabłkami, cynamonem i rodzynekami — powiedziała Madeline.

Connie wdychała z lubością aromat.

— Pycha, dziękuję.

— Na zdrowie.

Dzwoneczek przy drzwiach zabręczał znowu, do środka weszło kilka kobiet.

— Umieram z głodu — rzuciła jedna w przestrzeń, druga kiwnęła głową.

— Och. — Madeline jest zaskoczona. Znowu była nieprzygotowana na przyjęcie klientów! Ostatnio często się tak działo, codziennych zajęć zrobiło się zbyt dużo, nie miała wolnej chwili, by zastanowić się, czy o czymś nie zapomniała. Teraz odchylając palce, wyliczała głośno, co jest do zrobienia.

— Trzeba zagotować wodę i wstawić zapiekankę do piekarnika. Rozstawić masło na stołach i napełnić dzbanki wodą... — Zmarszczyła brwi; co powinna zrobić najpierw?

— Może mogłabym pomóc? Nic dzisiaj nie robię. Właściwie to szukam pracy, ale z przyjemnością pomogę pani za darmo. — Podniosła swój bochenek chleba

uśmiechnęła się. — To znaczy, niezupełnie za darmo, skoro dostałam chleb, ale to by była jakby wymiana.

Wymiana. To świetny pomysł, bardzo kalifornijski, no i Madeline naprawdę potrzebuje pomocy, a Connie, wbrew pozorom, wygląda na osobę kompetentną i energiczną. Madeline podoba się ten pomysł, ale czy nie powinna najpierw przeprowadzić rozmowy, zażądać życiorysu, sprawdzić referencji i tak dalej? Tylko kiedy? Nie ma nawet czasu, żeby zamieścić ogłoszenie w gazecie.

Ale to przecież Avalon, na litość boską! No i już zdążyła polubić tę dziewczynę — jeśli można było jej coś zarzucić, to najwyżej zbyt wysokie kwalifikacje jak na tę pracę. Madeline potrafiła rozpoznać kompetentnego pracownika pod czarną podkoszulką, niebieskimi džinsami i brudnymi adidasami.

— Umówmy się na okres próbny — zaproponowała, jednocześnie wskazując gościom miejsca. — Dziś i jutro, sześć godzinienne plus pół godziny na lunch. Zapłacę ci dwanaście dolarów za godzinę plus torbę wszystkiego, co będziesz chciała z tego, co zostanie. Jeśli dostaniesz jakieś napiwki, możesz je zatrzymać. Co ty na to?

Connie otworzyła usta zaskoczona, oczy jej rozblęły.

— Mówi pani poważnie?

Steven zawsze podkreślał, jakie to ważne, żeby dobrze płacić pracownikom, że taniej jest inwestować w tych, których już się zatrudniło. Madeline nie ma czasu, żeby targować się o kilka dolarów, a jeśli Connie się sprawdzi, będzie warta nawet więcej.

— Jak najbardziej. Umyj ręce i weź fartuszek z kuchni. Sprawdź, czy piekarnik osiągnął temperaturę stu osiemdziesięciu stopni, chleb piekł się w dwustu przez niemal cały ranek, zapiekanka potrzebuje niższej temperatury. Przyjmę zamówienia i wrócę, pomogę ci.

Connie popędziła do kuchni, obciągnęła koszulkę i przygładziła włosy.

No cóż, zapowiada się ciekawy dzień... Madeline podeszła do pierwszego stolika.

— Czego panie sobie życzą? Mamy dziś...

Edie jest zasypywana chyba wszystkimi istniejącymi na świecie próbkami produktów dla dzieci.

Chusteczki nawilżane, mleko dla niemowląt, pieluszki, kremy na odparzenia... Jej skrzynka jest zavalona katalogami ubrań ciążowych, kremów na rozstępy, wanien do porodów w wodzie, mebelków. Sama nigdy by czegoś takiego nie zamówiła, — ale świetnie wie, czyja to sprawka.

Liwy.

— Hej, to świetny pomysł. — Richard wypatrzył coś w katalogu. — Prosisz ludzi, żeby zamiast prezentów wręczali ci rzeczy dla dziecka umieszczone w „kapsule czasu” — tak, żeby twoja córka mogła ją sobie otworzyć na przykład w dniu szesnastych urodzin — starannie zagina róg strony. Zapewne przyjdzie to pocztą w przyszłym tygodniu, myśli Edie, choć przecież tak naprawdę to jedynie pudełko z kilkoma instrukcjami i pomysłami na przyjęcia. Cały ten dziecięcy biznes to jeden wielki przekręt, ale jak widać Richard jest zafascynowany.

— To mógłby być chłopiec — mówi Edie.

— Mógł. — Richard kiwa głową. — Ale nie jest.

Dziś mają USG. Richard denerwował się, że jeszcze nie znają daty porodu, a Edie denerwowała się tak po prostu. Jeszcze kołatała się myśl, że być może to jedynie okrutny żart, że tak naprawdę nie jest w ciąży. To by wcale nie było takie złe...

— Edith Gallagher? — Pielęgniarka rozgląda się po poczekalni i uśmiecha, gdy Edie podnosi rękę i wstaje. Richard idzie za nią, przytrzymuje drzwi, by mogła wejść. Pielęgniarka jest oczarowana.

— To mój... — Edie nie wie, co powiedzieć. „Mój chłopak” brzmi jakoś tak dziecinnie.

— Prawie narzeczony — dorzuca stanowczo Richard, Edie uśmiecha się słabo. Pielęgniarka waży ją, mierzy jej ciśnienie, bierze mocz do analizy. Potem daje Edie okropną papierową „sukienkę” i wskazuje kozetkę obok ultrasonografu. Zamyka drzwi z delikatnym kliknięciem.

— Chcesz, żebym wyszedł, gdy będziesz się przebierać? — pyta Richard niepewnie. Jakoś tak wyszło, że nigdy nie był z Edie u lekarza, chyba się denerwuje.

Edie zdejmuje koszulę i wskazuje mu krzesło.

— Ty mnie w to wpakowałeś, nigdzie teraz nie pójdziesz. Siadaj — mówi, usiłując okryć się papierem.

Ginekolog, doktor Briggs, to kobieta. Sprawia wrażenie, jakby cieszyła się na ich widok.

— Pierwsze dziecko? — pyta.

Oboje kiwają głową. Kiedy doktor Briggs dowiadyuje się, że Richard jest

lekarzem, rozmowa schodzi na sprawy medyczne — jego specjalizację, gdzie chodził do szkoły, jak mu się podoba własna praktyka. Edie drgnęła, gdy lekarka bez ostrzeżenia nałożyła zimny żel na brzuch.

— Och, nie chciałam. — Doktor Briggs uśmiecha się przeprasząco.
— No cóż, zobaczmy, który to tydzień.

Obraz jest niewyraźny, przypomina podwodny sonar. Edie wyciąga szyję, żeby lepiej widzieć, lekarka patrzy na ekran ze zmarszczonymi brwiami. Bierze kartę Edie

mocniej przyciska sondę do brzucha pacjentki.

Edie spogląda na Richarda, wygląda na zaniepokojonego. O Boże, coś jest nie tak!... Przez narastającą gulę w gardle ona zmusza się do pytania:

— Wszystko w porządku?

— Idealnym. — Doktor przekręca pokrętło i w pokoju rozlegają się szybkie, rytmiczne uderzenia.

Bicie serca.

— Rany. — Richard odwraca się, żeby wziąć Edie za rękę.

Gdy doktor Briggs przekręciła monitor, żeby Edie też mogła zobaczyć, ta aż krzyknęła. Na monitorze zobaczyła dziecko w pozycji embrionalnej, jego nosek i paluszki. Widać, jak porusza rączkami i nóżkami, jego serce bije mocno, rytmicznie.

— Nie sądziłam, że będzie tak wyraźne widać — wyjąkała Edie osłupiała. Nie spodziewała się czegoś takiego.

Była przygotowana na małe wyrostki kończyn, wielkie oczy... Spodziewała się... fasolki. W internecie wszystko wyglądało inaczej, właściwie nie było warte uwagi. Ale to... To było dziecko! Prawdziwe, żywe dziecko. Jej dziecko.

— Widać tak wyraźnie, bo to piętnasty tydzień. Ma pani już za sobą pierwszy trymestr — gratulacje!

Nawet Richard wygląda na wstrząśniętego.

— Piętnasty tydzień?

— Plus minus kilka dni. Musimy nadrobić zaległe badania, sprawdzić krew i całą resztę, ale jak na razie wszystko wygląda naprawdę dobrze. — Doktor sięga na dół i podaje im wydruk z USG. — Oceniam datę porodu mniej więcej na drugiego listopada.

Edie patrzy na nią szeroko otwartymi oczami. Listopad? To przecież zaledwie sześć miesięcy! Nie jest gotowa, żeby zostać matką za sześć miesięcy. Miało być dziewięć, dziewięć!

— Przecież nawet nie powiększył mi się brzuch.

— Tak zwykle jest przy pierwszym dziecku. Ja miałam widoczny brzuch dopiero po piątym miesiącu. Zapewne już niedługo będzie widać, nie ma obawy... Hm... Czy zdradzenie wam płci ma sens?

— Nie! — woła Edie niespokojnie. Seks jest ostatnią rzeczą, o jakiej myśli, Richard będzie miał dużo szczęścia, jeśli w ogóle się ze sobą prześpią.
— Nie uprawiamy seksu, odkąd wiemy, że jestem w ciąży.

Doktor Briggs śmieje się.

— Nie, nie, Edie, pytałam, czy chcecie poznać płeć waszego dziecka?

Pytanie powoli dociera do Edie.

— A możemy? — Jej głos brzmi głucho. — Już teraz?

— Jest wcześniej, ale mam doskonały widok. — Doktor wskazała ekran.

— Bardzo dobrze widać, co to będzie.

Richard i Edie patrzą na siebie. Nie zastanawiali się nad tym.

— Nie wiem — mówi Richard oszołomiony. — Ee... cóż...

Niemożliwe... Ten zazwyczaj opanowany, pewny siebie Richard, który zawsze wie, co powiedzieć, teraz nie może wykrztusić słowa.

— Chcemy wiedzieć. — Edie podejmuje decyzję za oboje.

— Jesteś pewna? — Richard nie jest przekonany. — No wiesz, nie byłoby ciekawiej, gdybyśmy dowiedzieli się w dniu porodu?

Edie wie, że ma wysoką tolerancję bólu (od czasu, gdy kuśtykała przez kilka dni ze skręconą kostką i złamanym palcem nogi), ale nie ma pojęcia, jak będzie wyglądać poród. Dobrze, że w razie czego ma możliwość znieczulenia.

— Może dla ciebie — mówi. — Ale ja będę raczej trochę zajęta.

— Mogę napisać płeć na kartce, będziecie mogli potem zdecydować, czy chcecie ją przeczytać — proponuje doktor, ale Edie chce wiedzieć już teraz.

— Jeśli nie jesteś pewien, możesz wyjść z pokoju i nie słuchać, ja chcę się dowiedzieć — mówi niecierpliwie. Teraz, gdy już wie, że mogą poznać płeć dziecka, chce wiedzieć jak najszybciej.

— Nie chcę, żebyś ty wiedziała, a ja nie. — Richard jest niemal urażony.
— No dobrze, dowiedzmy się.

Doktor Briggs patrzy porozumiewawczo na Edie, ta niemal się uśmiecha.

— Dobrze. — Lekarka nakłada więcej żelu na brzuch Edie i przesuwa sondą po skórze.

— No, no, no. Widzicie to? Między nogami? — Pokazuje coś na monitorze.

Richard i Edie mrużą oczy.

— Nic nie widzę. — Edie marszczy brwi.

— No właśnie. Macie dziewczynkę. Gratulacje! — Doktor Briggs uśmiecha się szeroko i podaje Edie papierowy ręcznik do wytarcia brzucha.

Dziewczynkę! Richard chwije się, musi usiąść.

— O Boże. — W uszach Edie dudni krew. — Tylko mi nie mów, że masz zamiar zemdleć w czasie porodu! — Co się stało z jej chłopakiem, macho z Korpusu Pokoju?

— Przyniosę panu wody. — Doktor wychodzi z pokoju.

— Proszę spokojnie dojść do siebie.

Edie wytarła żel i usiadła.

— Richardzie, dobrze się czujesz?

Spojrzał na nią rozpromieniony. Wstał, podszedł do niej, wziął ją w ramiona i całował twarz, ręce, palce.

— Jesteś niesamowita, wiesz?

— Bo jestem tak kompletnie nieświadoma tego, co się dzieje z moim ciałem, że nawet nie wiedziałam, że jestem w ciąży? — I to nie po prostu w ciąży, ale w piętnastym tygodniu ciąży! Wciąż to do niej nie dociera.

— Była śliczna, widziałas ją? Śliczna! — Nie przestaje całować Edie.
— Tak samo jak jej matka.

O rany... Część Edie ma ochotę przewrócić oczami, a część rozpływa się ze wzruszenia. Już widzi ich przyszłość: kofeinowe noce i kraje trzeciego świata odchodzą w dal, a na ich miejscu pojawia się coś nie do końca jasnego. Śniadania w łóżku. Ślady małych rączek na ścianie. Kreskówki zamiast filmów dokumentalnych. I zaślepiiony miłością ojciec i zarazem przyszły mąż.

Gloria Hügei, lat 56, wróżka

Nie jest łatwo zarobić pieniądze w tym mieście. Wprawdzie jest lepiej niż w Conroy, gdzie mieszkała ostatnio, ale to jeszcze nic nie znaczy. Tamtejsi mieszkańcy byli ograniczeni, nie umieli docenić jej daru.

Tu, w Avalonie, Gloria ma kilku stałych klientów. Uruchomiła stronę internetową i zaczęli się do niej odzywać ludzie z całego świata. Zastanawia się nad pisaniem błoga, wielu wróżbitów tak robi, ale najpierw musiałaby wziąć kilka dodatkowych lekcji informatyki.

Jej klientka z godziny czternastej już siedzi w salonie. Gloria uzupełnia swój image — wkłada duże srebrne kolczyki w kształcie kół, przewiązuje włosy chustką, nakłada czarny tusz na rzęsy i czarny eyeliner. W tym wszystkim chodzi nie tyle o omamienie klienta, ile o zapewnienie mu stereotypu — ludzie mają konkretne wyobrażenie, jak powinna wyglądać wróżka, więc jeśli odpowiadasz tym wymogom, wszystko idzie sprawniej.

Supermarket Wal— Mart miał do zaoferowania cały wybór prostych czarnych sukni, idealnie maskujących jej obfite kształty. Kupiła siedem, jedną na każdy dzień tygodnia. Czysta oszczędność na praniu.

Narzuciła szal na ramiona, sprawdziła wygląd w lustrze i wyszła z sypialni.

— Jestem Gloria — przedstawia się, wchodząc do salonu. Bierze kobietę za rękę i prowadzi ją do stolika karcianego na środku pokoju. Stoją na nim płonące świece, obok kryształowa kula i podniszczona talia tarota. Nie potrzebuje tych rekwizytów, służą wyłącznie do stworzenia nastroju.

Młoda kobieta jest gospodynią domową, matką małych dzieci, niemowlaka i kilkulatka. Gloria nie potrzebuje swojego daru, by się tego dowiedzieć — smuga zmiksowanego zielonego groszku na jej podkoszulku i plamy mazaków na džinsach są aż nazbyt wymowne, poza tym kobieta ma na ramieniu wielką torbę na pieluchy. Widząc, jak obraca nerwowo obrączkę, Gloria już wie, że przyszła tu, by porozmawiać o swoim mężu.

— Nigdy przedtem tego nie robiłam. Nie wiem, co powinnam...

— Po prostu zrelaksuj się — mówi półgłosem Gloria. Zapala świecę o zapachu paczuli i drzewa sandałowego, kupiła ją w Bed, Bath & Beyond, gdy była ostatnio w mieście; na wyprzedży.

— Pani już to robiła? — pyta kobieta.

— Jestem jasnowidzem w siódmym pokoleniu, a także empatą. Jak masz na imię?

— Lenora.

— Lenora... — Gloria jakby wdycha jej imię i zamyka oczy. Obraz pojawia się niemal od razu. Widzi karnawał, może lunapark... Wata cukrowa, zabawa na promenadzie... Mężczyzna w mundurze; wojsko, nie, marynarka...

— Muszę pani coś powiedzieć... — szepcze Lenora.

— Chwileczkę... — Obraz faluje, ale Gloria znów się otwiera i wizja powraca. To nie jest terażniejszość, to przeszłość... Ojciec, a może dziadek ma dla Lenory jakąś wiadomość.

— Tak właściwie nie mogę zapłacić — szepcze Lenora.

Obraz znika, Gloria otwiera jedno oko.

— Słucham?

Kobieta wygląda na zakłopotaną.

— Chyba powinnam uprzedzić, że nie mogę zapłacić, no wie pani, gotówką.

Gloria odetchnęła z ulgą.

— Przyjmuję karty Visa, MasterCard i American Express.

Kobieta pokręciła głową i sięgnęła do swojej torby na pieluchy. Wyciągnęła zamykany woreczek i podała Glorii.

— Wiem, że to niewiele, ale zakwas chleba przyjaźni amiszów, jest naprawdę wspaniały...

Gloria spojrzała na torebkę z niechęcią. Nie lubi przyjmować prezentów za swoje usługi, bo chociaż wróży swojemu najemcy, mimo wszystko musi płacić czynsz. Poza tym, zawartość torebki wygląda ohydnie.

— Przykro mi... — Oddaje torebkę Lenorze, gdy niespodziewanie napływa obraz, zamykając jej usta.

Deszcz. Podnosząca się woda.

— Przepraszam? — Lenora patrzy na nią zakłopotana.

Gloria otwiera szeroko oczy. Ścisnąc torebkę, wprawiając klientkę w osłupienie.

— Ryby i bochenki — mówi. — Ryby i bochenki.

Rozdział 18

Avalon jest dosłownie zavalony chlebem przyjaźni amiszów. Chyba każdy mieszkaniec (a także jego kuzynka, sąsiad albo ciotka) ma torebkę zakwasu do oddania. Na kiermaszach, wyprzedazach, w klubach książki, na przyjęciach urodzinowych pojawiają się różne wariacje chleba przyjaźni amiszów w postaci ciastek, chleba, muffinków, ciasta czekoladowego, ciasteczek, nawet zawijańców cynamonowych. Ludzie nie są nawet zmęczeni samym chlebem, co najwyżej zaniepokojeni tym, że liczba torebek z zakwasem wkrótce przewyższy liczbę mieszkańców Avalonu.

Tego dnia deszcz leje bez przerwy. Meteorolodzy zapowiadali intensywne opady przez cały tydzień, kilku hrabstwom może grozić powódź. Informacja, że Connie z przepisami i wskazówkami przeniosła się z pralni do salonu herbacianego rozeszła się bardzo szybko i w tej chwili w salonie Madeline siedzi kilkanaście kobiet, szperając w pudełkach czy porównując zapiski.

Wiklinowy koszyk „Zostaw i dziel się” jest wypełniony torebkami zakwasu w różnych etapach cyklu. Ten koszyk jest pomysłem Connie, od razu zauważyła, że czasem kobiety przynoszą swój chleb do spróbowania i chociaż Madeline nie ma nic przeciwko temu, Connie nie chce, żeby biznes na tym ucierpiał. Dlatego wymyśliła nieoficjalną politykę „Przynies swój chleb” i urządziła w salonie kącik, gdzie można samemu zaparzyć sobie herbatę. Postawiła obok starą skrzynkę na listy jako pudełko na datki, wydrukowała i opравиła cennik z sugestią datku dwa pięćdziesiąt za filiżankę albo pięć za całą herbatę, jaką możesz wypić. Na starej tablicy wypisała specjały dnia oraz kilka najbardziej popularnych dań na wynos i postawiła obok. Pod koniec dnia skrzynka na listy zawsze była pełna pieniędzy.

— O kurcze. — Hannah wyciągnęła szyję, żeby się lepiej przyjrzeć. Od czasu, gdy Hannah i Julia wróciły z Chicago, częściej spotykały się u Madeline.

Madeline jest oczarowana. Więcej, jest wniebowzięta. Kobiety bez przerwy przychodzą i wychodzą, herbaciarnia stała się popularnym miejscem, a interes kwietnie. I chociaż, jak zwykle, nie może doczekać się spotkań z Julią i Hannah, cieszy się, że ma Connie, że jest ktoś, kto razem z nią dźwiga ten ciężar — dosłownie i w przenośni. W luźniejszych dniach ma kogoś, z kim może pogawędzić, kogoś, kto niemal tak mocno jak ona pragnie, żeby salon herbaciany odniósł sukces.

— Cieszę się, że masz kogoś miłego do pomocy — mówi Julia.

Niektóre kobiety znają Julię i witają się serdecznie, ona zachowuje dystans, woli pozostać w jadalni z Madeline i Hannah. Starsza pani rozumie, dlaczego Julia odcięła się od większości ludzi w Avalonie, których kiedyś znała.

Jednak nie jest to najlepszy moment, żeby poruszać ten temat, a Madeline świetnie wie, że wycucie czasu jest najważniejsze. Gdy sama szuka rozwiązania,

nie lubi słuchać rad, dlatego nie chce teraz prawić Julii kazań. Kobieta robi, co może, Madeline widzi to i wie, że takie staranie samo w sobie jest niełatwe.

Wachluje się nowym menu, wydrukowanym przez Connie. Piekarniki działają non stop, w kuchni jest gorąco, potrzeba więcej czasu, żeby ochłonać.

— Opatrzność zesłała mi tę dziewczynę. Mam wrażenie, że to ja jej pomagam, nie ona mnie. Ma energię setki ludzi!

— Ach, młodość... — Julia uśmiecha się przekornie, trącając Hannah w bok. — Przez takie dzieciaki jak wy, my, starzy, czujemy swój wiek.

— Hej, wcale nie jestem taka młoda. — Hannah wysunęła hardo podbródek i oddała kuksańca. — A ty nie jesteś taka stara!

— Niech ci będzie. — Julia uśmiecha się. Podnosi ze stołu namiocik reklamowy z informacją o specjalności dnia. Jest też „herbata tygodnia”, ma to zachęcić gości do kupowania herbaty w torebkach lub na wagę jako prezent. I jeszcze cytat. — Podoba mi się to... *Moi przyjaciele są moim majątkiem.* Emily Dickin-son.

— Od Connie dla ciebie. — Madeline sięgnęła do innego stołu i wzięła inną reklamę. — Każdy stół ma inny cytat o przyjaźni. — Podała reklamę Hannah.

— *Przyjaciele, którzy nas odwiedzają, są ozdobą naszego domu* — odczytała Hannah. — Ralph Waldo Emerson. Przepiszę to i będę nosić w portfelu.

— Nie mam pojęcia, skąd ta dziewczyna czerpie pomysły. — Madeline kręci głową. — Zamówiła pieczętkę z naszą nazwą i adresem, stempluje nią czyste kartki

— gdy ludzie spisują na nich przepisy, mają coś, co im o nas przypomina. To lepsze niż zwykła wizytówka. A kobiety po prostu ją uwielbiają.

Weszła Connie, trzymając puste pudełko na cygara z wiśniowego drewna. Kobiety milkną, a potem uśmiechają się serdecznie do niej. Dziewczyna unosi brwi, dokłada świeżych herbat do pudełka i bez słowa wraca do salonu.

— Och, pewnie się zorientowała, że o niej mówiłyśmy.

— Madeline westchnęła, a Julia i Hannah wybuchnęły śmiechem.

— Myślę, iż ona wie, że jesteśmy trochę zwariowane, ale nieszkodliwe — mówi Julia.

— Raczej szalone — poprawia Madeline. — Chore umysłowo.

Hannah uśmiecha się, a potem bierze łyżeczkę i pociera kciukiem wygięcie.

— Philippe chce rozwodu. Dostałam dzisiaj dokumenty.

Miły nastrój zmienia się w jednej chwili.

— Och, Hannah. — Julia bierze ją za rękę, a Madeline zrywa się, by ją przytulić.

— Gdy teraz wracam myślami do przeszłości, wydaje mi się, że to było

oczywiste. Specjalnie przyjechał do Avalonu, żeby kupić tu dom i zamknąć mnie w nim, utrzymywać w niewiedzy, dopóki nie zdecydował ostatecznie, co chce zrobić. Jaka ja byłam głupia! Uwierzyłam w bajeczkę, że zawsze chciał mieszkać w małym miasteczku, że Avalon przypomina mu jego wieś we Francji, bla, bla bla...

— Nie obwiniaj się — powiedziała Julia. — Nie miałaś żadnych powodów, by mu nie wierzyć.

Hannah marszczy nos niezadowolona z siebie.

— Teraz myślę, że było pełno znaków, tylko ja je ignorowałam.

— To jest raczej kwestia odpowiedniego momentu, Hannah — zasugerowała delikatnie Madeline. — Wszystko ma swój czas. Zrobiłaś to, co wtedy uważałaś za słuszne.

— Ale gdybym nie wyszła za męża, teraz bym nie cierpiała. Po co było to wszystko, skoro teraz ma się skończyć rozwodem? Naprawdę myślę, że mogłabym się bez tego obejść.

— Owszem, ale wtedy nie trafiłabyś do Avalonu i nie spotkałybyśmy się — zauważyła Madeline.

— Czy ja wiem... — wtrąca Julia. — To właśnie mówili mi ludzie. Nienawidziłam tego. — Ujmuje dłoń Madeline, nie chce, żeby poczuła się dotknięta, i mówi dalej: — Ktoś, kto nigdy nie stracił dziecka, mówił mi: wiesz, przynajmniej teraz jest w lepszym świecie. Albo: wszystko dzieje się z jakiegoś powodu. Skąd ta pewność? Śmierć mojego syna nie powinna mieć takiego łatwego wyjaśnienia. Z jakiego powodu dziesięcioletni chłopiec musiał umrzeć? Po co? Żeby Gracie dorastała, nie znając swojego starszego brata? Żebyśmy wszyscy stali się lepszymi ludźmi? — Pokręciła głową. — Nie znoszę być lepsza. Nie chcę być lepsza — mówi z goryczą.

Madeline ściska dłoń Julii, zagląda jej w oczy. Rozumie to, naprawdę, ale chce, żeby Julia też zrozumiała pewną rzecz, która niegdyś wprowadziła Madeline w rozpacz i która zarazem ją uratowała.

— Kochana Julio — mówi po długiej ciszy. — A jaki mamy inny wybór?

Edie wchodzi niepewnie do głównej sali herbaciarni. Przez godzinę rozmawiała z kobietami w salonie, popijała herbatę, zbierając historyjki. W ciągu ostatniego tygodnia bywała tu codziennie, podobała jej się atmosfera, pogawędki, towarzystwo.

Ale dziś rano znalazła w poczcie e—maila od jednej ze szkolnych koleżanek, które znalazły się na liście kandydatów do nagrody Hillmana za artykuł o przetrzymywaniu nielegalnych imigrantów. To wystarczyło, by przypomnieć Edie, że była tu nie bez powodu, że najwyższy czas wziąć się do pracy.

Ona i Liwy spotykały się regularnie, by porozmawiać o chlebie przyjaźni amiszów. Mimo całego entuzjazmu Liwy niezbyt dobrze sobie radziła z robieniem

notatek czy prowadzeniem badań, ale i tak Edie była jej wdzięczna za pomoc. Właściwie jest już gotowa, by napisać artykuł. Ciekawe, czy uda jej się wzbudzić zainteresowanie miasteczkiem ogarniętym szalem chleba przyjaźni amiszów? Zdawała sobie sprawę, że w tej opowieści jest pewien urok, jednak wiele zależy od ujawnienia prawdziwych bohaterów wydarzeń, podania ich nazwisk. Jak wynika z notatek Liwy i dat na przepisach w pudełkach, pierwsza osoba, która miała zakwas, to Madeline Davis i było to w marcu, jakieś trzy miesiące temu.

Jej własną torebkę zakwasu spotkał straszliwy koniec. Włożyła ją do szafki w kuchni, bo nie mogła na nią patrzeć, a potem kompletnie o niej zapomniała. Kilka dni później Richard usłyszał jakby dziwne pukanie.

Gdy otworzyli drzwiczki, napęczniała torebka skoczyła w ich stronę, przewracając pudełko z tymian—kiem. Edie wrzasnęła, a Richard chwycił torebkę, która eksplodowała, wychlustując zawartość na nich i całą kuchnię.

Gdy Richard już ochłonął — zakwas ściekał mu z włosów i koszuli — dostał ataku śmiechu, ale Edie była wściekła. Zużyli pudełko mokrych chusteczek i pół rolki papierowych ręczników, żeby wszystko posprzątać.

Zapach fermentującego zakwasu doprowadził ją do mdłości — zwymiotowała. Jak widać poranne mdłości nie były zarezerwowane dla pierwszego trymestru.

Na szczęście miała jeszcze na tyle przytomności umysłu, by zrobić kilka zdjęć kuchni. Wymyśliła nawet podpis: „Uwaga, to możesz być ty! Zakwasowe wariactwo wybuchło w Avalonie i kuchni jednego z reporterów”.

Właściwie miała już w głowie całą historię, nie pasowało jej tylko jedno: obecność Madeline w tej sprawie. Skąd wzięła zakwas? Odkładała tę rozmowę aż do dziś.

Cały czas myślała, że Madeline jest młodsza, wyobrażała sobie pulchną kobietę po pięćdziesiątce, w fartuszkach w kratkę — tak przynajmniej wynikało z opowieści Liwy. Nie powinna była wyrabiać sobie opinii przed zobaczeniem jej, teraz czuła się niezręcznie, że ma wskazać Madeline jako inicjatorkę chlebowego szaleństwa. Musiała sobie przypomnieć, że jest jedynie reporterem gromadzącym fakty. Nic osobistego.

Rozlega się chrząknięcie i Edie aż podskoczyła.

To Connie, punkowa dziewczyna pracująca u Madeline, właśnie mierzyła Edie wzrokiem, dalekim od aprobaty. Edie zdawała sobie sprawę, iż można by pomyśleć, że podsłuchiwała rozmowę kobiet, chociaż wcale nie podsłuchiwała, w każdym razie nie specjalnie. Właśnie chciała przedstawić się Madeline, ale kobiety były pogrążone w prywatnej rozmowie i Edie czekała, aż skończą.

Connie mówiła głośno, rzucając Edie miażdżące spojrzenie:

— Madeline, mamy kilka zamówień na wynos, chcesz, żebym się tym zajęła?

Trzy kobiety podniosły wzrok, Madeline uśmiechnęła się uprzejmie. Kobieta, z krótkimi rudoblond lokami, odwróciła się do okna; czarnowłosa Azjatka wpatrywała się w swoje dłonie.

— Co? Nie trzeba, ty działaj z paniami w salonie, ja zrealizuję zamówienia. — Madeline wzięła kartkę od Connie, uśmiechając się grzecznie do Edie.

Edie nie czuła już niedawnego zdecydowania. Ostatnio jest na łasce i niełasce hormonów: łatwo się wzrusza i denerwuje, gdy ktoś zajechał jej drogę na ulicy, omal nie wybuchnęła płaczem. Kupiła scrapbook „Pierwszy rok dziecka” na ostatnim spotkaniu i rozplynęła się nad szablonem różowych bućków i wstążek w kropeczki.

Teraz nie jest już pewna, czy powinna to zrobić. Nie, nie może przywiązywać się do Madeline, dać się złapać na jej podeszły wiek czy pozorną uprzejmość. Musi pozostać obiektywna, dokończyć to, co zaczęła. W historii chleba amiszów jest sentymentalizm rodem z opery mydlanej, być może zainteresują się nią prasowe giganty, jeśli tylko Edie dobrze ją napisze. I szybko.

Connie potrafi oceniać ludzi — i w tej młodej kobiecie w okularach z drucianą oprawką jest coś budzącego nieufność. Nazywa się Edie coś tam i przychodzi tu codziennie od kilku dni. Zawsze ma mnóstwo pytań i zawsze zapisuje coś w notatniku. Connie nie chce, żeby klientki czuły się nękanie, ale kobiety chyba nie mają nic przeciwko temu, cieszą się, że mogą opowiedzieć o sobie, o tym, kiedy po raz pierwszy piekły chleb przyjaźni amiszów.

„Zdaje się, że to było w kwietniu”.

„W marcu. Zaraz po Dniu Świętego Patryka”.

„Dwa tygodnie temu. Doris Donald zostawiła torebkę na przedniej szybie mojego samochodu. Nie miała nawet odwagi spytać mnie, czy chcę to wziąć!”

„To już mój trzeci cykl, więc może miesiąc?”

„Ponad sześć tygodni temu”.

Connie nie rozumie, czemu Edie tak się tym interesuje, skoro sama nie piecze chleba i zrezygnowała z okazji wzięcia torebki z koszyka „Zostaw i dziel się”.

Madeline kręci głową zachwycona, studiując zamówienia.

— Connie, to niemal tyle, ile zarabiamy w czasie lunchu. Jesteś niesamowita!

Dziewczyna czerwieni się speszona, od razu zapomina o Edie. Uwielbia pracować u Madeline, która dała jej niemal wolną rękę — może robić, co chce, żeby interes szedł lepiej, żeby klienci byli zadowoleni. Czuje się nie tylko użyteczna, ale i potrzebna. To miłe.

Powinna podziękować, lecz zmienia temat, odwracając uwagę od siebie.

— Myślałam, że zamiast zwykłych zamówień na wynos mogłybyśmy

zaoferować specjalne dania obiadowe na wynos do odbioru pod koniec dnia. Można by umieścić je na tablicy razem z innymi daniami i ludzie mogliby składać zamówienia obiadowe przed jedenastą rano. Dzięki temu miałybyśmy więcej czasu na przygotowanie wszystkiego, żeby nie krzątać się w ostatniej chwili. Jeżeli klienci nie zdążą z zamówieniem przed jedenastą, po prostu nie będziemy go realizować. — Connie wie, że Madeline uwielbia tę pracę, uwielbia to, że ludzie kochają jej jedzenie, ale jest już piętnasta, a ona musi wracać do kuchni po całym długim dniu pracy. Madeline zwykle wstaje o czwartej trzydzieści, żeby wszystko przygotować, Connie nie zjawia się przed szóstą trzydzieści.

— Nie mam nic przeciwko krzątaniu się — mówi Madeline, ale wygląda na bardzo zmęczoną. Oddycha ciężko, przeglądając zamówienia. — Ale może masz rację. Porozmawiamy o tym w weekend, a tymczasem pójdę się tym zająć.

— Pomogę. — Hannah wstaje i podchodzi do Madeline. — Muszę się oderwać od myślenia.

Madeline obejmuje ją po matczynemu.

— Będzie mi bardzo miło, jeśli dotrzymasz mi towarzystwa. — Już mają wyjść, gdy Edie robi krok w ich stronę.

— Przepraszam! Nazywam się Edie Gallagher i próbuję dowiedzieć się czegoś o chlebie przyjaźni amiszów.

— Wymieniają uścisk dłoni z Madeline. — Przeglądałam przepisy i wydaje się, że to właśnie pani pierwsza zaczęła robić chleb przyjaźni w Avalonie. W marcu, prawda?

— A więc to było w marcu? — mówi Madeline w zamyśleniu. — Czas chyba się zgadza, ale to nie ja byłam pierwsza. Dostałam zakwas od tej młodej damy, Julii Evarts. — Wskazuje głową kobietę z rudoblond włosami. Connie nie lubi się wtrącać i zwykle pilnuje swoich spraw, ale wie, że Julia Evarts jest matką chłopca, który zmarł kilka lat temu.

Odwraca się do Julii, promieniejąc sztucznym entuzjazmem. Connie ma ochotę ją zakneblować.

— Och, naprawdę? To wspaniale! Mogłybyśmy chwilę porozmawiać?

Kobieta waha się, a potem kręci głową.

— Przepraszam, ale właśnie chciałam wyjść. — Zbiera swoje rzeczy.

— A mogę tylko zapytać, od kogo dostała pani swój zakwas? — naciska Edie.

— Trudno powiedzieć... Zalażłam go na ganku, gdy wracałam do domu — zakwas i kilka kawałków Chleba. Właściwie to Gracie go znalazła. — Uśmiecha się do tamtych kobiet, które też się uśmiechają na wzmiankę o córce Julii. — Chciałyśmy zachować ostatni kawałek dla Marka, ale zjadłam go. Wtedy nie miałyśmy już innego wyjścia, jak tylko poczekać dziesięć dni i upiec chleb.

— Mark to pani mąż? — Edie przysuwa się odrobinę, Connie specjalnie

potrąca ją, jakby chciała powiedzieć: nie zbliżaj się.

Julia kiwa głową.

— I nigdy nie dowiedziała się pani, kto dał pani ten zakwas?

Wzrusza ramionami.

minał.

— Ciekawe. Myśli pani, że mogłabym porozmawiać z pani sąsiadami?

— Widać, że Edie jest po prostu głodna informacji, Connie ma ochotę wypchnąć ją za drzwi.

Julia wstaje, wieszka na ramieniu swoją wielką torbę.

— Przepraszam, ale jestem spóźniona, muszę odebrać córkę. — Całuje Hannah i Madeline w policzek, potem odsuwa Edie i wychodzi.

— Musimy wreszcie zająć się tymi zamówieniami.

— Madeline kiwa na Hannah, żeby poszła za nią do kuchni. Connie stoi jeszcze chwilę, a potem idzie do salonu, rzucając Edie ostrzegawcze spojrzenie. Edie zostaje sama, nim zdąży zadać kolejne pytanie. Wie, że za bardzo naciskała, ale to jeszcze nie powód, żeby traktować ją tak chłodno. Ta Connie zachowuje się jak młodociany gangster. Gang chleba przyjaźni. Właśnie tu, w Avalonie.

Zresztą, to nieistotne. Teraz już wie, kto pierwszy użył zakwasu — właśnie Julia Evarts! Wie już, jak opowiedzieć swoją historię. Nagle czuje zmęczenie, musi wrócić do domu i się położyć. Jest zła na ciążę, która wysysa z niej energię w połowie dnia. Robi szybkie zdjęcie pustego salonu herbacianego i wychodzi.

*Przyjaciel czy wróg? Małe miasteczko w Illinois ogarnął szal Chleba przyjaźni.
Autor: Edith Gallagher*

AVALON, ILLINOIS

W Illinois, małym miasteczku o niewielkiej liczbie mieszkańców, wiadomości przekazywane z ust do ust są często najszybszą i najbardziej skuteczną drogą rozpowszechniania informacji. Jednak teraz pojawiło się tu coś, co rozchodzi się jeszcze szybciej: chleb przyjaźni amiszów i jego wszechobecny obrzydliwy zakwas, opatrzony szczegółowym przepisem.

Zapewne już wy sami albo wasi znajomi padliście ofiarą chleba przyjaźni amiszów — szalu, który ogarnął Amerykę w połowie lat osiemdziesiątych i który ostatnio odrodził się w północnym Illinois.

Jak to się zwykle odbywa? Ktoś daje ci plastikowy zamykany woreczek z fermentującym zakwasem, zwanym chlebem przyjaźni amiszów (jak dotąd nie ma potwierdzenia, że to właśnie amiszki są autorami tego przepisu). Opiekujesz się swoim zakwasem, zgniatając torebkę każdego dnia, dodajesz kilka składników (mąka, mleko, cukier) w dniu szóstym i tak aż do dnia dziesiątego, kiedy znów dodajesz te same składniki, rozdzielasz zakwas do trzech nowych torebek i pieczesz chleb z tego, co ci zostało. Potem już tylko musisz znaleźć trójkę naiwnych przyjaciół, którzy przyjmą torebkę zakwasu, nieświadomi, że dziesięć dni później sami będą musieli znaleźć trójkę przyjaciół, aby przekazać zakwas dalej.

Można by zapytać — i cóż w tym złego? No właśnie. Wyobraźmy sobie następującą sytuację: pewna osoba zatrzymuje jedną torebkę dla siebie, trzy inne oddając przyjaciołom. Cała czwórka robi potem to samo, i tak dalej, i tak dalej. Po trzech „pokoleniach” zakwasów (mniej więcej miesiąc później) po mieście krążą 64 torebki zakwasów. Po czterech — 256, po sześciu — 4096, zaś po dziesięciu pokoleniach (jakieś trzy i pół miesiąca później) — 1,048, 576. Naprawdę, nie chcecie wiedzieć, do jakiej liczby dojdziemy po piętnastu pokoleniach.

Chleb przyjaźni amiszów to doskonały przykład rozwoju epidemii. Niesamowite, że w epoce cyfrowej nadal można zaobserwować wirusy rozprzestrzeniające się w „starym stylu”. I to wszystko w imię przyjaźni.

„Idę w przeciwnym kierunku, gdy widzę, że ktoś zmierza w moją stronę z torebką w ręku” — mówi Sue Pendergast, organista ze zjednoczonego kościoła metodystów w Avalonie. — Nie chcę, żeby to zabrzmiało nie po chrześcijańsku, ale to naprawdę arogancja ze strony innych: zakładać, że mam czas, by zajmować się tym wszystkim i tylko po to, by w efekcie uzyskać zwykłe ciasto! To przecież

nie jest warte zachodu!”

Eleonor Winters zgadza się.

„Słyszałam, że Martha Stewart miała problem z upieczeniem tego chleba. Jeśli ona miała kłopoty, to jakie ja mam szanse?”

Chociaż przepis wydaje się bardzo prosty, jest kilka rzeczy, o których nie wolno wam zapominać. Nie należy używać metalowych pojemników czy sztućców w czasie mieszania zakwasu — może to zakłócić proces fermentacji. Jak twierdzi doktor Ronald Fetters z Uniwersytetu w Chicago, zakwas zawiera kwasy, które mogą spowodować rozpuszczanie metalu. „Ta reakcja chemiczna — wyjaśnia doktor Fetters — może nie tylko zanieczyścić zakwas, ale nawet go zabić”. Właśnie ten fakt spowodował niedawne zamieszanie z „niebezpiecznym materiałem” na posterunku policji w Avalonie, gdy Cora „Panna Sunshine” Ferguson wniosła tam torebkę z zakwasem. Jeśli kiedykolwiek widzieliście zakwas, zrozumiecie, że nietrudno było się wystraszyć. Ferguson nie potrafiła podać szczegółów dotyczących substancji, co skutkowało alarmem w trzech hrabstwach, kosztującym podatników sporo pieniędzy i czasu.

Kolejna rzecz, o której musicie pamiętać: trzeba opiekować się zakwasem każdego dnia (ściskać torebkę i wypuszczać pęcherzyki powietrza), w przeciwnym razie możecie spodziewać się pleśni albo mnóstwa pracy ze sprzątaniem kuchni (zdjęcie po prawej) i zaczniecie przeklinać osobę, która wręczyła wam zakwas.

Najważniejsze pytanie, jakie należałoby sobie zadać, brzmi: W jaki sposób chleb przyjaźni amiszów zawędrował do tego niewielkiego miasteczka? Nie znamy odpowiedzi, jednak jak wynika z badań i wywiadów, po raz pierwszy widziano go w marcu tego roku, na ganku Marka i Julii Evartsów. To ich córka, Gracie (lat 5), zauważyła go pierwsza. I chociaż jej matka twierdzi, że nie wie, kto zostawił tam zakwas, przed nią nikt ani nie widział, ani nie jadł chleba przyjaźni.

Obecnie mieszkańcy Avalonu są podzieleni: jedni uważają, że fenomen rozpoczęty przez panią Evarts jest dobrodziejstwem, inni, że przekleństwem.

„Prawdziwi przyjaciele nie dają swoim przyjaciołom chleba przyjaźni” — mówi Earlene Bauer, optyk z Avalon All Eyes Vision Center. — Wyrzucam go do kosza, gdy tylko go dostanę”.

„Uwielbiam ten chleb, ale wręczanie zakwasu przyjaciołom było okropne — twierdzi Pearl Kiry, zapalony ornitolog amator, całe dni spędzający na obserwacjach kowalików karolińskich w parku Avalon. — Jedna osoba przestała ze mną rozmawiać”.

Claribel Apple się z tym nie zgadza.

„Moim zdaniem chleb przyjaźni to błogosławieństwo. — Apple spędza popołudnia w herbaciarni Madeline, gdzie razem z innymi paniami wymieniają przepisy i porównują zapiski w pokoju, specjalnie przeznaczonym na rzeczy związane z chlebem przyjaźni amiszów. — Na świecie jest tyle zła, dzieje się tyle

strasznych rzeczy... Dlaczego nie uczynić świata lepszym miejscem dzięki odrobinie miłości i kawałkowi chleba przyjaźni?”

Właśnie, dlaczego? Jeśli tylko nie jesteś diabetykiem, możesz zawsze mieć w swoim domu zakwas chleba przyjaźni. Możesz go zamrażać i rozmrażać, a on będzie żył po wsze czasy. Nie musisz go nawet piec dziesiątego dnia, można to zrobić w dniu jedenastym czy dwunastym, pod warunkiem że dokarmiasz swój zakwas. Jednak wasza reporterka ma szczerą nadzieję, że sympatyczni mieszkańcy Avalonu nauczą się być swoimi własnymi przyjaciółmi i zachowają zakwas dla siebie. Droga pani Evarts, gdy wymyśli pani zakwas na pieczoną wołowinę z warzywami, wtedy możemy porozmawiać.

Rozdział 19

— Edie, jak mogłaś?!

Zaskoczona Edie spogląda na nią zza monitora. Czerwona, zła Liwy ściska w rękę gazetę.

— Co mogłam?

Poczta Edie jest zapchana e— mailami, poczta głosowa jest pełna. Żadna agencja prasowa nie zainteresowała się artykułem, ale lokalne zainteresowanie jest bardzo miłe. Uderzyła w czuły punkt, a w opinii Edie to największy komplement dla reportera. Myśli o tym, żeby napisać więcej artykułów na ten temat, może nawet całą serię o chlebie przyjaźni.

— Nie podobało ci się? To miał być humorystyczny kawałek z życia. Czytałaś to o wołowinie? Odkąd jestem w ciąży, uwielbiam pieczoną wołowinę, nie wiem dlaczego. — Mlaska, niemal czując zapach. Może Richard znów weźmie coś na wynos z Grilla Avalon?

Liwy rzuca gazetę na biurko.

— Edie, Julia Evarts jest moją siostrą! Oskarżyłaś ją, że to ona przyniosła chleb przyjaźni do Avalonu, a żadne z badań, które zrobiłam, nic takiego nie mówiło!

— Przeprowadziłam sama kilka rozmów i tego się właśnie dowiedziałam. To nic takiego, Liwy.

— Nic takiego? Julia pomyśli, że miałam z tym coś wspólnego, że to moja wina!

Edie zerka na nagłówek, tłumiąc uśmiech. Napisanie artykułu zajęło jej niecałą godzinę. Planowała właściwie zawrzeć w nim bardziej ogólne przemyślenia o życiu i pokoju na świecie, ale słowa same wylewały się na kartkę, więc nie walczyła z tym i wcale nie żałuje. Nie pamięta, kiedy ostatnio tak się bawiła, pisząc artykuł. Jak widać cięża pozytywnie wpłynęła na jej kreatywność.

— Dlaczego miałabyś być winna? Nie zrobiłaś nic złego, Liwy, to tylko artykuł, w którym są same fakty.

— Ja to wiem, ale Julia nie! Wie, że pracuję w „Gazet— te”, pomyśli, że to ja ciebie do tego namówiłam!

— No to zadzwoń do niej i powiedz, że nie masz z tym nic wspólnego. — Edie planowała właśnie pójść po następną kawę, gdy przypomniała sobie, że wyczerpała już dzienny limit kofeiny. Szlag.

Liwy krążyła nerwowo po pokoju.

— Nie mogę tego zrobić.

— Dlaczego? — Znała odpowiedź, ale chciała usłyszeć ją od Liwy. To jedyna rzecz, o której Liwy nigdy nie wspomniała; Edie sama odtworzyła

wydarzenia sprzed pięciu lat na podstawie tego, co powiedział jej Richard i tego, co znalazła w archiwach gazety. Ciekawe, że Li— wy nigdy nie powiedziała jej o tej tragedii... Chociaż posiadanie tej tajemnicy czyniło Liwy bardziej ludzką, dawało nadzieję, że ich przyjaźń wyjdzie poza drętwe lunche i dyskusje o niczym.

Liwy kręciła głową, na jej twarzy malował się taki ból, że Edie poczuła wyrzuty sumienia. Jasne, że byłoby prościej, gdyby Julia Evarts nie była siostrą Liwy, ale nic na to nie poradzą.

— Wiem, iż myślałyśmy, że to wszystko zaczęło się od Madeline, ale ona dostała zakwas od Julii. Z kolei Julia powiedziała, że ktoś jej go dał, ale nikt nie mógł tego potwierdzić, zresztą, wcale się tego nie spodziewałam.

— Edie, moja siostra przeszła przez piekło, nie chce znów znaleźć się na ludzkich językach! Słyszałam komentarze, żeby zmusić ją do zużycia wszystkich zakwasów.

Edie też takie słyszała, ale uznała, że to świetny dowcip.

— Daj spokój, Liwy, nie traktuj poważnie żartów.

— Guzik mnie obchodzi! — Liwy purpurowieje. — Mogłaś znaleźć osobę, która jej to dała i zacząć od niej!

— Nie mogłam, Liwy, bo nie przypuszczam, żeby ktoś taki w ogóle był — powiedziała Edie delikatnie.

Liwy wpatrywała się w nią.

— O czym ty mówisz?

Edie wzięła głęboki oddech. Nie chciała tego mówić, ale teraz już jest za późno.

— Tamtego tygodnia Julia była jedyną osobą, która dostała zakwas. Nie sądzisz, że to trochę dziwne? Przecież sama znalazłaś przepis na zakwas w internecie. Nie zdziwiłabym się, gdyby właśnie Julia zaczęła to szaleństwo.

— Nigdy by tego nie zrobiła! Po co miałyby robić coś takiego?

— Nie wiem. Żeby zwrócić na siebie uwagę? Pomyśl o tym. Robisz zakwas, rozdajesz przyjaciołom, może też osobom, które chciałybyś poznać — mieszkają tu od niedawna i nie wiedzą, co wydarzyło się pięć lat temu. I znowu ludzie zaczynają ci współczuć...

Twarz Liwy blednie.

— Chcesz powiedzieć, że zrobiła to, żeby wzbudzić współczucie? Z powodu Josha?

— Mówię tylko, że ludzie robią rzeczy z najróżniejszych powodów. Liwy, no pomyśl sama. Nie rozmawiała z tobą od lat, była kompletnie wyłączona z życia! Myślisz, że zaczęła to wszystko, bo chciała być miła dla swoich sąsiadów? — Edie sięgnęła do szuflady i wyjęła chipsy. — Chcesz dorito?

Liwy odepchnęła torbę.

— Edie, Josh był moim siostrzeńcem! Był pod moją opieką, gdy umarł!

— Głos jej drży.

Edie patrzy na nią nieruchomym wzrokiem. — Wiem.

Liwy jest wstrząśniętą, ale nie pyta, skąd Edie wie. Unosi podbródek.

— Skoro wiesz, powinnaś mieć odrobinę współczucia dla mnie i mojej rodziny. Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką!

— Bo jestem! To tylko artykuł, Liwy, nie ma w nim nic osobistego!

— Dla mnie jest! Nie masz pojęcia, jak można się czuć, gdy ktoś, kto jest ci bardzo bliski nagle zupełnie się od ciebie odcina! Jak byś się czuła, gdyby Richard zrobił coś takiego? Gdyby przestał poznawać ciebie na ulicy, udawał, że nie istniejesz?

Edie przełyka ślinę. Nie chce, żeby Liwy była wściekła. Patrzy na nią, jak zaciska i rozluźnia dłonie w bezsilnej złości.

— Czemu nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? — pyta cicho.

Liwy odwraca wzrok.

— Co miałam ci powiedzieć? — mamrocze.

Edie czuje, jak coś w niej pęka. Liwy była dla niej miła, znacznie bardziej, niż ona się spodziewała, bardziej, niż zasługiwała. Szkoda, że nie przemyślała lepiej artykułu, nie rozważyła innych możliwości. Tak czy inaczej, teraz już za późno.

— Julia chce jedynie, żeby wszyscy zostawili ją w spokoju. — Liwy opadła ciężko na krzesło naprzeciwko Edie.

— Wszyscy, ja też.

Edie dostrzega coś kątem oka.

— Może jednak nie.

Liwy śmieje się gorzko.

— Zaufaj mi, wiem. Julia nie chce widzieć nikogo, a przede wszystkim mnie.

— Może jednak się mylisz. — Edie ruchem głowy wskazuje w stronę korytarza. — Bo to chyba właśnie ona stoi przed twoim gabinetem.

Julia rozgląda się po skromnym gabinecie Liwy. Niewielkie pomieszczenie jest zastawione biurkiem i dwoma fotelami. Na ścianie wisi plakat z kwiatem, na biurku stoi nowe zdjęcie Liwy i Toma, zdjęcie, którego Julia nie zna. Tom wygląda na nieco starszego, ze śladem siwizny na włosach, za to Liwy jest taka jak zawsze: cała w uśmiechach, pełna wigoru, beztroska. Żadnych niespodzianek.

— Julia?

Julia odwraca się w stronę drzwi.

— Liwy. — Ścisła mocno pasek torby, aż skóra na knykciach zbielała, napięła się. Patrzenie na siostrę z tak bliska przyprawia ją o zawrót głowy. Właściwie chciała się widzieć z Edie Gallagher, autorką artykułu, ale ku własnemu zdumieniu spytała recepcjonistkę o gabinet Liwy.

Gdy Mark niechętnie pokazał jej gazetę, dopiero po dłuższej chwili dotarło do niej, że reporterką jest kobieta, która była wtedy w salonie Madeline. Teraz wszystko nabierało sensu, te pytania, to natręctwo... Czy nie powinna ujawnić, że jest dziennikarką, nie powinna spytać o pozwolenie użycia w gazecie nazwiska Julii?

Postanowiła pójść do redakcji, żeby porozmawiać z Edie, dać jej do zrozumienia, że nie podoba jej się, iż zrobiono z niej kozła ofiarnego. Miała dość ludzi wytykających ją palcami, a teraz jest dodatkowy powód, żeby szeptać za jej plecami. Mark przyznał jej rację, chociaż wydawał się raczej rozbawiony jej wybuchem, narzekaniem na brak prywatności, wytykaniem niewrażliwości ludziom, przecież powinni być mądrzejsi.

— Do boju, tygrysie — powiedział. Julia zamilkła i roześmiała się. Po kilku latach przerwy znów wsiadła na swojego konika i podobało jej się to. Na ustach Marka błąkał się uśmiech. — Rany, współczuję tej dziennikarce.

Ciskała gromy jeszcze przez parę minut, gdy zbierała swoje rzeczy. Niemal cieszyła się z czekającej ją konfrontacji. A gdy otworzyła drzwi wyjściowe, ujrzała schody zasypane anonimowymi torebkami zakwasu.

Mark stanął za nią oszołomiony.

— Co do...

— To pewnie coś w rodzaju obraźliwych listów. — Zebrał wszystkie torebki i wyrzucił do śmieci. Wyglądało na marnotrawstwo, jednak zwrócił Julii uwagę, że nie mogą być pewni, ani co jest w torebkach, ani ile dni mają zakwasy. No i z pewnością nie był to gest przyjaźni.

— Może zaczną strzelać zakwasem zza rogu? — Julia wyobraziła sobie pistolety na wodę wypełnione zakwasem i wycelowane w ich dom.

Mark rzucił jej ponure spojrzenie.

— To wcale nie jest śmieszne. — Chyba był zły. Jedna z torebek otworzyła się i zakwas wyciekł mu na rękę.

— Obrzydlistwo.

Mimo wszystko parsknęła śmiechem. Przecież to tylko zakwas. Nie rozprzestrzenia ptasiej grypy.

Madeline i Hannah zadzwoniły do niej, dając wyraz swojemu oburzeniu; Madeline powiedziała, że zarówno w salonie, jak i w pokoju herbacianym tłoczyły się rozwścieczone kobiety, grożące skargą na „Gazette”. Madeline i Connie musiały ułagodzić je proteinami („Na szczęście miałam w zapasie kilka kiszy...”), dopiero wtedy trochę się uspokoiły.

A teraz Julia stoi w gabinecie Liwy; nie bardzo wie, po co tu przyszła, nie ma pojęcia, co powiedzieć.

Liwy oblizuje wargi i wchodzi szybko do gabinetu. Ma drobne zmarszczki w kącikach oczu, kilka piegów na policzkach. Zawsze była wrażliwa na słońce

i wiecznie zapominała o kremie. Julia ma ochotę pouczyć ją, jak za starych czasów, ale Liwy nie jest już dzieckiem, a Julia nie ma już prawa narzucać jej czegokolwiek.

— Ładnie wyglądasz — mówi i naprawdę tak uważa. Siostra zawsze umiała się ubrać, odpowiednio dobrać rzeczy. Teraz ma na sobie błękitną koszulę, luźne spodnie i buty na obcasach, na rękę masywną bransoletkę. Wygląda jak profesjonalistka i, tak jak powiedział Mark, sprawia wrażenie dojrzszej. Falujące jasne włosy były teraz proste, spadały na ramiona. Julia patrzy na nią i powstrzymuje się, żeby nie podejść bliżej.

— Dzięki, ty też. — Liwy nie podnosi wzroku. — Obcięłaś włosy.

Julia dotyka loków, nie może się do nich przyzwyczaić.

— Tak... Wiesz, zdecydowałam się w jednej chwili.

— Do twarzy ci. — Liwy siada przy biurku, przesuwa jakieś papiery. Jest podenerwowana, unika kontaktu wzrokowego.

Julia wciąż stoi w drzwiach. Żałuje, że nie zaplanowała lepiej tego spotkania. Za każdym razem, gdy wyobrażała sobie tę konfrontację, widziała kolejne wybuchy emocji, oskarżenia, przeprosiny, znów oskarżenia... Nie spodziewała się, że będzie czuć coś zupełnie innego, ciepło i smutek, i rozpaczliwą tęsknotę, że będzie chciała wybuchnąć płaczem i wyciągnąć rękę do Liwy.

Ale Liwy nie patrzy na siostrę, jest skrepowana. Julia nie wie, co powiedzieć.

— Dzięki, że zajęłaś się wtedy Gracie. Świetnie się bawiła — mówi.

— Taak... Nie wiedziałam, że wiesz. Ja tylko... Wyglądało, że Mark miał problem...

— Wiem, wszystko się wyjaśniło. Dzięki. — Jest zdumiona, że nic nie wygląda tak, jak myślała. Jej gniew ulotnił się szybko, niemal czuła rozczarowanie. — To znaczy, początkowo byłam zaskoczona, ale...

— Czemu tu przyszłaś? — Liwy patrzy na nią nieruchomym, niespokojnym wzrokiem.

Julia chrząka, poprawia pasek torby.

— Widzisz, dzisiaj pojawił się ten artykuł...

— Nie miałam z tym nic wspólnego. — W jej głosie jest moc i ostrość, których Julia nigdy przedtem nie słyszała. — Pomagałam przy zbieraniu informacji, ale nie miałam pojęcia, że Edie z tobą rozmawiała. Jestem w dziale reklamy, nie w redakcji. — Przesłanie Liwy jest jasne: to nie moja wina.

Julia nagle czuje zmęczenie, częściowo z powodu torby, wypełnionej Bóg wie czym. Wkłada do niej różne rzeczy, a potem zapomina wyjąć. Ma wrażenie, że teraz torba waży tonę. Kładzie ją na fotelu i siada na podłogę — kietniku, wzdycha z ulgą.

— Wiem. Tak właściwie nie ma o czym mówić, szkoda tylko, że umieścili

moje nazwisko.

— No właśnie. Już nawrzeszczałam na Edie.

— Naprawdę? — Uśmiecha się nikle. Z jednej strony nie spodziewała się tego, z drugiej, nie jest zaskoczona.

Liwy kiwa głową, nie podnosząc wzroku.

— Edie nie powinna była tego zrobić. Ale jest reporterem i po prostu zdaje relację, w każdym razie tak brzmi jej wytłumaczenie; zdrapuje coś z klawiatury, brwi ma zmarszczone.

Przez chwilę Julia czuje się dziwnie, jakby patrzyła na siebie z boku, patrzyła, jak próbuje porozmawiać z Liwy. Ale ona nie wygląda, jakby była zainteresowana rozmową z nią, a tego Julia się nie spodziewała, nie przypuszczała nawet, że coś takiego będzie kiedykolwiek możliwe. Jest na odwrót, niż było zazwyczaj: to Julia rozpaczliwie pragnie, żeby Liwy ją dostrzegła, powiedziała, że wszystko w porządku. Cała furia, z którą tu przyszła, przekształciła się w żal do Liwy, tak delikatny i kruchy jak świeży lód na stawie. Nie wie już, co powiedzieć, boi się poruszyć, żeby czegoś nie zepsuć.

Liwy przygląda się podejrzliwie siostrze. Przez pięć lat robiła wszystko, żeby schodzić Julii z drogi, żeby dać jej ten dystans, którego tak bardzo pragnęła. Przez pięć długich lat Liwy błagała, modliła się o jakiś znak, który pozwoliłby jej wrócić do życia Julii.

Ale nie było nic. Julia odkładała słuchawkę, gdy Liwy dzwoniła, nie otwierała drzwi, gdy pukała; listy wracały nieotwarte. Gdy spotykały się przypadkowo w sklepie czy na poczcie, odwracała się na pięcie i wychodziła, zostawiając Liwy pod ostrzałem pełnych dezaprobaty spojrzeń.

Były chwile, gdy nie radziła sobie z tą samotnością. Nie raz i nie dwa parkowała w pobliżu szkoły Gracie, żeby popatrzeć, jak Julia odbiera córkę, poprzyglądać się siostrze i siostrzenicy. Zrobiłaby wszystko, żeby zmniejszyć tę przepaść między nimi. Wszystko.

A teraz nie była już taka pewna. Może zbyt wiele się wydarzyło? Julia chciała ją ukarać i Liwy czuje się ukarana, doświadczyła tych wszystkich okropnych rzeczy, które Julia chciała, by doświadczyła. Przeplakała niezliczone noce, schudła, wypadały jej włosy, straciła pewność siebie. Tom proponował, żeby się przeprowadzili, ale Liwy nie chciała, nie miała zamiaru uciekać przed tym, na co zasłużyła.

Ale dziś, patrząc na swoją siostrę, myśli: Zapłaciłam już, Julio. Nie mówię tego, ale ma wrażenie, że Julia też to czuje. Liwy nie wie, skąd to uczucie, nie ma pojęcia, jak można zmierzyć coś takiego. Ale wie jedno: to już koniec.

Julia dotyka paska torby.

— I co u ciebie?

Czyżby zwlekała z odejściem? Liwy wzrusza ramionami. Nie rozumie,

czemu siostra ją pyta i jednocześnie pragnie wyrzucić z siebie najnowszą nowinę, powiedzieć, że jest w ciąży. Lekarz wyznaczył jej termin na ósmego stycznia. Podobno mówienie innym o ciąży przed upływem pierwszego trymestru może przynieść pecha, ale ciężko jej się powstrzymać. Gdy okazało się, że ciąża Edie jest bardziej zaawansowana, Liwy zazdrościła jej, że pierwsza urodzi dziecko, choć może to głupie. Ona sama boi się, że coś może pójść źle, chciałyby, żeby dziecko urodziło się jak najprędzej, zdrowe i szczęśliwe.

Chciałyby powiedzieć o tym wszystkim Julii, ale mówi tylko:

— W porządku.

— A Tom? Dobrze wygląda na zdjęciu. — Julia pokazuje oprawioną fotografię na biurku Liwy.

— Och, tak. Zrobiliśmy je w zeszłym roku. Dziesiąta rocznica.

— To już dziesięć lat? Przepraszam, że ją przegapiłam.

A niby co chciała zrobić, wysłać kartkę? Liwy wzrusza ramionami.

— Po prostu poszliśmy na kolację. — Bardzo drogą kolację z bardzo drogim szampanem, na którą teraz już by nie poszła. Kolacja w salonie byłaby tak samo miła, może nawet bardziej romantyczna.

Julia wygląda, jakby walczyła ze sobą, by coś powiedzieć. Liwy patrzy na starą płócienną torbę na krześle; wygląda, jakby była wypchana książkami z biblioteki albo ceglami. Jest wypłowiała i znoszona, ale Liwy nagle ją rozpoznaje.

— To jest torba, którą kupiliśmy w Evanston? — pyta.

— W latarni morskiej?

Julia spogląda na torbę, jakby widziała ją po raz pierwszy w życiu.

— Chyba tak.

Liwy wpadła na pomysł, by tam pojechać. Josh skończył osiem lat, a właśnie od ośmiu lat można było wejść do latarni Grosse Point. Pomyślała, że powinno mu się spodobać, więc zaproponowała tę wycieczkę — ona, Julia i Josh. Mężowie musieli iść do pracy, więc przekonała Julię, żeby pozwoliła Joshowi nie pójść tego dnia do szkoły w ramach spóźnionego prezentu urodzinowego. Liwy obiecała prowadzić całą drogę i zabrać ich na lunch do Merle's Smokehouse, gdzie miał czekać urodzinowy tort niespodzianka.

Josh naliczył sto czterdzieści jeden schodków prowadzących na szczyt latarni, a potem gapił się na jezioro Michigan.

— „Zbudowana w 1873 roku” — przeczytał. Odwrócił się do Liwy i Julii, podekscytowany. — To znaczy, że ma prawie sto dwadzieścia osiem lat! — Był rok dwa tysiące pierwszy.

Zaskoczył je, matematyka nie była jego mocną stroną. A tu proszę, wykonał obliczenie, gdy czytali o historii latarni morskiej, wytyczeniu terenu, o tym, kiedy zaczęła się budowa, o latach służby różnych latarników.

Gdy już wyszli, Liwy kupiła każdemu pamiątkę od obnośnego sprzedawcy: magnes dla siebie, latarnię w kuli ze śniegiem dla Josha i wielką torbę na ramię z pionowymi niebieskimi paskami dla Julii.

— Jak myślisz, będziesz wreszcie miała dość miejsca na wszystkie swoje rzeczy? — zażartowała Liwy, płacąc.

— Nie ma nic złego w odrobinie więcej miejsca — powiedziała obronnie Julia, której torba się spodobała.

— Będziemy mogli ją zabrać na następne wycieczki, prawda, Josh? Może odwiedzimy inne latarnie nad jeziorem? — Było ich sto szesnaście.

Josh wyrzucił ręce w górę.

— I znów będę mógł nie iść do szkoły?

Julia roześmiała się.

— Zobaczmy.

— Ja też mogę pojechać? — spytała Liwy, odrobinę zaniepokojona, że mogliby jej nie zabrać. Przecież to był jej pomysł!

— Oczywiście! — Julia objęła Liwy ramieniem, przytuliła. Zajrzała jej w oczy, zniżyła głos, żeby Josh nie słyszał. — Dziękuję ci, Liwy. — Na jej twarzy malowała się wdzięczność.

Siostra zarumieniła się z radości, zadowolona, że wymyśliła coś fajnego i miłego. Jednak nigdy nie mieli okazji powtórzyć takiej wycieczki, wszyscy byli zajęci, a Liwy musiała pójść do pracy.

Wpatruje się w torbę, zastanawiając się, co Julia może mieć w środku i dlaczego ciągle ją nosi. Dawna Julia pozbyłaby się jej już dawno.

— Chcesz, żebym porozmawiała z Edie o tym artykule?

— Co? Nie, właściwie to nic ważnego. — Julia trze smugę na brzegu biurka i wzrusza ramionami. — Nic się nie stało. Miałam dużo frajdy, piekąc ten chleb. Kto by przypuszczał?

— Tak. — Liwy myśli o tym, co Edie powiedziała o jej siostrze — że ona rozpoczęła to szaleństwo. Była pewna, że Julia by tego nie zrobiła, a teraz, widząc ją z nedorzeczną torbą, nie ma już takiej pewności. — Nie sądzisz, iż to zastanawiające, że byłaś pierwszą osobą w Avalo— nie, która zrobiła ten chleb przyjaźni?

Julia wygląda na zaskoczoną.

— Nie. Jak mogłam być pierwsza?

— No wiesz, wygląda na to, że nikt przed tobą tego nie robił.

— A jednak ktoś musiał, skoro dał mi chleb i zakwas. Właśnie w tym rzecz, żeby chleb krążył.

Liwy nie jest przekonana.

— Ale nie wydaje ci się to dziwne?

— Czemu? Ktokolwiek mi go dał, po prostu chciał być miły.

— Ale kto to był? — Właściwie powinna sobie odpuścić, ale nie może. Chce wiedzieć. — Czy ktoś o tym wspomniał? No wiesz, coś w rodzaju: „Hej, znalazłaś ten chleb przyjaźni, który zostawiłem na ganku?”

Julia sztywnieje.

— Nie.

— Ale dlaczego? Nie byłaś ani trochę ciekawa? Mnie by to zainteresowało, wypytywałabym wszystkich, chciałabym wiedzieć! Nie próbowałaś się dowiedzieć? Nie pytałaś sąsiadów?

Julia podnosi torbę i wiesz ją na ramieniu. Patrzy na siostrę, ta otwartość, z którą weszła do gabinetu, zniknęła.

— Nie, przecież to nieważne. To nie jest wiadomość dnia, Liwy. Tylko chleb przyjaźni. Możesz przekazać to swojej przyjaciółce reporterce.

Liwy otwiera usta.

— No wiesz, to jakby nie ma sensu. — Brzmi to głupio, niezręcznie, nawet dla niej samej.

Julia idzie szybko do drzwi, przystaje i mówi cicho:

— Powinnaś wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, że już dawno przestałam doszukiwać się sensu w życiu.

Liwy żałuje swoich słów. Julia ma rację, to rzeczywiście tylko chleb.

— Julio, zaczekaj! Przepraszam!

Julia odwraca się i przez chwilę w jej oczach widać żal.

— Wiem. Ja też. — A potem wychodzi z gabinetu.

Madeline robi placek z nadzieniem brzoskwiowym. Wrzuca kawałki masła, posypuje wierzch brązowym cukrem, starannie przykrywa folią aluminiową i wsuwa do piekarnika.

— Trzydzieści pięć minut? — Connie trzyma w ręku minutnik, śmiesznego małego kurczaczka, którego Madeline kupiła na wyprzedaży garażowej.

Madeline kiwa głową.

— Folię zdejmujemy za dwadzieścia minut. — Zaczyna ścierać blat.

— Ja to zrobię. — Connie odkłada nastawiony minutnik, bierze ściereczkę od Madeline, szybko i zręcznie ściera blat, zgarniając okruchy na dłoń. Wytrzepuje ściereczkę do zlewu, płucze ją i wiesz ją, żeby wyschła. — Co jeszcze powinnam zrobić przed otwarciem? — Jej oczy błyszczą, jest tak pełna energii, że Madeline aż jej zazdrości.

Zabawne... Nigdy nie łaknęła młodości tak, jak niektóre kobiety. W Kalifornii naoglądała się takich przypadków do woli. Na północy, gdzie ludzie uprawiali jogę, pila— tes, wspinaczkę, kajakarstwo — by utrzymać ciało w formie; i na południu, gdzie skalpel chirurga plastycznego zręcznie usuwał cellulit i zwiotczałą skórę pod pachami. Madeline nie miała nic przeciwko siwiźnie czy

zmarszczkom, nie przeszkadzał jej nawet słabnący wzrok, ale tęskniła za energią, której młodzi ludzie tak często nie doceniają, uważając za coś oczywistego. Gdy zaczniesz ją doceniać, okaże się, że twój czas minął, że oto siedzisz przy kuchennym stole, patrząc, jak ktoś ponad połowę młodszy od ciebie wykonuje całą robotę.

— Zastanówmy się. — Madeline zmusza mózg do wysiłku. Czasem tęskni za tymi pierwszymi miesiącami, gdy ruch był niewielki. Miała mnóstwo czasu na odpoczynek i myślenie, nawet na czytanie. Gotowała bez pośpiechu, mogła sobie pozwolić na nakładanie hojnych porcji. Teraz codziennie pojawia się ryzyko, że pod koniec dnia zabraknie im jedzenia. Dała Connie podwyżkę i zatrudniła ją na cały etat, rozmawiały nawet o tym, żeby wziąć kogoś do pomocy Madeline w kuchni.

— Zdaje się, że kończą nam się jajka, należałoby zadzwonić do Ollie'go i spytać, czy może przywieźć kilka opakowań. Jeśli nie, kupimy w sklepie. Trzeba wypielić grządki z ziołami za domem...

— Robiłam to wczoraj, w czasie przerwy, prawie skończyłam.

— Connie — mówi Madeline z wyrzutem, choć w duchu jest zadowolona, uwielbia inicjatywę i bystrość Connie. — Następnym razem powiedz mi o tym. W czasie przerwy powinnaś odpocząć, i tak robisz bardzo dużo.

— To żaden problem, Madeline, naprawdę — bagatelizuje Connie. — Co jeszcze?

Madeline zapala światło przy wejściu do spiżarni i przegląda półki.

— Zdaje się, że jednak trzeba będzie pójść do sklepu. Kończy się olej rzepakowy i mus jabłkowy. Aha, i trzeba zanieść na pocztę te dwie paczki w przedpokoju. Już są zaklejone i zaadresowane.

— Olej, mus i jajka, jeśli Ollie nie ma. — Connie wyjmuje mały notes z tylnej kieszeni i przekręca kartkę. Upiera się, żeby spisywać listy zakupów, dzięki temu mogą prześledzić, ile wydają. Testowała też różne programy do księgowości i usiłuje przekonać Madeline do zainwestowania w ten, który uwzględniłby ich rachunki przy płaceniu kartą kredytową, ale Madeline wątpi, czy to jest warte zachodu. — Zniosłam paczki już wczoraj, w drodze do domu.

Madeline uśmiecha się, wyjmuje dużą torbę płatków czekoladowych, gorzkich.

— Jak widać, umiesz czytać w myślach. Dziękuję, Connie.

— Nie ma za co. Aha, i wysłałam też ten list.

Madeline rozrywa torbę, na podłogę spada deszcz płatków.

— Jaki list?

Connie już sprząta na kolanach.

— Ten, który leżał na stole w salonie, obok starego pudełka na materiały piśmiennicze, które pani Ramirez oglądała wczoraj. Powiedziała, że jeśli

kiedykolwiek będzie pani chciała je sprzedać, ona chętnie kupi.

Madeline nagle zrobiło się zimno, jak wtedy, gdy brała prysznic w czasie pobytu w odizolowanym, pustelnicznym miasteczku Bolinas i wyłączono gorącą wodę.

— Czy był zaadresowany do Beniamina Dunna?

— Nie wiem, chyba tak. W Pensylwanii?

Madeline opada ciężko na najbliższe krzesło. Ukrywa twarz w dłoniach. Serce jej wali jak młotem.

— Nie powinnam... Stało się coś złego? — Connie wrzuca płatki do kosza i podbiega do Madeline. — Ale ze mnie idiotka! Powinnam była najpierw panią zapytać! Pomyślałam, że położyła go tam pani przez pomyłkę...

Madeline trzymała list w orzechowym pudełku, a w salonie robił się coraz większy ruch. Nie pomyślała, żeby go stamtąd zabrać i położyć w bezpiecznym miejscu. Widocznie pani Ramirez wyjęła go, gdy oglądała pudełko.

Dziewczyna nie przestaje się oskarżać, Madeline kładzie rękę na jej ramieniu.

— Connie, wszystko w porządku. Powinnam była położyć go gdzie indziej, po prostu nie pomyślałam.

— Czy to może być problem? Jeśli tak, wezmę na siebie całą odpowiedzialność. Powiem, że to była moja wina. — Powstrzymuje łzy.

Madeline patrzy ze współczuciem na tę słodką, młodą kobietę. Gładzi nastroszone włosy Connie. Wyglądałaby naprawdę ładnie, gdyby miała inną fryzurę, zmieniła styl ubierania i zrobiła delikatny makijaż. Niemal nie rozmawiały o jej rodzinie — Madeline czuje, że to delikatna sprawa, nie chce naciskać. Connie ciężko pracuje, żeby odnieść sukces, woli patrzeć przed siebie, niż oglądać się wstecz. Może Madeline powinna zrobić to samo?

— To nie jest niczyja wina — zapewnia ją Madeline.

A więc list jest w drodze do Bena. Ciekawe...

Nie wpada w panikę, teraz jest pełna nadziei. Może Ben zadzwoni? Może spotkają się gdzieś, w Chicago czy Filadelfii? W razie konieczności jest gotowa do niego polecieć. Jeśli będzie potrzebował pomocy, chętnie mu pomoże. Może będzie chciał przyjechać do Avalonu i zobaczyć jej herbaciarnię? Pewnie nie pije herbaty, ale co tam, są tu też inne miejsca, gdzie mogliby pójść.

— Mam coś jeszcze zrobić, Madeline? Nigdy więcej nie zrobię nic bez porozumienia z panią. — Connie bardzo się tym przejęła. — Jestem taka głupia!

— Nie bądź śmieszna — mówi Madeline. — Wręcz przeciwnie, uważam, że jesteś najbystrzejszą dziewczyną, jaką znam. Gdybym miała obstawiać jedną z nas, postawiłabym na ciebie. A teraz mam zamiar zrobić ciasteczka z podwójną ilością płatków czekoladowych. Chcesz mi pomóc? Świetnie. W takim razie bierzmy się do pracy.

Oma Frank, lat 68, recepcjonistka na pół etatu w gabinecie dentystycznym

Oma Frank nigdy nie wierzyła, że coś dzieje się z jakiegoś powodu. Według niej były tylko szczęście, pech, i niewiele pomiędzy nimi.

Jej mąż, Norman, miał odwrotne podejście. Będąc emerytowanym nauczycielem, wierzył, że każda akcja i reakcja ma jakąś przyczynę. Często rozmawiali przy obiedzie, porównując wiadomości i strzępy plotek z mijającego dnia.

Oma: Biedna Maureen Nyer właśnie straciła pracę w salonie fryzjerskim. To prawdziwa tragedia, że gospodarka pozbawia pracy porządnych ludzi, a my płacimy za to jako państwo. Co za nieszczęście!

Norman: Czy Maureen nie planowała i tak rzucić tej pracy? Przypominam sobie, że chciała mieć więcej czasu na szydełkowanie. Mówiłaś, że robi najpiękniejsze afgany i śliniaczki w całym hrabstwie. No to teraz przynajmniej będzie miała czas, żeby zrealizować kilka projektów, może nawet trochę na tym zarobić? Szczęściara!

Albo:

Oma: Mają wyrwać wszystkie zęby panu Gołbertowi. Ma poważną chorobę przyzębia. Doktor Tindell prosił, żebym przekazała mu tę straszną wiadomość. Biedny człowiek, aż miał łzy w oczach.

Norman: Wielka szkoda... Miejmy nadzieję, że dopasują mu odpowiednie, wygodne protezy, wtedy dziąsła będą miały szansę na wyleczenie. Zdrowe dziąsła to podstawa. Dobrze, że doktor Tindell w porę to zauważył!

I tak mniej więcej wyglądały ich rozmowy. Oma nie miała nic przeciwko temu, dzięki takiemu podejściu ich małżeństwo żyło. W tym roku będą obchodzić czterdziestą piątą rocznicę. I to jest prawdziwe szczęście.

Za to gdy Oma patrzy na pięć torebek zakwasu, podrzuconych przez jakiegoś życzliwego sąsiada, myśli: a to dopiero pech.

Oczywiście Norman jest szczęśliwy.

— Znowu chleb przyjaźni! — Uwielbia go, szczególnie kawowe ciasto, które ona robi z kruszonką i serem śmietankowym.

Oma bierze torebki, wchodzi do domu, wrzuca zakwas do zamrażarki i z trzaskiem zamyka drzwi.

— Normanie, nie mam zamiaru już piec!

— Och, daj spokój, Oma... Robisz najlepszy chleb przyjaźni, jaki kiedykolwiek jadłem! Naprawdę! — Bierze żonę w objęcia. — Jest niemal tak

wspaniały jak ty — trąca nosem jej szyję.

Oma uwielbia, że Norman wciąż jest uwodzicielski, chociaż nigdy by się do tego nie przyznała.

— Normanie Frank, przestań natychmiast! — Udaje, że chce mu się wyrwać. Otwiera zamrażalnik i wyjmuje jeden zimny już zakwas. — No dobrze. Zrobię z jednej torebki, wyjdą z tego dwa bochenki.

— Tylko dwa? — Norman jest rozczarowany. — Skończą się przed weekendem. Nie możesz zrobić więcej?

— Normanie Frank... — W jej głosie dźwięczy ostrzeżenie.

— O, dwa to będzie cudownie, kochanie. — Włącza telewizor, żeby obejrzeć poranne wiadomości.

Oma ścisza torebkę i wylewa zawartość na stolnicę.

— Wiesz, ludzie mówią, że to wszystko zaczęło się od tej kobiety, której syna zabiły pszczoły?

Norman wykręca szyję.

— Chodzi ci o chłopaka Evarstów?

— Tak. Tak właśnie ludzie mówią. Wszystkie drogi prowadzą do niej. O, miałam chęć wziąć te torebki i położyć jej na schodach! — Słyszała, że niektórzy tak robili i chociaż tego nie pochwała, czuła, że sprawiłoby jej to satysfakcję.

Norman wyłącza telewizor, odchyła się ciężko na krzesło. Nigdy nie zapomni tamtego dnia.

— To nie były pszczoły.

Oma sprawdza spiżarkę, sporządza listę zakupów.

— Co?

— To nie były pszczoły, tylko osa. — Przejeżdżał tamtędy, gdy zobaczył skurczonego chłopca leżącego na trawniku przed domem. Gdy do niego dobiegł, osa dawno już odleciała; chłopiec nie mógł mówić i nie wiadomo było, co się stało, dopóki jego ciotka nie wyszła z domu. Gdyby wiedzieli wcześniej, może wszystko potoczyłoby się inaczej.

Kręci głową i wzdycha.

— Wielka szkoda — mówi cicho Oma; widzi, że jej mąż jest zgnębiony. — Miał dziesięć lat, prawda?

Norman potakuje głową. Nie mają własnych dzieci (jest jakiś problem z jajnikami Omy), ale gdyby miał wnuka, chciałby, żeby był taki jak chłopak Evarstów. Wpatrywał się w zdjęcie na nabożeństwie żałobnym, chłopiec wyglądał zupełnie inaczej niż wtedy, gdy leżał u jego stóp. Norman czuł taką bezradność, tak bardzo żałował, że nie zjawił się chwilę wcześniej, chociaż, co jeszcze mógłby wtedy zrobić?

Oma przegląda swoją listę. Więcej mąki, cukru, serka śmietankowego.

I chyba jeszcze jeden słoiczek cynamonu. Odwraca się, żeby popatrzeć na Normana. Jej mąż był smutny. I stary. Nigdy dotąd nie uważała, że są starzy, ale teraz nagle dociera do niej, jak on wygląda.

Staro.

Śmierć chłopaka Evartsów pięć lat temu wstrząsnęła Normanem. Ale nadal trzymał się swojej opinii, że jest w tym boski zamysł, który ujawni się w przyszłości.

Jak na razie nic takiego się nie działo. Ale Oma nic nie mówiła.

Jeszcze raz sprawdza składniki. Jest doświadczoną kucharką, wie dokładnie, jakich składników i w jakiej ilości potrzebuje. Czemu w takim razie znowu przegląda swoją listę?

Już rozumie. Wykreśla stare ilości i powoli zapisuje nowe. A potem podchodzi do zamrażarki, żeby wyjąć pozostałe zakwasy chleba przyjaźni amiszów.

Rozdział 20

Patrząc na Avalon na mapie, można zobaczyć, że miasteczko leży nad rzeką Leaf, dopływem rzeki Rock, która stanowi część działu wodnego Missisipi. Nagłe powodzie i długotrwałe ulewne deszcze są bardzo częste na północy stanu Illinois, burze i zalania są częstym zjawiskiem w Avalonie. Wielu mieszkańców doskonale pamięta powódź z tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego szóstego roku, gdy rzeka przerwała pięciometrowe wały, zalewając okoliczne tereny. Gubernator ogłosił hrabstwo obszarem klęski żywiołowej, wysoki poziom wód przez dwa tygodnie uniemożliwiał uczniom chodzenie do szkoły. Teraz znów podnoszący się poziom wody zagraża miasteczku. Intensywne deszcze nękały okoliczne hrabstwa, gwałtowne wiatry wyrzywały drzewa i łamały konary, pozbawiając wiele domów elektryczności.

Mark patrzył na okno w salonie. Deszcz spływał po szybie niczym wodospad, trawnika i drogi prawie nie widać.

To się nazywa pech — mieli się dzisiaj spotkać z Brunonem Lemelinem.

Julia zaniósła na górę plastikowe miski, w łazience na górze przecieka sufit. Gracie biwakuje przed telewizorem w śpiworze, Julia wyjęła cały sprzęt campingowy, tak na wszelki wypadek.

Dzwoni komórka. To Vivian.

— Dlaczego biuro jest zamknięte? — pyta z pretensją.

— Nikogo nie ma.

— Dzwoniliśmy do wszystkich dzisiaj rano, prosząc, żeby zostali w domu.

— On i Victor podjęli tę decyzję

świecie, gdy stało się jasne, że zaczyna zalewać drogi.

— Dorothy do ciebie nie dzwoniła?

— Dzwoniła, ale myślałam, że to opcjonalne.

— Lepiej wracaj do domu i nie wychodź. Właśnie miałem dzwonić do Lemelina, żeby przełożyć spotkanie.

— Przełożyć?! Mark, harowałam przez ostatnie trzy tygodnie, nie możesz tego po prostu wyrzucić do kosza! Wiesz, że rozmawiał z innymi firmami?

Mark wie, wszak nie tylko Vivian pracowała po godzinach.

— Wiem, ale nikt nie powinien być na zewnątrz w taką pogodę. Nie sądzę, żeby Lemelin przyjechał.

— O, on na pewno przyjedzie. — W jej głosie brzmiał zły śmiech. — Tacy jak on nie rezygnują tak łatwo.

od innych oczekują tego samego. — Przesłanie Vivian jest jasne: jeśli Mark w ogóle ma jaja, powinien ruszać do Chicago i do diabła z pogodą.

Znowu wyjrzał przez okno. Niebo stalowe, niespokojne. Szlag.

— Czekaj, zadzwonię do Lemelina — mówi. — A ty wracaj do domu.

— Vivian jeszcze protestuje, ale Mark żegna się i rozłącza.

Dzwoni do Lemelina, ale od razu włącza się poczta głosowa. No jasne. Tylko szalenie wyszedłby z domu w taką pogodę. Zostawia wiadomość, prosząc, żeby Le— melin zadzwonił, gdy tylko będzie mógł.

Rozlega się huk grzmotu, światło przygasa, Gracie piszczy przenikliwie. Julia już do niej biegnie, ale dziewczynka jest bardziej podekscytowana niż wystraszona.

— Powinam była zrobić wczoraj zakupy — mówi Julia nad głową Gracie. — Myślałam o tym, ale nie zrobiłam. Nie mamy żadnych zapasów.

— Nie będzie tak źle — pocieszył ją Mark. — Chodź, isquierko, rozejrzemy się. — Wziął Gracie na rękę.

Przeszli do kuchni. Mark posadził Gracie na bufecie i robi przegląd szafek. Julia miała rację, nie ma tu zbyt wiele. Jeśli pogoda utrzyma się albo jeszcze pogorszy, mogą mieć problem.

Gdy otworzył ostatnią szafkę, zaatakowała go chmara torebek z zakwasem; spadały na niego, zsuwały się na podłogę. Każda torebka miała inną datę wypisaną markerem, było ich co najmniej dwadzieścia.

— Przynajmniej mamy zapas chleba amiszów — żartował, próbując odłożyć torebki na miejsce. To wyłącznie zakwasy Julii; te, które ludzie wciąż podrzucają im na schody, Mark od razu wyrzuca. — Jeśli tylko będziemy mieć prąd, możesz wyżywić nas chlebem i muffinkami.

— Powinam wylać to wszystko do zlewu — przyznaje Julia, pomagając mu. Torebki stawiają opór, nie chcą leżeć jedna na drugiej, ześlizgują się. — Nie mam już komu dawać zakwasu, szczególnie od czasu artykułu — mówi sfrustrowana, podając torebkę Gracie, która od razu ściska ją z zapałem.

— Coś wymyślimy — uspokaja Mark. Wie, jak ważny jest dla Julii ten chleb przyjaźni, w ich rodzinie stał się niemal rytuałem. Ściskanie, pieczenie, dyskusje, co upiec tym razem... Gdyby ktoś go zapytał, poradziłby małżeństwu piec chleb przyjaźni zamiast chodzenia na terapię. — Po prostu musimy je zredukować. Chyba można je mrozić? — Podszedł do zamrażarki i otworzył ją. — O rany.

Julia stanęła za nim — jedną półkę wypełniały tylko torebki z zakwasami — i zamknęła zamrażarkę, kręcąc głową.

— Jak widać, jestem uzależniona od chleba przyjaźni. Powinni chyba wymyślić jakiś program dwunastu kroków.

Mark nie może powstrzymać śmiechu; Gracie chichocze. Nawet Julia uśmiecha się krzywo.

— Śmiejcicie się, śmiejcicie. — Podchodzi do szafki, sprawdza daty na kilku torebkach i bierze dwie. — Masz rację co do prądu. Może na wszelki wypadek od razu upiekę kilka bochenków.

— Mogę pomóc? — pyta Gracie.

— Oczywiście! — Julia uśmiecha się. — Tylko najpierw wyłącz telewizor. Mark pomaga Gracie zejść, dziewczynka wybiega z kuchni. Julia pyta nieśmiało:

— Nie chciałbyś pomóc?

Mark bardzo by chciał, ale w tym momencie dzwoni jego telefon, na wyświetlaczu widać nazwisko Lemelina.

— Przepraszam, muszę to odebrać. Zaraz wracam.

— Julia wzrusza ramionami.

— Mark, przyjacielu! — zaczyna jowialnie Lemelin.

— Przepraszam, nie mogłem odebrać. Jak ci się podoba deszczyk?

Poufałość Lemelina dodaje Markowi otuchy. Przynajmniej Bruno wie, że pogoda jest fatalna.

— Dopóki mam elektryczność, nie jest źle.

— To samo mówię, to samo. Nie zamknąłem restauracji, przecież ludzie muszą jeść, prawda?

Prawda. Mark odchrząkuje.

— Dzwoniłem, żeby zapytać, czy moglibyśmy przenieść spotkanie na następny tydzień. Zaczyna zatapiać drogi.

— Naprawdę? Gdy rozmawiałem z Vivian, nic o tym nie mówiła.

Do licha, czy ten gość nie ogląda wiadomości, nie widzi, co się dzieje za oknem? Albo jest bezmyślny i beztroski, albo Chicago wywiało na Hawaje.

— Właśnie podjęliśmy decyzję.

— W ciągu ostatnich dziesięciu sekund? — pyta Lemelin ze śmiechem.

— Zabawne, przed chwilą z nią rozmawiałem.

— Przed chwilą? — Mark marszczy brwi.

— Niecałą minutę temu, dlatego nie odebrałem twojego telefonu. Powiedziała, że rozmawiała z tobą, ona już jedzie, ale ty możesz nie dotrzeć. Co jest grane, Evarts?

Evarts. Niedobrze.

— To jakaś pomyłka, Bruno. Wyjaśnię to z nią.

— Na pewno. Czyli co, widzimy się za chwilę? Zjemy coś dobrego, pogadamy o interesach...

To już nie propozycja, to żądanie. Lemelin wie, że Mark chce przenieść spotkanie, ale nie zamierza odpuścić mu bez walki, w każdym razie chce, żeby Mark poczuł się jak mięczak.

Może i jest mięczakiem. Może powinien wziąć byka za rogi i pojechać — a przynajmniej spróbować. Ale wystarczy jeden rzut oka na okno, by zrozumieć, że to byłoby szaleństwo.

— Dzięki, ale myślę, że jednak rozsądniej będzie przenieść spotkanie.

Może w przyszły wtorek o tej samej porze?

— Hm, przyszły wtorek... Dam ci znać, nie mam przed sobą kalendarza.

Lemelin się wycofuje, Mark czuje to. Znów patrzy w okno. Nawet jeśli ich nie zaleje, od Chicago dzielą Avalon dwa hrabstwa, a im bliżej miasta, tym gorsza pogoda, zawsze tak jest. Mark będzie odcięty od rodziny, Julia i Gracie zostaną tu same. Lemelin jest trzykrotnym rozwodnikiem, przesiaduje w swoich restauracjach, bo nie ma dokąd wrócić, nic nie straci.

— Słuchaj, chciałbym tam być — mówi Mark z udawanym żalem. Lemelin jest twardym facetem, ale ma słabość do Vivian i Mark próbuje zagrać na tej słabości.

— Pogoda jest fatalna i nikt nie powinien wychodzić z domu, zwłaszcza Vivian.

— Vivian... — Zapada cisza, tykanie zegara, potem krótki śmiech. — Nie kłopotz się o Vivian, stary. Ta dziewczyna potrafi o siebie zadbać. O nią bym

się nie martwił, za to ty... — Urywa, pozwalając Markowi dośpiewać sobie resztę.

Mark już ma sięgnąć po kolejną wymówkę, gdy nagle rozumie, że to nie ma sensu. Będzie bez końca nadskakiwał Lemelinowi, który ma gdzieś, czy Mark robi to swoim kosztem, czy kosztem swojej rodziny. Mark jest architektem i to cholernie dobrym, dał Lemelinowi masę świetnych pomysłów, które ten na pewno wykorzysta i nie chce dłużej w to inwestować. Nie zamierza być sługusem — nawet za cenę projektu życia.

— Jeśli chcesz spotkać się w przyszłym tygodniu, powiem Dorothy, żeby zadzwoniła do ciebie i ustaliła datę.

— Nie sądzę, żeby to było konieczne — odparł Lemelin obojętnie.

— W takim razie powodzenia, Bruno. — Mark rozłączył się.

Nie może uwierzyć, że właśnie odpuścił sobie projekt Lemelina. A potem myśli, że Vivian pewnie miała rację — i tak stracili go już jakiś czas temu. Niby liczyli, że uda im się skłonić Brunona do zmiany zdania, ale w głębi ducha wiedzieli, jak jest naprawdę. Po prostu łatwiej było oszukiwać się, że ciągle jeszcze jest szansa.

Wybrał numer Vivian, żeby przekazać jej tę nowinę. Będą mieli inne projekty, inne możliwości, mniej kłopotliwe i wyczerpujące.

— Hej — mówi Vivian pogodnie; w głosie słychać buzującą w niej kofeinę, adrenalina też robi swoje. — Jadę do Chicago, drogi wcale nie są takie złe.

Na razie. W przeciwieństwie do Vivian Mark wie, jak zaczyna się nagła powódź.

— Odwołałem spotkanie, Vivian.

— Co?! Przecież właśnie tam jadę, Mark! Będę za godzinę, najdalej za półtorej!

— Vivian...

— Mogę reprezentować Gunther & Evarts, wiem, co Bruno chce usłyszeć. Zdołam to załatwić, Mark. Mam wszystko przy sobie...

Zmarszczył brwi, nie rozumiejąc, co ona mówi.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Wszystkie plany ostateczny projekt oferty leżą u mnie. — Zerka na biurko, by się upewnić; tak jest, wszystko się zgadza.

Vivian wzdycha niecierpliwie.

— Słuchaj, nie gniewaj się, ale zrobiłam wczoraj kopię, chciałam pokazać jednej przyjaciółce. Dziewczyna ma niesamowite wyczucie koloru i podsunęła mi kilka świetnych pomysłów, jak dodać więcej ognia do palety kolorów poprzez pomarańczowy zamiast czerwonego. Początkowo się z tym nie zgadzałam, ale jeśli połączy się to z tymi niebieskimi odcieniami, które Bruno chce mieć przy wejściu...

— Vivian — przerwał jej Mark. — Nie możesz pokazywać naszych prac komuś spoza firmy, szczególnie na etapie projektu!

— Wiem, Mark, ale to była wyjątkowa sytuacja! Nie ma zamiaru mnie za to kasować, nikomu o tym nie wspomni. Znam ją od zawsze, jest profesjonalistką. No wiesz, pracuje dla Perkins Eastman...

— Perkins Eastman? — Markowi robi się zimno. Perkins Eastman to międzynarodowy moloch, projekty, nadzór, wystrój wnętrz i tak dalej. Grają w zupełnie innej lidze i Mark w zasadzie nie traktuje ich jak konkurencji, choć w tym biznesie właściwie każdy jest konkurencją. I chociaż nie podejrzewa, by chcieli zdobyć projekt Lemelina, nigdy nic nie wiadomo. Tak czy inaczej, doszło do poważnego konfliktu interesów i drastycznego naruszenia polityki firmy — Vivian nie powinna pokazywać projektu nikomu spoza ich biura, a już najmniej potencjalnej konkurencji. Mark jest wstrząśnięty, że mogła coś takiego zrobić, że nie przyszło jej do głowy... A może właśnie przyszło, tylko było jej wszystko jedno?

Zamknął oczy. Właśnie przed tym ostrzegał go Victor, że ambicje Vivian są większe niż jej pozycja w firmie. Nie jest współnikiem w G&E, nie jest nawet kierownikiem. Zauroczony jej intelektem nie patrzył obiektywnie, ale teraz już jest jasne, co się dzieje.

Vivian chyba wyczuła, że coś jest nie tak, bo powiedziała miękko:

— Mark, zrobiłam to dlatego, bo uważałam, że w tych okolicznościach będzie dobrze pogadać z kimś z branży, z kimś, kto ciągle ma do czynienia z takimi grubymi rybami, wie, czego oczekują tacy klienci jak Bruno. Nie chcę stracić tego projektu...

— Nie chcesz, żebyśmy my stracili ten projekt, to chciałaś powiedzieć? — Mark był czujny.

— Tak, my, jasne, jasne. Zawsze wiesz, o co mi chodzi.

— Śmieje się zakłopotana. — To bez znaczenia, grunt, że mam wszystko, czego potrzebujemy i jestem pewna, że zdołam zdobyć tę umowę — zdobyć ją dla nas — nawet jeśli nie przyjedziesz na spotkanie. Panuję nad wszystkim. Nic się nie stało.

— A jednak coś się stało, Vivian.

Zapada pełna napięcia cisza.

— Mark...

— Nie — oświadcza stanowczo. — Doceniam twój entuzjazm, Vivian, ale...

— Doceniasz mój entuzjazm? — mówi z pogardą, jej głos tężeje.

Mark zaciska zęby. Zwykle radzi sobie w takich sytuacjach, ale Vivian potrafi wyrzucić wszystko do góry nogami. Tamtego wieczoru w Chicago potrzebowała czterech godzin i porządnej kolacji, nim wytrzeźwiała. Przez cały dzień nic nie jadła, chodziła na najwyższych obrotach i w czasie kolacji Mark nasłuchiwał się o wszystkich jej nieszczęściach i lękach. Ale to mu nie przeszkadzało. Nawet podobało mu się, że Vivian się odłoniła, też okazała się wrażliwa. Ale jednocześnie zdał sobie sprawę, że jest spragniona miłości i sukcesu, a on nie mógł jej tego dać.

Tak, sam jest sobie winien, że dopuścił do takiego stanu rzeczy, że ich osobiste relacje przyćmiły fakt, że Vivian była jego podwładną. Ale złamała zasady i wszystko się zmieniło. Mark wie, co powiedziałyby Victor: nawet jeśli projekt Lemelina i tak był stracony, nie mogą mieć pewności, że Vivian nie zrobi czegoś podobnego w przyszłości. Nawet Mark nie jest tego pewien. Jest mu przykro z powodu tego, co będzie musiał zrobić, wie, że Vivian jedynie próbowała zaistnieć i żałuje, że nie zdołał jej pomóc.

— Vivian...

— Och, nie traktuj mnie w ten sposób, Mark. — Jej głos brzmi ostro, zjadliwie. — Nie jestem Julią, nie musisz mnie pocieszać. Niedobrze mi od tego twojego bycia miłym facetem!

Tego już za wiele. Jak mógł do tego dopuścić? Jego współczucie przeradza się w złość, głównie na siebie. Jak mógł nie zauważyć tego wcześniej? Tak czy inaczej, ma już dość tej szalonej jazdy. Koniec, wysiadka. I zgodnie z życzeniem Vivian nie będzie już dłużej miły.

— Vivian...

— Co?

— Zwalniam cię.

Godzinę zajmuje mu poinformowanie o swojej decyzji Victora i Dorothy, skontaktowanie się z firmą ochroniarską, która koduje ich klucze elektroniczne, żeby zablokowali dostęp Vivian do biura w trybie natychmiastowym. Dzwoni do Lemelina, żeby powiadomić go, iż Vivian nie pracuje już dla G&E i nie jest

upoważniona do prowadzenia rozmów w imieniu firmy, mówi mu również, że nie są dłużej zainteresowani prowadzeniem tego projektu. Dzwoni do pracownika HR, który sugeruje Markowi, żeby wszystko udokumentował, co zajmuje mu następną godzinę.

Bez względu na to, czy Vivian chciała mu zaimponować, czy wypromować siebie, przekroczyła dopuszczalne granice. Jest inteligenta, zdolna, utalentowana, ale musi znaleźć sobie inną firmę, taką, która będzie odpowiadać jej zaangażowaniu i ambicji — albo stworzyć własną. Mark nie wątpi, że jeszcze o niej usłyszą, ale cokolwiek Vivian zdecyduje się zrobić, nie będzie już pracowała dla Gunther & Evarts. Koniec, kropka.

Gdy Mark dołącza do swojej rodziny w kuchni, otula go ciepło buchające z piekarnika i zapach słodkiego cynamonu. Kilka bochenków już stygnie na kratkach, kolejna partia form jest gotowa do włożenia do piekarnika. Julia uśmiecha się, Gracie wrzuca rodzynki do miski. Mark zapomina o deszczu, o

Vivian, Lemelinie, o byciu najlepszym architektem na świecie i przyłącza się do żony i córki.

Rozdział 21

— Mam dla ciebie kilka paczek. — Jamie Linde staje na ganku w p łaścuzu przeciwdeszczowym z logo UPS. Woda spływa mu po twarzy, ale on się uśmiecha; serce Hannah trzepocze, jak zawsze na jego widok. — Mogę je przykryć folią, żeby nie zmokły albo podjechać pod ^A drzwi garażu.

„Paczek”, czyli liczba mnoga. Hannah usiłuje sobie przypomnieć, co zamawiała. Ostatnio robiła sporo zakupów przez internet — robot kuchenny, sokowirówka, grill na blat — i mnóstwo innych rzeczy do kuchni. Jej ulu—

bione to formy silikonowe. Uwielbiała te miękkie, elastyczne formy. Bochenki chleba przyjaźni wyslizgiwały się z nich, doskonale upieczone; mycie zajmowało tylko chwilę. Żeby wszystko w życiu było takie proste...

— Jak ci wygodniej — mówi. Ma wyrzuty sumienia, że Jamie musi pracować w taką pogodę. Na ulicy jest zaledwie kilka samochodów, wyje wiatr, zacina deszcz. Hannah wsuwa buty.

— Mogłabyś otworzyć drzwi od garażu? — Jamie patrzy na podjazd.
— Wniósłbym je od razu do środka.

— Ile jest tych paczek?

Jamie już wyszedł na deszcz.

— Z dziesięć.

Hannah idzie przez dom do garażu. Jamie już tam jest, furgonetka UPS niemal dotyka okapu. Bierze pierwsze pudło i wchodzi do środka, stawiając je przy drzwiach prowadzących do domu.

— Oto pierwsza.

Hannah patrzy na adresy nagryzmołone na wierzchu pudełka grubym markerem.

Nadawca: P de Brisay, 540 North State Street, #843, Chicago, IL 60610.

Odbiorca: Hannah Wang, 11248 First Avenue, Avalon 1161798.

Wpatruje się w pudło. Spodziewała się, że Philippe zaczeka do końca sezonu w czerwcu i dopiero wtedy zwróci jej rzeczy, ale jak widać to by było za

długo. No cóż, cały Philippe, kiedy już podejmie decyzję, nie czeka długo z realizacją. Tylko że... Hannah nie była przygotowana na to, że znów zobaczy swoje panięskie nazwisko, tak oddzielone, odłączone od jego. Niesamowite, że ktoś może cię odciąć od swojego życia jednym ruchem, zabierając swoje nazwisko.

Nie była Hannah Wang od lat, od chwili małżeństwa z Philippe'em. Ojciec sprzeciwiał się zmianie nazwiska, jej agent też, ale Hannah chciała je zmienić. Uwielbiała, gdy Philippe nucił „Hannah de Brisay, Hannah de Brisay” z dumą i radością. Niemal śpiewał to do każdego w pierwszej klasie, gdy lecieli na swój

miesiąc miodowy. Rozpierała go duma.

— Wszystko w porządku? — Jamie wnosił paczki różnej wielkości i kształtu, kartonowe pudła, które Philippe wziął pewnie z jakiegoś wielkiego sklepu.

Hannah pociągnęła kawałek taśmy, niedbale przyklejonej, utrzymującej brzegi pudełka. Oderwała się od razu, dziwne, że pudło nie rozpadło się w czasie transportu.

W środku jest kłębowisko jej rzeczy. Ubrania, książki, kosmetyki, wszystko razem. Niedomknięty szampon wylał się na to, nawet na kaszmirowy pled — Philippe dał jej na gwiazdkę — był mokry. Hannah próbuje zebrać szampon do butelki, ale poddaje się i wrzuca rzeczy z powrotem do pudła.

Jamie marszczy nos.

— Kurcze, ale bałagan. Ludzie czasem nie zwracają uwagi na to, jak pakują rzeczy, i robi się problem. Ale za to bardzo ładny zapach.

Hannah uśmiecha się do niego z wdzięcznością, wzruszona, że zauważył. Kupiła mleczno— różany szampon właśnie z powodu zapachu, ale Philippe nie zwrócił nawet uwagi.

— Dzięki, Jamie. Mam gdzieś podpisać?

— Nie. Nadawca nie wymagał potwierdzenia. Hannah czuje się dotknięta. Nie obchodziło go nawet, czy ona dostanie swoje rzeczy!

— Och, no cóż, dobrze. — Przygląda się innym pudłom, boi się je otworzyć. A może w ogóle powinna dać sobie spokój? Nie pamięta, co miała w mieszkaniu... Może byłoby lepiej po prostu przekazać to wszystko na cele charytatywne, nie patrząc...

— Hm. — Jamie rozgląda się po niemal pustym pomieszczeniu. Nie ma tu żadnych narzędzi, żadnych sprzętów do pielęgnacji trawnika, nic takiego, co ludzie zwykle trzymają w garażu. Philippe nigdy nie przepadał za pracą fizyczną i nie zamierzał narażać na ryzyko swoich dłoni, ubezpieczonych przez Chicagowską Orkiestrę Symfoniczną. Mieli ogrodnika, który przychodził dwa razy w miesiącu. — Wynajmujesz ten dom?

— Nie, kupiliśmy go. — Hannah zamknęła pudło i odsunęła je.

— Aha. Twój mąż też jest muzykiem?

— Skrzypkiem w Chicagowskiej Orkiestrze Symfonicznej. Jesteśmy w separacji, rozwodzimy się. — Otworzyła kolejne pudło — w tym kłęb swetrów.

Jamie nie wygląda na zaskoczonego. Patrzy współczująco, wskazuje podbródkiem pustą przestrzeń wokół nich.

— Tak właśnie pomyślałem. Nie wygląda, żeby mieszkał tu jakiś mężczyzna. Przykro mi z powodu...

— Mnie też. Ma romans ze altowiolinistką. — No, to już było niepotrzebne. Powinna zatkać sobie usta, ale potem myśli: Mam to gdzieś, niech

wie. Trąca kolejne pudło, zastawiając się, co jest w środku.

— Chyba zwariował. — Jamie wykrzywia się. — Sto razy wolałbym wiolonczelistkę od altowiolinistki — powiedział z takim przekonaniem, że Hannah uśmiechnęła się wzruszona. Niebo rozdarła błyskawica, zaraz po niej uderzył grom.

Jamie wyjrzał na zewnątrz.

— Muszę jechać. Twoje zlecenie było ostatnie. Mamy szybko wracać, to przez pogodę. W Laquin jest potężna powódź, ale najbardziej ucierpiało Barrett. — Barrett Laquin to małe miasteczka opodal Avalonu.

— Och, zaczekaj! — Hannah biegnie do domu, zawija kilka ziemniaczanych krokietów, jeszcze ciepłych, wraca do garażu i podaje mu. — Właśnie zrobiłam.

Jamie przyjmuje je z wdzięcznością.

— Rany, wyglądają wspaniale. Dzięki, umieram z głodu. Zrezygnowałem z przerwy, chciałem jak najszybciej wszystko dostarczyć — spogląda na ciemne, złowieszcze niebo. — Rozumiem, że to pewnie nie najlepszy moment, ale może czasem wybrałabyś się gdzieś ze mną? Nie proponuję ci randki, bo nadał jesteś mężatką, ale może jakaś kolacja? Lubisz włoską kuchnię?

Z rozkoszą poszłaby z nim na kolację! Jamie jest wysoki, przystojny, bardzo miły i do tego wspaniale zbudowany, co świetnie widać pod obcisłym uniformem UPS.

I chyba ją lubi. Tego brakuje Hannah najbardziej — mieć kogoś, kto ją będzie ubóstwiał, uważał za najwspanialszą osobę na świecie.

— Dziękuję, ale chyba nie powinnam... — Milknie.

— Rozumiem. — Jamie kiwa głową zakłopotany.

Hannah przygryzła wargę zdenerwowana. Przecież chciałyby pójść! Chciałyby wyjść z Jamiem, dowiedzieć się o nim czegoś więcej, zobaczyć, czy mają ze sobą coś wspólnego. Ale czy nie jest za wcześnie? Może powinna najpierw zakończyć sprawę rozwodu, potem jakiś czas pobyć sama, poczuć swoją niezależność...

— Po prostu cała ta sytuacja z moim mężem jest tak pokręcona... — Urywa.

Dużo samotności potrzebuje? Jak miałyby to obliczyć? Czy to jak z etapami żałoby? Im dłużej o tym myśli, tym lepiej uświadamia sobie coś innego. Spędziła kawał życia w samotności, nie tyle fizycznej, ile emocjonalnej i nie ma zamiaru dłużej tak żyć. Jej małżeństwo rozpadło się, kariera dobiegła końca. I chociaż bardzo przeżyła obie straty, teraz na miejscu bólu pojawiło się coś nowego.

Wolność.

Wolność do popełniania błędów, wolność do życia w bałaganie. To właśnie powiedziały Madeline i Julia, prawda? Życie takie już jest. Ich przyjaźń, niczym powiew świeżego powietrza, związała pajęczyny z ciemnych zakątków jej życia,

pozwoliła zrozumieć, że chociaż na samotność też jest miejsce, przyjaźń i miłość niosą ze sobą dużo więcej.

— Cóż, pomyślałem, że warto spytać. — Jamie przesunął dłonią przez włosy, wzburzył je, teraz wyglądał jeszcze przystojniej. Uśmiechnął się uprzejmie i odwrócił, by wyjść.

— Zaczekaj. — Hannah delikatnie dotknęła jego ramienia — i wtedy po jej ciele przebiegł dreszcz. Rany...

— Może nie na randkę, ale moglibyśmy czasem pójść na lody. W przyszłym tygodniu? — Ma dość eleganckich kolacji i wyrefinowanych randek, chciałyby dla odmiany zrobić coś zabawnego. Coś, co nie wymagałoby specjalnego planowania i ustaleń, wizyt u fryzjera, wyjątkowego stroju. Chciałyby pójść do tej lodziarni obok jej domu, cieszy się na samą myśl o tym, że będą tam siedzieć z Jamiem, w otoczeniu rozgadanych dzieciaków, zjadających desery lodowe.

— Na lody? — Jamie ma tak rozbawiony wyraz twarzy, że Hannah też zaczyna się śmiać. — Dobrze. Ale musisz siedzieć w przyzwoitej odległości ode mnie — mówi żartobliwie, ale Hannah słyszy nutkę flirtu w jego głosie, jakby próbował się zorientować, jak ją podrywać. Modli się, żeby nie był mężczyzną, który rozbija jej serce na milion kawałków, bo czuje, że zaczyna się w nim zakochiwać. A może już jest za późno, może to już się stało jedyne, co można zrobić, to dać się temu ponieść?

Hannah wypełnia szczęście, którego nie czuła od bardzo dawna, zaciska usta, powstrzymując śmiech.

— Postaram się.

Jamie też się uśmiecha, zakłada kaptur na głowę.

— Super. Zadzwoń w przyszłym tygodniu. Uważaj na siebie, Hannah.

— Ty też. Cześć, Jamie.

Patrzy, jak biegnie przez deszcz do swojej ciężarówki... Zapalają się światła i samochód odjeżdża.

— Teraz to już oficjalna wiadomość — mówi Tom, wchodząc do domu. Jest przemoczony do suchej nitki, stawia pudło w kącie. — Zwolnili mnie.

— Och, Tom! — Liwy podbiega do niego. Wiedzieli, że tak się stanie. Zwalniano stu pięćdziesięciu przedstawicieli medycznych z całego hrabstwa; zrezygnowali z wprowadzenia na rynek swojego najnowszego lekarstwa, jakichś tabletek od bólu głowy, które nie działały lub miały zbyt dużo efektów ubocznych. „To jest jak śmierć”, mówił Tom z goryczą, gdy zaczęły się zwolnienia.

Liwy chciałyby go przytulić, ale Tom ociekał wodą i nie wyglądał, jakby miał na to ochotę.

— Chcesz coś do picia? Piwo?

— Chyba wolałbym kawę. — Nie ruszając się spod drzwi, zdjął mokre ubrania, został w bokserkach i skarpetkach. — Mogli nam to wysłać e— mailem,

co za głupota, by nas tam ciągnąć w burzę tylko po to, żeby powiedzieć osobiście.

Liwy podaje mu narzutę z sofy, zbiera ubrania.

— Zaparzę kawę. Wiesz, że wstąpiła dziś do nas pani Lowry, żeby dać nam bochenek chleba przyjaźni ami— szów? Wyobrażasz sobie?

Tom owija się narzutą i idzie do salonu.

— Sprawdzałaś, czy nie zatruty?

— Tom! — Liwy uśmiecha się, ale ona też miała pewne podejrzenia.
— Zaprosiłam ją do środka i zjadłyśmy po kawałku. Będzie ci smakować.

— Może jest w zмовie z Julią?

Liwy milczy. Kiedyś doceniała te drobne uszczypliwości pod adresem Julii, w ten sposób Tom okazywał żonie swoją solidarność. Ale teraz słysząc imię siostry, czuje wyrzuty sumienia, jest jej przykro, że tak trudno cokolwiek naprawić. Nie czuje już mściwości czy satysfakcji, jedynie smutek.

Tom wziął pilota, ale odłożył go i usiadł na kanapie. Wstrząsały nim dreszcze.

— Powinniśmy mieć kominek.

Liwy podeszła do termostatu i podkreśliła ogrzewanie.

Brak kominka to jedyny mankament tego domu. Budynek jest stosunkowo nowy i ma wszystko, czego potrzeba, jednak agent nieruchomości powiedział, że poprzedniemu właścicielowi skończyły się pieniądze, zanim zainstalował kominek, Liwy i Tom również nie mogli sobie na niego pozwolić. Brakuje jej trzasku ognia, zapachu płonącego drewna... Brakuje jej smoresów, żałuje, że nie mogą robić ich w salonie, jakkolwiek śmiesznie to brzmi.

W kuchni Liwy ukroiła grube kawałki chleba przyjaźni, nucąc pod nosem i ułożyła je na talerzu. Zrobiła dzbanek kawy i wzięła kubeczek beztłuszczowego jogurtu dla siebie, a potem jeszcze jeden dla Toma, gdyby też miał ochotę. Czytała, że mężczyźni czasem tyją, gdy ich żony są w ciąży, ale miała nadzieję, że z Tomem tak nie będzie. Jego rodzice mieli skłonność do nadwagi. Ustawiła wszystko na tacy, dodała ładną materiałową serwetkę i zaniósła do pokoju.

— Jesteś w zaskakująco dobrym humorze jak na kogoś, kto właśnie został jedynym żywicielem rodziny — powiedział Tom, gdy Liwy postawiła tacę przed nim.

Uch, nie pomyślała o tym. Zresztą, spodziewali się tego zwolnienia.

— Mogło się zdarzyć mnóstwo gorszych rzeczy. — Odłamała kawałek chleba i wrzuciła do ust. Smakowity, nigdy jej się nie znudzi.

— Możemy stracić dom, Liwy. — Tom dolał śmietanki do kawy.

— Wiem. — Myślała o tym ostatnio. — Może powinniśmy go sprzedać?

Przestał mieszać kawę.

— Sprzedać? Myślałam, że kochasz ten dom.

Bo tak było. Mimo braku kominka to dom jej marzeń. Chociaż za duży jak

na ich potrzeby, z bardzo wysokimi ratami kredytowymi, pragnęła go tak bardzo, że go kupili. Zawsze wyobrażała sobie, że wypełni go gwar i śmiech, ale ciągle mieszkają tu we dwójkę i te puste pokoje tylko potęgują jej samotność. Mogliby mieszkać w czymś dużo mniejszym, nawet gdy dziecko już przyjdzie na świat. Nie miała pojęcia, ile udałoby się zarobić na sprzedaży domu, ale ceny wzrosły, nawet jeśli teraz jest nadmierna podaż. Dom został świetnie wyposażony, bardzo o niego dbali.

— Sprzedając go, spłacilibyśmy hipotekę i można by rozejrzeć się za czymś tańszym i też ładnym. — Wizja niższych, przystępniejszych rat była kusząca. Nie ma nic złego w posiadaniu małego domu, mógłby być nawet przytulniejszy.

Tom pokiwał głową, pijąc kawę.

— Jeśli rzeczywiście chcemy go sprzedać, musimy zrobić to szybko. Jeżeli zaczniemy zalegać z ratami, stracimy go i tak.

Zerknął w stronę garażu, pewnie myśląc o tym, co się stało z bmw.

— Jak sądzisz, będzie trudno go sprzedać?

Wzruszył ramionami.

— Nie wiem, ale na pewno łatwiej, niż znaleźć teraz pracę. Nikt nie szuka pracowników. — Gdy odgryzł kęs chleba przyjaźni, na jego twarzy malowało się zaskoczenie. — Hej, jest całkiem niezły!

— Mówiłam ci. — Liwy wzięła jeszcze jeden kawałek.

Jak wytrzyma bez tego dziesięć dni, zanim będzie mogła upiec swój własny chleb? Jadłaby go na okrągło.

Tom wbił wzrok w swój kubek.

— Myślałem, żeby sprzedać kije golfowe.

— Naprawdę? — Wytrzeszcza oczy. Tom jest wielkim miłośnikiem golfa.

— Tak. No dobrze, może nie kije, ale zrezygnuję z członkostwa w klubie.

— Uśmiechnął się nieśmiało. — I tak gram tylko kilka miesięcy w roku, poza tym, mamy dużo dobrych miejskich pól golfowych. W ogóle nie powinienem być wykupywać członkostwa.

Liwy nie wie, co powiedzieć.

— Zresztą i tak nie będę dużo grał. Wolny czas chciałbym spędzać z tobą i dzieckiem.

Klepie kanapę obok siebie, Liwy przysuwa się i wtula pod jego ramię.

— Tom?

— Myślisz... — zniża głos do szetu. — Myślisz, że będę dobrą matką?

Patrzy na nią i ona już wie, że on rozumie, co ją dię» czy. — Liwy...
Ja wiem, że będziesz dobrą matką.

Przełyka ślinę.

— Nawet po tym...

— Nawet po tym, co się stało — kończy za nią.

Tom okrywa ich kocem, całą trójkę, włączając małą fasolkę w brzuchu Liwy. Rozmawiają po cichu, pojadając chleb, a deszcz leje strumieniami.

— Sukin... — Edie ze złością zamknęła laptopa.

Richard wszedł do sypialni i zmarszczył brwi, widząc, że Edie siedzi.

— Masz leżeć. Czyli znajdować się w pozycji horyzontalnej. — Postawił wysoką szklanekę z wodą obok łóżka i wziął laptopa.

Woda, wszędzie woda. Na dworze leje deszcz, a NOAA6 zapowiada zagrożenie powodziowe. W północnej części stanu wylały rzeki, przetaczają się gwałtowne burze, deszcz leje bez przerwy. Mieszkańcy okolicznych miast zostali ewakuowani, mówi się o zniszczeniu prawie dwustu domów. Avalon, choć ciągle w strugach wody, na razie jest bezpieczny.

— Od kiedy to stałeś się medycznym nazistą? — warczy Edie, ale pociąga długi łyk wody.

— Od czasu, gdy zdiagnozowano ci stan przedzru— cawkowy i kazano leżeć. — Richard unosi kołdrę, żeby się położyła.

— Och, niech ci będzie. — Edie wzdycha i pakuje się pod kołdrę, kładzie głowę na poduszce.

Ostatnia wizyta u doktor Briggs wykazała nadciśnienie i obecność białka w moczu. Do tego dochodziły zawroty głowy, wymioty i mdłości (które, jak się okazało, wcale nie były mdłościami porannymi) i — dzień dobry — stan przedzrucawkowy. Jedynym lekarstwem na to ostatnie było urodzenie dziecka, co z kolei na razie jest niemożliwe, do porodu zostało jeszcze dwadzieścia tygodni. Dlatego doktor Briggs kazała Edie leżeć aż do terminu porodu. I chociaż Edie boi się rozwiązania, to leżenie w łóżku brzmi jak dożywocie.

— Niestety, ta przypadłość zdarza się dość często — zauważyła lekarka — szczególnie w czasie pierwszej ciąży albo kobietom po czterdziestce.

— Ale ja mam trzydzieści sześć lat!

Doktor Briggs wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć: co ja na to poradzę?

— Patrick zatrudnił nową reporterkę — oznajmiła Edie, gdy Richard poprawiał jej poduszki. — Widziałam jej podpis — Lori Blair. Lori Blair? Co to za imię? I nawet nie skończyła dziennikarstwa, tylko nauki polityczne w jakimś college’u. Ostatnio pracowała w Avalon Book Nook.

— Skąd wiesz?

— Wygugłałam ją i znalazłam na Facebooku. — Podciągnęła kołdrę pod brodę. — Jest również na mySpace i recenzuje na Yelpie.

Richard zasunął torbę laptopa i odłożył na bok.

— Nie sądzisz, że to już obsesja?

— Sama wydała swoją książkę o budowaniu relacji z własnym psem.

— Edie przewróciła oczami. — Cztery dziewięćdziesiąt dziewięć, dostępna na Amazonie. Co ciekawe, dostała dziesięć recenzji od...

— Edie. — Richard patrzył na nią wymownie.

— Co?

— Przestań śledzić nowych pracowników „Gazette”.

Przekręciła się na lewy bok, tyłem do Richarda.

— Nie śledzę jej. Chciałam się tylko dowiedzieć, czemu ją zatrudnił. I to na etat, nie jest wolnym strzelcem.

— Ty nie chciałaś być na etacie — przypomniał jej.

— Chciałaś wolności. A Patrick musiał znaleźć kogoś na miejsce reportera, skoro ty leżysz w łóżku.

— Nie leżę w łóżku, tylko pracuję w domu.

— Możesz tak to sobie tłumaczyć, ale oboje wiemy, że leżąc, niewiele możesz zrobić i Patrick też ma tę świadomość. — Richard usiadł na brzegu łóżka i podał jej szklankę z wodą. — Pij, to dopiero twoja trzecia szklanka dzisiaj.

Edie wypła wodę i oddała mu szklankę.

— Zjadłabym talerz frytek z serem i chili. Do tego frytki z serem i chili, a wszystko polane frytkami z serem i chili. — Położyła się zrezygnowana.

— Wytrzymaj jeszcze kilka miesięcy, a przygotuję ci je osobiście. Planuję zrobić zapasy jedzenia, zanim się dziecko urodzi, żeby mieć gotowe dania w zamrażarce. Jeśli masz jakieś specjalne życzenia, to powiedz, w przeciwnym razie zrobię po prostu twoje ulubione potrawy.

Edie czuje napływ czułości. To znowu te przekłete hormony, ale Richard jest taki słodki... Gdyby mógł, urodziłby to dziecko za nią, żeby nie musiała się męczyć. W Beninie była obecna przy czterech porodach, ale tamte kobiety mogły imponować spokojem i skoncentrowaniem, Edie nie czuje się tak pewnie.

— Muszę wyjść za jakąś godzinę — mówi Richard. Należy do tymczasowej grupy pomocy w hrabstwie, pomagającej szpitalom i klinikom przy napływie pacjentów i w sytuacjach kryzysowych związanych z powodzią.

— Dasz sobie radę?

— Pewnie. Myślałam, żeby wyskoczyć do kilku barów, ale chyba jednak zostanę w domu.

— Mądrała — pochyła się i całuje ją długo, do utraty tchu — mam coś dla ciebie. Zaczekaj. — Mruga i wychodzi z sypialni.

Edie odprowadza go wzrokiem. Co jest? Chyba nie...

Nie. O Boże, nie jest gotowa! Nie brała prysznic od dwóch dni i ostatnie tygodnie spędziła w łóżku, ma okropne włosy! Znajac Richarda, na pewno będzie miał gdzieś kamerę, żeby uwiecznić tę chwilę, oświadczyńny muszą zostać utrwalone na filmie...

Richard wraca, trzymając w ręku coś dużego, zawiniętego w brązowy

papier. Chyba nie włożyłby pierścionka z brylantem do wielkiego, płaskiego pudła?

— No dobrze, jesteś gotowa? — pyta ze śmiechem.

Edie kiwa głową zakłopotana.

Richard odrywa jeden róg, Edie spostrzega intensywne barwy. Zrywa resztę papieru i teraz Edie rozpoznaje szerokie pasma purpury, bieli i czerwieni — reprodukcja obrazu Marka Rothko, który uwielbiała oglądać za każdym razem, gdy byli w Instytucie Sztuki w mieście.

— Kupiłeś plakat! — Unosi się na łokciach, żeby się lepiej przyjrzeć.

— Kupiłem i oprawiłem. — Zdejmuje cały papier, opiera obraz o ścianę. A potem przynosi kolejne dwa, jeden z pomarańczowymi i żółtymi kwadratami, drugi z zielonym prostokątem przedzielonym niebieskim pasem.

— Gdzie chcesz je powiesić?

— Chcesz je tu powiesić? — Edie klaszcze w dłonie, jej twarz promienieje. Do tej pory ściany były puste, żadne nie miało czasu ani chęci, by robić cokolwiek ponad to, co konieczne. Zawsze uważała, że cały ten wystrój domu jest poważnie przereklamowany. Tylko dlaczego teraz jest taka szczęśliwa?

Richard jest z siebie dumny.

— Pomyślałem, że twoja sypialnia powinna być bardzo wygodna, więc możemy powiesić je, gdzie tylko zechcesz. — Znika znowu i wraca z jeszcze jednym pudłem, tym razem kwadratowym. To paczka na jej nazwisko.

— Pomogę ci to otworzyć, jeśli znów się położysz.

— Przecież tylko opieram się na łokciach!

— Kładź się. — Czeka, aż Edie położy się na plecach, dopiero wtedy przecina taśmę scyzorykiem. Zdejmuje papier i podnosi bajecznie kolorową poduszkę, która przypomina Edie Afrykę. — Są z Malawi. Tradycyjne bo-golafini. — Rzuca jej, celując w głowę, Edie wybucha śmiechem. Richard sięga do pudełka i wyjmuje jeszcze jedną, z kolorowymi szklanymi koralikami. — Aplikacja Xhosa. Pomyślałem, że będą ładnie wyglądać na łóżku.

— Skąd je wzięłeś? Chyba nie pojechałeś po nie do Kapsztadu?

— Można je kupić w internecie — Edie unosi brwi, Richard dodaje: — To sklep fair trade, kupuje te produkty przez African Home. Połowa zysku idzie na sierociniec w Malawi.

Edie uśmiecha się do niego szczęśliwa.

— Kocham cię. — Łapie drugą poduszkę, lecącą w jej stronę. — Chodź tutaj, żebym mogła cię pocałować.

— Za chwilę. Jeszcze nie skończyłem.

Richard wychodzi i wraca z naręczem książek.

— Pozwoliłem sobie kupić wszystkie książki i płyty CD z twojej internetowej listy w Avalon Book Nook, ponieważ wiem, że zależy ci na

wspieraniu niezależnych księgarzy.

— Tak było, dopóki nie dowiedziałam się, że pracowała tam Lori Blair.

— Ale już nie pracuje, pamiętasz? Zająła twoje miejsce. — Położyła wszystko na szafce nocnej.

Edie dała mu kuksańca.

— Mało zabawne.

Richard unosi trzy czerwone koperty.

— Wreszcie zdecydowałem się i wykupiłem członkostwo Netflix. Możesz wejść do internetu i stworzyć listę filmów, które chciałabyś obejrzeć. Zamawiam sobie tylko prawo do wybrania kilku filmów akcji i ostatniego sezonu „Dextera”.

— Może to ostatnie powinno mnie zaniepokoić, ale na razie nie będę o tym myśleć.

Richard uśmiecha się złośliwie.

— Znalazłem też film Siergieja Bodro, ostatni film dokumentalny Michaela Moore’a i kilka filmów niezależnych producentów, które miały dobre recenzje na festiwalu w Sundance w zeszłym roku. — Położył je na telewizorze. — Może powinniśmy kupić multiodtworacz, żebyś mogła załadować wszystko od razu, nie musiała wstawać? — Wsuwa film z okładki.

Edie przegląda książki, oczadziła ze szczęścia. Czyżby to znów hormony? Zresztą, co za różnica. Chciałaby zapamiętać ten moment na zawsze.

— Richardzie, jesteś dla mnie za dobry!

— Wiem o tym. — Roześmiał się, a potem stuknął ręką w czoło. — Byłbym zapomniał! — I zniknął znowu.

Edie kładzie się na plecach i trzyma przed sobą cudowną malawijską poduszkę. Richard jest taki troskliwy... No cóż, przecież zawsze taki był. Słyszy, jak pogwizduje, biegnąc po schodach z powrotem na górę; myśli, że to idealna chwila.

Zbyt idealna.

Być może jej przecucie było słuszne — może to pułapka i Richard poprosi ją dzisiaj o rękę? Ale dlaczego akurat dzisiaj? Czy to jakiś specjalny dzień? Próbuje sobie przypomnieć, kiedy po raz pierwszy się spotkali, pocałowali, zamieszkali razem. Jej urodziny? Jego urodziny? Walentynki? Zaraz — w przyszłym miesiącu minie rok, odkąd przeprowadzili się do Avalonu. Czy to było we wtorek? Co Richard planuje?

Edie wie, że przesadza, ale nie chce być zaskakiwana, nie znosi niespodzianek... Powinien był ją uprzedzić, co najmniej dwadzieścia cztery godziny wcześniej. Oboje wiedzą, że powie „tak”, ale powinien ją ostrzec! Obiecał, że tak zrobi. Więc dlaczego teraz się denerwuje?

— Gotowa? — Richard wsunął głowę przez drzwi, a Edie aż podskoczyła.

— Nie! — Usiłuje wymyślić coś, cokolwiek, żeby to odwlec.

— Richardzie, to naprawdę nie jest dobry moment, żeby...

Unosi brwi, pokazując dużą torbę jedzenia na wynos.

— Na pewno? Myślałem, że jesteś głodna.

— Och. — Edie oblewa się rumieńcem. — Zgadza się. Jestem.

Richard wchodzi i wyjmując dwa pojemniki.

— Niska zawartość tłuszczu i soli, wyłącznie naturalne składniki. Sałatka z twarogiem, mnóstwem warzyw, z dodatkiem tofu, posypane nasionami lnu. Tutaj masz pstrąg na parze i piure z młodych ziemniaków.

— Uśmiecha się, widząc, że nawet Edie z jej wysokimi standardami jest zadowolona.

— O kurcze... — Edie otwiera pudełko z sałatką i wyławia pomidorka koktajlowego. Daje go Richardowi, a sama bierze plasterk ogórka. — Skąd to masz?

— Z tego sklepu z herbatą, od Madeline. Po południu mają dania na wynos, ale to zrobiła specjalnie dla ciebie.

Edie ma wyrzuty sumienia, wie, że Julia przyjaźni się z Madeline.

— Czemu to dla mnie zrobiła?

— Bo powiedziałem jej, że masz stan przedrzucaw— kowy i że musisz być na diecie niskosolnej. Przesyła ci pozdrowienia. A, i jeszcze to — wyjmując babeczkę cytrynową z makiem. — Deser!

Teraz już Edie czuje się winna.

— Zapewniła, że zredukowała ilość oleju, cukru i użyła zamiennika soli. Dostaliśmy sześć takich babeczek, podobno dobrze się mrozą. To jeden z jej przepisów na chleb przyjaźni, nie pozwoliła mi za to zapłacić

— to prezent.

Edie czuje, że jej pierwszy w życiu poród będzie łatwiejszy niż przesłanie liścika z podziękowaniem.

Stanowczo będzie potrzebowała dużo odwagi, by go napisać.

— Chyba zacznę od deseru.

Richard ustawia jedzenie na małej tacy, którą przyniósł na górę.

— Tak myślałem. Chcesz do tego herbaty? — Podaje jej widelec i serwetki.

— Nie, dzięki.

Znów wkłada rękę do torby.

— A co powiesz na pierścionek z diamentem? — Wyjmując aksamitne granatowe pudełeczko i otwiera je, ukazując pierścionek z migoczącym pojedynczym brylantem, umieszczonym w platynowym, sześćcioząbkowym zacisku.

Edie zastyga. Widelczyk z ciastkiem dosłownie nieruchomieje w pół drogi do ust.

Richard uśmiecha się.

— No to świetnie. Traktuję to jako zgodę. — Ujmuje jej lewą rękę i wsuwa delikatnie pierścionek; pasuje idealnie. Pochyla się, żeby ją pocałować, nie przejmując się tym, że Edie nadal nie może wykrztusić ani słowa.

— Nie, żebyś pytała, ale to diamenty pochodzące z Kanady, wolne od krwi i brudnych pieniędzy.

Do oczu Edie napływają łzy.

— Richardzie, kocham cię.

Całuje ją i patrzy jej w oczy.

— Wiem, Edie. Ja też cię kocham i właśnie dlatego pobierzemy się i będziemy żyć długo i szczęśliwie.

— Uśmiecha się zadowolony, że jednak udało mu się ją zaskoczyć. — Muszę lecieć, do zobaczenia później.

Posprzątam to wszystko, kiedy wrócę, nie przejmuj się.

— Ale... ale... — Brylant rzuca migotliwe błyski, rozsyła maleńkie tęcze. To śliczny pierścionek i Edie podziwia go, a potem coś sobie przypomina. Zmusza się, żeby spojrzeć surowo na Richarda. — Myślałam, że będziesz chciał się oświadczyć w jakimś szczególnym dniu, zawsze tak ci na tym zależało! Że nie wspomnę, iż obiecałeś mnie uprzedzić!

Richard wyjmuje komórkę, sprawdza wyświetlacz, zatrzymuje się w drzwiach.

— Ach, to... To się nie liczy, ponieważ działałem pod presją, no i znasz dokładnie moje stanowisko, nie lubię być zmuszany do niczego. Poza tym, Edie, dziś jest szczególny dzień — trzyma telefon w wyciągniętej ręce, oko aparatu fotograficznego jest wycelowane w ich oboje.

Edie myśli intensywnie, ale nadal ma pustkę w mózgu.

— Dzisiaj?

— Uśmiechnij się. — Rozlega się kliknięcie aparatu, rejestrującego tę chwilę. — Oczywiście, że tak. To dzień naszych zaręczyn! — Mruga do niej i wychodzi z pokoju.

Rozdział 22

Deszcz wreszcie przestał padać, przez chmury przebiły się nikłe promyki słońca. Po kilku dniach napięcia mieszkańcy Avalonu oddychają z ulgą. Poziom wody opadł, zostawiając po sobie śmieci i zniszczone domy w kilku sąsiednich hrabstwach w północnej części Illinois.

— Mieliśmy szczęście — mówi Julia do Hannah i Ma— deline, które po raz pierwszy przeżyły taki kataklizm w małym miasteczku, pozbawionym zasobów wielkich metropolii. Julia ciągle słuchała wiadomości i siedziała w internecie, w każdej chwili spodziewając się zalania Avalonu.

Cieszyła się, że jest razem z Markiem i Gracie w ich mocnym domu. Gdy pewnej nocy popatrzyła na nich, gdy spali, pomyślała: chcę być wolna. Ale to już nie była ta wolność, o której myślała jeszcze niedawno, niezależność wykluczająca Marka i Gracie. To była wolność włączająca ich oboje. Chciała być wolna, by móc ich kochać, być z nimi, spędzić z nimi resztę życia. Tego właśnie pragnę, pomyślała wtedy i zamknęła oczy. To właśnie wybieram.

Teraz Julia stuknęła palcami w blat stołu, przekazując nowiny Hannah i Madeline.

— Setki rodzin zostały bez dachu nad głową. Sala gimnastyczna w szkole w Barrett została przemieniona w schronisko. Nie mam pojęcia, czy ludzie znów mają prąd.

— To straszne. — Madeline pokiwała głową. — Słyszałam, że zbierają datki na ofiary powodzi. Pomyślałam, że mogłabym zbierać produkty w puszkach. Na przykład, otrzymujesz trzydzieści procent zniżki, jeśli oddajesz puszkę czy dwie.

— Proszę również o inne rzeczy. — Julia wyjęła z torebki kartkę i długopis, zaczęła notować. — Koce, ubrania, rzeczy dla dzieci i niemowląt, pieluchy, mleko, zabawki, książki...

— Zastanawiałam się, jak mogłabym pomóc — odezwała się Hannah. — Pracownik Czerwonego Krzyża, z którym rozmawiałam, powiedział, że mogłabym zagrać, żeby podnieść ludzi na duchu. Planuję pojechać tam z wiolonczelą i zagrać dla rodzin, może to pomoże im oderwać się od problemów. — Uśmiechnęła się nieśmiało. — To głupie, ale od tak dawna nie grałam dla nikogo, że nawet się cieszę.

— W takim razie ja też pojadę — oświadczyła Julia. — Nie mam zamiaru przepuścić takiej okazji. Zabiorę Gracie ze szkoły, pojedziemy i pomożemy, jeśli będziemy mogły.

— Mnie również uwzględnijcie — zdecydowała Madeli— ne. — Zapytam tylko Connie, czy da radę sama poprowadzić herbaciarnię. Zdaje się, że jest w salonie z paniami.

— Wstała i przeszła przez hol.

— Zastanawiałam się ostatnio — zaczęła Hannah, dodając miodu do herbaty — że jeśli ty i Gracie myślicie poważnie o lekcjach, to będzie mi bardzo miło, jeśli zostaniecie moimi pierwszymi uczennicami.

Julia patrzyła na nią zaskoczona.

— Więc jednak zdecydowałaś się zostać w Avalonie?

— Sądziła, że Hannah będzie chciała wrócić do Nowego Jorku. Teraz, gdy jej małżeństwo było skończone, nic nie trzymało jej ani w Illinois, ani tym bardziej w Avalonie.

Hannah pokiwała głową.

— Nie mam żadnego innego miejsca, w którym musiałabym być, więc dlaczego nie? Dom jest sypłony, pieniądze, które mam, wystarczą mi na spokojne życie tutaj. Gdybym przeniosła się do dużego miasta, musiałabym pomyśleć o pracy — a po co mi ta presja? Miałabym harować tylko po to, żeby utrzymać ten poziom życia, który mam tutaj — w imię czego?

Julia uśmiechnęła się. Cieszyła ją ta pewność, to przekonanie w głosie Hannah. Nawet jej postawa uległa zmianie, Hannah siedzi wyprostowana, przez co wydaje się jakby wyższa, a zarazem jest spokojna i zrelaksowana.

— Jeśli będę potrzebować czegoś z miasta, po prostu tam pojadę — mówi Hannah z pogodną twarzą. — Podoba mi się myśl, że to Avalon będzie moim domem. Lubię tę okolicę, lubię sąsiadów. Dobrze się tutaj czuję. No i dostałam kilka propozycji uczenia. Jeśli zdobędę paru uczniów i dobrze zainwestuję pieniądze, będą mogła robić to, na co nie mogłabym sobie pozwolić — na przykład, uczyć za darmo muzyki w szkole publicznej. Pomogłabym im zdobyć dobrej jakości instrumenty dla uczniów, dzięki temu więcej dzieci miałyby szansę grać.

— Wspaniale. — Julia uściskała Hannah. Ta przyjaźń stała się dla niej bardzo cenna i utrzymywałyby kontakt, nawet gdyby Hannah wyjechała. Ale jeśli zostanie w Avalonie, będzie o niebo lepiej. — Tak się cieszę, że zostajesz!

— Ja też.

W tym momencie rozlega się głos Madeline:

— Hannah i Julio, czy mogłyście przyjść do nas do salonu?

Wymieniły zdumione spojrzenia, ale wstały i przeszły przez hol. W salonie było ze dwadzieścia kobiet, piły herbatę i chrupały coś słodkiego. Szmer podekscytowania nasilił się na widok Julii, która stała się ich bohaterką, i Hannah, która po prostu jest sławna.

Connie trzymała koszyk „Zostaw i dziel się”, torebki z zakwasem niemal się z niego wysypywały.

— Cóż, dobra wiadomość jest taka, że Connie może mnie jutro zastąpić — powiedziała Madeline. — A zła, że mamy ogromną ilość zakwasu.

— Są jeszcze trzy inne kosze — dodała Connie. — Ale torebki muszą być albo zużyte, albo podzielone już dzisiaj. Jest ich ponad dwadzieścia.

— Zastanawialiśmy się nad tym i oto, do czego doszliśmy — odezwała się Irma Fagen z Avalon Gutter, jedynej kręgielni w Avalonie. — Każda torebka daje dwa bochenki plus trzy kolejne torebki, prawda? A więc zamiast rozdzielać zakwas, zużyjmy go. W ten sposób z jednej torebki otrzymamy osiem bochenków.

— Ja również mam zakwas w domu — odezwała się Julia. — Planowałam dzisiaj piec; ale nie mam w zamrażarce miejsca na szesnaście bochenków.

— No właśnie — wtrąciła Claribel Apple. — I dlatego wymyśliłyśmy „Upiecz i daj”.

— Upiecz i daj?

— Tak! Zbierzemy wszystkie nasze zakwasy, upieczemy bochenki chleba albo muffinki, a jutro rano zawieziemy je rodzinom w Barrett. Mogłybyśmy serwować je z kawą czy herbatą w domu kultury.

— Ja daję herbatę — zgłosiła się Madeline. — A moje piekarniki są otwarte dla wszystkich, którzy chcieliby ich użyć.

Rozlega się szmer akceptacji, kobiety już opracowywały plan.

— Mam vana, można będzie przewieźć nim chleb.

— Ja też!

— Zadzwoń, żeby zapytać, co oni na to. — Connie postawiła koszyk na podłodze. — Dużo tego będzie?

Kobiety robią pospieszne obliczenia. Niektóre mają zakwasy gotowe do użycia, inne, tak jak Madeline, trzymają swoje w zamrażalniku, rozmrażanie potrwa kilka godzin. Każda chce piec — wychodzi, że otrzymają około setki bochenków chleba przyjaźni.

— Zadzwoń do córki. — Jessica Ryenolds, wyjęła komórkę. Jeździ na wózku inwalidzkim, jej ciało jest osłabione chorobą, ale duch żwawy. Gdy czuje się lepiej, spędza popołudnia u Madeline — to dla niej najpiękniejsze chwile, tak szczęśliwa nie czuła się od lat.

— Córka pomoże nam rozpowszechnić tę informację, na przykład, umieści ogłoszenie obok okienek, prosząc o pomoc w pieczeniu i przekazywaniu chleba.

— A wolno jej to zrobić? — pyta ktoś.

— Jest właścicielką franczyzy McDonalda w Avalonie

— na pewno może to zrobić. I myślę, że skoro gubernator ogłosił stan wyjątkowy, będzie to jak najbardziej w porządku. Halo, Debbie? — Jessica odwróciła się, żeby porozmawiać z córką.

Connie również wisi na telefonie, rozmawia z koordynatorem z Czerwonego Krzyża, notuje coś na kartce.

— No więc tak — zaczęła, odkładając słuchawkę. — Rozmawiałam właśnie z regionalnym dyrektorem wykonawczym, który nadzoruje przekazywanie

artykułów spożywczych dla mieszkańców tymczasowych schronisk i ofiar powodzi. Przyjmą wszystko, co tylko uda nam się upiec. Mają wielu lokalnych wolontariuszy, będą wdzięczni za wszystko, co upieczemy. Proszą tylko, żebyśmy przywieźli to do domu kultury, a pomogą nam rozdawać chleb.

— Zadzwoń do szkoły Gracie — oznajmiła Julia.

— Sporo nauczycieli i uczniów piekło chleb w domu; może niektórzy nadal to robią.

— Debbie już drukuje ogłoszenia — poinformowała Jessica Reynolds, triumfalnie zamykając komórkę.

— Bernice Privott mogłaby umieścić ogłoszenia w bibliotece przy ladzie — podpowiedziała Helen Welch.

Nagle kobiety sięgnęły po telefony komórkowe, zaczęły dzwonić do wszystkich, którzy mogą mieć zakwas i mogą chcieć upiec chleb. Julia przygląda się kobietom i czuje napływ energii. Nie ma już ochoty wyślizgiwać się stąd chyłkiem, przeciwnie, chce być częścią tego wspaniałego chaosu. Uśmiecha się szeroko, sięga do torebki po komórkę, żeby zadzwonić do szkoły Gracie.

— Toż to cała produkcja! — Madeline uniosła brwi. W salonie było coraz głośniejsze, co chwila słychać triumfalny okrzyk, gdy kolejna osoba dołącza do zespołu.

Connie obejmuje Madeline ramieniem i uśmiecha się.

— Proszę się nie martwić, zajmę się wszystkim. Zapiszemy, kto co będzie piekł i ogłosimy, że w herbaciarni jest odbiór wypieków. Wpuścimy do kuchni sześć osób, pozostałe mogą piec w domu. — Rozejrzała się. — Brakuje kilku osób ze stałych bywalców, poproszę, żeby ktoś do nich zadzwonił.

— Czy to nie będzie dla ciebie za duże obciążenie?

— pyta z troską Madeline. Nie chce, żeby Connie robiła jeszcze więcej niż zwykle. — Wygląda, że zajmie nam to całą noc.

— Nie mam nic przeciwko temu — zapewnia Connie. — I tak często zarywam noce, z tą różnicą, że będę siedzieć tutaj, a nie w domu.

— Zajmij Sawannę — mówi Madeline. Nazywa pokoje tymi imionami, które nadali im poprzedni właściciele; Sawanna jest niewielkim apartamentem z łazienką i balkonem. — Będziesz mogła się chwilę przespać.

Connie promienieje.

— Uwielbiam ten pokój. — Pomagała sprzątać pokoje i Madeline wie, który jest jej ulubiony.

— No to załatwione. — Madeline jest spokojniejsza, gdy wie, że Connie będzie miała gdzie odpocząć. — Idę rozmrozić zakwasy i włączyć piekarniki.

W holu mija Julię.

— Nauczycielka Gracie rozda uczniom listy z informacją dla rodziców, sama też będzie piekła dziś w nocy. Pójdę powiedzieć Connie. — Julia klepie

Madeline po ramieniu i biegnie do salonu.

Gwar w salonie wzrasta o kilka decybeli, Madeline uśmiecha się. Więcej tu szczęśliwych ludzi niż w jakimkolwiek domu, w którym mieszkała. Myśli o oficjalnych kolacjach, okazjonalnych przyjęciach, niekończących się spotkaniach firmowych. Pamięta, jak czasem było jej ciężko, jak dyskretnie zerknęła na zegarek, czekając, aż ludzie wyjdą wreszcie i skrócą jej mękę.

A w tym małym, cichym miasteczku mieszka mnóstwo dobrych ludzi, prostych ludzi, ludzi o wielkich, szczodrych sercach. — Jest dumna, że ich zna i może nazywać przyjaciółmi. To takie zaskakujące i przytłaczające zarazem. .. Ta świadomość uderza ją nagle, wypełniając jej serce niewysłowioną radością. Jednak nadal jest coś...

Idzie do kuchni, jeszcze przez chwilę będzie tu panować spokój. Wszystko ułożyło się nadspodziewanie dobrze, a jednak czuje pewien niedosyt. A może, myśli, może nie ma to nic wspólnego z herbaciarnią, z jej skromnym sukcesem, z tymi kobietami, którymi się otacza. Może chodzi o nią, o Madeline.

Sprząta blat, przygotowuje miejsce pracy dla kobiet, które zgłosiły się, żeby piec u niej tego popołudnia, wieszka świeże ścierki, ustawia miarki i mękę. „Prócz towarzystwa przyjaciół pod koniec dnia pozostajemy sami ze sobą”. Madeline często dzieliła się z innymi tą mądrością, którą powinna pamiętać sama... Nie chce do niczego zmuszać Bena, ale on jest jej rodziną i chciałaby mieć go tutaj, by stał się częścią jej życia. Tak właśnie wygląda rodzina — akceptujesz jej członków takimi, jacy są, i kochasz ich mimo wszystko.

O zmroku salon herbaciany Madeline zaczyna przypominać dworzec, ludzie bez przerwy wchodzą i wychodzą. Julia wychodzi dwa razy: żeby odebrać Gracie ze szkoły i przywieźć torebki zakwasu z domu oraz składniki do pieczenia ze sklepu.

Nie planowała zostać u Madeline, ale gdy pogłoska się rozeszła (Connie nazwała ich akcję „Operacja chleb przyjaźni”), wszystko potoczyło się bardzo szybko i stało się jasne, że Connie musi mieć kogoś do pomocy. Nie wiadomo kiedy i jak Julia zajęła się koordynacją, pomagała Connie rejestrować ludzi, datki, zakwasy i bochenki chleba przyjaźni.

Connie wsunęła głowę do salonu herbacianego, gdzie Julia pracowała na laptopie i przenośnej drukarce.

— Julio, ludzie zaczynają przynosić chleb.

— Proszę. — Podała Connie arkusz okrągłych nalepek i podkładkę do pisania. Utworzyła tabelkę z miejscami na podpisy z numerami, do dwustu. — Niech ludzie wpisują tu swoje nazwiska i numery telefonów. Zapisuj liczbę bochenków, które przynoszą, a potem wpisuj numer, pod którym się wpisali na nalepce i przyklejaj na ich bochenkach. — Zastanawiała się nad tym i uznała, że powinni sprawować kontrolę nad jakością, móc prześledzić, kto upiekł który

bochenek — w razie gdyby pojawił się jakiś problem. Dzięki temu będzie łatwiej podziękować wszystkim, którzy się napracowali, może nawet zamieszczać ogłoszenie w gazecie — gdy już poznają nazwiska wszystkich wolontariuszy. Czy „Gazet— te” udzieliłaby im za darmo powierzchni reklamowej? Mogłaby zadzwonić do Liwy i spytać ją, skoro Liwy jest w sprzedaży, to i tak Julia będzie musiała porozmawiać właśnie z nią.

Ale może najpierw zaczeka, aż minie to szaleństwo.

Connie wskazuje hol, gdzie ludzie ciągle wchodzą i wychodzą.

— A może będziemy potrzebować więcej osób do pomocy jutro w Barrett? Pytać ludzi, czy mogliby z nami pojechać?

Julia już się nad tym zastanawiała. Wzięła ze stołu formularz.

— Proszę. — Wręczyła Connie listę do wpisywania ochotników. Zauważyła, że ludzie kręcili się, czekając, aż chleb się upiecze, chętni do

wszelkiej pomocy.

— Super. — Connie uśmiechnęła się. Herbaciarnia buzuje gorączkową energią, ale podobnie jak Julia, Connie wydaje się w tym rozkwitać. — Aha, nasze skrzynki na artykuły spożywcze są już pełne, przeniosę je do garażu i doniosę nowe, kiedy wpiszę wszystkie bochenki.

— Nie, nie ruszaj tych skrzynek, Connie — ostrzega Julia. — Są za ciężkie!

— Daj spokój, Julio. — Connie prychnęła. — Nosiłam już cięższe rzeczy, to nic takiego.

— Nie. — Julia jest nieugięta. Wie, że dziewczyna byłaby w stanie to zrobić, ale nie chce ryzykować. Connie jest cenniejsza, niż jej się wydaje i Julia nie dopuści, by coś jej się stało. — Zadzwonię do Marka i poproszę, żeby przyszedł nam pomóc. I tak musi przyjechać po Gracie.

Julia spogląda na zegarek, już ósma. Podobnie jak wszyscy inni Gracie wibrowała podnieceniem i próbowała pomóc, ale raczej dostarczała rozrywki. Hannah poszła razem z nią do domu po wolonczelę i przez ostatnie kilka godzin z pokoju dobiegały muzyka i śmiech.

Wyjęła telefon i zadzwoniła do Marka.

— Cześć, to ja.

— Cześć ja.

Uśmiechnęła się, ale usiłowała zachować powagę.

— Zaczyna się tu robić gorąco, no i jest późno, Gracie powinna już pojechać do domu, pójść spać. Poza tym, potrzebujemy pomocy przy noszeniu ciężkich rzeczy.

— Hm, to może sporo kosztować...

— Mark! — Julia stłumiła śmiech.

— Jestem prawie w domu. Daj mi kilka minut na przebranie się i dojechanie do ciebie. Czy ty i Gracie w ogóle coś jadłyście?

Julia już stuka w klawiaturę laptopa.

— Mark, przecież siedzimy u Madeline. Jest tu wystarczająco dużo jedzenia, żeby wyżywić nas przez tydzień.

— Świetnie, bo umieram z głodu. Do zobaczenia wkrótce.

Dopiero odkładając słuchawkę, uświadomiła sobie, że właśnie flirtowała z własnym mężem.

— Hej, Julio! — Hannah uśmiechnięta weszła do pokoju. — Myślę, że twoja córka ma wrodzony talent do wiolonczeli.

— Naprawdę? — Julia odchyła się na oparcie krzesła, chce usłyszeć więcej.

— Przyglądała się, jak grałam, potem pozwoliłam jej potrzymać smyczek. Trzymała go perfekcyjnie. Zagrałyśmy razem kilka nut, a potem grałyśmy „Mrugaj, mrugaj, mała gwiazdko” dziesięć razy, w interpretacji godnej koncertu. Była bardzo rozczarowana, gdy przestałyśmy, ale myślę, że złapała bakcyła.

— To kiedy możemy zacząć?

— W przyszłym tygodniu, gdy już będę miała wiolonczelę rozmiar 1/4. Dla ciebie mam normalną wielkość, jeśli chcesz, również możesz zacząć w przyszłym tygodniu.

Julia bardzo chce. Nie podejrzewa się o talent muzyczny, ale chce spróbować.

— Mówię „tak” w imieniu swoim i Gracie. Gdzie ona teraz jest?

— Była bardzo śpiąca, więc położyłam ją na górze, w pokoju Gąszcz. Zmęczyła się.

— To przez to całe podniecenie. — Gracie rozmawiała bez przerwy ze wszystkimi od chwili, gdy tu przyjechała. — Dziękuję ci, Hannah.

— Nie ma za co. Jest słodka. Te lekcje to b ędzie dobra zabawa. — Hannah rozgląda się. — Connie wygląda na zapracowaną, pójdę zobaczyć, czy nie potrzebuje pomocy — ziewa.

— Musisz się przespać, Hannah — przypomina jej Julia. — Spędziłaś całe popołudnie w kuchni z Madeline, a jutro masz grać. Connie i ja znajdziemy kilku ochotników, żeby pomogli nam z tym wszystkim.

— Dobrze. — Hannah uśmiecha się do niej sennie.

— W takim razie do zobaczenia rano. Idę do domu.

— Słodkich snów.

Z kuchni wyłoniła się Madeline z twarzą przyprószoną mąką.

— Czy to była Hannah?

— Jest zmęczona, więc powiedziałam jej, żeby szła do domu. Jutro musi być w formie. — Julia podsuwa krzesło dla Madeline, widać, że kobieta jest

wyczerpana.

— Ty też powinnaś się zdrzemnąć.

— Nie, jest jeszcze tyle rzeczy do zrobienia. — Madeline strzepuje fartuch, wzbijając obłok mąki.

— Zawsze będzie coś do zrobienia. Po prostu musimy zrobić tyle, ile się da. Jesteś na nogach od świtu, idź i się prześpij. Aha, Gracie śpi w jednej sypialni na górze, chyba w Gąszczu. Nie masz nic przeciwko temu?

— Oczywiście, że nie, miło mi, że ty i Connie robicie użytek z tych pokojów. Ciągłe dręczy mnie wrażenie, że się marnują, dobrze, że ktoś z nich korzysta — Madeline przymyka oczy ze szczęśliwym westchnieniem.

— Mam listę ludzi, którzy zgłosili się do pieczenia chleba. — Julia zerka na ekran komputera. — Może uda mi się ściągnąć tu niektórych, żeby ciebie zastąpili.

Wszyscy inni pieką w domu i przynoszą już gotowe bochenki. Planujemy wyruszyć koło dziewiątej rano... — Julia urywa.

Madeline zasnęła. Pochrapuje, jej twarz obwisła, usta ma uchylone, oddech płytki. Julia przygląda jej się przez chwilę i zalewa ją fala niemal matczynej czułości. Madeline, która otworzyła przed Julią swój dom i serce, teraz wydaje się taka krucha i delikatna, że Julia pragnie się nią zaopiekować.

Po cichu odsuwa krzesło i wstaje, a potem delikatnie zakłada sobie rękę Madeline na ramiona i podnosi ją.

— Powoli i spokojnie — mówi cicho, zastanawiając się, jakim cudem zdoła wprowadzić Madeline po schodach.

Dlatego, gdy do herbaciarni wchodzi Mark z bukietem kwiatów w ręku, Julia wita go z ulgą i radością.

Mark jest nadal na najwyższych obrotach po spotkaniu z rozsądnym developerem Bluestem Estates. Trzy— fazowa budowa osiedla osiemdziesięciu domów; mają być ekologiczne i funkcjonalne, z zastosowaniem innowacyjnych materiałów. Strata projektu Lemelina była ciosem, dał się również odczuć brak Vivian, niełatwo będzie znaleźć godne następstwo, ale tak naprawdę nie była to żadna tragedia. Niech sobie inni budują zamki na piasku, oni skoncentrują się na dobrych, solidnych projektach. Właśnie coś takiego jest dla nich najlepsze, teraz już Mark to rozumie.

Zerka na deskę rozdzielczą, jest później, niż myślał. Przez tę pogodę i powódź wszystko stanęło do góry nogami. Jakie to dziwne, że dla jednych ludzi życie toczy się w miarę normalnie, podczas gdy inni stracili domy, a ich życie jest w rozsypce.

Jadąc, zastanawia się nad projektem Bluestem, jego pomysły krystalizują się powoli. Ted Morrow ma już jakąś wizję, ale zadanie Marka polega na stworzeniu oryginalnego projektu, uwzględniającego określony budżet

i założenia. Budynki zużywają około sześćdziesięciu pięciu procent elektryczności, a sama budowa nowego osiedla mieszkaniowego wygeneruje setki milionów ton odpadów. Mają być ekologiczne, czyli nie tylko bardziej ergonomiczne dla końcowego odbiorcy, ale również przyjazne dla środowiska. To określenie jest nadużywane, zdaniem Marka wystarczyłoby stworzyć osiedle, stosując materiały przyjazne środowisku, zapewniając wysoką efektywność systemu wodociągowego i energetycznego. Będą w stanie zaprojektować innowacyjne domy, minimalizując ich negatywny wpływ na środowisko przy jednoczesnym zachowaniu wygody i funkcjonalności. To inny rodzaj wyzwania niż elegancka, luksusowa restauracja, ale może mieć bardziej długoterminowy wpływ na jego biznes i społeczność, w której żyją. I to wcale nie jest takie złe.

Tankuje na Avalon Mini Mart. Gdy wchodzi do środka, żeby zapłacić, widzi wiadro z bukietami kwiatów. Nie pytając o cenę, po prostu wybrał bukiet, który najbardziej przypominał mu Julię — dziki, bogaty i piękny.

Gdy podjeżdża pod herbaciarnię Madeline kilka minut później, jest zaskoczony liczbą samochodów na parkingu i ustawionych wzdłuż ulicy. Dopiero po dłuższej chwili udaje mu się znaleźć wolne miejsce. No proszę, Avalon, takie senne miasteczko, w którym życie zamiera po osiemnastej, a prawie dwudziesta i ludzie kręcą się jak na jakiejś dzikiej imprezie studenckiej.

Przytrzymał drzwi dwóm kobietom, potem wszedł do środka. Nie był jeszcze u Madeline, lecz zna ten budynek. Nie jest zabytkiem, ale wzorowano go na klasycznym stylu z początku dwudziestego wieku, jak wiele innych domów w Avalonie. Lubi ten dom za jego osobowość, za urok i ciepło.

Rozmawiał z Madeline tylko raz, przez telefon, gdy Julia zasnęła u niej i wróciła po północy. Nigdy nie rozmawiał z Julią o tej nocy. Kiedyś domagałby się wyjaśnień, ale teraz gotów był poczekać, aż podzieli się z nim swoimi myślami, aż będzie gotowa. Wydawało mu się, że stracił już cierpliwość, a jednak miał jeszcze spory zapas.

Jest ciekaw Madeline, o której tyle słyszał. Widział jej zdjęcie w gazecie, a przez telefon wydała mu się bardzo stanowcza, gdy mówiła, żeby się nie martwił, ale wolałaby pozwolić Julii się przespać. Mówiła takim tonem, że ciężko było z nią dyskutować, wyobrażał ją sobie jako twardą kobietę z wałkiem do ciasta w ręku. Jednak gdy wszedł do herbaciarni, ujrzał swoją żonę, która prowadziła starszą panią, wyglądającą na wyczerpaną. Julia odetchnęła z ulgą, gdy podszedł szybko, chyba była o krok od upadku.

— Zasnęła — powiedziała szeptem, gdy Mark przejął delikatnie Made-line. — Właśnie chciałam położyć ją do łóżka.

— Gdzie?

— Na górze. Chodź za mną, pójdziemy tylnymi schodami, nie będziemy musieli przedzierać się przez tłum.

Mark niósł ostrożnie Madeline; była lżejsza, niż się spodziewał.

— Gdzie Gracie?

— Śpi. Chyba musimy ją tak zostawić. I tak miałam zamiar pozwolić jej nie iść jutro do szkoły, zabrać ją do Barrett. Pomaganie w Czerwonym Krzyżu będzie miało większą wartość edukacyjną niż lepienie z ciastoliny i liczenie koralików. — W głosie Julii wyczuł zmęczenie, ale i powagę.

— Zgoda, ale ktoś przecież musi liczyć te koraliki — odparł też poważnie.

Julia stłumiła śmiech, żeby nie obudzić Madeline. Mark się roześmiał.

— Hannah będzie jutro grać na wiolonczeli, nie chcę, żeby Gracie to przegapiła — szeptała Julia. — Nie może się doczekać, kiedy sama będzie się uczyć gry, Hannah mówi, że mogą zacząć w przyszłym tygodniu.

— Gracie ma się uczyć grać na wiolonczeli? — Nie krył zdumienia.

Julia otworzyła drzwi do sypialni i Mark wszedł. Podniosła kołdrę, Mark położył Madeline na łóżku, Julia zdjęła jej buty i przykryła ją. Madeline mamrotała przez sen „jabłka z kruszonką... krem waniliowy... potrzebujemy dwa kolanka...” A potem przekręciła się na bok i chrapała głośno.

Wyszli na korytarz.

— Myślałam, że ci mówiłam. Ja też chcę się uczyć.

— Nie mówiłaś, pamiętałbym. Ale to nawet dobry pomysł... Mam wziąć trąbkę?

— Żartujesz sobie ze mnie?

— Oczywiście, że nie. Ale moglibyśmy stworzyć trio. Dwie wiolonczele i trąbka — bylibyśmy jedyni w swoim rodzaju! Można by trochę zarobić, występując w weekendy..

Julia klepnęła go w ramię.

Przy drzwiach do Gąszczu położyła palec na ustach i uchyliła drzwi, żeby Mark mógł zajrzeć. Gracie spała mocno, rozwalona na łóżku zrzucona kołdra leżała z boku.

— Mam jej piżamę w samochodzie — powiedział. — Przebrać ją?

— Nie, niech śpi. — Julia weszła na palcach do środka i przykryła córkę grubym afganem. — Zajrzemy do niej później.

Schodzili na dół głównymi schodami.

— Tobie też przywiozłem ubranie na zmianę, dres i tę niebieską koszulę, którą tak lubisz. Pomyślałem, że będzie ci wygodniej, jeśli chcesz tu siedzieć do późnej nocy.

— Do nocy? Mam zamiar zostać do rana. Ale dzięki, to miło z twojej strony.

— Nie ma za co.

Stanęli na dole schodów, nagle zakłopotani i jakby niepewni.

— A więc... — mówi Julia.

— A więc... — powtarza Mark. Odchrząkuje, a potem zagląda do salonu.
— Wygląda na niezłe zamieszanie.

— To prawdziwe szaleństwo — przyznaje Julia. — Mamy trzysta bochenków, a to wcale nie koniec. Pewnie dojdziemy do pięciuset przed świtem.

— Rany, tyle chleba przyjaźni amiszów!

Julia uśmiecha się.

— Nie wolno nie doceniać potęgi jednej torebki zakwasu.

Młoda dziewczyna ubrana jak punk, z czarnymi włosami wygląda z pokoju, za ucho ma założony ołówek. Zastania mikrofon telefonu i mówi do Julii:

— Dzwoni Dora Ponce. Jej mąż jest przewodniczącym miejscowego klubu rotariańskiego, dzwoniła do każdego członka w hrabstwie, pytając, czy jego żona ma zakwas i czy chciałaby piec. Mają dla nas sto dwadzieścia bochenków.

Mark unosi brwi. Z jednej strony jest pod wrażeniem, z drugiej zszokowany. Jak widać cała akcja zaszła znacznie dalej, niż Julia się spodziewała.

— Och. Dobrze, Connie. Podziękuj jej, niech przywiozą wszystko, kiedy tylko będą gotowi.

Connie kiwa głową i dalej rozmawia przez telefon.

— Coś mi się zdaje, że dobiejecie do pięciuset jeszcze przed dwudziestą pierwszą — prognozuje Mark.

Julia przygryza wargę, chyba myśli o tym samym.

— Jak uważasz, co powinnam zrobić? — pyta.

Mark potrzebował chwili, by zrozumieć, że Julia właśnie poprosiła go o pomoc. Nie pytała go o zdanie od czasu śmierci Josha, sama podejmowała wszelkie decyzje, miał szczęście, jeśli w ogóle go o nich informowała, o konsultowaniu czegokolwiek nie było mowy.

Myślał, że jego opinia nie ma już znaczenia, w każdym razie dla niej.

Zastanawia się. Nie ma pojęcia, ile osób ma zakwas i kto jeszcze piecze tego wieczoru, ale zdaje się, że Julia chce być przygotowana.

— Potrzebujesz więcej ludzi. Do pomocy w inwentaryzowaniu przywożonych bochenków chleba i ładowaniu ich do samochodów, ciężarówek czy co tam macie; potrzeba więcej pudeł, kierowców i ludzi, którzy rozładują to w Barrett, a potem pokroją i będą rozdawać. Czerwony Krzyż na pewno ma pracowników, ale oni będą zajęci, lepiej nie przysparzać im pracy, jeśli można tego uniknąć.

Julia kiwa głową pogrążona w myślach.

— Jeśli będzie to trwało całą noc — mówi dalej Mark — musicie pracować na zmiany, ludzie potrzebują snu. Lepiej, żebyście mieli zbyt dużo ludzi do pomocy niż za mało.

— Masz rację. Muszę zadzwonić do kilku osób. — Julia energicznie podchodzi do komputera. Zatrzymuje się, a potem odwraca się do męża, nagle

onieśmielona.

— Pewnie nie będziesz mógł zostać, prawda? Musisz iść jutro do pracy...

— Zostanę z przyjemnością — odpowiada szybko. To coś nowego, nie chce tego zepsuć. — Mówiłaś, że mam coś przenieść?

— Jest kilka skrzynek w salonie, Connie ci pokaże. To ta dziewczyna ze stojącymi włosami. — Julia pokazuje na swoją głowę i uśmiecha się.

— Dobra. Idę.

— Mark?

— Tak? — Jego serce wali bardzo mocno, Julia na pewno to słyszy.

— Dziękuję ci.

Rozdział 23

Od chwili, gdy kobiety postanowiły piec chleb dla Barrett do momentu, gdy wiadomość rozeszła się po Avalóme, upłynęły trzy godziny.

Do Russella Rogera zadzwoniła żona dokładnie w chwili, gdy kończył swoją rundę. To było fatalne ostatnie dziewięć dołków i właśnie miał pójść do baru w klubie golfowym i zrelaksować się, porozmyślać nad swoją żalną kartą wyników.

— Musisz pojechać do sklepu — oznajmiła. — Natychmiast. — I podyktowała mu listę zakupów, wszystko w jakichś nieludzkich ilościach.

— Na miłość boską — wymamrotał, wsuwając do torby kij. — Kobieto, to nie jest dobry moment.

— To jest idealny moment, Russell. Myślisz, że nie wiem, iż wymknąłeś się, żeby pograć w golfa? I to przy całej tej tragicznej powodzi!

No tak, to by wyjaśniało, czemu pole było cholernie mokre. Chociaż właściwie powinno było wyschnąć.

— Bądź w domu najpóźniej za godzinę. Przyjdą panie z kółka robótek, będziemy piec dla Barrett. Nie spóźnij się. — I odłożyła słuchawkę.

W sklepie Russell natrafił na spory tłumek w dziale z artykułami do pieczenia. Właśnie wyciągnął rękę do ostatniej torby mąki, gdy stanęła przed nim uśmiechnięta słodko dziewczynka. — To moja mąka — poinformowała go. Wiedział, że nazywa się Winifred Leary i ma sześć lat.

— Czemu wobec tego nie jest w twoim wózku?

— Bo jest za ciężka. Czekam na siostrę, żeby mi pomogła. — Położyła rękę na torbie gestem właściciela.

— A gdzie ona jest? — Rozglądał się.

— Poszła po mleko.

Russell nie miał zamiaru narazić się na ochrzan od żony.

— Na pewno zaraz doniosą więcej. Ja wezmę tę mąkę, a ty poprosisz tego miłego pana, żeby przyniósł nową.

— Wskazał przyszczatego nastolatka w koszuli z logo sklepu i obowiązkowym daszku, odpowiadającego na pytania.

— Piecze pan dla Barrett? — spytała Winifred.

On nie, ale jego żona owszem, więc na jedno wychodzi.

— 'lak. — skrzywił się lekko. .

— Aha. Ja też.

Impas. Russell zdał sobie sprawę, że ta mała dziewczynka go przetrzyma; czemu jej siostra tak długo nie przychodzi?

— Przykro mi, proszę państwa, ale mąka nam się skończyła — ogłosił młody pracownik, rozglądając się nerwowo. — Dzwoniliśmy do Pick & Save, mają

jeszcze dużo mąki,

Russell nie ma czasu, żeby jechać do Pick & Save.

— Zawrzyjmy umowę — proponuje dziewczynce. — Kupię ci batonika, a ty dasz mi tę torbę. Oboje będziemy wygrani.

— Moglibyśmy się nią podzielić. — Winifred jakby go nie słyszała. — Oboje pieczemy chleb przyjaźni amiszów i możemy rozdzielić tę torbę.

Russell jest zбитy z tropu. Niby jak mieliby to zrobić?

— Możemy wziąć reklamówkę przy kasie. Zgoda?

— Wyciąga do niego małą rączkę.

Russell nie wie, jak jego żona zareaguje na reklamówkę pełną mąki, ale czy ma jakiś wybór?

— Zgoda. — Ściska jej rękę, a potem wkłada mąkę do swojego wózka i idą szukać siostry dziewczynki.

Ervin Holder zwykle pracuje w dziale produkcji w Pick & Save, układa owoce, wybiera stare albo kroi inne klientom do spróbowania. Ale gdy nikt nie odpowiedział na wezwanie do rzędu szóstego, szef kazał mu iść i pomóc.

Jest zdumiony tłumem ludzi — blokują przejście, zgarniają produkty z półek. W pierwszej chwili myślał, że może coś się stało i ludzie rzucili się robić zapasy, ale szybko zauważył, że tłoczą się jedynie w dziale artykułów do pieczenia, nie kupują wody czy papieru toaletowego jak tydzień temu, gdy miasteczku groziła powódź.

— Komitet rodzicielski zbiera się, żeby piec dla Barrett chleb przyjaźni — informuje go Cordelia Gutierrez. Jest przewodniczącą stowarzyszenia nauczycieli i rodziców avalońskiego liceum, gdzie ma dwóch nastolatków. — Potrzebuję dziesięć dwukilogramowych toreb cukru. Macie więcej na zapleczu?

— Ee... pójdę zobaczyć...

Bridget Gholston, kosmetyczka z Niegrzecznych paznokci, woła do Ervina z działu budyniów:

— Nie macie już francuskiej wanilii? Wolę francuską od zwyczajnej. — Stuka jaskrawoniebieskimi paznokciami w puste miejsce na półce.

Lila Schneider patrzy na swój koszyk wypełniony opakowaniami budyniu w proszku.

— A czym się różni od zwyczajnej? — pyta.

— Ma bardziej intensywny smak — wyjaśnia Bridget.

— A także ciemniejszy kolor, chociaż w upieczonych bochenkach tego nie widać.

Lila zastanawia się. —

— 1 do tego używasz jeszcze esencji waniliowej?

Bridget kiwa głową.

— Nawet dodaję łyżeczkę więcej. Wiesz, mężczyźni uwielbiają wanilię

— uśmiecha się znacząco i mruga, Lila chichocze.

Mona Coulson prychnęła. Stoi na czele kobiecego stowarzyszenia awa-lońskiego Kościoła Chrześcijan Baptystów i dobrze wie, co sądzić o Bridget.

— My pieczemy chleb przyjaźni amiszów dla Barrett — mówi Mona, akcentując „my” w sposób wyłączający Bridget.

Bridget uśmiecha się do niej słodko.

— Czy to nie miłe? Ja również.

Mierzą się wzrokiem nad wózkiem Liły Schneider.

Lila mruży oczy, podchodzi do swojego wózka i chce go przesunąć, ale Mona i Bridget blokują drogę z obu stron.

— Przepraszam...

Bridget kładzie rękę na wózku Liły, rzuca Monie twarde spojrzenie.

— Chyba nie chciałaś przez to powiedzieć, że takie poganki jak ja nie powinny piec chleba dla Barrett, co, Mona? — Bridget zna Monę bardzo dobrze. Po pierwsze, rok w rok z okazji świąt Bożego Narodzenia widuje jej zdjęcie w gazecie w specjalnym dziale „Kościelne podsumowanie”, po drugie, w liceum były najlepszymi przyjaciółkami.

— Mówię tylko, że podczas gdy jedni zastanawiają się, jak pomóc potrzebującym, inni myślą wyłącznie o tym, jak zaciągnąć mężczyznę do łóżka.

W oczach Bridget zapala się błysk.

— Przede wszystkim, Mężczymono, piekę ten chleb właśnie dla potrzebujących, a ponieważ niektórzy z nich to mężczyźni, na pewno nie będą mieli nic przeciwko odrobinie uspokajającej wanilii. Kobietom również nie powinna ona przeszkadzać.

— Wanilia jest zapachem kojącym i relaksującym — wtrąca Lila. — Mam w domu kilka świeczek o zapachu wanilii...

Bridget podnosi rękę, uciszając Lilę.

— A po drugie, nie muszę zastanawiać się, jak zaciągnąć mężczyznę do łóżka, ja wiem, jak to zrobić. W przeciwieństwie do niektórych — prycha.

Mona otwiera usta.

— Co... ja... ty...—jąka się.

— I po trzecie, nie robię tego z powodu niedojrzałej potrzeby bycia uznawaną za świętą, podczas gdy wszyscy i tak wiedzą, jaka jest prawda —

wycodziła Bridget z pasją, krzyżując ramiona i cisnęła Monie pogardliwe spojrzenie.

Mona zamknęła usta, jej policzki płonęły.

— Ja nie wiem — odezwał się Roy Banes, mechanik, który pomagał żonie robić zakupy i obserwował ten incydent z zainteresowaniem.

— Ja też nie — dorzuca Wiley Brown, kierowca miejskiej cysterny na wodę.

Patsy Jones nie stoi po stronie żadnej z tych kobiet; pomagała w kilku kościelnych kiermaszach i wie, że Mona potrafi być denerwująco protekcyjna. Wszyscy jesteśmy dziećmi bożymi, Bridget też, nawet jeśli pracuje w miejscu promującym grzech i uprzedmiotowienie kobiety, a Mona zachowuje się, jakby była wybranką.

— Ja też nie — poprawia Wileya i ma ochotę ugryźć się w język — zabrzmiało to, jakby również chciała się dowiedzieć, a wcale nie chce. Jeśli coś ma zostać powiedziane, to przecież każdy może posłuchać, to miejsce publiczne, prawda? No i nie skończyła jeszcze zakupów.

— Po prostu śmieszne. — Nozdrza Mony drgają. — Nikt ci nie uwierzy, Bridget, to sami porządni ludzie, nie są zainteresowani złośliwymi plotkami.

Bridget nie mówi nic, ale na jej twarzy pojawia się satysfakcja, gdy widzi, jak Mona się skręca.

— No? To o co chodzi? — dopytuje się niecierpliwie Roy. — Nie mamy całego dnia! — Jego żona ściska go za ramię, ale żadne z nich się nie oddala.

Bridget unosi brew.

— No i co, Męczona, jak będzie? Dasz sobie spokój ze swoim poczuciem wyższości czy mam powiedzieć tym porządnym ludziom, do czego doszło — a raczej, do czego nie doszło — między tobą i twoim nauczycielem wuefu, panem Grabowskim, gdy byliśmy w dziesiątej klasie?

Przez tłum przelatuje szmer zdumienia.

— Bridget Avery Gholston, obiecałaś! — Głos Mony wibruje. — Obiecałaś, że nigdy o tym nie powiesz!

— To ma być żart? — Bridget patrzy na nią z niedowierzaniem. — Kpisz sobie ze mnie? Mamy czterdzieści lat, a ty nie odzywasz się do mnie, odkąd skończyłyśmy osiemnaście! Ignorujesz mnie na spotkaniach klasowych, nie zauważasz na ulicy, a przecież byliśmy najlepszymi przyjaciółkami!

— To nie po chrześcijańsku — wtrąca Patsy.

— A ja przez te wszystkie lata nigdy nikomu nie zdradziłam twojej tajemnicy. Czy powiedziałam komukolwiek? — Rozgląda się po tłumie. — Powiedziałam?

Wszyscy kręcą głowami.

— To co, spała z nim, tak? — zgaduje Wiley.

— Nie, nie spała! — warczy Bridget.

— No to...

— Nie zrobiłam nic — mówi Mona głośno. — On nie chciał. Nie mógł. — Miażdży Bridget wzrokiem. — Zadowolona?

Bridget ogląda swoje paznokcie.

— Nie do końca. Mile widziane byłyby przeprosiny — za wszystkie lata afrontów i traktowania mnie z góry.

Mona przewraca oczami, ma zaciśnięte usta.

— No, daj spokój — namawia Roy. — Przepróż ją i skończmy z tym. Niektórzy chcieliby obejrzeć telewizję po południu. — Żona wbija mu łokieć w żebra. — Auć! To znaczy, piec chleb dla Barrett. — Rozciera bolące miejsce.

— No, śmiało...

— Przepróż ją.

— Powiedz, że ci przykro.

— Byłoby naprawdę miło, gdybyś powiedziała, że żałujesz — odzywa się Lila słabo.

Nawet Ervin, pracownik sklepu, kiwa głową.

Mona wypuszcza powietrze.

— No dobrze.

Bridget stuka stopą.

— Czekam.

— Przepraszam, Bridget, że zachowywałam się wobec ciebie nie po chrześcijańsku przez te wszystkie...

— Och, na litość boską, Mona! — woła zirytowana Bridget.

— Dobrze! Przepraszam, że byłam zarozumiała — mówi szybko, z westchnieniem ulgi.

Rozlega się szmer aprobaty, wszyscy się uśmiechają, nawet Bridget.

— No widzisz, to wcale nie było takie straszne, prawda? Byłoby miło, gdybyś uroniła kilka łez, ale i tak jest w porządku. Przyjąłabym twoje zaproszenie na pieczenie tego popołudnia, ale obawiam się, że mam już inne plany.

Na twarzy Mony maluje się ulga, Lila ma chyba łzy w oczach.

— Tak się cieszę, że wszystko się wyjaśniło!

Mona rzuca jej ostre spojrzenie, a Bridget klepie delikatnie dłoń Lili.

— Jesteś śliczna, ale twoje skórki przy paznokciach są w strasznym stanie. Może przyjdiesz w przyszłym tygodniu i spróbowałybyśmy coś z tym zrobić? Mogłabym ci również doradzić jakiś zakup. Mamy świeżą dostawę silikonowych króliczków; wiesz, co to jest? — Lila kręci głową. Pcha swój wózek za Bridget w stronę kasy, a Mona zostaje, wpatrując się w sufit. Jest zła, ale zarazem lżej jej na sercu.

Wiley Brown patrzy na kobiety, które studiują listy zakupów, biorą z półek te same rzeczy: mąkę, cukier, budyń w proszku. W wózkach mają mleko i jajka, wszystkie rozmawiają o chlebie przyjaźni amiszów.

Wiley przyszedł właściwie tylko po mleko skondensowane, które zwykle dodaje do kawy i do zupy, czasem do pieczeni rzymskiej i ziemniaków piure. Jest kawalerem i potrafi sobie sam ugotować, chociaż nie są to jakieś wymyślne potrawy.

— Co się dzieje? — pyta kobietę przed nim. Ta podaje mu kawałek

papieru i wyjaśnia, o co chodzi. Brzmi interesująco, ale on nie ma zakwasu i chyba jest już za późno, by się w to włączył.

Cordelia Gutierrez wyczuwa jego wahanie.

— Ludzie zbierają się w szkolnej stołówce — wyjaśnia.

— Zakwasu i składników mamy pod dostatkiem, tym, czego potrzebujemy, są ludzie, którzy pomogą mieszać i piec.

Wiley prostuje się. Wie o powodzi w Barrett, część jego trasy biegnie tamtędy.

— Umie mieszać i piec — oznajmia.

— A więc, jeśli możesz poświęcić kilka godzin dziś wieczorem, byłoby bardzo miło.

— Nie ma sprawy. O której mam być?

Cordelia patrzy na zegarek zaskoczona, że już jest piąta.

— Jak najszybciej, ale tak czy inaczej będziemy piec całą noc.

Mógłby skoczyć do delikatesów i wziąć kilka pieczonych kurczaków, a potem pojechać do szkoły. Na szczęście wziął prysznic od razu po powrocie do domu.

— W takim razie do zobaczenia — mówi.

Rhea Higbee, kasjerka w Pick & Save, przez całe popołudnie nabija na kasę te same produkty. Teraz ma przerwę, ale zamiast pójść na papierosa, dzwoni do siostry.

— Dawn, to ja. Słuchaj, dzieje się coś dziwnego...

Travis Fields stoi na schodach, gotując się ze złości.

— Teraz? Nie sądzisz, że to trochę za późno, by odwoływać randkę? Zrobiłem rezerwację na dwudziestą!

— W Pizza Shack czy w pubie sportowym w Digby?

— pyta ironicznie Dawn Perry. Zdjęła buty na obcasach i szukała tenisówek. Jeszcze skarpetki; grzebie w koszu z praniem w holu, znajduje jedną parę.

— Myślałem, że lubisz Pizza Shack... — Travis chce wejść do domu, ale Dawn go powstrzymuje.

— Wychodzę, Travis, nie ma sensu, żebyś wchodził.

— Zdejmuje wiszące kolczyki i zmywa część makijażu mokrą chusteczką.

Po co właściwie tak się stroi na randki z Travisem? I czemu w ogóle się z nim umawia? Chyba dla zabicia czasu.

— Powinnaś była mnie uprzedzić. — Travis nadąsał się.

— Nie traciłbym czasu, żeby po ciebie przyjechać.

— Pięć minut z drukarni? Nawet się nie przebrałeś

masz ślady kleju na rękach! — Wyjmuje kurtkę z szafy.

— Poza tym, sama dowiedziałam się przed chwilą, całe miasto

zaoferowało pomoc.

. Travis marudzi, jakby jej nie słyszał.

— Robiłem notesy. Klinika zamówiła nowe bloczki recept, dwadzieścia zestawów po sto kartek!

— To wspaniale. — Dawn gasi wszystkie światła, zamyka za sobą drzwi, przekręca klucz. Travis z urażoną miną odrywa z palców paski zaschniętego kleju. Powinna zacząć umawiać się z kimś lepszym. — A teraz przepraszam cię, ale idę pomóc w pieczeniu chleba.

— Dasz sobie radę? — Frances Latham schodzi na palcach po schodach, jej mąż za nią.

— Jak najbardziej.

— Powinam być za kilka godzin, może trochę później, jeśli będą mnie potrzebować. Wyślę ci esemesa, żeby telefon nie obudził dzieci.

— Tych drabów? — Jej mąż, Reed, wskazał pokój, gdzie śpi trójka chłopców w wieku siedmiu, czterech i dwóch lat. — Będą spać do rana jak zabici.

— Dobrze — Frances chce wziąć pudło ze składnikami, ale Reed odsuwa ją.

— Ja to wezmę. To drugie też.

Idą do garażu i Reed ładuje pudła do samochodu.

— Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować.

— Dobrze. Będę u Madeline, to niedaleko. Aha, i zostawiłam kilka kawałków chleba przyjaźni w kuchni na blacie.

— Dzięki. — Reed całuje żonę. Po piętnastu latach wciąż kocha ją najbardziej na świecie. Całe popołudnie piekła dla Barrett w domu, przy nieustannej asyście dwóch młodszych szkrabów, usiłując zrobić z tego dobrą zabawę i włączyć ich do pracy. Teraz jedzie do herbaciarni, gdzie wszyscy zwożą chleb, chce pomóc przy pieczeniu

koordynacji całej akcji.

Reed uwielbia swoją żonę, zawsze tak było i zawsze będzie, ale dzisiaj ujrzał ją w nowym świetle. Frances jest gotowa poświęcić się — dla ich dzieci, dla ich małżeństwa, nawet dla ich miasta.

Pomaga jej wsiąść do samochodu, zamyka drzwi. Frances włącza silnik i opuszcza szybę, spogląda pytająco na męża, który ma taką minę, jakby coś ukrywał.

— No?

— Wiesz, te wszystkie informacje o adopcji, które przyniosłaś do domu... — mówi Reed. — O Chinach...

— Artykuły i książki o adopcji chińskich dzieci leżały porozkładane w całym domu od tygodni.

Frances spogląda na niego przepaszająco.

— Przeczytałem to wszystko. I myślę, że powinniśmy to zrobić.

— Naprawdę? — Frances łapie go za rękę. — Mówisz poważnie?

Reed śmieje się.

— W każdym razie powinniśmy się temu przyjrzeć. Porozmawiać z chłopcami, pójść na jedno z tych spotkań informacyjnych...

— Ma się odbyć w bibliotece publicznej w Rockport w przyszłym miesiącu.

Reed uśmiecha się szeroko.

— Wiem, widziałem. Teraz jedź, porozmawiamy o tym później. Możemy zapisać się na spotkanie informacyjne jutro. Daj znać, kiedy będziesz wracać.

— Dobrze — całuje go. — Kocham cię — mówi z żarem. Ma mokre oczy.

Reed uzmysławia sobie, że on również ma łzy w oczach. Patrzy na tylne światła samochodu, znikające w chłodnej ciemności nocy. Planował zająć się dokumentami z pracy, ale może zamiast pracować, weźmie sobie szklankę mleka i chleb przyjaźni i przejrzy jeszcze broszury.

Rozdział 24

Do dziesiątej wieczór napłynęły sześćset dwadzieścia trzy bochenki.

Rozdział 25

Do półocy — tysiąc.

Rozdział 26

O drugiej trzydzieści rano jest dwa tysiące czterysta dziewiętnaście bochenków.

Rozdział 27

— Nastawię więcej wody na herbatę — zapowiada Con — nie i dodaje z przepraszającym uśmiechem: — 1 kawę.

— Na litość boską!

Wszyscy odwracają się w stronę schodów, gdzie na górze stoi zszokowana Madeline. Jest przebrana i wypoczęta, czego Julia nie może powiedzieć o sobie.

— Albo zrobię tylko herbatę — poprawia się szybko Connie.

— Chyba Madeline chce powiedzieć, że operacja „Chleb przyjaźni” odniosła sukces — odzywa się Julia. Podchodzi szybko do Madeline, sprowadza ją po schodach, relacjonując szczegóły minionej nocy. — Ludzie wciąż przynoszą chleb, spodziewamy się jeszcze kilku dostaw, zanim wyruszymy do Barrett.

Madeline kręci głową z niedowierzaniem.

— To niemożliwe — powtarza w kółko.

— Wiem. Przynoszą nie tylko chleb. Mamy koce, ubrania, zabawki, pieniądze. Każdy przynosi, co może. — Julia gestem przywołuje Marka. Podchodzi nieśmiało, jakby zdenerwowany, Julia bierze go za rękę.

— Madeline, to mój mąż, Mark.

— Mark! — Twarz starszej pani rozjaśnia się, gdy Mark niezręcznie potrząsa jej dłonią, a potem ostrożnie cmoka w policzek.

— Miło cię wreszcie poznać, Madeline.

Kobieta ujmuje jego dłonie i patrzy na niego serdecznie.

— Wzajemnie. Widzę, że wszyscy potrzebujecie czegoś treściwego do zjedzenia. Idę do kuchni, zrobię omlety z pieczonymi ziemniakami.

— Może lepiej coś prostego — sugeruje Julia. — To będzie pracowity ranek.

Madeline zbywa komentarz Julii machnięciem ręki, po chwili już rozmawia z trzema kobietami w kuchni, które wciąż pieką.

Wchodzi Hannah, ciągnąc wiononczelę.

— Kurcze, jak to dobrze, że mieszkam tuż obok — mówi zasapana. Futerał ma kółeczka, ale i tak jest zbyt ciężki dla tej drobnej kobiety. — Wzdłuż jezdni pod moim domem stoją zaparkowane samochody, nie mogą wyjechać z podjazdu. Uznałam, że będzie łatwiej znaleźć jakiś transport już stąd.

— Nic się nie martw, Hannah, jesteś najważniejsza, dostarczymy cię tam na pewno. — Julia śmieje się, ale gdy zerka na listę, marszczy brwi. Zabraknie kierowców. Każdy, kto mógł pomóc, już to robi.

— Zobacz, kogo znalazłem — mówi Mark.

Julia podnosi oczy i widzi Liwy i Toma. Siostra usiłuje się uśmiechnąć, ale jest zdenerwowana, strzela oczami na boki, słuchając kakofonii głosów. Tom stoi wyprostowany, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Wygląda, jakby spodziewał się

najgorszego, ale nie miał zamiaru się poddać. Tom i Liwy zawsze byli tą młodszą parą, nie tylko ze względu na wiek, ale również z uwagi na podejście do życia. Ich lekkomyślność, nieprzejmowanie się konsekwencjami czy wariacka spontaniczność zawsze doprowadzały Marka i Julię do szału. Ale teraz ta różnica poważnie się zmniejszyła. Oto stoją tu, czworo dorosłych, powiązanych wspomnieniami i bólem, patrzących na siebie niepewnie i niespokojnie. Wszyscy zdają się czekać na reakcję Julii, na jej decyzję, co będzie dalej.

— Liwy. — Julia jakoś odzyskała głos. — Tom... — Tylko tyle, ale to wystarczy, Tom robi krok do przodu i niepewnie całuje Julię w policzek.

— Przyszliśmy, żeby pomóc — tłumaczy się, odchrząkując. — Z tym całym chlebem.

Julia jest zaskoczona. Tom, zawsze niechętny takim akcjom, był ostatnią osobą, która zgłosiłaby się do pomocy. Należał do tego rodzaju gości, którzy nigdy nie pomyślą o tym, że mogliby odnieść talerze do kuchni, którym nie przyjdzie nawet do głowy, żeby coś takiego zaproponować. Liwy zawsze miała problem, żeby skłonić go do wyniesienia śmieci... Nedorosły, niedojrzały, nie nadawał się na partnera dla Liwy i zarazem pasował do niej idealnie. Teraz, widząc jego rękę obejmującą ramiona żony, Julia dochodzi do wniosku, że tym dwojgu dobrze się układa i ku własnemu zaskoczeniu, jest z tego powodu szczęśliwa.

— Chcieliśmy przyjechać wcześniej, ale Tom nie mógł mnie dobudzić. Śpię jak zabita, od czasu... No, nieważne. Co możemy zrobić? To znaczy, jeśli chcecie, żebyśmy pomogli — dodaje niepewnie.

— Tak — mówi Julia z przekonaniem i dotyka ręki Liwy. — Chcemy.

— Dobrze. — Liwy uśmiecha się dzielnie. — Czego potrzebujesz?

Czego Julia potrzebuje? Jak odpowiedzieć na takie pytanie? Mark odpowiada:

— Najbardziej kierowców. Możecie zawieźć chleb inne rzeczy do Barrett razem z nami?

— Mamy tylko jeden samochód — wyjaśnia Tom. — Hondę. Liwy może prowadzić, a ja mógłbym zrobić coś innego...

— Możesz wziąć mój samochód. — Mark szuka kluczyków. — Załaduj wszystko i jedź. A ja zostanę tu, w sztabie.

Tom bierze kluczyki, obaj mężczyźni uśmiechają się do siebie.

— Brakowało mi cię, stary — mówi Tom.

— Mnie ciebie też. — Mark klepie go po ramieniu. — Chodź, pokażę ci, gdzie co jest.

Julia chciałaby porozmawiać z Liwy, ale wokół tyle się dzieje, że jedynie bezradnie rozkłada ręce, gdy Liwy idzie za Tomem. Liwy uśmiecha się. „Później” — mówi jej spojrzenie. A może jest w nim coś jeszcze?

„Wszystko będzie dobrze”.

— Następna dostawa — woła Mark do Julii.

Od tego momentu ludzie wchodzą i wychodzą bez przerwy. Znajomi i nieznajomi przynoszą pojedyncze bochenki, torby z bochenkami, nawet całe pudła. Mary Winder i jej partnerki od bunco, Phyllis Watts i Roxy Hicks z posterunku policji; Bernice Privott i Koji Takahashi wręczają Julii sześć bochenków chleba, jeszcze ciepłych. Clinton Becker przyszedł ze swoją córką Juniper, która pomaga Debbie Reynolds pchać wózek Jessiki. Na kolanach Jessiki jest kosz pełen chleba.

Cordelia Gutierrez i Wiley Brown informują, że mają pięć koszy po czterdzieści bochenków (w sumie dwieście bochenków) w pikapie Wileya.

Jakoś tak samo wyszło, że Julia wita przybyłych, a Mark i Connie przenoszą chleb na tył. Pojawiają się chwile niezręczności, gdy przychodzą ludzie, których Julia unikała albo którzy unikali jej, ale szybko mijają, zwykle kończąc się uściskiem i obietnicą utrzymania kontaktu. Nie miała pojęcia, że będzie w stanie grać rolę gospodyni, odnawiać stare znajomości, ale zachęcający uśmiech Madeline i Hannah pozwala jej utrzymać się w tej roli.

Connie proponuje, że ją zastąpi, przygotowała dla niej jedzenie, ale Julia nie ma czasu. Kobiety pracują ramię w ramię, dziękują ludziom i zapisują kierowców, aż do chwili, gdy do salonu wchodzi Sandra Linde i jej syn, Peter.

— Sandra... — Julia czuje, że jej podkrecona adrenaliną euforia opada. Sandra wygląda bardzo dobrze, jak matka, której dzieci zaczęły dorastać. Ma wreszcie czas dla siebie, może pójść fryzjera, może się wyspać. Trzej chłopcy już wyprowadzili się z domu, został tylko Peter, przyjaciel Josha, który teraz ma piętnaście lat.

— Julio. — Kobiety patrzą na siebie, nie wiedząc, co powiedzieć. Niegdyś były przyjaciółkami, na zmianę podwoziły chłopców do szkoły, umawiały się na wspólne zabawy, porównując ostatnie zadrapania i siniaki swoich synów. — Jamie mówił, że spotkał cię, rozwożąc paczki. Miałam zadzwonić, ale...

— W porządku — mówi Julia. Nie ma pretensji do Sandry o to wahanie. Upłynęło dużo czasu, a Julia nie ułatwiała zadania tym, którzy chcieli pozostać z nią w kontakcie. — Cieszę się, że cię widzę.

— Ja również. Pamiętasz Petera? — Sandra czerwieni się nagle. — Oczywiście, że pamiętasz. Peter, przywitaj się z panią Evarts.

Peter niemal dorównuje wzrostem Julii. Nie jest już tyczkowaty, nie jest już tym dzikim chłopaczkiem, który razem z Joshem roznosił cały dom, niszcząc wszystko na swojej drodze. Teraz wygląda bardziej jak mężczyzna; Julia nie może oderwać od niego wzroku.

— Dzień dobry — mamrocze. Patrzy na Julię, potem odwraca wzrok.

— Peter, ależ ty urosłeś! — Julia usiłuje nadać wesołe brzmienie swojemu głosowi. — Ledwie cię poznałam.

— Dziękuję.

Sandra szturcha go lekko, Peter podaje Julii cztery bochenki chleba przyjaźni. Przyjmuje je z uśmiechem, a jej oczy nagle wypełniają się łzami.

Sandra grzebie w torebce, szukając chusteczki. Peter czuje się niezręcznie, Julia po prostu wyciera oczy rękawem.

— To była ciężka noc. Dzięki, że przyszliście.

— Zawsze do usług. — Sandra nagle łapie Julię za rękę. — Naprawdę. Przyjdiesz do mnie wkrótce? Albo ja przyjdę do ciebie. Tęsknię za tobą.

Julia kiwa głową, łzy spływają jej po policzkach. Sandra ściska ją mocno, potem obejmuje ramieniem Petera i wychodzą.

Mark podchodzi do niej.

— To Sandra i Peter?

Julia kiwa głową.

— Rany. — Mark mruga szybko, wygląda, jakby się dusił.

Madeline staje za nimi, dotyka ich ramion.

— Zdaje się, że mamy chwilę spokoju. Może zrobilibyście sobie przerwę, sprawdzili, jak tam Gracie?

Oboje kiwają głowami, Mark bierze Julię za rękę i idą po schodach na górę.

— Wygląda inaczej — mówi Mark. — A jednak tak samo. Prawda?

— Jest wyższy... — zaczyna Julia, ale słowa więzną jej w gardle. Każdy krok sprawia jej wysiłek, nogi ma jak z waty. Stare, jakże znajome uczucie bezkresnej rozpacz, nieszczęścia, wiecznego mroku i beznadziei powróciło. Myślała, że zostało w przeszłości, przerodziło się w odrętwienie, ale myliła się. To wszystko wciąż w niej było, w jej kościach, krwi, oddechu. Nic nie minęło. Przedtem wydawało się jej, że to nie do wytrzymania, teraz jest tego pewna.

A potem czuje mocny uścisk dłoni Marka. Zagląda mu w oczy i widzi w nich to samo. Nie było dnia od śmierci Josha, by Mark nie umierał obok Julii. Przetrwali i żyją nadal, chociaż każdy dzień bez ich syna był niczym mała śmierć, cios, który mógł ich zniszczyć.

Stojąc na górze schodów, Julia wybucha płaczem, Mark trzyma ją mocno w ramionach. Płaczą oboje, obejmując się mocno.

— Są jeszcze te czekoladowe lody z toffi? — wrzeszczy Edie do elektrycznej niani.

Odpowiedzią są zakłócenia.

— Richardzie, jesteś tam? Są jeszcze jakieś lody czekoladowe?!!! Odbiór.

Richard staje w drzwiach poirytowany.

— Edie, tłumaczyłem ci już. Elektryczna niania to nie krótkofalówka — ja ciebie słyszę, ale ty nie możesz usłyszeć mnie. I nie wrzeszcz, to urządzenie zbiera każdy szmer.

— Naprawdę?

— Naprawdę. — Wchodzi do pokoju z lodami w ręku.

— Ostatnie dwa. Kupię nowe pudełko po pracy.

— To muszą być Tofutti. Bez cukru, bez tłuszczu...

— Edie, wiem. — Odwija papierek i podaje jej lody, to samo robi ze swoimi, a potem siada obok niej na łóżku i włącza telewizor, żeby obejrzyć poranne wydanie wiadomości.

— ...W chwili, gdy ludzie najbardziej potrzebują wsparcia, zawsze znajdzie się ktoś gotów wyciągnąć pomocną dłoń. W tym wypadku to cała społeczność

— mieszkańcy sąsiedniego miasteczka, Avalonu, przyjechali tu dziś, aby podzielić się chlebem przyjaźni ami— szów z rodzinami i ochotnikami z Barrett, miastem, które w ostatnim tygodniu dotknęła powódź.

— Richard, weź głośniej! — Edie usiłuje usiąść.

— Połóż się albo wyłączę telewizor. A potem schowam pilota i skonfiskuję twoje lody.

— Ale...

Odsuwa pilota poza jej zasięg.

— JUŻ.

Edie kładzie się, narzekając.

Richard bierze głośniej i baryton reportera wypełnia sypialnię. Stoi przed centrum kultury w Barrett i wskazuje na rząd samochodów zaparkowanych wzdłuż ulicy.

— ..mieszkańcy Avalonu przyjechali, aby wraz z Czerwonym Krzyżem i innymi organizacjami zaoferować przyjaźń i wsparcie miasteczku Barrett. Siedem tysięcy trzysta czterdzieści dwa bochenki chleba przyjaźni amiszów są właśnie krojone i rozdawane wewnątrz hali. Chleb przyjaźni nie jest tak właściwie chlebem, to raczej ciasto, coś w rodzaju chleba bananowego...

— To moja historia! Opowiada moją historię! — Edie patrzy na Richarda z niedowierzaniem.

— Edie...

Reporter wchodzi do centrum rozrywki.

— ...Hannah Wang de Brisay, znana wiolonczelistka, do niedawna jeszcze grająca w filharmonii Nowego Jorku, umiła ludziom czas swoim graniem, zaś hojni mieszkańcy Avalonu roznoszą kawę, herbatę i chleb.

— Kamera robi zbliżenie Hannah ubranej w elegancką czarną suknię, grającej na wiolonczeli w zatłoczonym budynku, a potem podąża za reporterem, który idzie wzdłuż rzędu ludzi do początku stołu. — Pani Madeline Davis, właścicielka salonu herbacianego, i jej współpracowniczka Julia Evarts są mózgowi tej jakże szczodrej i kreatywnej operacji.

Madeline rumieni się i poprawia włosy, Julia wyjaśnia szybko:

— Nie jesteśmy współniczkami, przyjaźnimy się tylko, cały ten pomysł zaś wyszedł od Connie Colls i pań, które zbierają się regularnie u Madeline, żeby wymieniać przepisy i rady dotyczące chleba przyjaźni amiszów. Ten pomysł podchwyciło całe miasto i...

Reporter kiwa głową, prawie nie słuchając i odwraca się do kamery:

— A więc tak, proszę państwa: panie z Klubu chleba przyjaźni amiszów w Avalon i to — podnosi zamykany woreczek, patrząc w kamerę z miną: „dacie wiarę?”.

— Zwykła torebka zakwasu, która nakarmi dzisiejszego ranka całe Barrett. Mówił Alden Ortega z KGFO, na żywo z Barrett. Kevinie, oddaję głos do studia.

— To moja historia! — piekli się Edie. — Mam całe pudła wywiadów, notatek i badań! A teraz będzie o tym pisał pierwszy lepszy boleć! — Cisnęła pilotem. — Na przykład taka Lori Blair!

— Edie! — Richard łapie pilota i wyłącza telewizję. — Oboje świetnie wiemy, że nie ma takiej możliwości, żebyś mogła pojechać do Barrett i zrelacjonować tę historię dla „Gazette”. To niemożliwe. Musisz leżeć w łóżku, Edie, godząc się z tym, że świat zajmuje się swoimi sprawami bez twojego udziału.

— Ale Richardzie... — Zaczyna płakać, chowa twarz w poduszce. — To była moja historia, mój artykuł! Chciałam zrobić następne, całą serię...

— Edie...

— I co teraz? Nic nie zrobiłam, nic nie osiągnęłam! Będę miała dziecko i będę okropną matką. — Oboje o tym wiemy! Jestem reporterem, powinnam pisać, robić wywiady...

— Kochanie, posłuchaj tylko, co mówisz. — Richard bierze od niej lody i kładzie na serwetce. — Dlaczego nie chcesz zaakceptować możliwości, że możesz zostać wspaniałą matką, tak samo jak wspaniałą reporterką? I tylko z powodu rzeczy niezależnych od siebie w tej chwili musisz odłożyć dziennikarstwo na bok?

— Ale ja nie chcę nic odkładać! Czemu nie mogę robić obu rzeczy?

— Możesz. Tylko nie tak, jak sobie wyobrażasz. Sytuacja się zmieniła i oboje wiemy, że nie możesz biegać i pracować, w każdym razie nie przez kilka najbliższych miesięcy. A potem będziesz mogła robić to wszystko razem z dzieckiem.

— Cudownie. Niby jak? — mówi stłumionym głosem.

— Dzięki cudownemu wynalazkowi o nazwie nosidełko. Targałaś ponad dwadzieścia kilo w plecaku, gdy byliśmy w Beninie, więc nie sędzę, żebyś miała problem z noszeniem dziecka ważącego trzy i pół kilograma.

— Richard odrywa poduszkę od jej twarzy, odsuwa mokre włosy z policzków. — Nie smuć się, kochanie.

Edie pociąga nosem.

— Nie jest mi smutno, Richardzie. Naprawdę. Uśmiecha się dzielnie.

— No, to o co chodzi?

— O to, o to... że jest mi okropnie smutno! — Znowu zaczyna szlochać, wrywając mu poduszkę.

— Rozumiem, że było ci ciężko oglądać te wiadomości.

Edie odrzuca poduszkę.

— Po prostu... Siedem tysięcy bochenków?! To szaleństwo! Wszyscy pojechali do Barrett! Wiesz, jak ja teraz wyglądam? Jak nieczuła jędza!

— Nie wyglądasz jak nieczuła jędza.

— Mój artykuł ukazał chleb przyjaźni amiszów jako zakłócenie porządku publicznego, umieszczałam w „Gazette” listy ludzi, którzy opowiadali, jak denerwująca jest ta cała sprawa. Jako reporter powinnam była przedstawić wyważoną, obiektywną opinię — nie zrobiłam tego!

— Edie, to tylko chleb, a nie międzynarodowy traktat pokojowy.

— To nie jest tylko chleb. Nie rozumiesz? To miasto. Ludzie. To Avalon! — Leżące na serwetce lody zamieniły się w czekoladową kałużę. — Nie widzisz, jakie to niesamowite?

— Nie nadażam za tobą i zaczynasz mnie niepokoić.

Edie sięga po podkładkę do papieru i ołówek.

— Idź do pracy, Richardzie. I oddaj mi pilota, dobrze?

— Kładzie się na lewym boku i zaczyna coś pisać, niespodziewanie pogodna i spokojna.

Hormony — tłumaczy sobie Richard, podając Edie pilota i wyrzuca mokre serwetki do kosza. To tylko hormony. Widział to setki razy w czasie swojej praktyki medycznej — ciężarne kobiety, w jednej chwili szczęśliwe, a w drugiej wybuchające szlochem. No i jeszcze całe to poporodowe szaleństwo, które nieodmiennie następuje po narodzinach dziecka. Tłumaczył zaniepokojonym mężom, że to naturalne i nie ma powodu do niepokoju, ale teraz sam zaczyna się martwić. Przygląda się Edie, gdy ta mruczy coś pod nosem zadowolona, zastanawia się, a potem pisze. Podnosi na niego oczy i przesyła mu buziaka, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

O rany.

0 godzinie piątej siedemnaście jest cztery tysiące sześćset osiemdziesiąt jeden bochenków chleba przyjaźni amiszów.

to nie koniec.

— Jasny gwint. — Tylko tyle była w stanie powiedzieć Connie. Zasnęła o trzeciej nad ranem i obudziła się w otoczeniu stosów chleba.

— Dale Hodge z Pick & Save przesyła kolejne kartony — oznajmia Mark. Przespał się chwilę i sterczą mu włosy, ale nie ma czasu, by się uczesać, za dużo się dzieje. Ma teraz taki sam wyraz twarzy, jak wtedy, gdy Josh przyszedł na świat

po trzydziestu sześciu godzinach ciężkiego porodu.

— Wyruszamy za niecałe cztery godziny — mówi Julia, rozglądając się. Ochotnicy inwentaryzują napływające bochenki chleba albo drzemią po kątach. — Jak myślisz, ludzie już chyba nie pieką, prawda?

Mark ściska głowę rękami, próbuje się obudzić. Mruży oczy, a potem patrzy uważnie w okno.

— Myślę, że wciąż pieką.

Drzwi wejściowe otwierają się przy dźwięku dzwoneczka, wchodzi ludzie, taszcząc bochenki zawinięte w folię.

Rodzdział 28

Operacja „Chleb przyjaźni” odniosła ogromny sukces: dla mieszkańców Bar-rett zebrano osiem tysięcy dolarów w gotówce plus artykuły spożywcze i wiele innych rzeczy. Ponad pięćdziesiąt osób, mężczyzn i kobiet, z Ava— lonu spędziło w Barrett całe przedpołudnie, rozdzielając chleb przyjaźni amiszów, z wiolonczelową muzyką w tle. Wydawało się, że samym tylko chlebem przyjaźni da się wyżywić całe miasto, że zostanie nawet na dokładki.

Gdy wszyscy już wsiedli do samochodów i pojechali do domu, zmęczeni, ale szczęśliwi, nie byli przygotowani na samochody telewizyjne i wycelowane w nich kamery, czekające przed herbaciarnią. Cały kraj pragnął zobaczyć, jak wygląda w środku „Klub Chleba Przyjaźni Amiszów”, bo tak media ochrzciły salon Made-line. Connie uwielbiała to, podobnie jak wszyscy stali bywalcy, dumni ze swoich pięciu minut sławy, gdy przeprowadzano z nimi wywiady przed kamerami.

Już wcześniej interes szedł bardzo dobrze, ale teraz ludzie czekali, żeby dostać się do salonu. Connie przyjmowała rezerwacje, mieli nawet listę oczekujących. Hannah przychodziła, żeby pomagać, Madeline pozwoliła jej przejąć część obowiązków w kuchni, ustalać menu na dany dzień i wprowadzać nowe specjalności zakładu. Po ostatnim artykule w wiadomościach, z entuzjastyczną recenzją herbaty i jedzenia serwowanego w salonie, mają rezerwacje na trzy miesiące naprzód.

„Małe miasto o wielkim sercu” — tak wyraził się jeden z telewizyjnych prowadzących, zaś w „Chicago Tribune” pojawił się artykuł zatytułowany: „Szukasz przyjaciela? Jedź do Avalonu”.

— To jest dobre — powiedziała Julia po przeczytaniu.

— Dla nas wszystkich. Dla Avalonu.

Miasteczko cierpiało razem z resztą hrabstwa, ekonomiczny boom przeminął kilka lat temu — odrobina wsparcia i nieco turystyki pozwoli przetrwać ciężkie czasy. Jeśli nawet Avalon nie był dotąd zbyt przyjacielskim miastem, teraz już jest. Grupa mieszkańców jeździ regularnie do Barrett w ciągu tygodnia, żeby pomóc sprzątać, odbudowywać domy i szkoły — chociaż wozy transmisyjne już dawno odjechały. Julia myśli z radością, że każdy jest dumny z tego, co zrobili i co nadal robią, a ona jest dumna, że mieszka w takim mieście jak Avalon.

Madeline i Julia siedzą w ogródku za herbaciarnią, w cieniu miłorzębu. Madeline ma na sobie spodnie ogrodniczki, gotowa do pracy w ogrodzie. Jest piękny dzień, przypieka słońce, grają cykady.

Patrzy, jak Julia miesza cukier w swojej mrożonej herbacie.

— No więc... — zaczyna, chrząkając.

Julia zerka na nią, unosi brwi.

— Oho, to brzmi groźnie. Co planujesz, Madeline? — mówi żartobliwie, ale w jej głosie dźwięczy niepokój.

Madeline próbuje uśmiechnąć się zachęcająco do Julii, ale nie może. Myślała o tym dłuższy czas, zastanawiała się, jak to zrobić, co powiedzieć. Nie jest pewna, czy to, co powie, odniesie jakiś skutek, ale czuje, że sprawa jest zbyt poważna, by o tym nie mówić. Madeline nie wie, jak do tego delikatnie nawiązać, więc mówi wprost:

— Julio, jak tam wasza sytuacja rodzinna?

Julia uśmiecha się.

— Mark i Gracie mają się doskonale. Planujemy spędzić kilka dni w Chicago, na ulicy North Michigan jest sklep American Girl, w którym nigdy nie byliśmy. Chcemy dać Gracie wcześniejszy prezent urodzinowy. Oczywiście Mark chce pójść na Wrigley Field* zobaczyć, jak grają Cubsi; jeden z jego klientów ma...

— Miałam na myśli twoich rodziców. I siostrę.

Uśmiech Julii gaśnie.

— Och. — W skupieniu wyciera spotniałą szklankę.

— Chciałabym móc powiedzieć, że nie należę do wścibskich osób, ale obie wiemy, jaka jest prawda. — Madeline próbuje rozbawić Julię i nawet trochę jej się udaje. — Chcę dla ciebie jak najlepiej, kochanie, wierz mi, i wiem, że ostatnie kilka lat to dla ciebie trudny czas, bo stało się coś potwornego i strasznego. I mimo to chcę z tobą porozmawiać, bo wiem: masz do ofiarowania mnóstwo miłości i dużo możesz otrzymać. Tak bardzo chciałabym, żebyś to zrozumiała. Gdy wyszłam za Ste—vena, popełniłam błąd, ustępując Benowi. Odsuwałam się, gdy nie chciał ze mną rozmawiać, nie narzucałam się. Jeśli nie chciał, żebym była obok, odchodziłam. Utrzymanie z nim kontaktu wymagało ogromnego wysiłku, wydawało mi się, że on mnie nie chce, a ja miałam w sobie upór i dumę, i było mi łatwiej poddać się, niż walczyć.

Ale przez te wszystkie lata dowiedziałam się, że czasem odpychamy ludzi tylko dlatego, żeby nas przyciągnęli. Chcemy, żeby do nas przyszli, powiedzieli, że o nas nie zapomnieli. Chcemy, żeby udowodnili nam, jak bardzo im na nas zależy. Chcemy, żeby walcząc o nas, dowiedli swojej miłości. Masz rodziców i siostrę, którzy ciebie kochają, Julio. Pozwól im do ciebie wrócić, pozwól im dowiedzieć się, jak bardzo ich potrzebujesz.

Przez chwilę Julia nic nie mówi, siedzi ze spuszczoną głową. Madeline czeka.

— To nie jest takie proste, Madeline — szepcze. — Już powiedziałam rodzicom, że ich nie potrzebuję. Dałam im jasno do zrozumienia, że mnie zawiedli, bo, jak mi się wtedy wydawało, nie otrzymałam od nich wsparcia po śmierci Josha. A gdy przeprowadzili się na Florydę, poszli na łatwiznę. Wyjechali.

— To nigdy nie jest łatwe.

Julia zamyka oczy.

— To co mam teraz zrobić? Prosić, żeby mi wybaczyli?

— Zaciska ręce w pięści, głos jej drży.

— Nie. Musisz jedynie dać im do zrozumienia, że mogą wrócić.

— Madeline pochyla się i delikatnie rozchyła zaciśnięte dłonie Julii. — Nic tutaj nie jest ani dobre, ani złe. Oni zrobili tylko to, co uważali za słuszne, podobnie jak ty. A teraz... Co teraz, Julio? Wiem, że Mark i Gracie wystarczają do szczęśliwego życia, widzę to w twoich oczach i wiem, że kochają cię bardzo mocno. Ale wiem też, że mogłabyś mieć dużo więcej i chciałabym tego dla ciebie. Zaslugujesz na miłość, Julio. Nie tylko od swoich rodziców, ale również od Liwy.

Julia kręci głową.

— Nie, nie... Jest za późno, Madeline.

— Dlaczego?

— Przez cały ten czas obwinałam Liwy o śmierć Josha, bo nie rozumiałam...

— Czego, Julio?

Patrzy na nią oczami pełnymi łez.

— Nie rozumiałam, że śmierć Josha była moją winą. To ja jestem jego matką i to ja powinnam tam być, chronić go. — Płacze. — Powinnam się nim opiekować, a ja... zawiodłam.

— Nie, Julio — mówi twardo Madeline. — To nie jest niczyja wina. Najbardziej fundamentalne rzeczy w życiu — narodziny i śmierć — nie podlegają naszej kontroli. Ludzie poświęcają nieraz całe życie, próbując je kontrolować, ale to po prostu niemożliwe. Nawet jeśli nam się wydaje, że to my stawiamy warunki, tak nie jest. Taka jest trudna prawda. Może ci się to nie podobać, ale nie możesz z tym walczyć. Żaden człowiek nie jest do tego zdolny.

Potrzebujemy w naszym życiu innych ludzi i to wspaniale, gdy ci, którzy nas znali i kochali od dziecka, wciąż są częścią naszego życia. Twój rodzice, twoja siostra... Musisz spróbować ich odzyskać, Julio. Nie dlatego, że oni mogą nie chcieć próbować, ale dlatego, że już wiesz, jak bardzo tego pragniesz, dlatego, że żal ci każdej minuty bez tej radości — być w otoczeniu ludzi, którzy cię kochają. To niesamowita rzecz, Julio. I wiem, że ty o tym wiesz.

Zapada cisza. Madeline nie mówi już nic więcej, pozwala brzmieć tej niosącej nadzieję ciszy.

Julia ociera oczy i patrzy na bezchmurne, niebieskie niebo.

— Gdy zobaczyłam przyjaciela Josha tamtego ranka, gdy jechaliśmy do Bar-rett, zrozumiałam, jak Josh wyglądałby, gdyby żył. I poczułam taką złość, taką

wściekłość, że nie miał szansy grać w futbol, tak jak Peter, iść na studia, zakochać się. To takie niesprawiedliwe...

— Wzdycha ciężko. — Był taki piękny, Madeline. Miał identyczne włosy jak ja. Miał taki zniwalający uśmiech, zawsze udawało mu się wymigać od kary.

— Wyobrażam sobie.

Julia przetyka ślinę.

— Gdy Mark i ja poszliśmy na górę, pomyślałam: „O Boże, nie dam już rady wrócić na dół” — bo dawniej na pewno bym nie zdołała. Ale pół godziny później zesłałam i ładowałam rzeczy dla Barrett. I czułam się... może nie świetnie, ale nieźle.

Madeline kiwa głową, bierze za rękę Julię, gdy ta przygląda się pięknemu błękitowi nieba.

— Pamiętam noce, kiedy czułam, że zrobiłabym wszystko, wszystko, żeby tylko odzyskać Josha. Zamieniłabym się z nim bez wahania, żeby tylko miał szansę dorosnąć, przeżyć swoje życie, odnaleźć własne szczęście. — Głos jej drży. — Żeby tylko nie przeżywał tej chwili przerażenia i samotności, gdy umierał. Chciałabym, chciałabym... — Julia bierze głęboki oddech, wypuszcza powietrze. Madeline wie, że Julia myślała o tym dziesiątki razy i zawsze tak samo bolało, tak samo wybijało powietrze z płuc. — To najgorsze uczucie na świecie — gdy pragniesz coś zrobić, coś naprawić i wiesz, że nie możesz, nie możesz...

Zapada długa cisza, obie kobiety patrzą na ogród.

— Niektórych rzeczy nie da się naprawić — mówi Madeline. — Ale niektóre można.

Julia milczy.

— Zadzwoń do swoich rodziców, Julio. Zaproś ich do Avalonu. I odwiedź Liwy.

Madeline wie, że prosi być może o zbyt dużo, ale wie też, że Julię stać, by to zrobiła. Gdy ta uśmiechnęła się nikle i lekko skinęła głową, Madeline już wiedziała, że wszystko będzie dobrze.

Przyglądają się Connie, która rozmawia z ogrodnikami, pokazując coś na ziemi. Connie rozsądnie dysponuje ich budżetem i wreszcie mogą pozwolić sobie na wynajęcie ludzi, którzy zajmą się utrzymaniem terenu. Madeline bardzo to cieszy, cały czas miała wyrzuty sumienia, że ogród jest zaniedbany i niewykorzystany. Planują zrobić więcej ścieżek i ławek dla gości, dzięki temu mogłyby przyjmować więcej klientów, muszą się tylko zastanowić, czego potrzebują do serwowania jedzenia na świeżym powietrzu.

Madeline osłania dłonią oczy, obserwując Connie, która wyjaśnia, co trzeba ścinać, które rośliny usunąć. W tym momencie dziewczyna odwraca się i macha do nich, uśmiechając się radośnie. Awansowała na „kierownika herbaciarni”, sama zaproponowała Madeline ten tytuł, a ta od razu go zaakceptowała, z drobnym zastrzeżeniem: jeśli Connie będzie kiedykolwiek chciała wyprowadzić się ze swojego ponurego mieszkania nad Pizza Shack, Madeline chce, by wiedziała,

że będzie jej miło, jeśli Connie zdecyduje się zamieszkać z nią pod jednym dachem.

— Wiem, że to nic takiego — powiedziała, nie chcąc, żeby Connie obawiała się urazić jej uczucia. — Ale twój właściciel to taki okropny typ, a ja nie policzyłabym drogo za wynajem. Rozumiem, że spędzasz tu dużo czasu i być może nie zechcesz...

— Tak! — wykrzyknęła Connie, zarzucając Madeline ręce na szyję. — Dziękuję!

Wprowadziła się następnego dnia.

Teraz Madeline macha do niej, nalewa mrożonej herbaty do szklanki. Kobiety siedzą razem, ciesząc się spokojnym popołudniem, myśląc o swoich sprawach.

Hannah wyłania się z domu, odwiązuje fartuszek i siada obok nich.

— Ciasto z rabarbarem i truskawkami — mówi, na policzku ma smugę mąki.

— Jeśli chcecie spróbować kawałek, radzę się pospieszyć. — Odwraca twarz do słońca i uśmiecha się. — Aż trudno uwierzyć, że miesiąc temu groziła nam powódź. Niesamowite, że pogoda może się tak szybko zmienić.

To prawda... Madeline podaje Hannah szklankę z mrożoną herbatą, unosząc swoją do toastu. Spogląda na młode kobiety, które mają przed sobą tyle radości i miłości. Ona, Madeline, również. Życie jest nieprzewidywalne i chociaż boli ją świadomość, że straciła Bena na zawsze, usiłuje zachować optymizm. Nie dostała od niego żadnej wiadomości, może list nie doszedł, a może on sam nie chciał, by Madeline go znalazła?

Mogłaby się bardziej postarać, wynająć prywatnego detektywa albo coś w tym rodzaju, ale kiedyś już próbowała, bezskutecznie. Dlatego odmawia jedynie w nocy krótką modlitwę za niego, za jego bezpieczeństwo, zdrowie i powodzenie, za to, żeby odnalazł swoje szczęście. Ma nadzieję, że jeśli Ben kiedyś o niej pomyśli, poczuje, że ciągle jest obecny w jej myślach, w jej sercu. On jest dla niej ostatnią pamiątką po Stevenie, więcej, jest dla niej namiastką rodziny, namiastką dziecka

— dopiero teraz w pełni rozumie, jak bardzo on jej niegdyś potrzebował, ponieważ teraz ona sama go potrzebuje.

— Zróbmy wszystko, żeby każda chwila była niepowtarzalna.

Hannah, Connie i Julia patrzą na Madeline i kiwają głowami. Każda przeszła długą i wyboistą drogę, by dojść do dzisiejszego dnia, spotkać się tu, w Avalonie, w salonie herbacianym Madeline. Uniosły szklanki i stuknęły się, słowa Madeline dźwięczały im w uszach.

Gdy Julia podjeżdża do domu Liwy, czuje się tak, jakby ktoś uderzył ją w żołądek. Nie było jej tu, gdy Josh umierał i mimo to ciągle widzi go na tym

trawniku. Chciałaby odwrócić wzrok, ale nie może.

Wysiada z samochodu obładowana pojemnikami z jedzeniem; na podjeździe stoi obcy samochód. Zaskoczona naciska dzwonek, potem zagląda przez drzwi.

Dom jest pusty. Meble zniknęły, obrazy zdjęto ze ścian. W środku nie ma żywego ducha.

Julia czuje paniczny strach. Coś się stało, a ona to przegapiła. Czuje, że przyjechała za późno — drzwi są zamknięte, a Liwy nie ma.

— Liwy... — szepcze, a potem woła głośno: — Liwy!

— Co?

Odwraca się i widzi siostrę wychodzącą z za domu, w starym podkoszulku i spodenkach. Jest boso, niesie węża ogrodowego.

— Liwy! — Julia czuje taką ulgę, że nie wie, czy śmiać się, czy płakać. — Myślałam... Co się stało z waszymi rzeczami? Gdzie samochód? — Z trudem powstrzymuje pragnienie podbiegnięcia do Liwy i uściskania jej.

— Nasz samochód ma Tom, ten jest wynajęty. Długa historia. — Liwy usiłuje rozwinąć poskręcany wąż. — Tom dostał pracę w Faberville, naprawdę dobrą, więc się przeprowadzamy. On już jest na miejscu.

Julia czuje ucisk w piersi, nigdy nie przypuszczała, że Liwy może się przeprowadzić, zostawić Avalon, zostawić ją.

— Planowałaś mi o tym powiedzieć?

— Tak, tak, no pewnie. Ale wszystko wydarzyło się tak szybko, byłam zajęta chlebem przyjaźni... — Zniecierpliwiona Liwy odrzuca wąż na bok. — Zawsze chciałam mieć jeden z tych uchwytów do węży ogrodowych, przymocowany do ściany domu. A, mniejsza z tym — zirytowana kopnęła wąż.

Julia już ma zaoferować swoją pomoc w przeprowadzce, ale rozumie, że jest za późno. Nie na wszystko, ale na pewne rzeczy niewątpliwie. Przełyka ślinę i podnosi pojemniki z jedzeniem.

— Robiłam na obiad enchiladę z kurczakiem, przypomniałam sobie, że ją lubiłaś, więc zrobiłam więcej, dla ciebie i Toma. Jest hiszpański ryż, sałatka, deser...

— Jej głos cichnie.

Liwy waha się, ale tylko przez chwilę. Podchodzi do Julii i bierze pojemniki.

— Dzięki. Nie mam nic na kolację, świetnie się składa.

Siadają na schodkach ganku, Liwy otwiera pojemnik z enchiladą.

— Agentka nieruchomości powiesi informację o sprzedaży domu dopiero jutro

— mówi, biorąc tortillę palcami. — Nie chciałam, żeby robiła to, gdy jeszcze jestem w domu.

— A co z twoją pracą w „Gazette”?

— Co? A, zwolniłam się. Znajdę coś w Faberville.

— Jedną rękę odruchowo kładzie na brzuchu, drugą bierze jedzenie.

— Przepraszam, nie mam sztucców.

— Nie przepraszaj. Zrobiłam to dla ciebie, możesz jeść, jak chcesz.

— Julia rozgląda się. — Gracie mówiła, że oddaliście Patcha. Co się stało?

— Och, ciągle buszował na podwórku pani Lowry, rozkopując jej rabatki. Przeskakiwał przez płot, uciekał, a nie chciałam, żeby siedział uwiązany, gdy my jesteśmy cały dzień w pracy. Uzналиśmy, że powinien być w rodzinie, która ma czas, żeby się z nim bawić, żeby o niego dbać.

Josh uwielbiał tego psa.

— To był dobry pies. Tęsknisz za nim?

Liwy kiwa głową.

— Tęsknię. — Patrzy na jedzenie. — Pycha. Dzięki, Julio.

Julia podnosi liść z ziemi..

— Czyli co, Faberville?

— To przecież nie jest aż tak daleko. Dwie godziny jazdy samochodem.

— Może twojej jazdy — mówi Julia; do Faberville jest co najmniej trzy godziny. — Masz ciężką nogę, z tego, co pamiętam.

Liwy śmieje się.

— To prawda... — Bierze kilka kęsów i krzywi się.

— Przez ten ser będę miała wzdęcie.

Julia nie pamięta, żeby ser jej siostrze kiedykolwiek szkodził.

— Dlaczego?

— To przez ciążę, nabił rozwała mi układ trawienny. — Liwy zagląda do pojemnika z sałatką.

Julia mruga oczami.

— Jesteś w ciąży?

— Jutro minie szesnasty tydzień. Jeszcze jedna zaleta Faberville — mają dobry szpital. Oglądaliśmy oddział porodów rodzinnych, mają też prywatne pokoje i wanny do rodzenia w wodzie, wszystko. Planujemy kupić mniejszy dom, coś łatwiejszego w utrzymaniu niż ten olbrzym. Na razie wynajmujemy. — Częstuje Julię sałatką.

Siostry siedzą obok siebie w milczeniu, wyjmując palcami kawałki sałaty i plasterki pomidorów.

Julia zerka na brzuch Liwy, nieznacznie powiększony. Teraz, gdy już wie, czuje tę ostrożną czułość, jaką czuje się przy kobiecie spodziewającej się dziecka. Próbuje sobie przypomnieć, jakich produktów należało się wystrzegać. Miodu? A może to dopiero w pierwszym roku po urodzeniu dziecka? Gdy Josh był w macicy, pikantne jedzenie zawsze go denerwowało. Unikała również tuńczyka,

ze względu na doniesienia o wysokiej zawartości rtęci. Nie jadła orzeszków ziemnych, żeby zminimalizować ryzyko alergii na orzeszki. Teraz to wszystko wydaje się takie bez znaczenia.

— I jak twoja ciąża? Testy wypadły dobrze?

Liwy kiwa głową.

— Właśnie zrobili mi AFP, żeby sprawdzić, czy nie ma jakichś zaburzeń genetycznych. Nie mogłam spać, dopóki nie zadzwonili i nie powiedzieli, że wszystko w porządku. Zamartwiałam się, doprowadzając Toma do szału...

— Urywa i dodaje ogólnie: — Ale wszystko jest w porządku.

— To świetnie. — Julia uśmiecha się. Liwy wiecznie się czymś martwiła. Ludziom wydawało się, że jest beztroska i nic jej nie obchodzi, a tak naprawdę strasznie się wszystkim przejmuję. Jest wrażliwa, bardziej niż ona. Julia, w przyпіływie czułości, kładzie rękę na dłoni Liwy i ściska ją delikatnie.

Liwy wzdryga się, ale potem odpręża, u ś miecha słabo. Julia dostrzega łzy w jej oczach.

— Liwy, wszystko w porządku?

Siostra kręci głową, patrzy w bok.

— Liwy, porozmawiaj ze mną. — Kładzie dłoń na policzku Liwy, odwraca jej twarz do siebie. Jest popielata.

— Julio... — szepcze. — A jeśli nie będę dobrą mamą?

Czuje, że siostra drży.

— Będiesz wspaniałą matką, Liwy. Wiem, że tak będzie. — Trzyma dłoń Liwy w swoich dłoniach. — Będiesz wspaniałą matką.

— Ale prawdziwa matka... Gdybym była prawdziwą dobrą mamą... nie zapomniiałabym... nie zamknęłabym samochodu. — Liwy szłocha, kryje twarz w dłoniach.

Julia przetyka ślinę, walczy ze łzami, ale przegrywa, nie może ich powstrzymać.

— Julio — mówi Liwy, płacząc. — Tak mi przykro, tak mi okropnie, okropnie przykro...

Po tych słowach Julia niespodziewanie uspokaja się, ma czas, żeby się pozbierać. Przez cały pierwszy rok po śmierci Josha Liwy ciągle przepraszała, a Julia nigdy nie miała dość. Czy w ogóle można przeprosić za coś takiego?

Przypomina sobie rozmowę z Madeline i już rozumie — nie można.

— Liwy. — Bierze w swoje ręce obie dłonie siostry, Liwy szłocha, cieknie jej z nosa. — Liwy, to nie była twoja wina

— Ale ja...

— To nie była twoja wina, Liwy. Nie możemy kontrolować takich rzeczy, nawet jeśli nam się wydaje, że możemy. To niemożliwe.

— Ale gdybym nie zamknęła drzwi albo gdyby on został w samochodzie...

— Liwy znowu zaczyna płakać. Opiera się o Julię, ta ją obejmuje.

Julia czuje znajomy zapach siostry i zamyka oczy. Chciałaby cofnąć czas, zacząć od początku. Dlaczego nie zrobiły tego wcześniej? Miałyby czas, żeby stworzyć inną historię niż ta, którą żyły przez ostatnie pięć lat. Ale nie można zmienić przeszłości, jedyne, co mają, to ta chwila — i to, co stanie się dalej.

Odsuwa się i patrzy na siostrę. Teraz, z bliska, widzi, jak twarz Liwy zmieniła się przez te lata, pojawiły się delikatne zmarszczki wokół oczu, pogłębiły zmarszczki mimiczne. Ale Liwy wciąż jest piękna i jest jej siostrą.

— Kocham cię, Liwy. Przepraszam, że nie przyszłam wcześniej.

Liwy znowu zaczyna płakać.

— Tęskniłam za tobą — mówi, szlochając.

Julia całuje czubek jej głowy, wdycha zapach.

— Ja też za tobą tęskniłam, Liwy.

Liwy pociąga nosem i wyciera oczy.

— Ojej, chyba użyłam twojej podkoszulki jako chusteczki.

Julia spuszcza wzrok i uśmiecha się.

— I co teraz? — pyta Liwy i Julia czuje, że ich dawne role powróciły, że Liwy znów oczekuje od niej odpowiedzi.

— Nie wiem — mówi szczerze.

Przyjedziesz do nas, prawda? Pomożesz mi przy dziecku, kiedy się urodzi?

— Tak. — Julia wzdycha. — Z przyjemnością.

— Możesz przyjechać wcześniej, jeśli będziesz mogła. Przyjedź, kiedy zechcesz.

— Przyjadę — obiecuje Julia. — Wszyscy przyjedziemy, razem z Gracie. Będzie podniecona, że będzie mieć kuzyna.

— Będzie wspaniałą kuzynką. — Liwy wskazuje ostatnie pudełko na ganku. — Co to?

Julia uśmiecha się szeroko.

— Chleb przyjaźni amiszów.

— Oczywiście. — Liwy też się uśmiecha, zdejmuje przykrywkę. — Jak to dobrze, że nie muszę dbać o linię — podsuwa pudełko Julii, która bierze gruby kawałek, Liwy robi to samo.

— Zostajesz tu na noc? — pyta Julia.

Liwy kiwa głową.

— Mam śpiwór, jutro muszę podpisać dokumenty. Myślałam, że będzie mi smutno wyjeżdżać, ale teraz jestem podekscytowana, wiesz?

Julia rozumie to. I uświadamia sobie jeszcze jedno: nie chce, żeby Liwy spała tu sama na podłodze.

— Zanocuj u nas — proponuje nagle. — Mamy wolny pokój. — Obie wiedzą, że ten wolny pokój niegdyś należał do Josha, więc Julia szybko dodaje:

— Możesz też przenocować w pokoju Gracie. Będiesz mogła zjeść porządną kolację, porządne śniadanie, a potem spotkać się ze swoją agentką nieruchomości i pojechać do Faber— ville — mówi szybko, a gdy kończy, uzmysławia sobie, że wstrzymywała oddech.

promienieje.

— Z przyjemnością — mówi. — Będzie mi bardzo miło.

Avalon — początek czegoś wielkiego Autor. Edith Gallagher

Avalon, Illinois

Dla wielu mieszkańców tego małego miasteczka w północnym Illinois Avalon to po prostu jedyny dom, jaki kiedykolwiek mieli. Urodzeni i wychowani tutaj avalończycy są dumni ze swojego życia, z tego, kim są, a także ze sławy, jaką Avalon zyskał w ostatnich miesiącach.

Przyjaźń. Rodzina. Społeczność. A wszystko dzięki jednej torebce zakwasu chleba przyjaźni amiszów.

Wrzućcie w Google „chleb przyjaźni amiszów” i przygotujcie się, że będziecie mieli co czytać przez cały tydzień. Oto fragment współczesnej historii Ameryki, zakwas— łańcuszek, budzący zarazem nadzieję i przerażenie, który dla rodzin w Barrett i Avalon stał się czymś, co zbliżyło ludzi i miasta do siebie.

Na przykład, skłóconych sąsiadów. Martin Colon oraz Lester i Marsha Radil-lowie mieszkali obok siebie od szesnastu lat. Ich dzieci dorastały razem, w letnie popołudnie można było zobaczyć sąsiadów siedzących w najlepszej zgodzie na podwórku, przy piwie lub szklaneczce wina. Jednak dwa lata temu trzypółme-trowa glicynia Colona spowodowała osuwanie się gruntu u Padillów, niszcząc fundamenty i rury — co w rezultacie doprowadziło do dwuletniej batalii o koszty naprawy w wysokości siedmiu i pół tysiąca dolarów — Colon odmówił zapłaty.

Taki stan rzeczy trwał do maja tego roku, kiedy to Marsha Padilla, pamiętając o urodzinach sąsiada, postanowiła wykorzystać swoją torebkę zakwasu i upiec chleb, który później zostawiła na ganku Martina Colona wraz z uprzejmym listem. Sąsiedzi podjęli mediację i doszli do porozumienia w kwestii podziału kosztów naprawy, odnawiając nie tylko fundamenty, ale i przyjaźń.

Jak twierdzi szef policji Craig Neimeyer, w ciągu dwóch ostatnich miesięcy przestępczość w Avalonie, i tak znikoma, spadła niemal do zera.

W lokalnym klubie YMCA i domu spokojnej starości wzrosła liczba wolontariuszy, ku radości naszych młodszych i starszych mieszkańców.

Przypadki nękania w szkołach i chuligańskie wybryki niemal się nie zdarzają.

„Avalon zawsze był miłym miasteczkiem — mówi wieloletnia mieszkanka, Octavia Stout. — A teraz zrobiło się jeszcze spokojniej, ludzie wyglądają na bardziej zadowolonych. Cieszę się, że mogę powiedzieć, że jestem z Avalonu”.

Doug MacDonalds zgadza się z nią.

„Moje dzieci piekły dla Barrett. Zwykle się kłóca, biją ze sobą, handryczą ze mną i żoną o pracę domową, a teraz to się uspokoiło. Możemy siąść razem przy stole i zjeść razem dobry posiłek”.

W salonie herbacianym Madeline jeden z pokoiów został oficjalnie przeznaczony dla pań, które regularnie pieką i dzielą się chlebem przyjaźni amiszów. Nazwana przez media Klubem Chleba Przyjaźni ta rosnąca z każdym dniem grupa kobiet postawiła sobie za cel pieczenie dla rodzin, organizacji i społeczności znajdujących się w potrzebie. Obecnie dostarczają chleb do domów samotnych matek w całym hrabstwie i są w stanie udzielić wszelkich rad osobom, które chciałyby rozpocząć działalność podobnego klubu.

„To dla mnie zaszczyt, że mogę gościć klub u siebie, że jestem częścią społeczności, która tyle zrobiła dla innych — mówi Madeline Davis, właścicielka herbaciarni. — Chleb przyjaźni wpłynął również na moje życie, pozwolił mi poznać wspaniałych ludzi, którzy z czasem stali się moimi przyjaciółmi”.

Nadal pozostaje tajemnicą, kto wprowadził chleb przyjaźni amiszów do Avalonu. Pierwszą znaną osobą była Julia Evarts, jednak, jak sama mówi, ona jedynie miała szczęście otrzymać gotowy zakwas, podobnie jak wszyscy inni. Być może ta zagadka nigdy nie zostanie rozwiązana — i tak właściwie nie ma to większego znaczenia. To, co naprawdę się liczy, to sam zakwas — to, że trafił do Avalonu i to, co się z niego narodziło.

Rozdział 29

— Czemu mnie nie uprzedziłaś, że to będzie bolało? — Jest dzień przed świętami Bożego Narodzenia. Liwy, rozmawiając z przyjaciółką przez telefon, patrzy w okno szpitala, grube płatki śniegu spadają na ziemię. Niebo wydaje się być pełne puchowych śnieżynek.

— Gdybym ci powiedziała — śmieje się Edie — szalałabyś jeszcze bardziej. Wierz mi, oddałam ci przysługę.

Cóż, Liwy musi przyznać jej rację. Codziennie wymyślała nowe komplikacje, które mogą wystąpić w czasie porodu, i wysyłała je e— mailem do Edie. Ale z drugiej strony, mogła ją ostrzec.

Liwy odwraca się do Toma, który trzyma na ręku ich nowo narodzone dziecko, cudownego, prawie czterokilowego chłopca. Aiden Logan Scott.

— A, z tymi szwami też była kupa zabawy, dzięki za uprzedzenie. Lekarz nie od razu zorientował się, że dał mi za małą dawkę środka znieczulającego. — Krzywi się na samo wspomnienie.

— I co mu nasunęło tę myśl?

— Chyba mój wrzask. Ale teraz już w porządku. Tylko nie prosz mnie, żebym przechodziła przez to raz jeszcze — mówi dramatycznie, chociaż zdaje sobie sprawę, że brzmi jak te wszystkie kobiety w ciąży, które zawsze działały jej na nerwy. Jednak trzeba przyznać, że ma swego rodzaju satysfakcję, to słynne „zrobiłam to” — w co Liwy wciąż nie może uwierzyć.

— Och i tak to zrobisz — twierdzi Edie z przekonaniem.

— Znając ciebie, pewnie już kupiłaś podwójny wózek.

Liwy czerwieni się.

— To była okazja — tłumaczy. — Obniżyli cenę o trzydzieści procent. No i muszę gdzieś zmieścić wszystkie moje rzeczy.

Edie chichocze.

— Jasne, jasne. Przyjedziemy w przyszłym tygodniu, dobrze? Na sylwestra.

— Będą też Julia i moi rodzice. Może po prostu powinnam zaprosić wszystkich z Avalonu do Faberville? — Rozmawiali o tym z Tomem: gdy mieli ogromny dom, nikt ich nie odwiedzał, za to w przyszłym tygodniu goście będą upchani jak sardynki. Czyste szaleństwo.

— Wiem, że mówiąc ci to, tracę czas, ale potrzebujesz teraz odpoczynku, nie rozrywek.

Edie faktycznie traci czas — otoczenie się przyjaciółmi i rodziną to właś nie to, czego Liwy potrzebuje najbardziej na świecie. Aiden ma zaledwie kilka godzin, ale Liwy chce, żeby jak najszybciej poznał ludzi, którzy będą tworzyć jego świat, którzy już są częścią jego życia i pozostaną nią na zawsze.

— No dobrze, to nie przyjeżdżaj — mówi Liwy nonszalancko, chociaż zabiłaby Edie, gdyby ta się zgodziła.

Na szczęście Edie jest daleka od tego.

— Ha, ha, niezły chwyt. Zaczekaj chwilę... Richardzie, pielucha!

— Jak tam wasza śliczna córeczka? — chce wiedzieć Liwy. Miranda ma dwa miesiące i wygląda jak miniaturowa kopia Edie. Liwy nie może się doczekać, żeby zobaczyć, jaka będzie, gdy dorośnie.

— Jest nieodrodną córką swojej matki. Je bez przerwy i nie chce spać w nocy. Aha, zanim zapomnę, Patrick o ciebie pytał. Chce dać ogłoszenia o narodzinach w „Gazette”, może nawet umieścić krótki artykuł.

Liwy jest zaskoczona, że Patrick tak się nią interesuje po tym, gdy porzuciła „Gazette”.

— A kto go napisze? — pyta niewinnie. — Lori Blair? — Liwy nawet lubi Lori, ale uwielbia dręczyć Edie.

— Ha, ha. Dobrze wiesz, że to będę ja.

— Wróciłaś na cały etat?

— Nie do końca, ale jest niezłe. Chcę jak najwięcej być w domu z Mirandą.

Liwy nie wierzy własnym uszom.

— Będziesz siedzieć z dzieckiem w domu? — Była przekonana, że Edie od razu wróci do redakcji, rzuci się w wir pracy.

— Nie bądź śmieszna — prycha Edie. — Oczywiście, że nie.

— No wiesz, Edie. — Liwy rozkoszuje się tą chwilą.

— Skoro jesteś w domu i zajmujesz się dzieckiem, to znaczy, że siedzisz z dzieckiem w domu, czyli...

— O, wielkie dzięki, Liwy, już załapałam — mruczy Edie. — No gdzie ten Richard, to jest chyba większa sprawa... — Chwila ciszy. — Dokładnie.

— Przecież możesz sama zmienić pieluchę.

— Mogę, ale on powiedział, że będzie to wszystko robił, więc nie chcę go pozbawiać przyjemności. — Słysząc płacz, Mirandzie jest wszystko jedno, kto zmieni jej pieluchę, byle szybko. — Muszę kończyć. Ucałuj ode mnie Aiden, dobrze?

Liwy patrzy na Toma, który nuci ich dziecku śpiącemu w jego ramionach.

— Zrobię to, na pewno.

No proszę, zawsze można liczyć na Liwy, że uderzy w najczulsze miejsce, choć jest kilkaset kilometrów stąd. I ta kobieta właśnie urodziła dziecko!

No dobrze, być może „technicznie” siedzi z dzieckiem w domu, ale nie polega to na oglądaniu kolejnych odcinków Barneya i Ulicy Sezamkowej. Gdy Miranda śpi, Edie biegnie do komputera, żeby sprawdzić pocztę albo poszperać w necie. Nieregularne pory spania i pięciosekundowe drzemki nie dają zbyt dużego

poła do popisu, ale Edie ma nadzieję, że to się unormuje.

Zmęczenie spowodowane brakiem snu minie, może już niedługo uda im się wyjść z domu. Edie planuje przeprowadzić kilka wywiadów, Mirandę weźmie ze sobą w chuście — to *kitenge*, długi pas materiału, używany przez kobiety w Kenii. Nie było łatwo nauczyć się ją wiązać, ale teraz jest już ekspertem: umieszczenie Mirandy z przodu lub z tyłu zajmuje jej dwadzieścia sekund. Dzięki temu ma wolne ręce i może swobodnie robić wszystko w domu.

Teraz pracuje nad artykułem o wzrastającej liczbie zachorowań na białaczkę i raka mózgu u dzieci, które mieszkają w pobliżu linii wysokiego napięcia. Pisze o tym, bo chce, uważa, że obywatele, ustawodawcy i firmy energetyczne powinni wiedzieć, co się dzieje z tymi dziećmi, z tymi rodzinami. Może to wynika z macierzyństwa, a może to zawodowa dojrzałość, ale Edie nie goni już za jednodniowymi sensacjami z pierwszych stron gazet. Dziwne, że zapomniała o tym, co uświadomiła sobie w Korpusie Pokoju — że największą siłę oddziaływania mają artykuły pozostające w cieniu. Teraz bardziej pociągają ją spokojne — » ne historie, które mają swoją głębię, potrafią zjednoczyć ludzi. Wie już, że nie chodzi tylko o artykuł, chodzi o ludzi. A co najważniejsze, treść powinna zawsze wypływać z serca, nie z umysłu. Nad tym Edie wciąż pracuje.

Richard wchodzi do pokoju, pociąga nosem, bierze Mirandę na przewijak i szybko całuje Edie. Rany, jak ona go kocha... Wyszłaby za niego znacznie wcześniej, gdyby wiedziała, jakie to będzie cudowne. Małżeństwo zawsze wydawało jej się nieistotnym szczegółem, niepotrzebnym zawracaniem głowy — po co, skoro i tak byli ze sobą związani, skoro mieszkali razem. Ale prosta obrączka na palcu przypomina jej o tym, co ma, że ma kogoś, z kim może dzielić się tym wszystkim.

Stanęli przed sędzią pokoju i zawarli związek małżeński na tydzień przed narodzinami Mirandy. Mogli to zrobić później, ale Richard nalegał, żeby pobrali się przed porodem, więc tak zrobili.

Edie nigdy w życiu nie przypuszczała, że ktoś taki jak Liwy zostanie jej druhną, a jednak to właśnie Liwy stała obok niej, płacząc, jakby była jej matką. Edie byłaby bardziej wzruszona, gdyby nie przedwczesne skurcze, które pojawiły się dwa dni wcześniej i miały trwać przez następne siedem.

Przyjaźń z Liwy zaczęła się nieuchwytnie i przemieniła w coś bardzo wartościowego. Zdaje sobie sprawę, że Liwy powinna teraz odpocząć, ale dobrze wie, że jest zbyt nakręcona, bo w jej życiu wydarzyła się jedna z najbardziej niewiarygodnych rzeczy. Dlatego niecałe pięć minut później Edie dzwoni do Liwy i rozmawiają, jakby w ogóle nie przerywały rozmowy — Liwy barwnie opowiadała o znieczuleniu, które nie zadziałało. Edie słucha z uśmiechem, czując, że ta opowieść może trwać tak długo jak samo wydarzenie. Ale nie ma nic przeciwko temu.

Hannah otwiera „Radość gotowania” i sprawdza przepis na sos pomidorowy z mięsem. Kiedyś po prostu przysmażyłaby mieloną wołowinę i wylała na to gotowy sos ze słoika, ale teraz chce się nauczyć porządnych podstaw. Właśnie to mówi swoim uczniom, nawet tym bardziej doświadczonym. Jeśli nie zdobędziesz porządnych podstaw, nic innego nie będzie się liczyć.

Studiuje przepis zadowolona, że nie jest trudny, jak myślała. Ma kilka etapów, co zapowiada sos bogaty w smak, ale z drugiej strony dość przystępnie wyłożony, żeby nie stanowił problemu. Hannah już wie, że im szybciej sos się gotuje, tym pełniejszy i świeższy jest jego smak, dlatego wybiera szeroką patelnię, na której nadmiar wody szybko wyparuje.

Bez pośpiechu kroi w kostkę wędzony boczek, sieka cebulę i zgniata ząbki czosnku. To nie jest tradycyjna potrawa wigilijna, ale każdy spędza święta z rodziną, a ona ma zamiar spędzić je sama. Dostała kilka zaproszeń, między innymi od Jamiego i jego rodziny, ale czuje, że to ważne, by spędziła święta sama, sama podejmowała własne decyzje. Z Jamieem zobaczy się później, zjedzą razem de-cadent trifle z malinami, białą czekoladą i migdałami, które zrobiła. Pojeżdżą po Avalonie, patrząc na dekoracje świąteczne, może przyłączą się do kolędników. Chce zostać w domu i zajrzeć do sąsiadów, Henry’ego Tinklenberga i Josepha Sokołowskiego, żeby wręczyć im świąteczny kosz. Przygotowała również kosz dla rodziny Krumów — butelka wina dla Marion i jej męża, ciastka i strzelaczki dla dzikich, ale wspaniałych bliźniaków, których Hannah czasem pilnuje.

Rozgrzewa oliwę i smaży boczek, dopóki tłuszcz się nie wytopi i nie oddzieli od mięsa. Z płyty leci Saint— Saens (koncert na wiolonczelę i orkiestrę, nr 1 w a— moll, opus trzydzieste trzecie). Przypomina jej to czasy, gdy koncertowała z orkiestrą filharmoniczną w Europie. Hotel w Amsterdamie, w którym mieszkali, czekał na nich ze wspaniałym przyjęciem. To był długi lot i wszyscy potwornie zgłodnieli. Rzucili się na jedzenie jak szarańcza, zjadali nawet dekoracje z owoców i wpychali je do kieszeni na później, a kelnerzy krzyczeli na nich po hollen-dersku. Dopiero gdy odesłano ich do pokojów, dowiedzieli się, że było to weselne przyjęcie przygotowane dla gości, którzy przyjeżdżali po nich.

Hannah delikatnie rozdrabnia na patelni mięso z kilku słodkich włoskich kiełbasek i myśli, iż to dobrze, że ma sporo własnych dobrych wspomnień, w których nie ma Philippe’a. Rzecz jasna jest też kilka wspólnych miłych wspomnień, szczególnie z początków znajomości. Pierwsze spotkanie, ten zawrót głowy, który przyszedł razem z pierwszym pocałunkiem i zakochaniem.

Albo gdy byli na pchlim targu Hell’s Kitchen. Niedzielnny lipcowy poranek, gorąco i parno. Hannah знаła już Philippe’a na tyle, by wiedzieć, że jest drobiazgowy, ma skłonności obsesyjno— komuplisywne i była pewna, że lada chwila wścieknie się w tym ścisku spoconych ciał albo zażąda, żeby stąd odjechali. Ale nie zrobił ani jednego, ani drugiego.

Za to na jednym ze straganów znalazł klocki dla dzieci z literkami; ona wachlowała się, a on ułożył z nich napis *Je t'aime*, a potem odchylił ją do tyłu i długo całował, przy zachęcie zachwyconego tłumu. To była jedna z najbardziej spontanicznych i nieoczekiwanych rzeczy, jakie kiedykolwiek zrobił. W takich chwilach Hannah czuła, że mogłaby z nim być do końca życia.

Dorzuca dwie puszki pomidorów, rozgniatając je łąpatką. Odrobina oregano, soli i pieprzu, szczypta cukru, łyżka przecieru pomidorowego. Sos gotuje się na wolnym ogniu, jej kuchnię wypełnia słodki zapach przypraw. Na końcu, gdy sos już zgęstnieje, doda odrobinę bazylii i wyłączy ogień.

„Radość gotowania” stała się jej biblią, jej przewodnikiem życia. Uwielbia ją dlatego, że dostała ją od Ma— deline i dlatego, że zaczęła ją czytać, zaczęła gotować w Avalonie. To właśnie w Avalonie Hannah zrozumiała, kim naprawdę jest, co rzeczywiście chce, co jest w stanie zrobić.

Jest kobietą, która potrafi być sama, może przetrwać rozwód. Kobietą, która potrafi zrobić suflet z kozim serem i orzechami; umie włożyć smyczek w rękę kogoś, kto nigdy nie grał na wiolonczeli i pomóc mu zagrać najwspanialszą muzykę. Jest kobietą, która w wieku dwudziestu ośmiu lat przeżyła więcej niż inni ludzie przez całe swoje życie. Ale co najważniejsze, jest kobietą, która nauczyła się, że nic nie jest na zawsze. I za to właśnie Hannah jest wdzięczna.

— Gracie, spóźnimy się! — woła Julia.

Gracie wchodzi do holu herbaciarni Madeline, dźwigając niewielkie pudło z wiolonczelą.

— Ale tamte panie chciały jeszcze raz usłyszeć, jak gram „Wiosłuj, wiosłuj swoją łódź” — marudzi.

— Jestem pewna, że ciocia Liwy również chciałaby to usłyszeć. — Julia wzięła futerał od Gracie. Okazało się, że ona sama nie ma zamiłowania do muzyki, a w każdym razie nie do wiolonczeli, za to Gracie polubiła to od razu. — A jeśli zaraz nie wyruszymy, będziesz mogła zagrać dla niej dopiero jutro rano. — Pomogła Gracie włożyć puchaty płaszcz, potem rękawiczki, szalik i czapkę. Temperatura spadła o kolejne dziesięć stopni, dziś w nocy znowu ma padać śnieg.

— To dobrze, i tak bołą mnie palce. — Gracie potrząsa dłońmi.

Julia zapina swój płaszcz, zagląda do herbaciarni.

— Connie, my wychodzimy. Wszystko w porządku?

— W jak najlepszym. — Connie jej pomachała. — Do zobaczenia za kilka dni.

— Powiedziałaś Hannah, że nie będziemy jutro na lekcji? — pyta Gracie, gdy idą ścieżką do samochodu, gdzie czeka na nich Mark.

— Tak, a ona odpowiedziała, że bez problemu możemy nadrobić to w przyszłym tygodniu. — Julia otworzyła tylne drzwi, Gracie wgramoliła się na siedzenie i klepnęła miejsce obok siebie, żeby Julia postawiła tam wiolonczelę.

Mark rozmawiał przez telefon, głos miał spokojny, ale wyglądał na podekscytowanego.

— Jasne, Ted, to super. Nie, my też. No właśnie. Ty też. Na razie. — Rozłączył się i wsunął telefon do kieszonki przy klamrze pasa. — To Ted Morrow z Bluestem Estates. Wszystkie plany zostały zaakceptowane, zaczynają budowę w przyszłym tygodniu.

Julia przestała na chwilę walczyć z poskręcany pasem Gracie i uśmiechnęła się do męża.

— To wspaniale, Mark! Gratulacje! — Ten projekt dużo dla niego znaczył, Julia ucieszyła się, że są postępy.

— Dziękuję. — Mark zadowolony stuka palcami w kierownicę.

Julii udaje się wreszcie zapiąć Gracie, cmoka ją w policzek i zamyka drzwi. Liwy urodziła kilka godzin temu, na dwa tygodnie przed terminem (podobnie jak Julia Josha) — ślicznego chłopca.

Tom wysłał im zdjęcie zrobione komórką i oboje, Mark i Julia, byli wstrząśnięci, jak bardzo Aiden jest podobny do Josha. Miał rudoblond włoski, ten sam nos, te same kości policzkowe. Ale miał również pechowe czoło Toma, czego Mark nie omieszkął wytknąć ze śmiechem.

— Już nie pamiętasz, jak śmiali się z Josha, bo miał duże uszy — po tobie? — przypominała Julia, ciągnąc Marka za ucho.

— Nie są duże — zaprotestował, osłaniając ucho. — Po prostu mają osobowość.

— Całe mnóstwo osobowości — dodała, śmiejąc się Julia, gdy Mark pochylił się, żeby ją połaskotać.

Julia już miała zająć swoje miejsce, gdy spostrzegła dwoje młodych ludzi — kobietę i mężczyznę, małżeństwo z małym dzieckiem na chodniku przed herbaciarnią Madeline.

— Wygląda, że kogoś szukają. — Julia patrzyła, jak zerkają z niepewnymi minami na trzymaną w ręku kartkę, a potem znowu na szyld Madeline.

Mark spojrział na zegarek.

— Kochanie, jedźmy już, nie chcę utknąć w korkach.

— Wiem. Już zaraz, Mark. — Julia przeszła przez trawnik, zamarznęta trawa chrzęściła pod jej butami. — Mogę w czymś pomóc?

Mężczyzna miał grzywę ciemnych włosów i ponure spojrzenie, które Julia zapamiętała ze zdjęć. Teraz jest starszy, ale to na pewno on... W ręku trzymał grubą kopertę, która kiedyś leżała w salonie.

— Szukam Madeline Dunn.

Julia przełknęła ślinę, serce jej waliło.

— To tutaj. Jestem jej przyjaciółką, nazywam się Julia Evarts.

Mężczyzna kiwnął głową, jakby wiedział, kim ona jest, był rozkojarzony.

Mała dziewczynka wyglądała na zmęczoną, zaczęła płakać, wierciła się w ramionach matki.

— Mamy za sobą długą drogę — powiedział, biorąc córkę na rękę. — Jechaliśmy cały dzień. Mieszkamy teraz w Cleveland, list został wysłany na mój stary adres w Pensylwanii. Jestem przybranym synem Madeline, nazywam się Benjamin Dunn. — Odchrząknął, patrząc niepewnie na herbaciarnię. Pewnie zobaczył grupkę kobiet przez okno, nic dziwnego, że widok go onieśmielił.

Salon herbaciany był zamknięty z powodu specjalnego świątecznego zebrania Klubu Chleba Przyjaźni Amiszów. Connie wpadła na pomysł, żeby zrobić wymianę ozdób świątecznych i imprezę składkową, dając wolne Madeline i Hannah. Ta wolała zostać w domu, a Madeline odmówiła udziału w imprezie. Gdy Julia zostawiała ją przed chwilą, siedziała w salonie na tyłach domu. Z nogami przykrytymi kocem, z kubkiem gorącej herbaty w ręku, patrzyła na pokryte śniegiem podwórko, na wróbelki przeskakujące z jednej nagiej gałęzi na drugą.

Julia prowadziła Bena i jego żonę przez ulicę. Na drzwiach wisiał wspaniały wieniec, Julia przekręciła gałkę, już żałując, że nie może tu zostać, żeby zobaczyć tę chwilę.

Ale to miejsce, ten długo wyczekiwany moment należy do Madeline. Miejsce Julii jest z jej rodziną, z Liwy, która mieszka w Faberville ze swoim mężem i synkiem. Julia nie może się doczekać, kiedy tam dojadą, kiedy będzie mogła przytulić swoją siostrę i popatrzeć na tego małego człowieka, nowego członka rodziny. Będą tam wszyscy razem: ona, Mark, Gracie, Tom, Liwy, Aiden — i Josh. Również tam będzie, bo zawsze jest razem z Julią, głęboko w jej sercu.

Julia otworzyła drzwi i zaprosiła Bena i jego rodzinę do środka, prosząc, by zaczekali, a sama poszła do prywatnych pokoi Madeline. Kobieta siedziała tak samo jak w chwili, gdy ją zostawiła. Odwróciła się i uśmiechnęła na widok Julii, a ta dotknęła delikatnie ramienia swojej przyjaciółki i pochyliła się, by szepnąć jej na ucho, że czeka na nią ktoś wyjątkowy.

Epilog

Rosa Ydara— Belair zakłada kosmyk ciemnych kręconych włosów za ucho. Przegląda rzeczy ojca, sortując je na trzy kupki: do zatrzymania, oddania i wyrzucenia.

Album zdjęć rodzinnych: zatrzymać.

Biżuteria mamy i zegarek ojca: zatrzymać.

Ubrania i buty: oddać.

Książki i czasopisma: oddać.

Góra kawałków sprzętu elektronicznego i złomu: wyrzucić.

Przetarte dywaniki i czterdziestoletnie zasłony: wyrzucić.

Dwa teleskopy, zestaw lornetek, trzy kamery: oddać.

Meble, ręczniki, pościel: oddać.

Telewizor, stereo, wideo: zatrzymać.

Ślubny komplet naczyń porcelanowych: zatrzymać. Oddać. Nie, zatrzymać.

Rosa bierze do ręki talerz i wzdycha. Mają śliczny kwiatowy wzorek, a talerzyki deserowe ząbkowany brzeg. Jej porcelana to produkt firmy Lenox z prostym niebiesko— srebrnym deseniem, bardziej modny i na topie, ale go lubi. Rosa patrzy z żalem na porcelanowy serwis, chciałaby go zatrzymać, ale nie ma pojęcia, gdzie by go trzymała. Już i tak ma mnóstwo rzeczy rodziców, które chce zabrać do domu w Michigan.

Oddać.

Przekłada starannie każdy talerz folią z pęcherzykami. Właśnie kończy, gdy jej mąż puka w futrynę salonu, w rękę trzyma wielkie pudło.

— Kończą nam się kartony. Chcę pojechać do sklepu, kiedy już to zapakuję. Pojedziesz ze mną?

Rosa unosi rękę, bezgłośnie licząc talerze.

— Brakuje jednego talerzyka deserowego. Jest siedem, a powinno być osiem.

Jack wzrusza ramionami.

— Widocznie się potłukł. Pomyśl o naszym serwisie.

To prawda. Ich zestaw na dwanaście osób jest teraz bardziej serwisem na dziewięć i pół osoby.

— Agent nieruchomości przyjedzie po południu, żeby dokończyć wykaz — mówi Jack. — Może zjemy coś przedtem? Jestem głodny jak wilk.

Rosa kiwa głową, z ulgą prostując plecy. Zjadłaby coś z przyjemnością.

— Już idę. Spotkamy się na dworze.

Zakleja pudło taśmą i zaznacza długopisem, że trzeba je zawieźć do Armii Zbawienia. Potem bierze testament ojca i czyta jeszcze raz, upewniając się, że wykonała wszystkie jego instrukcje. Jego artretyzm pogorszył się w ostatnich

latach, ciężko odczytać, co napisał. Miał spore oszczędności i hojnie rozdzielił je między nią i miejscowy klub astronomiczny.

Jack czeka już w ciężarówce. Rosa wdrapuje się do środka, mąż ściska jej dłoń, wie, że jest jej ciężko.

— Przepraszam!

Jack i Rosa odwracają się w stronę, skąd dobiega głos i widzą spieszącą do nich kobietę z kręconymi rudoblond włosami. Obok niej idzie mała dziewczynka z talerzykiem w ręku. Rosa ma wrażenie, że już je widziała, ale nie pamięta imion.

— Dzień dobry, przepraszam, że przeszkadzam... Chciałam z wami porozmawiać, zanim odjedziecie.

— Kobiecie brakuje tchu. — Nazywam się Julia Evarts, a to moja córka, Gracie. Byliśmy sąsiadami pani rodziców. Bardzo nam przykro, że pani ojciec odszedł. Taki dobry człowiek.

— Dziękuję. — Rosa czuje, że zaraz się rozpłacze.

— Dziękuję — powtarza, nie wiedząc, co jeszcze mogłaby powiedzieć.

— Jeśli potrzebujecie czegokolwiek, proszę dać znać.

— Przez otwarte okno Julia dotyka delikatnie ramienia Rosy. — Zapisałam tutaj swoje nazwisko i dane kontaktowe oraz nazwiska i numery telefonów najbliższych sąsiadów. Pewnie i tak je pani ma, ale pomyślałam, że dobrze byłoby je mieć w jednym miejscu.

Rosa kiwa głową.

— I... — Julia odwraca się i przysuwa córkę, która nieśmiało unosi talerz. — Właśnie upiekliśmy i Gracie chciała was poczęstować. To chleb przyjaźni ami-szów.

— Chleb przyjaźni? — Jack pochyla się, żeby wziąć talerz, uwalniając Rosę od konieczności robienia czegokolwiek. I tak jest jej teraz bardzo trudno. — Uwielbiamy go! Rosa ciągle go piecze. Dziękuję!

— Dziękuję — powtarza znów Rosa i zmusza się do uśmiechu. Patrzy na liścik przyklejony na wierzchu folii spożywczej.

MAM NADZIEJĘ, ŻE BĘDZIE SMAKOWAŁO

Julia i Gracie machają na pożegnanie, gdy Jack włącza silnik i zjeżdża z krawężnika. Wibracje ciężarówki uspokajają Rosę. Nie spodziewała się, że natknie się na ludzi, którzy znali jej ojca, nie przypuszczała, że będzie musiała z kimś rozmawiać. Ta uprzejmość jedynie przypomina jej o śmierci ojca.

Rozmawiała z nim w zeszłym tygodniu i czuł się bardzo dobrze. A dwa dni temu zmarł spokojnie we śnie. Ta świadomość pociesza ją, ale ciągle nie może odżałować, że nie przytuliła go po raz ostatni. Widzieli się ostatnio, protestował, że niepotrzebnie przywiozła tyle jedzenia. Pieczony kurczak, gulasz, lazania, potrawka, zupy... Wiedziała, że uwielbia jej chleb bananowy, a ponieważ w biurze

ciągle krążył chleb przyjaźni amiszów, też go przywiozła. Zabrała też torebkę zakwasu, żeby upiec na miejscu i w dniu wyjazdu ojciec poprosił, żeby zostawiła mu jedną torebkę. Była zaskoczona, nie wyobrażała sobie, żeby coś piekł.

Rodzice wychowali ją tak, by nie płakała nad rozlanym mlekiem, a teraz nie może sobie z tym poradzić.

Żałuje, że nie widywała się z nim częściej. Żałuje, że nie mogła się z nim pożegnać, żałuje, że nie przekazał jej jakiejś mądrości, którą mogłaby nieść w sobie przez resztę życia jako ostatnie wspomnienie. A najbardziej żał jej tego, że był sam, gdy umierał. Ale ze względu na pracę Jacka mieszkali w Grand Rapids, a ojciec nie chciał wyjechać z Avalonu. To z powodu jej matki, która została tu pochowana. Teraz i on jest tu pochowany.

— Zauważyłem jedną knajpkę, gdy wjeżdżaliśmy — mówi Jack.
— Niedaleko. Spróbujemy?

Rosa uśmiecha się blado.

— Jasne. — Po tym wszystkim, co dzisiaj zrobiła, powinna być głodna, ale jakoś nie ma apetytu. Ale musi nabrać sił. Ostatnia próba zapłodnienia in vitro zakończyła się sukcesem i Rosa jest w siódmym tygodniu ciąży.

Jack zerka na nią, potem na talerz na jej kolanach. Chyba myśli o tym samym.

— Może zjemy teraz kawałek? Zanim tam dojedziemy, zanim zamówimy...

Rosa kiwa głową i odchyła folię, chleb jest ciepły. Daje kawałek Jackowi i częstuje się sama, znajomy smak słodczy i zapach cynamonu odprężają ją. Starannie zawija folię pod spód talerza, przechyla go delikatnie... Jej oczy rozszerzają się, gdy widzi ostatnie słowa, napisane na spodzie.

Niezapom inajka. — Och!

Jack odwraca się, spogląda na Rosę, wpatrzoną w talerz. Gdy przenosi wzrok na niego, jej oczy płoną.

— Co?

Unosi talerz, ale Jack nie wie, na co ona patrzy, dla niego to po prostu kilka kawałków chleba przyjaźni na porcelanowym talerzyku z kwiatowym wzorkiem.

— Co? — pyta znowu, nie rozumiejąc.

Rosa kręci głową, nagle szczęśliwa, jej palce suną po rysunku kwiatów. Nie mówi nic więcej.

Jack jest do tego przyzwyczajony, więc jedynie sięga po rękę żony i całuje ją.

— Kocham cię.

— Wiem. — Ma mokre oczy, ale uśmiecha się. Potem opiera się o niego z westchnieniem, Jack czuje, jak jej ciało odpręża się przy nim.

Po chwili dojeżdżają do restauracyjki, uroczego domku z szyldem: SALON

HERBACIANY MADELINE SIEDZIBA KLUBU CHLEBA PRZYJAŹNI
AMISZÓW

PRZEPISY I RADY

Przyjaciele lub sąsiedzi przekazują sobie zakwas chleba przyjaźni w zamykanym woreczku foliowym lub ceramicznym pojemniku. Zakwas fermentuje, co znaczy, że jeśli regularnie go dokarmiasz, ma coraz większą moc i coraz bogatszy smak. Możesz go używać do pieczenia chleba, muffinków, brownie — nawet naleśników. Jeśli nie dostałeś torebki zakwasu, a chciałbyś zacząć eksperymentować, poniżej podajemy przepis na zrobienie zakwasu.

Składniki:

1 opakowanie (7 g) suchych drożdży 1/4 szklanki ciepłej wody (ok. 40°C) 1 szklanka mąki pszennej 1 szklanka białego cukru 1 szklanka mleka Sposób przygotowania:

W małej miseczce rozprowadzić drożdże w wodzie; odstawić na dziesięć mi-nut.

W szklanym, plastikowym lub ceramicznym pojemniku wymieszać starannie mąkę z cukrem.

Powoli dodać do mąki i cukru mleko i rozpuszczone drożdże. Przykryć i odstawić w ciepłe miejsce, czekając, aż pojawią się bąbelki.

Przez kolejne dziesięć dni opiekować się zakwasem zgodnie z instrukcją dołączoną do przepisu na chleb przyjaźni amiszów.

2 bochenki

Ten przepis krążył po Stanach Zjednoczonych przez ponad trzydzieści lat. Prezentuję go tak, jak go otrzymałam, poprawiałam jedynie literówki. Nie musisz czekać kolejnych dziesięciu dni, by upiec chleb, w dniu, w którym dzielisz zakwas (dzień dziesiąty), możesz upiec wraz z pozostałym zakwasem, nie zatrzymując torebki dla siebie. Jeśli planujesz dać swój zakwas w prezencie, nie zapomnij dołączyć kopii instrukcji z datami dla dnia szóstego i dziesiątego. Możesz również ściągnąć instrukcję z naszej strony www.friendshipbreadkitlien.com

UWAGA:

Nie trzymaj zakwasu w lodówce; to normalne, że zakwas rośnie i fermentuje. Jeśli do torebki dostanie się powietrze, wypuść je. **NIE UŻYWAJ** do mieszania metalowej łyżki czy miski, metal zakłóci proces fermentacji.

DZIEŃ 1: Nie rób nic

DZIEŃ 2: Zgnieć torebkę

DZIEŃ 3: Zgnieć torebkę

DZIEŃ 4: Zgnieć torebkę

DZIEŃ 5: Zgnieć torebkę

DZIEŃ 6: Dodaj do torebki 1 szklanę mąki, 1 szklanę cukru, 1 szklanę mleka. Zgnieć torebkę DZIEŃ 7: Zgnieć torebkę

DZIEŃ 8: Zgnieć torebkę

DZIEŃ 9: Zgnieć torebkę

DZIEŃ 10: Stosuj się do poniższych instrukcji:

Przełóż zawartość torebki do niemetalowego pojemnika.

Dodaj: 1 V_2 szklanki mąki, 1 V_2 szklanki cukru, 1 V_2 szklanki mleka.

Podziel ciasto na cztery części (po jednej szklance każda) i włóż do czterech litrowych zamkniętych woreczków.

Zachowaj jeden woreczek dla siebie, pozostałe daj trzem przyjaciołom wraz z przepisem.

PAMIĘTAJ: Zachowując zakwas dla siebie, możesz upiec chleb za dziesięć dni. Jest pyszny i może być wspaniałym prezentem.

Jeśli wręczasz przyjacielowi ten przepis w dniu innym niż pierwszy dzień cyklu, pamiętaj, żeby powiedzieć mu, który to dzień.

SPOSÓB PRZYGOTOWANIA:

— Rozgrzej piekarnik do 180 stopni.

— Włóż ciasto do miski i dodaj:

3 jajka

1 szklankę oleju $\frac{1}{2}$ szklanki mleka

1 szklankę cukru

$\frac{1}{2}$ łyżeczki esencji waniliowej

2 łyżeczki cynamonu

$\frac{1}{2}$ łyżeczki proszku do pieczenia

$\frac{1}{2}$ łyżeczki soli

$\frac{1}{2}$ łyżeczki sody oczyszczonej

szklanki mąki

$\frac{1}{2}$ opakowania budyniu w proszku (dowolny smak)

Opcjonalnie można dodać 1 szklankę orzechów i 1 szklankę rodzynków.

Wysmaruj tłuszczem dwie duże podłużne formy do pieczenia. W misce wymieszaj $\frac{1}{2}$ szklanki cukru i $1\frac{1}{2}$ łyżeczki cynamonu, posyp tą mieszanką wysmarowane formy.

Wlej ciasto równomiernie do form, posyp wierzch resztką mieszanki cyna-monowo—cukrowej.

Piecz przez godzinę — do chwili, gdy chleb zacznie od—stawać od boków formy, a patyczek włożony w środek chleba będzie suchy po wyjęciu.

SMACZNEGO!

PROSTE WARIANTY CHLEBA PRZYJAŹNI AMISZÓW

Poniższe warianty powstały poprzez dokonanie niewielkich zmian — możesz stworzyć swoją własną odmianę przepisu! Jeśli chcesz upiec muffinki, skróć czas pieczenia do dwudziestu — dwudziestu pięciu minut. Nalewaj ciasto do podłużnych form (lub foremek na muffinki) tak, by sięgało do połowy lub dwóch trzecich wysokości formy (jeśli zakwas jest świeży i mocny — do połowy).

CHLEB BANANOWO— ORZECHOWY

- 2 *średnie dojrzałe banany, zgniecione*
- V₂ opakowania budyniu o smaku bananowym — 1 szklanka posiekanych orzechów włoskich

CHLEB TOFFI

*— 1/2 opakowania budyniu karmelowego — 1 szklanka karmelowych
płatków do pieczenia*

CHLEB PODWÓJNIE CZEKOLADOWY

- 1— 2 opakowania budyniu czekoladowego
- $\frac{1}{4}$ szklanki kakao
- 1 szklanka płatków czekoladowych do pieczenia
- **NIE DODAWAJ CYNAMONU!**

CIASTO CYTRYNOWO— MAKOWE

- *Zastąp esencję waniliową esencją cytrynową*
- Dodaj $\frac{1}{2}$ opakowania budyniu cytrynowego — V_4 szklanki maku
- 1 łyżeczkę startej skórki cytryny

CHLEB PRZYJAŹNI Z ANANASEM I ORZECHAMI MACADAMIA

— Zmniejsz ilość oleju do $\frac{1}{2}$ szklanki — Dodaj 30 gramów pokrojonych ananasów z puszki

- $\frac{1}{2}$ szklanki musu jabłkowego
- 1 łyżeczkę startej skórki cytryny
- 1 szklankę posiekanych orzechów macadamia
- Wierzch posyp dwiema łyżkami wiórków kokosowych

PISTACJOWO— WIŚNJOWY CHLEB PRZYJAŹNI

— $\frac{1}{2}$ opakowania budyniu pistacjowego — $\frac{1}{2}$ szklanki wisierek koktajlowych, odsączonych i posiekanych (nie dodawaj ich do ciasta, lecz połóż na dnie przygotowanej formy, zanim wlejesz do niej ciasto).

— Nie dodawaj cynamonu

DYNIOWY CHLEB PRZYJAŹNI Z ŻURAWINAMI z kuchni Stephanie Appleton (www.makeitfromscratch.blogspot.com) — $\frac{1}{2}$ szklanki utartej dyni

— 1 łyżeczka imbiru w proszku

— 1 szklanka suszonej żurawiny, pokrojonej

— 1 szklanka orzechów włoskich, posiekanych

CUKINIOWY CHLEB PRZYJAŹNI

— Zmniejsz ilość oleju do $\frac{1}{2}$ szklanki — Dodaj 2 szklanki nieobranej, utartej cukinii — przed dodaniem wyciśnij — Dodaj 1 łyżeczkę gaiki muszkatołowej

— Dodaj 1 szklankę orzeszków pekan, posiekanych

CZEKOLADOWO— KARMELOWE BROWNIE 18 kawalków

Składniki:

- 1 szklanka zakwasu chleba przyjaźni amiszów
 - 2 jajka
 - 1szklanka oleju $\frac{1}{2}$ szklanki mleka 1 łyżeczka esencji waniliowej $\frac{1}{2}$ szklanki cukru 2szklanki mąki 2łyżeczki kakao
 - 1 $\frac{1}{2}$ łyżeczki proszku do pieczenia $\frac{1}{2}$ łyżeczki sody oczyszczonej $\frac{1}{2}$ łyżeczki soli lopakowanie budyniu czekoladowego 2łyżki kakao
 - 3
 - $\frac{1}{4}$ szklanki płatków czekoladowych (czekolada gorzka) $\frac{1}{2}$ szklanki płatków czekoladowych (czekolada deserowa) 2szklanka groszków karmelowych
 - szklanki groszków karmelowych do posypania wierzchu
- Sposób przygotowania
1. Rozgrzej piekarnik do 160°C. Wysmaruj tłuszczem i posyp mąką formę do pieczenia wielkości 9"x 13"
 2. Połącz zakwas, jajka, olej, mąkę, esencję waniliową i cukier. W oddzielnym naczyniu wymieszaj mąkę, kakao, proszek do pieczenia, sodę oczyszczoną, sól, budyń, płatki czekoladowe groszki karmelowe (1 szklanka) i zrób dołek pośrodku. Wlej składniki płynne do dołka i mieszaj, dopóki się nie połączą.
 3. Wlej ciasto do przygotowanej formy i posyp z wierzchu groszkami karmelowymi (pozostałe $\frac{1}{2}$ szklanki). Piecz od 45 minut do godziny, sprawdzając od czasu do czasu. Gdy wbity w środek ciasta patyczek wychodzi suchy, wyjmij do ostygnięcia.

NALEŚNIKI

8— 10 naleśników

Składniki:

2szklanki zakwasu chleba przyjaźni amiszów

V_2 szklanki mleka odtłuszczonego

1 jajko (oddziel żółtko od białka)

2 łyżki oleju

1 szklanka mąki łyżeczki soli

1 łyżeczka proszku do pieczenia 1 łyżeczka sody oczyszczonej Sposób przygotowania:

1. Połącz zakwas, mleko, żółtko i olej w misce średniej wielkości; mąkę, sól, proszek do pieczenia i sodę wymieszaj w dużej misce i zrób dołek pośrodku. Wlej uprzednio połączone płynne składniki do środka i ubijaj, dopóki się nie połączą.

2. W oddzielnej misce ubij białko na sztywno, a potem powoli dodaj do ciasta.

3. Nalewaj ciasto na natłuszczoną patelnię. Smaż na średnim ogniu, dopóki na powierzchni nie pojawią się bąble, potem przełóż łopatką na drugą stronę. Zdejmij, gdy naleśnik przysmaży się z obu stron.

KRUCHE CIASTECZKA 24 sztuki

Składniki:

- 1 szklanka zakwasu chleba przyjaźni amiszów
- V szklanki oleju
- 2 jajka, ubite
- 2 szklanki mąki
- V₂ łyżeczki soli
- 2 łyżeczki proszku do pieczenia
- V₂ łyżeczki sody oczyszczonej
- V kostki masła, stopionego

Sposób przygotowania

1. Połącz zakwas, olej i jajka w średniej misce. Wymieszaj mąkę, sól, proszek do pieczenia i sodę w dużej misce, zrób dołek pośrodku.
2. Wlej płynne składniki do środka i ubijaj, dopóki się nie połączą i ciasto nie zacznie odchodzić od brzegów miski.
3. Przełóż ciasto na posypaną mąką powierzchnię i rozwałkuj na grubość około 1 centymetra.
4. Foremkami do ciastek wycinaj ciasteczka i układaj na natłuszczonej blasze do pieczenia.
5. Posmaruj ciastka z wierzchu roztopionym masłem, przykryj natłuszczonej olejem folią i pozwól im rosnąć przez 30 minut.
6. Piecz 15— 20 minut; podawaj od razu.

PORADY:

— Jeśli nie używasz cynamonu, możesz posypać natłuszczoną formę cukrem.

— W celu zredukowania cholesterolu można zastosować zamienniki jajek i zmniejszyć ilość oleju, zastępując go V_3 szklanki musu jabłkowego i 1 szklanką siemienia lnianego. Chleb będzie bardziej suchy, ale zdrowszy.

— W celu zredukowania cukru należy zastosować stewię lub inne zamienniki cukru.

— Można użyć innego rodzaju mąki lub kombinację rodzajów, na przykład mąkę ryżową czy ziemniaczaną (używając mąk bezglutenowych, możesz potrzebować składnika wiążącego, np. mąki ararutowej lub gumy ksantanowej).

— Możesz użyć mleka niskotłuszczowego lub sojowego. Więcej przepisów wegańskich i bezglutenowych znajdziesz na naszej stronie www.friendshipbreadkitchen.com

posypki/polewy

- *Cukier brązowy daje słodką, chrupiącą skórkę.*
- Możesz posypać ciasto kruszonką (1/3 szklanki masła lub margaryny (w temperaturze pokojowej), 1/2 szklanki cukru brązowego, 2/3 szklanki mąki, 2 łyżeczki cynamonu (możesz zastąpić mąkę płatkami owsianymi błyskawicznymi).
- Świeżo posiekane orzechy czy wiórki kokosowe dodadzą smaku i zapachu.
- Możesz polukrować ciasto (przepis na lukier: 1/2 szklanki masła lub margaryny (miękkiej), 1 łyżeczka wanilii, 1/2 kg cukru pudru, dodawaj mleko lub wodę aż do uzyskania odpowiedniej konsystencji).
- Jeśli masz za dużo zakwasu, możesz go zamrozić, zatrzymując proces fermentacji. Przed użyciem rozmrażaj zakwas w temperaturze pokojowej (2—3 godziny na każdą szklankę zakwasu).

KILKA NOTATEK PROSTO Z KUCHNI

Chleb przyjaźni amiszów i kilkanaście jego odmian krążyły przez ponad trzydzieści lat. Istotą tego chleba jest hojne dzielenie się nim i przekazywanie go dalej. W internecie i prasie publikowano niezliczone przepisy chleba przyjaźni, wszystkie w oparciu o ten sam bazowy przepis. Ponieważ nie trzeba wiele, żeby ulepszyć czy zmienić istniejące przepisy, niemal niemożliwością jest odnalezienie autora pierwszego przepisu, zarówno chleb, jak i przepisy poprzedzały internet. Ponieważ zamieściłam w swojej książce zarówno moje, jak i cudze przepisy, zamieszczam link do U.S. Biura Praw Autorskich odnośnie praw odnoszących się do przepisów — dla osób, które chciałyby się dowiedzieć więcej na ten temat: **Błąd! Nieprawidłowy odsyłacz typu hiperłącze.**

SZEŚĆ STOPNI CHLEBA PRZYJAŹNI

W naszej zaimprovizowanej kuchni (znanej również jako „kuchnia chleba przyjaźni”) przyznajemy się, że nasze przepisy chleba przyjaźni otrzymaliśmy od innych osób, które z kolei dostały je od innych, i tak dalej. Te przepisy mogły

być poprawiane i zmieniane, dzielone lub przekształcane, przerobione na wegetariańskie, niskocholesterolowe, czekoladowe i tym podobne.

Jeśli tylko było to możliwe, próbowaliśmy dotrzeć do autorów. Niniejszym chcielibyśmy podziękować wspaniałym blogerom i fanom naszej strony na Fa-cebooku, (www.facebook.com/fbkitchen), którzy tak szczerze dzielili się z nami przepisami, zdjęciami i doświadczeniem.

Więcej informacji

The Compassionate Friends jest organizacją mającą na celu zapewnienia przyjaźni, zrozumienia i nadziei osobom, które straciły dziecko (w różnym wieku, z różnych powodów) oraz tym, którzy usiłują pomóc innym przejść przez to doświadczenie. Możesz dowiedzieć się więcej na [http://](http://www.compassionatefriends.org/home.aspx)

www.compassionatefriends.org/home.aspx lub pod numerem telefonu 877—969—0010.

[W Polsce analogiczną pomoc można znaleźć w serwisie dla rodziców po stracie dziecka i rodziców dzieci chorych: <http://www.dlaczego.org.pl/d/1>.

Open to Hope Foundation to organizacja pomocy dla osób, które przeżyły stratę bliskiej osoby. Strona internetowa: <http://www.opentohope.com/>.

Jeśli chciałbyś poznać więcej przepisów chleba przyjaźni amiszów lub dołączyć do naszego internetowego towarzystwa przyjaciół, odwiedź nas na stronie <http://www.friends—hipbreadkitchen.com/>, na Facebooku <http://www.facebook.com/fbkitchen> lub Twitterze <http://twitter.com/fbkitchen>.

Podziękowania

Chciałabym podziękować wszystkim, którzy pomogli mi stworzyć miasteczko Avalon i jego wspaniałych mieszkańców: Patricii Wood, mojej wspaniałej przyjaciółce i koleżance po fachu, której „Chleb przyjaźni” spodobał się tak bardzo, że przedstawiła mnie swojemu agentowi; jej mężowi i pierwszemu oficerowi, Gordonowi Woodowi, który przeczytał powieść i (bardzo pieczołowicie, w PDF—iej) umieścił na stronach użyteczne komentarze; rodzinie Wirthów (Gregowi, Tinie, Amelii, Eli, Masie), od której dostaliśmy naszą pierwszą torebkę zakwasu chleba przyjaźni amiszów, i która starannie przestudiowała fragment o Leonie Ydarze, aby upewnić się, że nie namieszałam w gwiazdach, a przynajmniej w tym, jak człowiek może je postrzegać; artystce Mary Spears, której przyjaźń (i kuchnia) były prawdziwym darem, za który jestem nieskończenie wdzięczna, oraz jej mężowi Philowi Slottowi za jego zawsze celne uwagi. Chciałabym podziękować również mojej drogiej przyjaciółce Nancy Martin za przyjaźń, która legła u podstaw wszystkich moich książek, a zwłaszcza tej — to prawdziwe szczęście, gdy ludzie, po których najmniej się tego spodziewamy, stają się naszymi przyjaciółmi. Jej sympatia i szczerść wobec moich książek pomogły mi stać się lepszą pisarką. Dziękuję też Mary Embry za to, że nie pozwoliła mi utracić wiary i mogłam robić to, co kochałam, nawet przez chwilę nie wątpiąc, że potrafię to zrobić.

Dziękuję przyjaciołom i fanom Darien Gee/Mii King; podczas lektury wstępnych zarysów powieści dzielili się pomocnymi uwagami: Anne Alesauskas, Kari Andersen, Linda Bass, RoxAnn Batovsky, Robin Blankenship, Susan Bu-etow, Linda Buron, Philip Carmichael, Kelli Jo Calvert, Bertha Chang, Traci Clark, Maria Cogar, Kelli Curtin, Jacqueline Graves, Elaine Huntzinger, Chris Hijirida, Marcia Hodge, Patricia Hopkins, Layla Johnston, Gaby Lapus, Wilma Lee, John Martin, Shannon Martin, Sharon McNally, Megan Mc— Nealy, Rose Milligan, Elaine Monteleone, Becky Muehling, Holly Nakfoor, Melissa Nichols, Kari Noel, Vanessa Primer, Vickie Sheridan, Val Stark, Jan Terry, Amanda Vil-lagomez, Kathryn Wilkie, Philip Yau.

Napisanie powieści to jedynie połowa sukcesu — tą drugą jest jej wydanie. Niełatwo zebrać wszystkie elementy tak, by w efekcie czytelnicy otrzymali kolejną dobrą książkę, którą będą mogli się delectować, a potem z satysfakcją postawią na półce.

Uściski dla Dorian Karchmar i jej wspaniałego zespołu w William Morris Endeavor, wspierali wydanie tej książki na całym świecie: Rayhane Sanders, Laura Bonner, Raffaella De Angelis, Michelle Feehan, Tracy Fisher, Rachel McGhee, Margaret Riley.

Chciałam również gorąco podziękować ludziom z Ballan— tine/Random

House: wydawcy Libby McGuire i mojej ukochanej redaktorce Lindzie Marrow. Dział handlowy i dział marketingu ciężko pracowały, aby wypromować tę książkę. Jestem bardzo wdzięczna za wielokrotne przeczytanie redaktorskie poprawki Lindzie i starszemu redaktorowi Danie Isaacson. Ju-nessa Vilorina sprawiła, że byliśmy w stałym kontakcie (mimo że jestem dosłownie za oceanem), zaś adiustatorzy, Penelope Haynes i Angela Pica, przeglądali rękopis czujnym okiem. Dziękuję wam wszystkim.

Specjalne *mahalo* dla Marcii De Lima i Moniki Wiatr Kwon, dzięki którym wszystko się kręciło, nawet gdy ja byłam zakręcona.

Jestem ogromnie wdzięczna czytelnikom Mii King, którzy powtarzali, bym nie przestawała pisać, bo wtedy oni będą mogli nadal czytać.

Mam to szczęście, że otacza mnie wspierająca rodzina

— Hsu i Gee — i mój własny mały klan: mąż, Danin Gee i trójka naszych dzieci: Maya, Erie i Luke. Kocham was wszystkich — i tak, to jest właś nie to, czym wasza mama zajmowała się przez cały ten czas („Znowu piszesz? Czy w ogóle kiedyś skończysz?”). Odpowiedź brzmi — mam nadzieję — że nie. Kocham to, co robię i pragnęłabym, żeby wszyscy znaleźli i robili to, co daje im szczęście.

